

Największa mistyfikacja
polskiego wymiaru
sprawiedliwości

znak

PRZEMYSŁAW
SEMCIUK

WAMPIR z Zagłębia

Prawdziwa historia
połowania na seryjnego
mordercę

Zdzisław Marchwicki,
człowiek o dwóch twarzach
– kat czy ofiara?

Polityczna układanka na
najwyższych szczeblach
reżimowej władzy

Największa mistyfikacja
polskiego wymiaru
sprawiedliwości

znak

PRZEMYSŁAW
SEMČZUK

WAMPIR z Zagłębia

Prawdziwa historia
polowania na seryjnego
mordercę

Zdzisław Marchwicki,
człowiek o dwóch twarzach
– kat czy ofiara?

Polityczna układanka na
najwyższych szczeblach
reżimowej władzy

PRZEMYSŁAW
SEMČZUK

WAMPIR

z Zagłębia

WYDAWNICTWO ZNAK

PROLOG

Cmentarz w Katowicach Panewnikach sąsiaduje z klasztorem Franciszkanów i seminarium duchownym. Rano nie ma tu trudności ze znalezieniem miejsca na parkingu. Na straganie ze zniczami przed bramą pytam o biuro. „Prosto i za trzecim drzewem w lewo”. Jest lekki mróz, ale świeci słońce. Idealna pogoda na spacer wśród grobów.

Biuro cmentarza mieści się w niskim baraku.

Ciemny, zimny korytarz.

W pokoju, przy biurku po lewej stronie, mężczyzna rozmawia przez telefon. Na wprost drzwi siedzi kobieta.

– Słucham pana.

– Szukam grobu, ale na tablicy nie ma kwatery XXXII.

– Nie ma takiej kwatery. Zna pan nazwisko i datę zgonu?

Przez ułamek sekundy zastanawiam się, jaką reakcję wywoła nazwisko.

Ochrona danych osobowych obowiązuje nawet po śmierci.

– Zdzisław Marchwicki, 26 kwietnia 1977 roku – recytuję jednym tchem z pamięci.

Kobieta wyciąga z szafy starą księgę i przewraca kartki.

Luty, marzec, kwiecień, dwudziesty, dwudziesty trzeci, czwarty, piąty.

– Jest dwudziesty szósty. Ale nie ma takiej osoby. To na pewno ta data?

– Jest, o tu, na dole strony, grób 39.

Wskazuję palcem na ostatnią rubrykę.

– Nie, nie, to NN. Znaczący osoba o nieznanym personaliu, pochowana na koszt państwa, ich zawsze chowali w jednym miejscu.

– Na następnej stronie pewnie będzie drugi NN, grób numer 40, z tą samą datą

– mówię z przekonaniem.

– Jest.

Ale... – Urzędniczka zastanawia się chwilę. – Pan mówił

Marchwicki? Zdzisław? Czy to nie ten...

– Ten sam, a w drugim grobie jego brat Jan.

– Jest pan pewien? Dlaczego napisali NN?

Tak zapisywano groby niezidentyfikowanych.

– Proszę spojrzeć.

Godzina pochówku 22:00. Czy takie osoby chowano po nocy?

Mężczyzna przy sąsiednim biurku szybko skończył rozmowę.

Też zrozumiał, o kogo chodzi.

Jest zaskoczony. Nie wiedział, że słynny Wampir został pochowany właśnie tu.

Pracuje dłużej, ale i on nie ma pojęcia, gdzie jest kwatera XXXII.

Prawdopodobnie została zlikwidowana podczas reorganizacji cmentarza na początku lat dziewięćdziesiątych. Przez chwilę zastanawiamy się, gdzieżby to mogło

być. Nie zachowały się żadne stare plany. Prawdopodobnie chodzi o działkę gospodarczą, na której obecnie stoją kontenery na śmieci. Albo o kwaterę wzdłuż ogrodzenia. Jeszcze na początku XX wieku pod płotem, a właściwie za nim, chowano samobójców i morderców, bo nie byli godni spocząć w poświęconej ziemi. Ale w latach siedemdziesiątych był to już cmentarz państwowy. Dla pewności proszę o sprawdzenie jeszcze jednej osoby. Bogdan Arnold, data zgonu: 16 grudnia 1968 roku. Kolejna księga, jeszcze starsza, strony pożółkłe, niektóre rozsypują się ze starości.

– Jest. Bogdan Arnold. Grób 38. Tuż obok. To znaczy, że od 1968 do 1977 nie pochowano w tym miejscu nikogo. Ale naprawdę nie mamy pojęcia, gdzie to może być.

Jeszcze przez kilkanaście minut rozmawiamy o Marchwickich. Nie mam wątpliwości, że pochowano ich tutaj, choć w powszechnej świadomości obowiązuje inna wersja. W filmie dokumentalnym Jestem mordercą...

Macieja Pieprzycy ksiądz proboszcz Benedykt Hałota opowiadał o tajemniczym pochówku na terenie jego parafii na Podlesiu, peryferyjnej dzielnicy Katowic⁴. W środku nocy na cmentarz zajechały milicyjne gaziki. W świetle ich reflektorów wykopano pospiesznie dwa groby i wrzucono do nich worki z ciałami.

Przed odjazdem jeden z oficerów miał powiedzieć proboszczowi, że właśnie pochowali braci Marchwickich. Ta historia od lat krążyła w okolicy, bo na tym cmentarzu grzebano ponoć samobójców i więźniów. Tyle że to nie była prawda.

W archiwum Aresztu Śledczego przy Mikołowskiej znajdują sięteczki więźniów, Zdzisława i Jana. W obu identyczne pisma z datą 25 kwietnia 1977 roku. Naczelnik Wojewódzkiego Aresztu Śledczego zwraca się do dyrektora Zarządu Zieleni Miejskiej o przygotowanie na godzinę 20:00 następnego dnia dwóch grobów oraz o wyznaczenie ludzi do ich zasypania.

Kolejne pisma informują o dokonaniu pochówku na cmentarzu na Panewnikach: kwatera XXXII, groby 39 i 40. Są też protokoły wykonania wyroku. Obecni: prokurator Zenon Kopiński, kapitan Janusz Witkowski, wikariusz major Bolesław Spychała oraz naczelnik aresztu podpułkownik Mieczysław Zmysłowski.

Był też pułkownik Jerzy Gruba – osobiście doglądał egzekucji, ale w protokole nie ma jego podpisu.

Z adnotacji wiadomo, że Jan poprosił o modlitwę i powiedział, że wybacza wszystkim.

Wyrok na Zdzisławie wykonano 26 kwietnia 1977 roku o godzinie 19:06. Jego brat Jan zakończył życie pół godziny później.

Dlaczego proboszcz Hałota z Podlesia twierdził, że widział, jak milicjanci coś kopali? Mogli to robić ubecy na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych, ale niemal 30 lat później milicja nie kopała grobów rękami swoich funkcjonariuszy. Być może przyjechali w nocy na Podlesie i odegrali scenę, by stworzyć legendę, zmylić trop. Nikt nie miał się dowiedzieć, gdzie naprawdę pochowano Marchwickich.

To by tłumaczyło, dlaczego w księgach zapisano NN. Wzmianki o wykonaniu

wyroku nie opublikowała ani „Trybuna Robotnicza”, ani „Wieczór”, ani żaden inny dziennik ukazujący się na Śląsku. Jakby nie chciano, żeby pracownicy cmentarza skojarzyli fakty. Tylko dla czego władze za wszelką cenę chciały wymazać pamięć o Marchwickich, skoro zaledwie trzy lata wcześniej czyniły wszystko, aby dowiedziała się o nich cała Polska?

4 W książce *Zimne*, poświęconej kobietom, które nazywano zbrodniarkami, Marek Łuszczycza opowiada m.in. o Halinie Flak, siostrze Marchwickich. Dziennikarz nadał jej przydomek „zwykła”. Jej historia ma formę dziennika. Pod datą 28 kwietnia 2014 autor opisał rozmowę z księdzem Jackiem Plechem, późniejszym proboszczem tej parafii. Zaprzeczył on wersji swego poprzednika.

CZEŚĆ I

PROCES NIE LICZYLIŚMY ŻŁOTÓWEK

[W sprawie] wykorzystano współczesną wiedzę na temat morderstw o podłożu seksualnym oraz nowoczesną technikę milicyjną. Dużej pomocy udzieliło organom ścigania społeczeństwo głównie z rejonów, w których działał „wampir”. Akta sprawy liczą 140 tomów. Milicja dysponuje też pomocniczą dokumentacją filmową, której projekcja trwa 6 godzin.

Jej fragmenty zaprezentowano¹ dziennikarzom².

28 marca 1974 roku. Do Komendy Wojewódzkiej MO w Katowicach zaproszono kilkudziesięciu dziennikarzy.

Doskonale wiedzą, że tematem konferencji prasowej ma być Wampir.

Taki materiał to najlepsza okazja do zdobycia uznania i czytelników, i kolegów po fachu. Wielu przyjeżdża specjalnie aż z Warszawy.

Śląska milicja podejmuje dziennikarzy wyjątkowo gościnnie.

Powitania, uściski dłoni, a nawet poczęstunek: kawa i pączki. Ale miła atmosfera nie trwa długo. Konferencję prowadzi komendant wojewódzki pułkownik Benedykt Cader. Za stołem prezydialnym zasiadają także Józef Gurgul z Prokuratury Generalnej i kilku wysokich rangą oficerów z Komendy Głównej MO.

Pułkownik Cader opowiada dziennikarzom o kulisach jednego z najdłuższych i najtrudniejszych śledztw, jakie prowadziła milicja. Aż siedem lat trwał pościg za mordercą kobiet.

Wszystko zaczęło się 7 listopada 1964 roku.

Przy nasypie kolejowym w Dąbrówce Małej znaleziono zwłoki Anny Mycek. O zbrodnię oskarżono jej męża. Mężczyzna trafił do aresztu, ale pół roku później uznano, że jest niewinny.

W marcu 1965 roku w Będzinie zamordowano Lidię Nowacką. Dwa miesiące później nieznany mężczyzna zaatakował w Grodźcu Irenę Szymańską.

Kobieta przeżyła, ale jej stan był ciężki.

Po kolejnym morderstwie, dokonanym w lipcu 1965 roku w Sosnowcu, milicja skojarzyła, że sposób pozbawiania życia był we wszystkich przypadkach identyczny. Napastnik zadawał ciosy tępym narzędziem w tył głowy, zawsze z lewej strony, gruchocząc czaszki ofiar.

Dwa następne przypadki, z 26 lipca i 4 sierpnia, potwierdziły hipotezę, że sprawca jest seryjnym zabójcą. Powołano specjalną grupę operacyjną pod kryptonimem „Zagłębie”, dwa lata później jej nazwę zmieniono na „Anna”, od imienia pierwszej

ofiary. Tymczasem wieści o mordercy kobiet, Wampirze, nie udało się zachować w tajemnicy. Brutalne zbrodnie i bezsilność milicji wywołały atmosferę narastającej psychozy. Zakłady pracy zmuszone były organizować specjalną komunikację, by bezpiecznie dowozić kobiety do domów. Inne wychodziły tylko w obstawie mężczyzn, braci i mężów.

Komendant przytacza liczby. W ciągu kilku lat w sprawę zaangażowano niemal 10 procent ogólnego stanu służb mundurowych. Oficerowie operacyjni z całej Polski, rotacyjnie, po kilka miesięcy pełnili służbę w Zagłębiu.

Bywały dni, kiedy nad sprawą pracowało ponad tysiąc osób; w chwili szczególnego zagrożenia padł rekord: trzy tysiące milicjantów, ormowców i żołnierzy patrolowało ulice Będzina, Czeladzi, Siemianowic i kilku innych miast Górnego Śląska. Cader wspomina, że w rejonach najsilniej zagrożonych atakiem Wampira w teren wysłano sto funkcjonariuszek ochotniczek, których zadaniem było zwabienie mordercy. Nie przyniosło to spodziewanego skutku, ale manifestacja siły nie poszła na marne.

Mieszkańcy Zagłębia i Śląska widzieli starania służb mundurowych, przy okazji wykryto mnóstwo innych przestępstw.

Ujęto sprawców piętnastu zabójstw, dwudziestu trzech rozbojów oraz pięćdziesięciu ośmiu gwałcicieli, a liczba schwytanych drobnych złodziejasków szła w setki.

W sprawie Wampira zwracano się o pomoc do mieszkańców. W gazetach publikowano szczegóły makabrycznych zbrodni w nadziei, że informacje naprowadzą na ślad mordercy. Za pomoc w ujęciu sprawcy wyznaczono niebagatelną nagrodę: milion złotych – pięćsetkrotność średniej pensji w tamtym czasie. Wydawać by się mogło, że wobec takiej mobilizacji społeczeństwa i takiego zaangażowania sił milicyjnych przestępca nie miał szans. A jednak metody te okazały się nieskuteczne.

O pomoc poproszono naukowców, krajowych i zagranicznych specjalistów z zakresu kryminalistyki, kryminologii, medycyny sądowej, psychologów i psychiatrów.

To oni, analizując ogromny materiał zebrany w śledztwie, stworzyli portret psychologiczny sprawcy. Zawierał 485 cech fizycznych i psychicznych charakteryzujących mordercę.

Na ich podstawie przedstawiciele organów ścigania sporządzili ankietę i rozpoczęli sprawdzanie wszystkich mężczyzn zamieszkujących w rejonie działania sprawcy. Już na wstępie wykluczyli niemal 95 procent z nich – z różnych względów nie odpowiadali profilowi.

W gronie podejrzanych znalazły się 23 tysiące osób. Każdej z nich założono kartotekę, do której wpisano cechy zachowań i cechy psychiczne. Później dane te przeniesiono na karty perforowane, które trafiły do komputera.

Wskazał on 180 nazwisk. Okazało się, że wśród nich najwięcej cech zgodnych z profilem sprawcy – aż 75 – ma Zdzisław Marchwicki, syn Józefa, urodzony 18

października 1927 roku w Dąbrowie Górniczej. Aresztowano go 6 stycznia 1972 roku.

Wampir zaatakował przynajmniej dwadzieścia razy. Czternaście kobiet poniosło śmierć, a sześć doznało ciężkich obrażeń. Milicjanci podejrzewali, że ofiar mogło być więcej, bo na terenie samego tylko Śląska rocznie odnotowywano około trzydziestu zabójstw. Przez kilka lat zebrano się ponad dwadzieścia niewyjaśnionych przypadków.

Zakładano, że i te kobiety mogły być ofiarami Wampira. To jednak trzeba było jeszcze udowodnić.

Sylwetkę Zdzisława Marchwickiego przedstawia dziennikarzom podpułkownik Jerzy Gruba³, były szef Wydziału Operacyjnego do sprawy „Anna”. Z jego opisu wyłania się człowiek o dwóch twarzach. Na zewnątrz spokojny, pracowity i uczynny.

W rzeczywistości awanturniczy, cyniczny i mściwy. Złodziej i alkoholik. Według opinii psychiatrów psychopata charakterologiczny bez odchylenia w sferze poczytalności. Biegli z zakresu medycyny sądowej stwierdzili również, że Marchwicki jest zbrojcem płciowym typu sadystycznego w formie szczytowej i że mógł popełniać inkryminowane mu zabójstwa noszące wszelkie cechy morderstwa z lubieżności.

Dziennikarze oglądają fotografie i filmy z miejsc zabójstw. Ukazują one okaleczone, obnażone ciała ofiar. Jest też film nakręcony w pobliżu katowickiego ośrodka Telewizji Polskiej. W marcu 1970 roku zginęła tam, jako ostatnia, doktor Jadwiga Kucia. Miała zostać zamordowana na zlecenie brata Zdzisława, Jana Marchwickiego.

Pracowała razem z nim na Uniwersytecie Śląskim.

Wiedziała, że jest homoseksualistą i łapówkarzem wykorzystującym stanowisko kierownika sekretariatu Wydziału Prawa do robienia interesów i molestowania seksualnego studentów. Józef Klimczak, kochanek Jana, ze szczegółami opowiedział w śledztwie o przygotowaniach, o tym, jak w dniu zabójstwa śledził ofiarę razem z braćmi Janem i Henrykiem Marchwickimi. Wreszcie o tym, jak wskazał ją Zdzisławowi, wykonawcy wyroku.

Prokurator Józef Gurgul wyjaśnia, że osobami nagrany podczas wizji lokalnej są właśnie Henryk Marchwicki oraz Józef Klimczak. Wśród zatrzymanych znaleźli się także siostra Marchwickich Halina Flak oraz jej syn Zdzisław Flak. Wszyscy oni mieli znać mroczną tajemnicę Zdzisława Marchwickiego, pomagali mu w ukrywaniu dowodów i uczestniczyli w ostatnim zabójstwie.

Gdy podpułkownik Gruba opowiada o Marchwickim, ani razu nie nazywa go podejrzanym.

Co prawda, terminu rozprawy jeszcze nie wyznaczono, ale dowody są twarde: oto jest Wampir.

– Panie pułkowniku – pyta jeden z dziennikarzy – od wczoraj jestem w Katowicach i rozmawiałem z przypadkowymi osobami. Wie pan, co ludzie mówią?

Że Wampir, ten prawdziwy, nie żyje. Że kilka dni po ostatnim morderstwie napisał

list do milicji. A potem ponoć zabił żonę, dzieci i podpalił dom, gdzieś w Sosnowcu. Był taki przypadek?

– Podobne plotki przez lata utrudniały prowadzenie śledztwa. To bzdury – ucina Gruba.

– Wiadomo, ile kosztowała cała operacja? Liczono wydatki? – pyta inny dziennikarz.

– Wiadomo! – włącza się pułkownik Tadeusz Muniak z Komendy Głównej w Warszawie. – Ale nie liczyliśmy złotych! Na drugiej szali leżało bowiem coś bezcennego. Życie ludzkie.

Nazajutrz w kilku śląskich dziennikach pojawiła się lakoniczna notatka prasowa informująca, że dochodzenie w sprawie Wampira z Zagłębia dobiega końca. Że schwytanym mordercą jest Zdzisław Marchwicki, konwojent kopalni „Siemianowice”.

Tylko na łamach milicyjnego tygodnika „W Służbie Narodu” obszerniej przypomniano śledztwo i kobiety zaatakowane przez Wampira. Pokazano także fotografię narzędzia zbrodni – pejcza wykonanego ze stalowej liny obszytej skórą. To nim Wampir gruchotał czaszki swoich ofiar.

Ale ludzie nie przestali się bać.

Kolejne kobiety padały ofiarą psychopaty. Wszyscy zadawali sobie pytanie: czy milicja złapała właściwego człowieka? A może wampirów było więcej?

2 We wszystkich cytatach została zachowana oryginalna pisownia.

Poprawiono jedynie interpunkcję. Dialogi powstały w oparciu o dokumenty archiwalne i relacje świadków.

3 W czasie swojej kariery Jerzy Gruba posiadał następujące stopnie: kapitan w latach 1961–1966, major w latach 1966– 1971, podpułkownik w latach 1971–1975, pułkownik w latach 1975–1982 i generał brygady od roku 1982. W książce przypisany stopień jest uaktualniany w zależności od opisywanych akurat wydarzeń.

1 Dobiega końca śledztwo w sprawie „wampira”, „Wieczór” z 29– 30 marca 1974 roku.

WYROK

Z początkiem lipca przystąpiłem do opracowywania koncepcji przygotowania się do sprawy i studiowania 141 tomów akt liczących przeszło 50 000 stron oraz setek dodatkowych dokumentów i dowodów rzeczowych, taśm magnetofonowych, filmowych, zdjęć, szkiców itp.

Dokładna znajomość aktu oskarżenia (pierwszy tom – zarzuty i uzasadnienie, drugi tom – wykaz dowodów) miała dla mnie kapitalne znaczenie⁵.

Lato 1974. W wyjątkowo upalne popołudnie sędzia Władysław Ochman został wezwany do gabinetu prezesa Sądu Wojewódzkiego w Katowicach. Przy szerokim stole siedzi kilku mężczyzn.

Całe kierownictwo sądu oraz pierwszy sekretarz komitetu wojewódzkiego i komendant wojewódzkiej MO. Ochman podejrzewał, że takie grono zapowiada poważnego sprawcę, i się nie mylił.

– Panie sędzio – prezes bez wstępu zwraca się do Ochmana. – Słyszał pan o sprawie Wampira?

– Jak chyba każdy w tym mieście – odpowiada sędzia. – Tą sprawą wszyscy się interesują.

– Naturalnie. – Prezes wstaje zza biurka i rusza wolnym krokiem w rundkę wokół stołu. – Prokuratura właśnie przekazała nam akta. Podjęliśmy decyzję, że sprawę należy możliwie szybko rozpoznać, by choć częściowo rozładować napiętą atmosferę na terenie Zagłębia. Po naradzie doszliśmy do wniosku, że pan będzie odpowiednią osobą, by poprowadzić proces Zdzisława Marchwickiego.

– Ja?! Ależ panie prezesie, ta sprawa jest wyjątkowa. Nie wiem, czy nie należałoby poprosić o pomoc ministra sprawiedliwości. Może by oddelegowano do nas któregoś z sędziów z większym doświadczeniem, z Warszawy, z Sądu Najwyższego?

– Braliśmy to pod uwagę. Ale proces będzie wzbudzał ogromne zainteresowanie społeczności lokalnej.

Uznaliśmy, że lepiej będzie, jeśli poprowadzi go ktoś znany tu, na miejscu, wzbudzający zaufanie.

Ochman przez chwilę zastanawia się, co odpowiedzieć. Zwykle to on wygłasza sentencje wyroków. Teraz czuje się, jakby to jemu odczytywano wyrok. Spogląda na uśmiechniętego komendanta.

– Panie sędzio, jestem przekonany, że możemy liczyć na pana w tak trudnej sprawie.

Ochman gorączkowo szuka możliwości, by jakoś wybrnąć z tej sytuacji. Ma ostatnią szansę.

– Panie prezesie, jest tylko taki kłopot, że kończę w tej chwili dużą sprawę

gospodarczą o nadużycia w handlu mięsem.

Pan rozumie, trzydziestu oskarżonych. Dwa tak duże procesy jednocześnie?

– Tak, pamiętam. No cóż, czytałem akta, wszystko jest jasne, trzeba szybko zakończyć tamten proces. Wyrok nie będzie już budził takiego zainteresowania jak ten warszawski. Najwyżej będziemy się zastanawiać w apelacji, co z tym zrobić. A pozostałe sprawy przekaże pan kolegom. Nie są aż tak ważne. – Prezes podchodzi do biurka i podnosi dwa tomy akt w eleganckich płóciennych oprawach.

Ochman jest zaskoczony. Nigdy przedtem nie widział tak starannie przygotowanej dokumentacji. – Na początek mam dla pana akt oskarżenia. Reszta akt czeka.

Musiałem znaleźć dla nich osobny pokój.

Sto czterdzieści tomów. To jak dotąd najobszerniejsza dokumentacja w powojennym sądownictwie. Przejdzie pan do historii. Gratuluję!

5 Sędzia Władysław Ochman o początkach swego udziału w sprawie. Zob. Proces wampira, „Prawo i Życie” z 13 lutego 1974 roku, nr 7.

TEATR

Każde słowo wypowiedziane na sali sądowej mogło mieć decydujące znaczenie dla przyszłych krytyków lub recenzentów procesu⁶.

Po przeczytaniu aktu oskarżenia sędzia Ochman nabrał pewnych wątpliwości. Na ławie oskarżonych miał zasiąść nie tylko Zdzisław Marchwicki, ale aż sześciu podsądnych. Łącznie postawiono im czterdzieści zarzutów.

Zdzisławowi Marchwickiemu aż dwadzieścia trzy. Dwadzieścia dotyczyło zabójstw lub usiłowań zabójstw. Kolejne to zarzut znęcania się nad żoną i dziećmi, kradzieży oraz znieważania interweniujących funkcjonariuszy MO.

Jego brat Jan Marchwicki był już wcześniej trzykrotnie skazany: za udział w zorganizowanej grupie przestępczej zajmującej się nielegalnym handlem walutą (wyrok: 4 lata i 6 miesięcy więzienia), za przyjęcie łapówek na kwotę miliona złotych (wyrok: 12 lat więzienia i 250 tysięcy grzywny) oraz za nielegalny druk bezdebitowych materiałów religijnych (wyrok: 3 lata więzienia i 50 tysięcy grzywny, którą z powodu braku możliwości zapłacenia zmieniono na dodatkowe 500 dni pozbawienia wolności). Teraz miał odpowiedzieć za podżeganie do morderstwa, przyjmowanie łapówek oraz demoralizowanie młodzieży poprzez nakłanianie do nierządu.

Trzeci z braci Marchwickich, Henryk, stały bywalec zakładów karnych, miał brać udział w przygotowaniu morderstwa ostatniej ofiary Wampira, a później zacierać ślady i wprowadzać w błąd organy ścigania.

Podobne zarzuty postawiono Józefowi Klimczakowi, młodemu kochankowi Jana.

Halinie Flak, siostrze braci Marchwickich, przedstawiono zarzuty wyłudzenia zwolnienia lekarskiego oraz przyjmowania od brata przedmiotów zrabowanych ofiarom. Miała zdawać sobie sprawę, skąd pochodziły.

Ostatnim oskarżonym był syn Haliny Zdzisław. Ciążył na nim zarzut kradzieży z FSM części samochodowych o wartości 9 tysięcy złotych.

Ochmanowi przyszło do głowy, że zbyt nie rozpraszać się sądu w tej „drobnicy” może spowodować „rozpłynięcie się” zarzutów podstawowych, a więc zabójstw, usiłowania zabójstw oraz pomocnictwa i podżegania⁴. Jego zdaniem wobec Józefa Klimczaka, Haliny Flak i Zdzisława Flaka należało wdrożyć odrębne postępowanie. Podzielił się swoimi przemyśleniami z prezesem sądu, ale po długiej dyskusji wspólnie doszli do wniosku, że osądzenie wszystkich jednocześnie jest jednak słuszne. Pozwoli na pokazanie całokształtu zła, jakie panowało w tej zdemoralizowanej rodzinie.

Dopiero kiedy go poinformowano, że sprawę poprowadzi nie w sali Sądu Wojewódzkiego, tylko w sali widowiskowej Domu Kultury przy Zakładach Cynkowych „Silesia” w Siemianowicach, sędzia Ochman zrozumiał, że chodziło o coś jeszcze.

Sześcioro oskarżonych i różnorodność zarzutów kryminalnych idealnie pasowały

do scenariusza procesu pokazowego.

Oficjalnym powodem wyboru nowej sali był remont gmachu sądu. Poza tym argumentowano, że nawet największa sala sądowa nie pomieści tak wielu osób. Nie podlegało dyskusji, że proces będzie jawny. Mieli w nim uczestniczyć dziennikarze z prasy, radia i telewizji oraz naukowcy z różnych dziedzin nauki, kryminalistyki, prawa, medycyny sądowej i psychiatrii.

A także publiczność, i to niemała, przynajmniej kilkaset osób.

Ochman wiedział, że decyzje zapadały bez jego udziału. Nawet nie w gabinecie prezesa sądu, lecz w komitecie partii.

Zażądał, by całość posiedzeń była utrwalana na taśmie magnetofonowej.

Nagrania z sali rozpraw miały być gwarancją uczciwości, ale przede wszystkim ułatwić mu pracę. Nie lubił dyktować protokolantom, co mówią świadkowie i oskarżeni. Wiedział, że pisanie protokołu na sali będzie w tym wypadku niezmiernie trudne, a dyktowanie każdego zdania wypowiedzianego przez świadków, oskarżonych, obrońców i oskarżycieli – wręcz niemożliwe. Z akt wynikało, że przed sądem stanie ponad pięćset osób.

Choć zwykle protokoły powstają na rozprawach i są podpisywane po ich zamknięciu, tym razem miały być przepisywane z taśmy i przekazywane sędziemu z tygodniowym opóźnieniem.

Było to rozwiązanie bez precedensu w polskim sądownictwie.

Kiedy kierownictwo wyraziło zgodę na nagrywanie posiedzeń, pojawił się inny kłopot. Sąd nie dysponował odpowiednim sprzętem ani funduszami na jego zakup. Z pomocą przyszedł podpułkownik Gruba z grupy operacyjnej „Anna”. On też uważał, że „casus Marchwicki” winien zostać przekazany potomności w formie nie skażonej ludzką fantazją lub niedoskonałością tradycyjnego, odręcznego zapisu⁵.

Milicja miała dostarczyć urządzenia i zapłacić za ogromną liczbę taśm magnetofonowych.

Gruba zaproponował też, że przynajmniej niektóre fragmenty rozpraw powinny zostać utrwalone za pomocą kamery.

Sprzęt wypożyczono z katowickiego ośrodka Telewizji Polskiej. Mieli go obsługiwać przeszkoleni milicjanci.

Rola podpułkownika Gruby powinna była się wprawdzie skończyć wraz ze schwytaniem przestępcy, ale nagrywanie rozpraw uzasadniało jego obecność wśród osób nadzorujących przystosowanie sali widowiskowej do potrzeb procesu.

Dotychczas odbywały się w niej koncerty, zabawy taneczne i uroczystości zakładowe. W sprawach organizacyjnych pomagał dyrektor Zakładów Cynkowych „Silesia” inżynier Tadeusz Ruciński: zapewnił ekipy stolarzy i elektryków.

Jednak sama sala sądowa to nie wszystko.

Potrzebne były zarówno pomieszczenia, w których podczas przerw oskarżeni mogliby przebywać (każdy w osobnym, tak aby uniemożliwić im porozumiewanie się i

mataczenie), jak i pokoje dla sędziów, prokuratorów, obrońców oraz tak zwanego zaplecza technicznego.

Sporo uwagi poświęcono udziałowi widowni. Sędzia Ochman zaproponował, by na każdy dzień wydawać karty wstępu. Ostatecznie miały być trzy rodzaje przepustek.

Białe – dla publiczności, ważne tylko na jeden określony dzień, czerwone, stałe – dla naukowców, i zielone – dla dziennikarzy.

Rozprowadzanie kart wstępu dla dziennikarzy należało do zadań oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w Katowicach. Były ważne tylko z legitymacją prasową. W razie jej braku milicjanci mieli natychmiast rekwirować przepustkę. Karty stałe otrzymywali przedstawiciele ośrodków naukowych oraz pracownicy pewnych instytucji (na przykład Laboratorium Kryminalistyki) z obowiązku zainteresowani przebiegiem procesu. Wydawanie jednorazowych kart dla widowni powierzono pracownikom sekretariatu IV Wydziału Karnego Sądu Wojewódzkiego.

Do nich również należało dopilnowanie, by nikt ze świadków nie dostał się na salę jako widz.

Wreszcie w połowie lipca wyznaczono skład orzekający. Poza sędzią Ochmanem za stołem mieli zasiąść sędzia Sądu Wojewódzkiego Andrzej Rembisz oraz ławnicy: Eryk Skiba, Franciszek Tatarczuch i Ryszard Kukwa.

Znane też były nazwiska ławników dodatkowych: Irena Skubis i Emanuel Kaczorowski.

Do protokolowania rozprawy wyznaczono Barbarę Kwieć i Arletę Jarząbek. Wszyscy musieli się zapoznać z aktami.

Zgodnie z wymaganiami formalnymi gotowe protokoły z rozpraw należało dostarczyć obrońcom i oskarżycielom. Tu pojawił się kolejny problem, bo potrzebowano kilkunastu identycznych kopii. Dzięki użyciu kalki do pisania na maszynie mogły powstać najwyżej trzy. I tym razem pomógł podpułkownik Gruba – zaoferował kserograf, którym dysponowała milicja.

W roli oskarżycieli publicznych miało wystąpić dwóch prokuratorów: doktor Józef Gurgul z Prokuratury Generalnej i Zenon Kopiński, zastępca prokuratora wojewódzkiego.

Sędzia Ochman zaproponował, by każdemu z oskarżonych przydzielić po trzech obrońców; razem aż osiemnastu. Radzie Adwokackiej zlecono wyznaczenie obrońców z urzędu, ponieważ oskarżonych nie było stać na samodzielne wynajęcie mecenasów. Stwarzało to niemałe trudności, bo adwokaci byli już zajęci prowadzeniem innych spraw, a ów proces miał im zabrać mnóstwo czasu.

Musieli też wyrazić zgodę na podjęcie się obrony.

Termin rozpoczęcia rozprawy wyznaczono na 18 i 19 września. Potem miała nastąpić przerwa do 9 października.

Ustalono, że posiedzenia sądu będą się odbywać trzy razy w tygodniu – w środy, czwartki i piątki. Przewidywano, że przy takiej organizacji sprawa potrwa od trzech do

sześciu miesięcy. Porządek dnia został zaplanowany w najdrobniejszych szczegółach.

O określonej porze oskarżonych dowożono z zakładów karnych i wprowadzano do wyznaczonych dla nich pomieszczeń.

Punktualnie o godzinie 9:00 dowódca konwoju wydawał rozkaz wprowadzenia ich na salę sądową. Tu też nie było miejsca na przypadek – oskarżonych wprowadzano i wyprowadzano w ściśle określonej kolejności.

Dokładnie zaplanowano, które miejsca zajmą w ławie oskarżonych. Doświadczenia z okresu śledztwa pozwalały przypuszczać, że Jan Marchwicki, Henryk Marchwicki oraz Halina Flak mogą sprawiać kłopoty i zakłócać przebieg rozprawy. Sadzano ich więc blisko wyjścia, tak by dało się ich łatwo usunąć z sali.

Codziennie o 12:30 następowała przerwa obiadowa. Posiłek dowożono z Aresztu Śledczego przy ulicy Mikołowskiej.

Do zorganizowania wyżywienia sędziów, ławników, prokuratorów i pozostałych osób obsługujących proces zobowiązał się dyrektor Zakładów Cynkowych.

Codziennie o tej samej porze dostarczano dla nich zupy regeneracyjne, te same, które jedli pracownicy huty. Urządzono też mały bufet z kanapkami i napojami.

W pierwszych dniach września sędzia Ochman i prezes Sądu Wojewódzkiego wybrali się do sali widowiskowej Domu Kultury przy Zakładach Cynkowych, by osobiście sprawdzić stan przygotowań.

Na miejscu pracowały jednocześnie ekipy stolarzy, elektryków, łącznościowców, operatorów sprzętu nagłośnieniowego i kamerzystów. Bałagan był jednak pozorny, wszystko wskazywało na to, że sala będzie gotowa w terminie. W niczym nie przypominała tych w budynku Sądu Wojewódzkiego. Całą ścianę wypełniały okna, przez które wpadało mnóstwo światła. Stół sędziowski umieszczono na scenie. Po jego prawej stronie, także na scenie, znajdowało się miejsce dla prokuratorów. Przed sceną, po prawej na niewielkim podwyższeniu, ustawiono kamerę telewizyjną, a na wprost niej przygotowano miejsca dla oskarżonych i obrońców. Adwokaci zajmowali dwa pierwsze rzędy. W trzecim mieli zasiąść Jan Marchwicki, Józef Klimczak i Zdzisław Marchwicki. W czwartym – Henryk Marchwicki, Halina Flak oraz jej syn Zdzisław Flak.

Ustalono, że oskarżonych będzie oddzielało po dwóch funkcjonariuszy milicji oraz że milicjanci zabezpieczą ławę oskarżonych od strony okien.

Dwa pierwsze rzędy widowni były zarezerwowane dla dziennikarzy. Dalej zasiadali posiadacze stałych przepustek, za nimi – cała reszta. Aby zapewnić dobrą słyszalność, ustawiono głośniki, sędziowie, prokuratorzy i obrońcy mieli do dyspozycji mikrofony.

Głośnik umieszczono także na zewnątrz, przypuszczano bowiem, że przed budynkiem będą się gromadzić ci, którzy nie zdobyli wejściówek.

Sędzia Ochman miał jeszcze obawy związane z bezpieczeństwem. Atmosfera wokół procesu była tak napięta, że mogło dojść do samosądu. Co, jeśli emocje tłumu

wymkną się spod kontroli i zlinczuje on oskarżonych? By temu zapobiec, w jednym z pomieszczeń na zapleczu urządzono centralę łączności.

Zapewniała ona dyżurującemu wewnątrz oficerowi bezpośredni kontakt radiowy z patrolami w całej okolicy, z samochodami transportującymi oskarżonych i patrolami ruchu drogowego na trasie przejazdu.

Bezpieczeństwa przed budynkiem strzegło kilkunastu umundurowanych funkcjonariuszy i drugie tyle po cywilnemu. Kierownictwo MSW uznało, że milicjanci mogą mieć tylko broń krótką, by nie prowokować ludzi.

Na kilka dni przed rozpoczęciem procesu w nowej sali sądowej odbyło się spotkanie przygotowawcze niemal wszystkich uczestników.

Brakowało jedynie oskarżonych. Sędzia Ochman chciał omówić porządek dnia i sprawdzić, czy wszyscy wiedzą, co mają robić.

Osobne spotkanie zorganizowano z prokuratorami i jeszcze jedno z adwokatami. To, o czym na nich rozmawiano, pozostaje tajemnicą.

[6 Tadeusz Patan, Sądziłem wampira cz. 2 „Casus Marchwicki”, „Kronika” z 28 lutego 1977 roku.](#)

[4 Władysław Ochman, Proces wampira, „Prawo i Życie” z 13 lutego 1977 roku.](#)

[5 Tadeusz Patan, Sądziłem wampira cz. 2 „Casus Marchwicki”, „Kronika” z 28 lutego 1977 roku.](#)

PROSZĘ WSTAĆ, SĄD IDZIE

W środę, osiemnastego września, o godzinie dziewiątej rano, padnie sakramentalna formuła: „Proszę wstać.

Sąd idzie!”. Rozpocznie się proces „wampira”. Proces wyjątkowy, bo wymierzający sprawiedliwość w sprawie bez precedensu⁶.

14 września 1974 roku w „Trybunie Robotniczej” ukazał się tekst Tadeusza Wielgolawskiego zatytułowany Proces wampira. Wielgolawski zapowiadał to, na co jego zdaniem czekali mieszkańcy Śląska i Zagłębia. Morderca kobiet, który przez kilka lat terroryzował społeczeństwo, wreszcie zasiądzie na ławie oskarżonych. Zdzisław Marchwicki był, z jednej strony, cieszącym się dobrą opinią pracownikiem kopalni „Siemianowice”, chodzącym w koronie cierniowej, pokrzywdzonym przez los, porzuconym przez żonę i walczącym z przeciwnościami losu. Druga, ukryta twarz przedstawiała alkoholika, sadystę znęcającego się nad żoną i dziećmi, stojącego przed zarzutem pozbawienia życia czternastu kobiet i „nie z własnej winy” nieudanych zamachów na życie sześciu dalszych.

Słowa Wielgolawskiego nie pozostawiały wątpliwości, kim był Zdzisław Marchwicki.

Już nie podejrzanym ani oskarżonym. Wyrok został wydany także na pozostałych Marchwickich. O Janie pisał: Osobnik, który czegokolwiek się dotknął, poczynało gnić.

Człowiek, który w zgodzie z sumieniem dzielił swój czas na zabiegi wokół druku świątobliwych tekstów, wyuzdane orgie z innymi homoseksualistami, deprawowanie czternastoletniego chłopca, zresztą swego krewnego, i branie sumujących się w kwotę miliona złotych łapówek za protekcję, a równocześnie przygotowujący z pedanterią zabójstwo kobiety, która śmiała zagrażać praktykom „wszechwładnego Jana”.

Potem zaś zwałający całą winę za zabójstwo na współoskarżonych.

Trzeci z braci, Henryk Marchwicki, był według redaktora Wielgolawskiego drobnym pijaczkiem, damskim bokserem, kieszonkowcem i współuczestnikiem ostatniego mordu.

Dziennikarz nie oszczędził także Haliny Flak, siostry braci Marchwickich. Miała z całą świadomością przyjmować przedmioty zrabowane ofiarom: kolczyk, z którego próbowała zrobić sobie złoty ząb, obrączkę, a nawet kilogram mięsa wyciągnięty z torby konającej kobiety. Z tego mięsa Halina ponoć usmażyła dla brata kotlety.

Artykuł zamieszczony w „Trybunie Robotniczej” został poparty cytatami z aktu oskarżenia. Tego, który dopiero cztery dni później prokuratorzy Józef Gurgul i Zenon Kopiński mieli odczytać na sali rozpraw. Wielgolawski lapidarnie streścił dwieście trzydzieści dziewięć stron dokumentu. Cytując, nazwał Zdzisława Marchwickiego zbrodniarzem, a stwierdzenie to poparł opisem wieloletniego pościgu. Podkreślał przy

tym zasługi milicji i jej wyższość nad zachodnimi służbami policyjnymi.

W końcu mimo wielu lat śledztwa Scotland Yard nigdy nie ujął słynnego Kuby Rozpruwacza.

Upiór z Düsseldorfu* wpadł tylko przez przypadek, nie dzięki nieudolnym działaniom niemieckiej policji. Z kolei Dusiciel z Bostonu** został zatrzymany w związku z inną sprawą, a do morderstw kobiet miał się przyznać ku zaskoczeniu śledczych. Mimo to sąd nie był w stanie udowodnić mu winy i skazał za inne, drobne przestępstwa.

Zdaniem Wielgoławskiego na tym tle nasza milicja wypadła doskonale. Co prawda, ściagała Wampira aż przez siedem lat, ale wniesiony do sądu akt oskarżenia nie pozostawiał wątpliwości co do winy głównego oskarżonego i jego kompanów.

A wszystko dzięki zaangażowaniu i poświęceniu oficerów oraz zastosowaniu nowoczesnych metod śledczych. Do schwytania mordercy przyczyniła się ściśła współpraca z wybitnymi naukowcami z wielu dziedzin.

Artykuł wydrukowany w „Trybunie Robotniczej” podsycił zainteresowanie procesem. Setki ludzi, chcąc zdobyć przepustkę uprawniającą do wejścia na salę, rozpoczęły szturm na sekretariat sądu. Szansę dostrzegli także drobni kombinatorzy, nazywani wówczas potocznie konikami. Na co dzień handlowali biletami do kina, odsprzedając je po zawyżonych cenach. Ale milicja nie dopuściła, by wejściówki na proces Wampira stały się okazją do łatwego zarobku. Dokładnie sprawdzano dowody osobiste, porównując je z nazwiskiem wypisanym na przepustce. Nie było szans, by ktoś niepowołany dostał się na salę.

Rankiem 18 września 1974 roku w gmachu Sądu Wojewódzkiego przy ulicy Andrzeja sędziego Ochman spotyka się z dziennikarzami. Większość, tak jak kilka miesięcy wcześniej, przyjechała z Warszawy. Jest nawet ekipa z Polskiej Kroniki Filmowej.

Razem około trzydziestu osób. Wśród nich sławy dziennikarstwa sądowego: Maria Osiadacz, Barbara Seidler, Wanda Falkowska. Prócz tego wielu młodych reporterów, dla których ten proces może być szansą na wybicie się. Ochman przedstawia skład orzekający, oskarżycieli i obrońców.

Prosi o rzetelność i obiektywizm w relacjonowaniu procesu.

Po zakończeniu spotkania zabiera tokę, łańcuch i razem z sędzią Rembiszem i ławnikami wsiada do służbowej nyski.

Salę Domu Kultury wypełniają tłumy ludzi, kilkaset osób czeka w napięciu.

Nieliczni szeptem komentują, gdy milicjanci wprowadzają oskarżonych.

Nagle ciszę rozdziera krzyk kobiety:

– Moje dziecko! Moje dziecko!

Morderca! Ludzie, pomóżcie! Moje dziecko!

Dwóch milicjantów po cywilnemu ujmuje kobietę pod łokcie i wyprowadza z sali. Poruszenie na widowni. Ludzie obserwują tę scenę. Niektórzy wstają z krzeseł, by

choć przez chwilę dostrzec twarz Zdzisława Marchwickiego. Jak zareaguje na ten przejmujący krzyk? Ale on nie pokazuje po sobie emocji, siedzi, patrząc gdzieś obojętnie przed siebie.

Cisza nie trwa jednak długo. Salę wypełnia donośny męski głos z ławy oskarżonych:

– Tu są przedstawiciele prasy!

Zamordował ją Wiktor G. [tu pełne nazwisko – przyp. P.S.] ze Służby Bezpieczeństwa, bo nie chciała szpiclować ani donosić na biskupa katowickiego. I na nikogo nie zwałam sprawy, bo wiem, kto jest mordercą. Szukają kozła ofiarnego!

Bandyci ukraińscy, których Benedykt Cader [komendant wojewódzki – przyp. P.S.] przywiózł z Warszawy. Chcąc ratować swoją kochankę K. z uniwersytetu, musiał mordować niewinną kobietę. A dzisiaj szukają... – zawiesza głos – ... głupich! Smyki! Nikt z Marchwickich na Wybrzeżu nie szczelał [oryginalna wymowa – przyp. P.S.] do ludzi. Nikt! Niech policzą te sieroty!

Niech Wielgolawski policzy sieroty, które zostały po ludziach zamordowanych na Wybrzeżu. Jeszcze z tamtego się nie rozgrzeszyli, a już szukają nowych ofiar.

A [innej] kochance P.-S., która zawoziła go samochodem swoim do miejsca morderstwa, zorganizował ucieczkę do enerefu. – Mężczyzna znów zawiesza głos. – Zaraz, parę miesięcy po jej morderstwie, jest do dzisiejszego dnia w enerefie z mężem i z dzieckiem. Ten sam smyk Wiktor G. ze Służby Bezpieczeństwa! Tego w prasie nie napiszą.

Na znak dowódcy konwoju dwóch milicjantów chwyta Jana Marchwickiego pod rękę i wywleka z ławki. Jan walczy, opiera się i wciąż krzyczy:

– Całą prawdę mówię! Nie martw się, Zdzichu! Nie martw się! Proszę, za prawdę to się wyprowadza z sali. To jest Polska i praworządność. – Ostatnie ledwo słyszalne słowa dobiegają już z korytarza prowadzącego na zaplecze.

Ludzie w milczeniu przyglądają się tej scenie, wydają się sparaliżowani. Dopiero po chwili salę wypełniają szepty. Jedni z podziwem kiwają głowami, że Jan Marchwicki nie bał się wykrzyczeć takich rzeczy. Inni ze złością sarkają, że bezczelny bandyta śmie cokolwiek mówić i próbuje zwać winę na innych.

Po kilku minutach milicjanci ponownie wprowadzają Jana Marchwickiego na salę i sadzają w ławie oskarżonych. Gdy tylko znajduje się na miejscu, donośny głos woźnego oznajmia:

– Proszę wstać, Sąd idzie!

Sędziowie i ławnicy spokojnie zasiadają za stołem umieszczonym na scenie. Sędzia Ochman przysuwa sobie mikrofon i mówi:

– Proszę usiąść. – Salę wypełnia hałas przesuwanych krzeseł.

– Chciałem prosić o głos jako... – Jan Marchwicki ponownie podrywa się z miejsca, próbując walczyć z powstrzymującymi go milicjantami.

– Proszę oskarżonego... – Spokojny, acz zdecydowany Ochman zatrzymuje

szarpaninę.

– Oskarżonemu będzie udzielony głos w odpowiedniej chwili.

– Ja tylko chciałem przeprosić Wysoki Sąd, bo mnie obciążają fałszywymi danymi w prasie, podanymi przez redaktora „Trybuny Robotniczej”.

Zdenerwowałem się i tutaj, wszedłszy na salę, powiedziałem fakty prawdziwe, tylko nie we właściwym czasie. I za to chciałem przeprosić.

Ochman go ignoruje.

– Otwieram posiedzenie Sądu Wojewódzkiego na sesji w Domu Kultury Zakładów Cynkowych w Katowicach. Rozpoznawana będzie sprawa Zdzisława Marchwickiego i innych oskarżonych o przestępstwa zabójstwa, usiłowania zabójstwa, pomocnictwa, podżegania do zbrodni oraz całego szeregu innych przestępstw z całego kodeksu karnego. Sąd uprzedza strony, prokuratorów, obrońców oraz zawiadania oskarżonych, że cała rozprawa jest rejestrowana na taśmie magnetofonowej. W związku z tym, w razie zabierania głosu, proszę strony o posługiwanie się mikrofonami.

Dwa dni później w „Trybunie Robotniczej”, „Wieczorze” i „Dzienniku Zachodnim” ukazały się identyczne krótkie notki.

Informowano, że prokurator zakończył odczytywanie aktu oskarżenia.

W ciągu dwóch dni procesu powstał wizerunek mordercy, wyjątkowo brutalnego, chytrego, działającego z motywów seksualnych.

Ofiary atakował zniecałkowany, najczęściej na bocznych drogach i ścieżkach, pod osłoną ciemności lub mgły. Uderzał metalowym prętem w głowę, masakrował zwłoki, zabierał różne przedmioty osobistego użytku. Powstał obraz człowieka o dwóch twarzach: uprzejmego, uczynnego i zdyscyplinowanego w zakładzie pracy i awanturnika wobec członków najbliższej rodziny⁷.

Jak podawała prasa, na potwierdzenie winy Zdzisława Marchwickiego prokurator odczytał fragmenty zeznań świadków i opinie biegłych oraz przytoczył dziesiątki faktów. Przedstawił także zeznania samego Marchwickiego, który w czasie dwóch lat śledztwa przyznał się do winy. Na razie jednak sąd zarządził przerwę do 9 października.

* Peter Kürten (1883–1931) do morderstw przyznał się żonie, która powiadomiła policję. Udowodniono mu dziewięć zabójstw dokonanych w latach 1913–1930 i wiele napadów na kobiety; przydomek „wampira” otrzymał w 1929 roku po zabiciu w parku łabędzia i wypiciu jego krwi. Został skazany na karę śmierci.

** Albert De Salvo (1931–1973) w przebraniu montera lub podając się za detektywa, wchodził do mieszkań i atakował kobiety w wieku od 19 do 85 lat, gwałcił, a następnie zabijał, najczęściej dusząc pończochami – stąd przydomek Dusiciel. Z nieznanymi przyczynami ostatniej ofiary nie zamordował. Powiedział „przepraszam” i wyszedł. Został schwytyany na podstawie portretu pamięciowego.

W 1967 roku skazano go na dożywocie.

W 1973 roku został zamordowany w więzieniu. Sprawców morderstwa nie wykryto. Przez wiele lat sceptycy podważali, że DeSalvo był Dusicielem z Bostonu. W 2013 roku dokonano ekshumacji i porównano DNA Alberta DeSalvo ze śladami zabezpieczonymi na miejscu zabójstwa Mary Sullivan. Badania potwierdziły jego winę.

6 Tadeusz Wielgolawski, Proszę wstać. Sąd idzie!, „Trybuna Robotnicza” z 14 września 1974 roku.

7 Proces mordercy kobiet, „Wieczór” z 20 września 1974 roku; Proces mordercy kobiet, „Trybuna Robotnicza” z 20 września 1974 roku; Zakończono czytanie aktu oskarżenia, Polska Agencja Prasowa; Proces mordercy kobiet, „Dziennik Zachodni” z 20 września 1974 roku.

À PROPOS WAMPIRA

Pierwszą jego ofiarą padła zgłodzona w listopadzie 1964 r. 58-letnia Anna M. Od jej imienia akcja milicji, która doprowadziła ostatecznie do wykrycia sprawcy, wzięła kryptonim „Anna”.

Pierwsza ofiara była jedyną znaną mu osobiście. Potem w ciągu sześciu lat zabił jeszcze czternaście, zaś sześć usiłował pozbawić życia⁸.

Pierwszy wyjaśnienia składa Józef Klimczak.

Dla prokuratury jest najważniejszym świadkiem, bo nie będąc członkiem rodziny, jako jedyny wyłamał się ze zmywy milczenia. Jan i Henryk Marchwicy głośno komentują jego wypowiedzi, uporczywie zakłócając przebieg posiedzenia. Nie reagują na upomnienia sędziego. Klimczak próbuje się bronić, odpowiadając na docinki.

Publiczność żywo reaguje na te utarczki – głównie śmiechem, czasem oklaskami.

Gdy Klimczak obciąża Jana, mówiąc, że był organizatorem i główną sprężyną morderstwa Jadwigi Kuci, sędzia musi przerwać rozprawę. Mdleje Zdzisław Flak. Nim wyniosą go z sali, Jan zdąży wykrzyknąć w stronę Klimczaka: Podziękuję ci jak kochankowi Nasierowskiego, on dostał dziesięć lat!

Sprawa Jerzego Nasierowskiego, która zakończyła się niecały rok wcześniej, była jedną z głośniejszych w latach siedemdziesiątych. Popularny aktor wraz z młodocianym kochankiem, wykorzystując rozległe kontakty towarzyskie, rabował mieszkania znajomych i przyjaciół. Złodziejski duet doskonale się przy tym bawił.

Nasierowski odwiedzał obrabowanych i współczuł serdecznie, słuchając o nieszczęściu, jakie ich spotkało. Zabawa trwałaby zapewne jeszcze długo, gdyby nie partner Nasierowskiego. Zachęcony sukcesami, dokonał skoku na własną rękę. Plan napadu okazał się kiepski, a wykonanie jeszcze gorsze. W efekcie pobita i związana staruszka zmarła. Gdy chłopak trafił do więzienia, wydał kompana i opowiedział o jego gangsterskich wyczynach. O procesie aktora rozpisywały się wszystkie gazety i zapewne dlatego na jego wspomnienie publiczność zareagowała salwą śmiechu.

Po krótkiej przerwie sędzia Ochman nadal przepytuje Józefa Klimczaka.

– Z czego oskarżony się utrzymywał?

– Byłem na utrzymaniu Jana Marchwickiego.

– Wyłącznym?

– Tak.

– A wcześniej?

– W kopalni zarabiałem dwa tysiące pięćset jako młodszy górnik. Później w KPRB* tysiąc siedemset jako pomocnik operatora koparki. Od razu się zorientowałem, kim jest Jan Marchwicki.

Wcześniej znałem to środowisko.

Pierwszy raz zetknąłem się z tym przypadkiem, gdy byłem w szkole górniczej, w

drugiej klasie. Byłem... jechałem z kolegą do domu. Na dworcu w Katowicach poznałem takich ludzi. [...]

U Jana poznałem naukowców, księży i homoseksualistów.

Razem wyjeżdżaliśmy na wczasy.

– Może oskarżony coś bliżej powiedzieć? Coś na ten temat powiedzieć, jak Jan przedstawiał oskarżonego.

– Daleka rodzina, względnie znajomy, sublokator.

– A jak faktycznie?

– Utrzymywaliśmy ze sobą stosunki homoseksualne.

– No to co? Męska narzeczona?

– Może tak być, jak Wysoki Sąd to przyjmie. Nie poczuwam się do tego. Nie jestem takim, ale trudno.

– To w jakim charakterze oskarżony jeździł na wczasy?

– Po prostu byłem takim żulem. Żule mówią „pedały” na takich jak ja.

– I za utrzymanie i mieszkanie?

– Tak.

– To co, jak narzeczeństwo jeździliście? Może oskarżony opowie odnośnie tych wyjazdów na wczasy?

– No to rokrocznie w okresie letnim Jan Marchwicki wyjeżdżał na wczasy.

Nad morze. W 1967 byliśmy w Gdańsku.

Zabrał mnie ze sobą również w 1968, Świnoujście, Jurata. W 1969 do Bułgarii.

Zimową porą to była Krynica, Łądek, Zakopane.

– Kto finansował te wyjazdy?

– Jan Marchwicki.

– Zarówno nad polskie morze, jak...

– Tak.

Klimczak opowiada również o swojej narzeczonej. Zaszła w ciążę i wtedy Jan Marchwicki miał go namawiać, aby się dziewczyny pozbył. Na pytanie sędziego, co oznaczało stwierdzenie „pozbyć się”, Klimczak wyjaśnia, że miał na myśli, aby ją „uciszyć na zawsze, znaczy zamordować”. Miał to zrobić Henryk Marchwicki. Ale Klimczak nie zgodził się, bo wiedział, że to on się stanie głównym podejrzanym. Jan Marchwicki milczy, słuchając zeznań byłego kochanka, ale teraz nie wytrzymuje Henryk:

– prostytutko jedna! Znalazłeś se kozła ofiarnego!

– Oskarżony Henryk Marchwicki!

Ostrzegam was! Sąd dysponuje środkami, że uniemożliwi wam zakłócanie porządku rozprawy.

– Proszę mi nie mówić na ty, bo ja z panem nie spałem.

– Oskarżony Marchwicki Henryk!

Jeszcze raz uprzedzam!

Awantura kończy się ogłoszeniem kolejnej przerwy. Tego dnia Klimczak opowiedział o interesach, które prowadził Jan Marchwicki. Wielokrotnie jeździł z nim po całym Śląsku i odwiedzał księży, którym dostarczali nielegalne druki religijne. Przy okazji handlowali dolarami, świętymi obrazami i częściami samochodowymi, które Zdzisław Flak kradł z fabryki. Ale najważniejsza część jego zeznań dotyczyła przygotowań do morderstwa Jadwigi Kuci i jego przebiegu. Twierdził, że śledził ofiarę, jadąc taksówką, czarną wołgą.

W samochodzie mieli być także Jan i Henryk. Później przesiadł się do tramwaju i dalej obserwował kobietę. Na przystanku wskazał ją Henrykowi, a on Zdzisławowi. W samym morderstwie nie brał udziału ani nawet nie widział, jak do niego doszło.

Sędzia Ochman ze zniecierpliwieniem wydobywał z niego szczegóły tego wydarzenia.

Kilkugodzinne zeznania Klimczaka gazety skwitowały stwierdzeniem, że oskarżony Klimczak obciążył Zdzisława Marchwickiego i potwierdził jego winę.

Krótkie notatki podobnej treści ukazywały się w kolejnych dniach.

Najczęściej pisano o pokrętnych wyjaśnieniach i wzajemnym obciążaniu się współoskarżonych.

Prasa ogólnopolska milczała. Ani „Kurier Polski”, ani „Express Wieczorny”, dwa czołowe brukowce, nie zamieściły słowa o przebiegu pierwszych rozpraw.

W rzeczywistości na sali rozpraw rozpętało się piekło. Henryk, Jan, Halina Flak i Klimczak rzucali na siebie wzajem oskarżenia. Jan i Henryk bronili się, atakując Klimczaka. Jan przez trzy dni opowiadał o swoim życiu i odnosił się przy tym do zeznań Klimczaka. Sędzia kilkakrotnie zarządzał konfrontacje, próbując ustalić jedną wersję.

Bezskutecznie. Od czasu do czasu do kłótni włączała się Halina Flak. Przy okazji dostarczając publiczności rozrywki.

Na pytanie sędziego o to, co się stało z kolczykiem zrabowanym jednej z ofiar, który miała otrzymać od brata w prezencie, odpowiedziała: A szlag go trafił, Wysoki Sądzie, w końcu to tyle lat.

Tylko Zdzisław Marchwicki siedział jakby nieobecny.

Dopiero w październiku, na łamach tygodnika „Polityka”, ukazał się obszerny artykuł À propos wampira. Ale redaktor Wanda Falkowska, choć siedząc w pierwszym rzędzie, z uwagą śledziła każdą rozprawę, nie odniosła się w artykule do przebiegu procesu.

Podobnie jak Tadeusz Wielgołowski, nie potrzebowała wyroku, by stwierdzić, że Marchwicki jest Wampirem. Wyliczała dowody rzeczowe, scyzoryk znaleziony przy zwłokach jednej z ofiar, który miał być własnością Zdzisława Marchwickiego, chińskie pióro rozpoznane przez świadków jako „takie samo” jak to, które posiadała Jadwiga K.

Ponoć było kolejnym trofeum, które Marchwicki sprzedał z chęcią zysku.

Przypomniała zbrodnie, opisała długi pościg, współdziałanie ze strony społeczeństwa, które podeszło ze zrozumieniem do tak ważnej sprawy. I tak samo jak jej kolega z „Trybuny Robotniczej” dużo miejsca poświęciła opisaniu Kuby Rozpruwacza, Wampira z Düsseldorfu i Dusiciela z Bostonu.

Podkreślała również efekty współpracy z naukowcami, którzy spisali 485 cech stanowiących portret psychofizyczny sprawcy. W ten sposób prześcignięto nawet osiągnięcia amerykańskie**.

Tematem Wampira zajął się też tygodnik „Prawo i Życie”, publikując w jednym numerze aż dwa artykuły.

Niestety, i one nie przynosiły czytelnikom nic nowego.

PRZEZ CZTERY LATA przechowywałem obwieszczenie następującej treści: „Uchwałą Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Katowicach z dnia 9 XII 1968 r. przyznano nagrodę w wysokości jednego miliona złotych dla osoby, której informacje przyczynią się bezpośrednio lub pośrednio do wykrycia, działającego w rejonie Zagłębia Dąbrowskiego, mordercy kobiet”. Dziś ta pożółkła już, wielka płachta papieru ma wartość dokumentu. Na ławie oskarżonych zasiądzie człowiek podejrzany o zamordowanie czternastu kobiet i usiłowanie zabójstwa sześciu⁹.

Redaktor Janusz Wilk postanowił przypomnieć atmosferę czasu, gdy strach paraliżował mieszkańców Zagłębia.

I zrobił to doskonale. Po całej serii zabójstw zaczęły się rodzić plotki. Ludzie gadali w maglach i sklepach, że Wampir gwałci, a wcześniej dusi bądź tnie żyletką.

Jedni uważali, że napada blondynki, inni, że ofiarami są brunetki. Wreszcie, gdy wygrała wersja o blondynkach, te zaczęły się farbować. Początkowo strach wśród kobiet wywoływał dowcipy i kpiny ze strony mężczyzn. A nawet był sposobem na poderwanie dziewczyny. Propozycja odprowadzenia do domu spotykała się często z ufnym przyjęciem.

Odprowadzali dziewczęta do domu, bawili się w rycerzy. Co dowcipniejsi kupowali w prywatnych sklepikach, które natychmiast wyczuły kanikule [sic!], plastikowe „wampirowate” zęby, zakładali je – straszili dziewczyny. Bo przecież tak naprawdę to nie za bardzo wierzyli i młodzi, i starzy w pojawienie się „wampira”.

Wydawał się nieprawdopodobny. Ot, zwykłe babskie plotki.

Tymczasem Wampir nie próżnował.

Żarty się skończyły, gdy władze opublikowały oficjalne komunikaty, ulotki z rysopisem poszukiwanego, aż wreszcie wyznaczyły nagrodę miliona złotych.

Dopiero wtedy uwierzono w Wampira. Na ulicach Będzina, Sosnowca, Łagiszy, Czeladzi zaroilo się od milicjantów. Sprowadzono setki słuchaczy szkół milicyjnych. Patrole z psami, radiowozy. Urządzano nawet prowokacje: w teren wysyłano późną porą samotne kobiety, milicjantki.

Przestępca przez kilka lat wymykał się pościgowi. Schwymano go 6 stycznia 1972 roku, ale jak pisał redaktor Wilk, sukces ogłoszono dopiero w marcu 1974, bo śledczy

musieli mieć pewność, że złapali właściwą osobę.

Tekst Morderca wyłania się z mroku Marii Osiadacz był opowieścią o samym Wampirze. Autorka powoli budowała napięcie. Tak samo jak inni dziennikarze zaczęła od ofiar. Znanych już z wielu publikacji, ale uświadamiających, z jaką bezwzględnością postępował morderca.

Wreszcie uchyliła rąbka tajemnicy, wskazując, jak wśród setek tysięcy mężczyzn natrafiono na tego jednego.

Według jej relacji przełom w śledztwie nastąpił w styczniu 1970 roku. Po wyznaczeniu nagrody miliona złotych za informacje mogące naprowadzić na ślad Wampira milicja została zasypana doniesieniami. Każde z nich starannie sprawdzano. Jednocześnie śledczy wciąż przeszukiwali archiwa gazet i instytucji, do których często wpływały skargi od obywateli. Szukali mężczyzn mających uraz do kobiet. I tak natrafiono na list, który 25 marca 1965 roku wpłynął do Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Czeladzi.

Jego autor Zdzisław Marchwicki stracił mieszkanie po tym, jak jego żona wraz z przyjacielem wyjechała do Łęborka. Twierdził, że był przez nią maltretowany.

Po przeczytaniu listu natychmiast sprawdzono alibi Marchwickiego. Zresztą nie pierwszy raz. Okazało się, że przez niedopatrzenie posterunkowego pięć lat wcześniej uznano, że to Marchwicki pojechał z żoną do Łęborka. Wywiad środowiskowy potwierdził podejrzenia.

Zdzisław Marchwicki kilkakrotnie stawał przed sądem, a milicja często interweniowała w jego domu. Nie od razu go aresztowano. Zbierano dowody, obserwowano i powoli zacieśniano pętlę wokół mordercy.

* Katowickie Przedsiębiorstwo Robót Budowlanych.

** Dalszy fragment reportażu łądząco przypomina wspomniany już artykuł opublikowany wcześniej w milicyjnym tygodniku „W Służbie Narodu”.

8 Wanda Falkowska, À propos wampira, „Polityka” z 26 października 1974 roku.

9 Janusz Wilk, Koniec wielkiej obławy. Proces wampira z Zagłębia, „Prawo i Życie” z 20 października 1974 roku.

POWIEŚĆ GO

Kilku panów, stojących nieopodal, jest zwolennikami radykalnego rozwiązania sprawy. „Ile to będzie trwało – komentują. – Opowiadają nam o cioci, o babci, o trudnym dzieciństwie. Panie, kto z naszego pokolenia miał łatwe dzieciństwo? A ludzi nie mordujemy.

Po co się z takimi p..., powiesić i już.

On teraz mówi, że żony nie bił, że taki dobry, a pamięta pan...” [10](#).

W czwartek 21 listopada 1974 roku Wampir w końcu przemówił. Publiczność czekała na ten moment od dnia rozpoczęcia procesu.

– Czy oskarżony Zdzisław Marchwicki zna zarzuty?

– Znam.

– Czy oskarżony przyznaje się, iż w dniu 7 listopada 1964 roku, działając w zamiarze pozbawienia życia Anny Mycek i zaspokojenia popędu seksualnego, dokonał jej zabójstwa?

– Nie, nie przyznaję się – odpowiada spokojnie. Na jego twarzy nie widać zdenerwowania.

Sędzia Ochman odczytuje dalej.

– Czy oskarżony przyznaje się, iż w dniu 17 marca 1965 roku w Będzinie, działając z tych samych pobudek, dokonał zabójstwa Lidii Nowackiej?

– Nie.

– Czy oskarżony przyznaje się, iż w dniu 14 marca 1965 roku usiłował pozbawić życia Irenę Szymańską?

– Nie!

Marchwicki zaprzecza łącznie dwadzieścia jeden razy. Przyznaje się tylko do kradzieży złomu i materiałów budowlanych z kopalni „Siemianowice”.

Potwierdza też, że znieważył milicjantów wezwanych przez jego żonę. Choć w tym przypadku sam nie jest pewny.

– Coś tam powiedziałem, ale żeby zniewaga?

Oświadcza, że odmówił przyjęcia aktu oskarżenia, bo czuje się niewinny.

– Ale oskarżony przyznał się w trakcie śledztwa – przypomina Ochman.

– Postąpiłem trochę brawurowo w Warszawie, przez co narobiłem bałaganu, przyznaję. Jednakże na drugi dzień wszystkiemu zaprzeczyłem. To nie była prawda.

– Nie była prawda?

– Nie.

– Ale potem oskarżony przyznał się ponownie.

– Za protokoły bodajże z 9 czy 10 maja ponoszę winę wyłącznie ja.

Natomiast za protokoły pozostałe, półtora roku później, kiedy mi kazano powtarzać, nie ponoszę żadnej odpowiedzialności, gdyż pisane były nie z mojej inicjatywy.

– Nie z inicjatywy oskarżonego?

– Tak, mam pretensje do oficerów dochodzeniowych, że w niektórych przypadkach dopisywali co innego, niż wyjaśniałem.

– Ale oskarżony czytał protokoły i je podpisywał.

– Wysoki Sądzie, ja czytam słabo.

A tyle kartek, aby przeczytać, to bym musiał jeszcze oczy wymienić. Ja mam oczopląs.

– To niech oskarżony opowie, jak było, własnymi słowami.

– Nie wiem, od czego zacząć. Bo czego się dotknąć, to kłamstwo.

– Niech oskarżony opowie prawdę.

Marchwicki wyjaśnia, że zna szczegóły zabójstw, bo wszyscy o nich mówili: w pracy, na ulicy i w domu.

O morderstwie Jadwigi Kuci informowano w telewizji. Komunikat nadano w przerwie transmisji meczu piłkarskiego. O kilku morderstwach słyszał od innych.

Najwięcej o siostrzenicy Gierka, którą zamordowano w Sosnowcu. O pozostałych dowiedział się dopiero podczas przesłuchań, bo opowiedzieli mu śledczy. Sporo mówi też o swoim życiu.

Wśród rodzeństwa Marchwickich najstarsza była Halina. Potem urodził się on, Zdzisław. Matka zmarła kilka dni po urodzeniu Jana, oddano go na wychowanie do dalszej rodziny. Zdzisław i Halina zostali z ojcem, Józefem. Jako górnik, nieźle zarabiał i szybko znalazł sobie nową żonę. Macocha dobrze się obchodziła z dziećmi. Urodziła Józefowi kolejnego syna, Henryka.

Potem wybuchła wojna. Halinę wywieziono na roboty do Niemiec.

Gdy Zdzisław miał piętnaście lat, również trafił na roboty, do gospodarstwa rolnego. Uciekł, bo był źle traktowany.

Wrócił do domu, kilka dni później jednak zjawiono się gestapo. Nie zabrało go ze względu na zapalenie płuc.

Gdy wyzdrowiał, sam się zgłosił. Pobity przez żandarma nazwiskiem Krauze, znów został wywieziony na roboty, ale tym razem miał więcej szczęścia: warunki były o wiele lepsze. Pod koniec wojny wzięto go do prac przy okopach.

Po wyzwoleniu rodzeństwo szczęśliwie powróciło do domu. Jan nie mieszkał już u wujostwa. Jeszcze w czasie wojny zaopiekował się nim jakiś ksiądz.

Narzeczony siostry wciągnął Zdzisława do handlu. Handlowano, czym się dało: wódką, zegarkami, złotem, obuwem, a nawet dolarami. Za ten nielegalny proceder Zdzisław kilka razy został zatrzymany przez milicję. Wychodził po dwóch dniach, zawsze miał szczęście.

W 1946 roku skierowano go do szkoły górniczej, od razu do drugiej klasy. Ponieważ po dwóch latach nauki nie zdał egzaminu na tokarza, wysłano go do kopalni. Gdy zmarła macocha, ojciec ożenił się po raz trzeci. Małżeństwo nie było już tak udane. Nowa macocha dawała odczuć przybranym dzieciom, że ich nie lubi. Zdzisław i

Henryk musieli spać w wilgotnej kuchni, podczas gdy na piętrze domu stały wolne pokoje. Halina też nie miała łatwego życia. Wyjechała z narzeczonym do Warszawy. Po dwóch miesiącach wróciła, sama. W końcu wyszła za męża za Czesława Flaka i wyprowadziła się z domu. Wkrótce zamieszkał u niej Zdzisław, a Henryk – w internacie szkoły hutniczej.

Tam też Henryk poznał sprzątaczkę Florentynę K. Zaprosiła go do domu i przedstawiła swoją córkę (na potrzeby tej książki nazywaną dalej Żoną). W 1950 roku młodzi wzięli ślub. Wkrótce na świat przysła córka A. Między Henrykiem a Żoną często dochodziło do awantur. Po jakimś czasie Henryk odszedł od niej i zamieszkał u ojca. Żona przychodziła, obiecywała, że będzie lepiej, namawiała do powrotu. W końcu uległ, ale po śmierci dwuletniej A. znów się rozstali.

Wtedy Henryk trafił do więzienia, a Żona straciła mieszkanie. Zjawiła się w domu teścia, Józefa Marchwickiego, i błagała, by ją przygarnął na kilka dni. Po dwóch miesiącach Józef kazał się jej wynosić.

Rok później, latem 1954 roku, Halina spotkała na ulicy Żonę z malutkim dzieckiem. Powiedziała, że to syn Zdzisława, B. Zdzisław zeznał, że ta wiadomość go zaskoczyła, bo z Żoną odbył tylko jeden stosunek, ale za namową siostry poszedł zobaczyć dziecko. Jak stwierdził, było do niego podobne. Zaproponował kobiecie, by razem zamieszkali. Miała się rozwieść z Henrykiem, a potem poślubić jego.

Zdzisław załatwił sobie przeniesienie do kopalni w Siemianowicach. W tym czasie zmarła trzecia żona Józefa, który wkrótce ponownie się ożenił. I ten związek jednak nie przetrwał długo: po szybkim rozwodzie Józef Marchwicki ożenił się po raz piąty. To już jednak nie obchodziło Zdzisława, który miał własne kłopoty.

Na wiosnę 1955 r. otrzymałem z kopalni mieszkanie w Piekarach Śl. [...] Żona mieszkała tam około 1 miesiąca czasu, po czym bez mojej wiedzy zamieniła mieszkanie.

Po zamianie mieszkania zamieszkała w Brzezinach Śląskich przy ul. Armii Czerwonej, gdzie mieszkała zaledwie tydzień czasu. Mieszkanie zamieniła z pracownikiem kombinatu „Orzeł Biały”. Kopalnia, w której pracuję, nie wyraziła zgody na zamianę mieszkania i w tej sytuacji pracownik Kombinatu powrócił do Brzezin. Nasze mieszkanie w Piekarach Śl. zostało przydzielone pracownikowi kop. „Siemianowice”, a ja w zamian za to otrzymałem mieszkanie w Czeladzi na Osiedlu. Tam zamieszkivaliśmy około 1 roku czasu na przełomie lat 1955/1956. Latem 1956 r. żona [tu imię – przyp. P.S.] bez mojej wiedzy zamieniła mieszkanie w Czeladzi na mieszkanie w Siemianowicach. Tutaj w lipcu 1956 r. urodził się mój drugi syn C. [...] W roku 1957 [imię Żony] ponownie zamieniła mieszkanie, zamieszkaliśmy tym razem w Siemianowicach— Bańgowie przy ul. Szkolnej, w drewnianym baraku. Po kilku miesiącach znów zmieniła mieszkanie na tej samej ulicy, wyprowadziliśmy się z baraku drewnianego do murowanego.

Było to w roku 1957. Dopiero tutaj latem 1957 r. zawarłem związek małżeński.

Wzięliśmy ślub cywilny i kościelny. W dniu 17 stycznia 1958 r. w Siemianowicach żona urodziła córkę D. [...] Pracując w kopalni, przepisała mieszkanie na swoje nazwisko, o czym ja dowiedziałem się dopiero po kilku latach.

W roku 1959 zamieniła mieszkanie ponownie i tym razem przeprowadziliśmy się do Czeladzi na ul. Tuwima. Mieszkanie zamieniła z M.; imienia nie pamiętam. Przy ul. Tuwima w tym mieszkaniu zamieszkiwaliśmy przez okres 2–3 lat, gdzieś do roku 1962.

Kolejna zmiana miejsca zamieszkania następuje w końcu 1962 lub na początku 1963 roku.

Przeprowadzamy się do Czeladzi na ul. Milowicką.

Marchwicki zeznaje, że jego żona zamieniała mieszkania za każdym razem bez jego zgody, a często i wiedzy.

Dwukrotnie dowiedział się o zamianie od obcych ludzi, których zastał w swoim domu po powrocie z pracy. [...] Poinformowali mnie, że ja tu już nie mieszkam, bowiem żona zamieniła mieszkanie i dopiero oni powiedzieli mi adres mego nowego mieszkania.

Powodem zmiany mieszkania były zawsze nieporozumienia sąsiedzkie, awantury, kłótnie i bójki wywoływane wyłącznie przez moją żonę [...]. W lipcu 1962 r., gdy mieszkaliśmy już na ul. Milowickiej, żona urodziła 4. nasze dziecko – syna E. [...]. Od roku 1961 żona zaczęła się prowadzić niemoralnie, utrzymywała liczne kontakty z obcymi mężczyznami, a to: Józefem K. – kuratorem z opieki społecznej, [...] Janem B. zam. Czeladź, J.B. zam. w Będzinie. [...] Od czasu gdy żona zaczęła prowadzić się niemoralnie, kilkakrotnie odchodziłem od niej i w tym czasie przebywałem u ojca lub u siostry Haliny w Dąbrowie Górniczej. Takie odejścia zawsze poprzedzane były kłótniami, awanturami, i rękoczynami, których żona dopuszczała się wobec mnie za to, że zwracałem jej uwagę na niewłaściwy tryb życia, po takich wypadkach, po upływie kilku dni żona przyjeżdżała do mnie do Dąbrowy, przeproszała mnie, obiecywała solenną poprawę i prosiła mnie, abym powrócił do domu. Ja zawsze mając na uwadze dobro dzieci, powracałem do niej i do domu.

W 1963 roku Henryk Marchwicki otrzymał kolejny wyrok, a Zdzisław poszedł odprowadzić brata do więzienia.

Przy bramie wybuchła awantura, gdy druga żona Henryka próbowała dać mu na pożegnanie wódkę. Milicjanci nie chcieli się zgodzić, a wtedy podpity Zdzisław zaczął im ubliżać. Dostał za to trzy miesiące. Karę odsiadywał od czerwca 1964 roku w ośrodku pracy więźniów w Wojkowicach Komornych.

Pracował jako murarz na budowie agronomówki w Łośniu.

Żona odwiedzała Zdzisława w każdą niedzielę w więzieniu, a co kilka dni przyjeżdżała na budowę. Za którymś razem Zdzisław przedstawił ją majstrowi J.B.

Był to koniec dniówki, więc J.B.

zapropozował żonie wspólny powrót autobusem PKS do domu. Żona na to przystała i razem odjechali. Od tego czasu żona mnie już nie odwiedzała, a J.B.

przestał przychodzić do pracy.

Było to na miesiąc przed moim zwolnieniem z więzienia. Po upływie tygodnia czasu od odwiedzin żony na budowę do Łośnia przyjechała żona J.B., która wypytywała się o mnie.

Przedstawiłem się jej i ona mi powiedziała, że jej mąż J.B. przebywa u mojej żony. Pytała się mnie, czy wiem coś na ten temat. [...]

Po wyjściu z więzienia Zdzisław wrócił do domu. Zastał tam tylko Żonę z dziećmi, ale oświadczył jej, że wie o J.B. Następnego dnia odwiedziła ich matka Żony Florentyna K. Robiła córce wymówki, że sprowadziła do domu kochanka, i zaczęła się awantura. Kobieta wyrzuciła matkę z domu, a w Zdzisława cisnęła wiadrem, rozbijając mu głowę.

Ten spakował swoje rzeczy i wyprowadził się do siostry. Kilka dni później dowiedział się, że Żona próbuje zamienić mieszkanie.

Do Czeladzi pojechał dopiero po trzech miesiącach.

Od nowych lokatorów usłyszał, że Żona z dziećmi i J.B. mieszka w Lęborku. Ani Florentyna, ani jej mąż Jan nie mieli o tym pojęcia. Wtedy Zdzisław wysłał pismo do Rady Narodowej w Czeladzi, prosząc o przydział mieszkania.

Po wyjeździe Żony do Lęborka Zdzisław poznał pewną kobietę. Miała na imię Helena i pracowała w magazynie sklepu spożywczego. Zabrał ją do rodziców Żony i powiedział, że po rozwodzie z ich córką chce się z nią ożenić. Nie protestowali, postawili na stole wódkę i coś do jedzenia. Zdzisław nie miał gdzie zamieszkać z Heleną.

Kopalnia i Wydział Spraw Lokalowych odmówiły, zapisał się więc do spółdzielni, ale tam szansa na własny kąt miała nadejść dopiero w 1970 roku. Znajomość nie przetrwała takiej próby czasu.

W lutym 1966 roku poznał Zuzannę, wdowę z trójką dzieci. Przychodził do niej w gości, czasem gdzieś razem wychodzili, nie nocował, ale kilka razy doszło do zbliżenia. Latem dowiedział się od teściów, że pomiędzy J.B. i Żonę często wybuchają awantury. Postanowił odzyskać żonę. Pojechał do Lęborka.

Przyjęto go grzecznie, bez przytyków.

Zabrał dzieci na spacer, kupił im prezenty.

Po powrocie ze spaceru poczęstowano go obiadem.

Chcąc się zrewanżować, postawił pół litra wódki – drugie pół postawił J.B.

Wieczorem Zdzisław chciał iść do hotelu, ale J.B. zaproponował, by został na noc u nich, i kazał Żonie przygotować kolację.

Wczesną wiosną 1967 roku w hotelu robotniczym, w którym mieszkał Marchwicki, zjawiała się jego córka D.

Uciekła od matki i od kilku dni mieszkała u dziadków K. Babcia wysłała ją do ojca, bo nie miała pieniędzy na utrzymanie wnuczki. Zdzisław z kolei dał jej pieniądze i kilka dni później odesłał do matki, do Lęborka.

Po miesiącu przyjechał syn C. Przez jakiś czas mieszkał u Haliny Flak, a potem ze Zdzisławem w hotelu robotniczym. Do szkoły nie chodził, przez co stracił rok nauki. Zdzisław tymczasem regularnie pisywał listy do Żony, mając nadzieję, że wróci. Nie przeszkadzało mu, że urodziła J.B. dwójkę dzieci.

Żona nieoczekiwanie pojawiła się w sierpniu tego roku w hotelu robotniczym. Oświadczyła, że nie jest już z J.B. Miała kłopoty. W Lęborku toczyły się przeciw niej sprawy sądowe za bójki z sąsiadami i pobicie interweniujących milicjantów. Nie była w stanie zajmować się dziećmi. Dwójkę najmłodszych, córkę F. i syna G., zostawiła u matki.

Prosiła mnie, abym jej wszystko przebaczył, zezwolił na powrót.

Obiecywała solenną poprawę. Na prośbę żony odpowiedziałem, że się nad tym zastanowię. Na drugi dzień żona przyszła ponownie do mnie i powiedziała, że jej matka wyrzuciła ją razem z dziećmi z domu. Za moją wiedzą żona umieściła wszystkie dzieci w domu dziecka, z wyjątkiem [syna] G.

G. został u dziadków, a Żona wróciła do Lęborka, gdzie miała zlikwidować mieszkanie i uporać się ze swoimi problemami.

Pozostałe dzieci, sześcioro, jeszcze przez jakiś czas przebywały w domu dziecka. W marcu 1968 roku urodziło się kolejne, córka H. Żona utrzymywała, że zaszła w ciążę, gdy w sierpniu poprzedniego roku odwiedziła męża w hotelu. Zdzisław uznał dziecko i wystarał się w kopalni o lokum.

Dziennikarze pisali o nim „własny dom”.

W rzeczywistości był to parterowy barak, dwie izby i kuchenka, w oknach kraty, na podwórzu błoto i śmieci; wokół podobne nędzne baraki.

Prawdziwe oblicze robotniczego Śląska. Zupełnie inne niż to opisywane w gazetach i pokazywane w Dzienniku telewizyjnym. Żona szybko zapomniała o obietnicach, a burdy stały się na nowo codziennością. W efekcie Zdzisław już po kilku tygodniach mieszkał u siostry.

W listopadzie 1971 roku podczas awantury interweniowała milicja. Kobieta powiedziała, że została pobita przez męża, choć to Zdzisław miał rozciętą głowę i twarz zalaną krwią. Wcześniej trochę wypił, zaczął się kłócić z milicjantami.

Miał im powiedzieć parę nieprzyjaznych zdań, ale nie pamiętał później co dokładnie.

Został zatrzymany, nie postawiono mu jednak zarzutów i na drugi dzień zwolniono z aresztu. Wrócił do domu, zabrał swoje rzeczy i wyniósł się do siostry na dobre.

Gdy udał się do pracy 6 stycznia 1972 roku, podeszło do niego dwóch milicjantów po cywilnemu. Nie był zaskoczony, bo złom i materiały budowlane kradł od dawna. Dopiero gdy wsadzano go do radiowozu, zauważył, że cały plac jest obstawiony.

– Po mnie? Tylu ludzi?

Zeznania Zdzisława Marchwickiego wprowadzają wyraźny niepokój na sali sądowej. Niektórzy widzowie wydają się mu współczuć. Nie wygląda na potwora.

Wręcz przeciwnie: raczej na ofiarę.

– Powiesić go! – krzyczą inni.

Atmosfera jest bardzo napięta, dowódca konwoju wnioskuje o wydanie obstarwie broni długiej. Kierownictwo odmawia, milicjantom muszą wystarczyć pistolety. Nie ma co prowokować ludzi.

Tymczasem prasa dbała, by czytelnicy nie mieli wątpliwości.

Dowodziła, że Marchwicki to cyniczny morderca, który za wszelką cenę usiłuje uniknąć odpowiedzialności.

„Wieczór” informował, że Marchwicki próbował zataić przed sądem wcześniejsze wyroki¹¹, choć podobnie jak zatrzymania, wszystkie skrupulatnie wyliczono w akcie oskarżenia. Tygodnik „W Służbie Narodu” poszedł jeszcze dalej. Autor artykułu pisał, że przeciw Marchwickiemu prowadzono postępowanie w sprawie nieumyślnego spowodowania śmierci. 16 stycznia 1958 roku, będąc sztygarem w kopalni, nakazał Tadeuszowi L. wybranie węgla spod nawisu skalnego. Strop się oberwał i górnik zginął. Dochodzenie prowadzone przez Wyższy Urząd Górniczy wykazało, że był to nieszczęśliwy wypadek. Po kilkunastu latach zostało wznowione.

Ponownie przesłuchano świadków zdarzenia. Tym razem ich zeznania wykazały winę Marchwickiego, choć ta zbrodnia miała jednak pozostać bez kary, bo sprawa uległa przedawnieniu.

Nie były to jedyne informacje, w których tygodnik „W Służbie Narodu”¹² bardzo jednoznacznie opisywał postać głównego oskarżonego.

Często wracał do domu pod wpływem alkoholu i w obecności dzieci dopuszczał się aktów ekshibicjonizmu lub odbywał z żoną perwersyjne stosunki seksualne, zwłaszcza wtedy gdy w związku z ciężką chorobą traciła ona przytomność. Nie było to niestety jego jedyne zboczenie seksualne. Miał on także inklinacje do zaspokajania popędu płciowego w obcowaniu fizycznym ze zwierzętami.

Temu zboczeniu towarzyszyła jego nieśmiałość do kobiet. Jednocześnie w rozmowach ze znajomymi Zdzisław Marchwicki zwierzał się, że gdyby tylko mógł, mordowałby wszystkie kobiety.

Mówiąc o własnej żonie, raz deklarował miłość i niezwykle pożądanie, innym razem – nienawiść.

Zamieszczone w artykule informacje pochodziły z aktu oskarżenia i akt śledztwa, do których dziennikarze mieli nieograniczony dostęp.

Cytowali fragmenty przesłuchań Żony Marchwickiego, choć przed sądem miała zeznawać dopiero ponad miesiąc później.

¹⁰ Elżbieta Cierlica, Jarosław Rulski, Notatki z procesu, „W Służbie Narodu” z 23 marca 1975 roku.

¹¹ Z. Marchwicki odpowiadał na pytania sądu, „Wieczór” z 28 listopada 1974 roku. Brak autora tekstu. Co ciekawe, większość artykułów z cytowanych gazet nie była podpisana.

¹² Elżbieta Cierlica, Jarosław Rulski, Rodzina monstrum, „W Służbie Narodu” z 1 grudnia 1974 roku, Dwie twarze wampira, „W Służbie Narodu” z 8 grudnia 1974 roku.

MODELKA DLA DIABŁA

Uważałem więcej, że jego żona była winna, i nigdy nie przypuszczałem, że on może się dopuścić takich rzeczy, jakie czytałem w prasie i słyszę od ludzi. [...] Żona Zdzisława Marchwickiego była agresywna i jest w dalszym ciągu agresywna zarówno do sąsiadów, jak i do męża. [...] lubiła sobie dobrze pojeść i sama jadła dobre rzeczy, a oskarżonemu dawała gorsze jedzenie, raz widziałem, jak podawała mu na obiad ziemniaki i kwaśne mleko, i powiedziała przy tym, że jak mu się jedzenie nie podoba, to niech sobie szuka lepszego¹³.

Żona Marchwickiego staje przed sądem pod koniec stycznia. Jej zeznania są tak chaotyczne, że trudno cokolwiek zrozumieć. Gdy zaczyna zdanie, mówi o Henryku, gdy je kończy – już o Zdzisławie. Przeskakuje przy tym w czasie o kilka, a nawet kilkanaście lat.

W dodatku mówi śląską gwara. Mimo sprzeczności sędzieja Ochman nie przerywa. Jej zeznania zajmują cztery dni.

W wersji Żony Marchwickiego jej pierwszy mąż Henryk był alkoholikiem, awanturnikiem i wielokrotnym przestępcą. Po ślubie przyłapała go w łóżku z własną matką. Obwiniła go za śmierć ich córki A., rzekomo pobitej podczas rodzinnej awantury. Dziecko zmarło dwa tygodnie później, a lekarze mieli jako przyczynę zgonu wpisać zapalenie opon mózgowych, by rzekomo uniknąć kłopotów. Gdy Henryk odbywał karę więzienia, Zdzisław miał ją zgwałcić.

Zaszła w ciążę, więc dla dobra dziecka związała się z oprawcą. Zdzisław, podobnie jak brat, miał nadużywać alkoholu, awanturować się, znęcać nad nią i nad dziećmi. Po kilku latach miała dość. Uciekła z przyjacielem J.B. do Lęborka. Sędzia nie dopytuje o szczegóły tej przyjaźni.

Do rozpadu związku z J.B. miał doprowadzić Zdzisław. Pisał donosy do sądu i innych instytucji, oczerniając ją i winiąc za rozpad rodziny. Doniósł, że kradnie mięso ze spółdzielni, w której pracowała. J.B. w obawie, że zostanie skazana, uciekł, zabierając dwójkę swoich dzieci. Żona ledwie wspomina, że sąd odebrał jej prawa rodzicielskie, a wszystkie dzieci umieścił w domu dziecka. Gdy wróciła do Zdzisława, przez krótki czas wszystko dobrze szło. Później znowu zaczął pić, bił ją i gwałcił, tak jak wcześniej, zanim od niego uciekła.

Celowo miał doprowadzać do awantur, podczas których dostawała ataku padaczki, a gdy traciła przytomność, gwałcił ją w obecności dzieci.

O tym, że Zdzisław zamordował Annę Mycek, miała się dowiedzieć przypadkiem, gdy w 1967 roku przyjechała z wizytą do rodziców. Byli tam także Zdzisław i Henryk Marchwiccy.

Pili wódkę z jej ojcem Janem K.

W pewnym momencie doszło do kłótni i ojciec uciszył Zdzisława, strasząc, że

jeszcze wyjdzie na jaw, kto zabił Myckową. Żona spytała o to matkę, a ta miała potwierdzić, że zamordował ją Zdzisław.

Marchwicka zeznaje, że jej mąż często wracał do domu, mając ślady krwi na ubraniu i zadrapania na twarzy. Od dzieci dowiedziała się, że po wizycie milicji spalił buty gumowe i damską torebkę z dokumentami. „Wieczór”, relacja z czwartego dnia wyjaśnięn: Podała ona dalsze szczegóły świadczące o łamaniu dyscypliny przez Z.

Marchwickiego i urządzaniu pijaństw w godzinach, w których powinien był znajdować się w zakładzie pracy. Obydwa swoje małżeństwa z braćmi Henrykiem i Zdzisławem Marchwickimi oceniła równie negatywnie. Ze Zdzisławem żyła dłużej, wyłącznie dla dobra dzieci. Oskarżeni usiłowali podważyć wiarygodność wyjaśnięn [tu imię i nazwisko Żony], przedstawić ją w jak najgorszym świetle [...] ¹⁴.

Relacja „Wieczoru” odnosi się do zachowania Haliny Flak, która kilkakrotnie zakłóca rozprawę, krzycząc: Ja tę kurwę zabiję. Sędzia nie przerywa rozprawy, upomina tylko oskarżoną.

Zdzisław Marchwicki raz wyraża sprzeciw, regulaminowo prosząc o głos, i mówi: Żona od dnia wczorajszego kłamie.

Kobieta w odpowiedzi oświadcza, że gdyby była w pełnym zdrowiu, mogłaby się bronić. A tak stała się ofiarą sadysty. Ale tego nie napisano w gazecie.

Niektórzy świadkowie twierdzą, że to ona była osobą konfliktową. Nikt nie śmiał wchodzić jej w drogę, bo zwykle nie kończyło się na wyzwiskach, lecz na rękoczynach.

Świadek Paweł J. opowiada, że gdy Zdzisław siedział w więzieniu, Żona sprowadziła do domu kochanka.

W latach sześćdziesiątych Marchwiccy żyli ze sobą gorzej niż źle, a żona Marchwickiego [tu imię] mogłaby być za modelkę dla diabła, miała ona taki perfidny charakter. [...] strasznie kłamała i chwaliła się, że jest w stanie zmusić męża do wszystkiego [...] ¹⁵. Dodaje, że gdyby Zdzisław rzeczywiście był Wampirem, to powinien był zacząć od swojej żony. Tyle że jego zeznania sąd uznaje za stronnicze, bo przez nią miał sprawę o pobicie milicjanta.

Podczas konfrontacji w Komendzie Wojewódzkiej zdenerwował się i chciał uderzyć Żonę Marchwickiego, ale ta schyliła się i Paweł J. wybił dwa zęby milicjantowi.

Jednym z zarzutów postawionych Zdzisławowi jest znęcanie się nad żoną i dziećmi. Koronnym dowodem ma być awantura z listopada 1971 roku. Ale zeznania świadków podważają przebieg wydarzeń zapisany w milicyjnych protokołach. Marcjanna S. twierdzi, że jej wcześniejsze zeznania, które odczytano na sali sądowej, są kłamstwem. Nie mówiła tego, co zapisano w protokole. Sędzia Ochman pyta jednak dalej, twierdząc, że świadek przeczytała i podpisała protokół.

Okazuje się, że Marcjanna S. jest analfabatką. [...] To jest nieprawda, co tam jest napisane. Owszem, była raz milicja i pogotowie, ale kto ją pobił, nie wiem, bo nie było mnie wtedy w domu Marchwickich, prawdopodobnie jakiś sąsiad ją miał pobić i

zostawił ją pobitą na podłodze. Przyszła po mnie córka Marchwickich i ja poszłam tam z sąsiadką, podnieśliśmy ją na łóżko, po czym zabrało ją pogotowie. Nie mogłam tego zeznawać, jak tego nie było¹⁶.

Wątpliwe okazują się zeznania Bronisława P., etatowego członka rady zakładowej, który przyszedł sprawdzić warunki socjalne rodziny Marchwickich, oraz lekarki, która leczyła Żonę. Oboje potwierdzają, że Zdzisław znęcał się nad nią i dziećmi. Znają nawet szczegóły wymyślnych orgii seksualnych, do których zmuszał żonę. Tyle że oboje usłyszeli o nich od niej, bo chętnie wszystkim opowiadała, że jest ofiarą sadysty.

Tymczasem prasa publikuje wyłącznie doniesienia potwierdzające winę Zdzisława Marchwickiego, a jego żonę przedstawia jako ofiarę przemocy. „Wieczór” o zeznaniach świadków: Potwierdzili oni m.in., że wiedzieli o jego złym pożyciu z żoną, słyszeli wyrażane przez niego negatywne opinie o kobietach i rozmowy, w czasie których nawiązywał do popełnionych zabójstw kobiet, przy czym podawał takie szczegóły zbrodni – m.in. używanie przez zabójcę łomu żelaznego, o jakich prasa nie informowała. Szczególnie obciążające zeznania złożyli Norbert W., Józef Z. i Eleonora K., której Zdzisław Marchwicki się odgrażał¹⁷.

Przed sądem zeznają też dwie partnerki Zdzisława, z którymi żył po odejściu żony. Te rozprawy zostają utajnione, bo dotyczą spraw intymnych.

Opinia publiczna nie dowiaduje się zatem, że obie kobiety opisują Zdzisława jako spokojnego człowieka. Obie twierdzą, że w sferze seksualnej nie dochodziło do żadnych perwersji ani przemocy. Wręcz przeciwnie, Zdzisław był delikatny i czuły.

Tymczasem „W Służbie Narodu” donosi: Za znęcanie się nad dziećmi Zdzisław Marchwicki został pozbawiony praw rodzicielskich. Żona jego – jak wynika z zeznań złożonych w toku śledztwa i przed sądem – od chwili powrotu bała się go. Coraz częściej zaspokajał popęd seksualny w sposób wywołujący jej lęk. Czasami zdarzało się to w chwili, gdy miała atak padaczki, innym razem w okresie menstruacji. I to najprawdopodobniej wywołało jeszcze większą agresję oskarżonego wobec żony i dzieci. Ale o tych sprawach Zdzisław Marchwicki mówił niechętnie.

– Człowiek przepracowany – stwierdził – nie myśli o kobiecie. Gdy przebywał w areszcie śledczym, zakomunikowano mu, że został ojcem ósmego dziecka.

Skwitował to stwierdzeniem:

– A to k...

Na rozprawie powiedział już całkiem taktownie:

– Jestem pewien, że czworo dzieci jest moich. Co do pozostałej czwórki – najlepiej wie żona. Cóż, rogaczy nie brak. Mąż zazwyczaj dowiaduje się o wszystkim ostatni...¹⁸.

¹³ Sprawa IV K/157/74, protokół rozprawy z dnia 30 stycznia 1975 roku, karta 24539- 24553.

¹⁴ Obciążające zeznania żony Z. Marchwickiego, „Wieczór” z 30 stycznia 1975 roku.

¹⁵ Sprawa IV.K.157/74, protokół rozprawy z dnia 30 stycznia 1975 roku, karta 245539-24553.

¹⁶ Sprawa IV.K.157/74, protokół rozprawy z dnia 18 marca 1975 roku, karta 24912-24925.

[17 Obciążające zeznania żony Z. Marchwickiego, „Wieczór” z 30 stycznia 1975.](#)

[18 Elżbieta Cierlica, Jarosław Rulski, Notatki z procesu, „W Służbie Narodu” z 23 marca 1975 roku.](#)

W TEJ SPRAWIE NIE MAM NIC DO POWIEDZENIA

[...] Jak dowiedziałem się, że Zdzisław jest „wampirem”, byłem bardzo zdziwiony. Dałbym głowę za niego, znając jego zachowanie się w pracy. [...] Zdzisław Marchwicki nocował kiedyś u mnie w pokoju hotelowym, a następnego dnia około godziny 10:00 przyszła do niego do pracy żona i wyskoczyła na niego jak tygrys „ty skurwysynu, gdzie byłeś”. Próbowałem wyjaśnić Marchwickiej, że oskarżony był u mnie i z uwagi na późną porę zanocował, ale nie pomogło. Następnie oskarżony dał żonie pieniądze, które zarobił na akcji ziemniaczanej, ale ona powiedziała „pierdołę twoje pieniądze” [...] mówił, że już nie może z nią wytrzymać¹⁹.

Zdzisław Marchwicki przedstawia alibi: znał szczegóły zabójstw, bo opowiadali mu o nich milicjanci. Protokołów nie czytał, a jego słowa pozmieniano.

Prokurator Gurgul jest jednak doskonale przygotowany. Na każdy jego argument przedstawia zeznania świadków albo dowody rzeczowe. Robi to z taką wprawą, że słuchając odpowiedzi oskarżonego, publiczność wybucha śmiechem.

Wreszcie Marchwicki – słuchając odczytywanych zeznań żony – krzyczy, by dano mu spokój. Ma dość wysłuchiwania okropności. Woli przyjść na koniec, by usłyszeć wyrok. Jest przekonany, że nawet jego obrońcy nie są po jego stronie.

Pan, żeby mógł, to by mi nogę podstawiał. Dziękuję za taką obronę i pan mecenas nie jest mi już potrzebny – rzuca zdenerwowany do swojego adwokata²⁰. (Dziennikarze przedstawiają własną interpretację tej sceny: Oskarżony do tego stopnia zagubił się w odpowiedziach, że zdenerwowany i podniesionym głosem odmówił w końcu dalszego ich udzielania, twierdząc, że obrońca jest mu niepotrzebny)²¹.

Przed sądem zeznaje kilku kolegów Zdzisława – tych, z którymi dokonywał kradzieży. Choć to on ich wydał, wszyscy zeznają na jego korzyść. Norbert W., z którym kradł materiały budowlane, mówi: Nic złego nie mogę o nim powiedzieć, był [...] dobrym człowiekiem²². Przełożony Zdzisława Józef D. też nie ma mu nic do zarzucenia: Był [...] dobrym pracownikiem i ja nie miałem z nim żadnych kłopotów ani nieporozumień [...] był bardzo pracowitym człowiekiem, czasem nawet sam wykonywał pracę za 2 osoby²³.

Przy okazji wyklucza, jakoby Zdzisław Marchwicki kiedykolwiek opuszczał dniówki.

Kompromitujące dla milicji i prokuratury są też zeznania górnika Józefa Z., który przez jakiś czas mieszkał ze Zdzisławem w jednym pokoju w hotelu robotniczym. Świadek twierdzi, że na przesłuchanie zawieziono go po nocnej zmianie: był niewyspany, zmęczony i marzył tylko o tym, by iść do domu. W takich warunkach śledczy naciskali na zeznania przeciwko Zdzisławowi: [...] nie podtrzymuję fragmentu [odczytanych zeznań – przyp. P.S.], w którym jest mowa o tym, że po zabójstwach Zdzisław Marchwicki opowiadał o szczegółach zabójstw, oraz by opisywał dokładnie

i ze szczegółami miejsce, w którym zabójstwo zostało dokonane [...]. Dano mi do ręki protokół do przeczytania w śledztwie, ale ja czytałem tylko piąte przez dziesiąte, bo chciałem, aby przesłuchanie szybko się skończyło [...]²⁴.

Wielu świadków, rozpoczynając zeznania, powtarza niemal to samo zdanie: W tej sprawie nie mam nic do powiedzenia. Niektórzy mówią ledwie kilka minut. Albo nie znali Zdzisława wcale, albo rozmawiali z nim kilka razy w życiu. Prokurator Gurgul zdaje się tym nie przejmować. Ma też mnóstwo świadków, którzy potwierdzają, że Marchwicki jest Wampirem. Bronisław G. rozpoznał go po sześciu latach na filmie, a później na zdjęciach, które pokazywano mu w komendzie w trakcie śledztwa.

Słyszałem głos Zdzisława Marchwickiego w dniu 8.10.1966 r. [trzy dni przed dokonaniem zabójstwa Jolanty Gierek – przyp. P.S.] i jest to identyczny głos jak w dniu dzisiejszym.

Jest to ten sam głos, ta sama twarz, figura – zeznawał Bronisław G. 14 marca 1974 roku²⁵. Tadeusz M. słyszał, jak Zdzisław Marchwicki mówił, że nienawidzi kobiet i chętnie by je wszystkie pozabijał. Powodem była Żona, która go zdradzała. Świadek twierdzi, że zdarzało się to w latach 1948–1949. Pamiętam, to było w 1952 roku, był żonaty i miał pięcioro dzieci²⁶.

Za wiarygodne sąd uznaje także zeznania Edwarda O.: Widziałem tylko raz w życiu tego człowieka i kiedy mi pokazali jego zdjęcie, od razu powiedziałem, że jest podobny, ale nie potwierdziłem, że to jest on, bo nie byłem pewny, natomiast kiedy zobaczyłem go na przeźroczach i na filmie, to poznałem go od razu, ale żeby być zupełnie pewnym, poprosiłem, by okazano mi tego człowieka, i po okazaniu potwierdziłem, że to jest ten człowiek²⁷.

Świadek nie miał wątpliwości, mimo że zdjęcia, które mu okazano, były małe i – jak twierdził – było ich aż siedemdziesiąt tysięcy.

Zeznania świadków pozwalają przypuszczać, że rozpoznali Zdzisława Marchwickiego, bo milicja pokazywała im wcześniej filmy i zdjęcia. Sąd jednak to bagatelizuje. Nikt nie zwraca uwagi Tadeuszowi M., że Zdzisław ożenił się dopiero w latach sześćdziesiątych, a ich pierwsze dziecko przyszło na świat w 1954 roku. Albo na niespójność zeznań Zdzisława G. utrzymującego, że widział Marchwickiego w październiku 1967 roku z bliska w sklepie i był on od niego wyższy. Gdy sąd każe świadkowi stanąć obok oskarżonego i okazuje się, że Marchwicki jest jednak niższy, Zdzisław G. odpowiada, że z odległości stu metrów nie mógł tego dokładnie ocenić i w takim razie się pomylił. Jest jednak pewny, że to Marchwickiego widział osiem lat wcześniej.

Sonia Z. widziała podejrzanego mężczyznę w kwietniu 1965 roku w autobusie w okolicy miejsca zabójstwa Lidii Nowackiej. Zgłosiła to milicji; w późniejszym czasie kilkakrotnie przyjeżdżała na przystanek z funkcjonariuszem, jednak nie udało jej się więcej spotkać mężczyzny. Zaczęła więc chodzić na przystanek z koleżanką Zofią G. i wtedy na niego trafiły.

Zarówno Sonia Z., jak i Zofia G. rozpoznają w sędzie Zdzisława Marchwickiego. Mówią, że jego sylwetka jest podobna do mężczyzny, którego widziały przed dziesięciu laty. Ich zeznania potwierdzają także Helena S. i Leokadia K. Mijały Sonię Z., a później widziały dwóch mężczyzn, których określają jako zbrojców, bo jeden z nich siedział, a drugi stał i nie miał na sobie koszuli. Ich zeznania są bardzo szczegółowe. Kobiety pamiętają nawet, że niosły bańkę z dwoma litrami mleka.

Wiarygodność zeznań nie budzi wątpliwości ani sędziego Ochmana, ani prokuratora, ani dziennikarzy. „Dziennik Zachodni” cytuje zeznania Pawła M., który kilkakrotnie widział podejrzanego mężczyznę w okolicy parku przy Czarnej Przemszy w Będzinie.

W dniu zamordowania Jolanty Gierek mijał go nawet, idąc do pracy. Gdy przeczytał w gazecie o procesie Wampira, sam się zgłosił do sądu.

W piątek podczas rozprawy Paweł M., wskazując na oskarżonego, powiedział: – Stanowczo rozpoznaję Zdzisława Marchwickiego jako człowieka, którego dwukrotnie spotkałem nad Czarną Przemszą. Nigdy nie zapomnę jego twarzy, a zwłaszcza charakterystycznego nosa, oczu i lekko pofalowanych włosów²⁸.

[19](#) Sprawa IV.K.157/74, protokół rozprawy z dnia 30 stycznia 1975 roku, karta 24539-24553.

[20](#) Sprawa IV.K.157/74, protokół rozprawy z dnia 9 stycznia 1975 roku, karta 361-24375.

[21](#) Z procesu Z. Marchwickiego, „Wieczór” z 10 stycznia 1974 roku.

[22](#) Sprawa IV.K.157/74, protokół rozprawy z dnia 29 stycznia 1975 roku, karta 24519-24536.

[23](#) Sprawa IV.K.157/74, protokół rozprawy z dnia 30 stycznia 1975 roku, karta 24539- 24553.y

[24](#) Sprawa IV.K.157/74, protokół rozprawy z dnia 29 stycznia 1975 roku, karta 24519-24536.

[25](#) Sprawa IV.K.157/74, protokół rozprawy z dnia 14 marca 1975 roku, karta 24871-24908.

[26](#) Sprawa IV.K.157/74, protokół rozprawy z dnia 14 marca 1975 roku, karta 24871-24908.

[27](#) Sprawa IV.K.157/74, protokół rozprawy z dnia 19 marca 1975 roku, karta 24926-24936.

[28](#) Świadkowie rozpoznają Z. Marchwickiego, „Dziennik Zachodni” z 15 marca 1975.

BARANEK BOŻY DYNAMITEM NADZIANY

Nim zacznę wyjaśniać, chciałem się odwołać do słów prof. Bafii, że humaniści prawnicy muszą tworzyć świat ludzkiej sprawiedliwości.

Wiemy, że humanizm to jest przede wszystkim głęboka znajomość człowieka i jego spraw, bo czytamy dalej w komentarzu J. Bafii, nie paragrafy dyktują dzieje narodów i człowieka, a kto przyzwyczajają ludzi do abnegacji wobec ich własnych uprawnień, ten działa jak szczególnie groźny wróg państwa²⁹.

Jan Marchwicki jako jedyny spośród oskarżonych miał wyższe wykształcenie.

Był czytany i z wyjątkową swobodą cytował literaturę, przywołując barwne, choć dla widowni często niezrozumiałe metafory. Publiczność z niecierpliwością czekała na jego wystąpienia. Po krótkim wstępie Jan zazwyczaj przechodził do ataku, którego forma bliska była dzisiejszym programom typu talk show.

Ale w tamtych czasach Marchwicki szokował. Bez wahania przełamывał każde tabu, zwłaszcza co do orientacji seksualnej.

3 marca 1975 roku świadek Henryk S., były student Wydziału Prawa na Uniwersytecie Śląskim, zeznaje na temat kontaktów z Janem Marchwickim.

Twierdzi, że ten zaskoczył go przez częściową ekshibicję i chciał doprowadzić do stosunku. Świadcowi udało się jednak oswobodzić z pułapki i do niczego nie doszło. Jan Marchwicki zapamiętał tę sytuację zgoła inaczej: Ponieważ praca pisemna napisana przez Henryka S. [...] nie była najlepsza, powiedziałem mu jasno, bo nie lubię robić ani z siebie, ani z kogoś barana, że umożliwię mu poprawę pracy pisemnej, ale ja też mam pewne warunki i jeżeli zrozumie mnie pod tym względem. Doszło wtedy do najbardziej normalnego stosunku homoseksualnego u mnie w sekretariacie, na dywanie w pokoju nr 2. Ja mogę określić i długość, i grubość członka świadka, bo spotkałem się z takim po raz pierwszy. [...] Ponieważ chodzi tu o dowody, to ja określam długość członka świadka na 26–27 cm we wzwodzie i proszę o zbadanie, zresztą, jak się to mówi, nosek nie jest kłamczuszek i życzę każdej kobiecie tak sprawnego mężczyzny. [...] ³⁰.

Końcowa część wypowiedzi spotyka się oczywiście z reakcją sędziego Ochmana, choć trzeba przyznać, że jest to tylko reakcja pro forma. Im więcej podobnych dyskusji, tym bardziej rozmywa to zasadniczy przedmiot sprawy. Sensacja goni sensację, ale nikt nie pyta o twarde dowody związane z morderstwami. Jak na zamówienie, podczas zeznań następnego „protegowanego”, sąd musi przerwać rozprawę z uwagi na to, że świadek mdleje w trakcie opisywania, jak doszło do stosunku.

Publiczność z zaciekawieniem wysłuchuje tych obyczajowych opowieści. Sędzia Ochman wyłącza jawność niektórych części rozpraw, gdy mają zeznawać partnerzy Jana. To jeszcze bardziej potęguje napięcie i podsycą plotki.

Ale czytając protokoły utajnionych fragmentów, trudno oprzeć się wrażeniu, że nad

świadkami zwyczajnie się zęciano. Nie sposób zgadnąć, czemu innemu miały służyć dociekania prokuratora Gurgula, gdy dopytywał, czy świadek wypluwał spernę podczas stosunków oralnych.

Jan Marchwicki nie protestuje, wydaje się nawet, że te dyskusje sprawiają mu przyjemność. Nie przepuszcza żadnej okazji, by ubarwić rozprawę wątkami obyczajowymi z uniwersyteckich korytarzy. Nazwiska uznanego Profesora i jego Sekretarki (tak będziemy ich nazywać) padają niemalże w każdym wyjaśnieniu. Jan twierdzi, że Sekretarka była kochanką Profesora. Zresztą nie jedyną. Gdy biegły medycyny sądowej wyjaśnia, jak długo żyją plemniki w pochwie i że mogą się w niej znaleźć nie tylko podczas normalnego stosunku, Jan podrywa się z ławki i krzyczy: Po raz pierwszy z „palcówkami” zetknąłem się w tym czasie, kiedy pracowałem na Uniwersytecie Śląskim, a opowiadała mi o tym [tu imię i nazwisko kobiety], której palcówkę robił [tu pada nazwisko Profesora – przyp. P.S.]. Wtedy miałem 40 lat³¹.

Wywołuje tym oświadczeniem owację publiczności, a sędzia Ochman musi przywołać do porządku nie tylko oskarżonego, ale i całą widownię.

Najtrudniejszą rolę mają chyba milicjanci z obstawy. Im nie wypada się śmiać.

Z czasem jednak Jan Marchwicki za główny cel ataków obiera prokuratora Gurgula, który staje się dlań uosobieniem systemu, trybunem dokonującym publicznej egzekucji. W przeciwieństwie do Zdzisława, Jan nie zamierza milczeć.

Wykorzystuje całą wiedzę i intelekt, by wymierzać Gurgulowi razy.

Chciałem odpowiedzieć prokuratorowi, że od początku jestem świadom tego, co już stwierdziłem, że mam do czynienia z pospolitym oszustem, a nie prokuratorem Prokuratury Generalnej. Wiem, że jest oszustem, począwszy od procesu Gerharda³².

Na takie uwagi publiczność często reaguje śmiechem, co ośmiela Jana do wskazywania na polityczne podłoże procesu. Komentuje głośno, że cała sprawa jest robotą moczarowców.

Ulubioną inwektywą kierowaną pod adresem prokuratora jest ukraiński smyk.

Z powodu fizjonomii nazywa go również zębatym Ukraińcem, a czasem posuwa się jeszcze dalej: Sąd zwraca uwagę na zadawanie sugestywnych pytań, ale jak ze strony prokuratora Gurgula padło pytanie sugestywne dotyczące spraw seksualnych, to sąd nie zareagował, a pytania te powtórzyły się tutaj dwu—lub trzykrotnie. Świadek w szkole miał wykładaną w mniejszym lub większym zakresie tzw. teorię darwinizmu, że człowiek pochodzi od małpy, otóż proszę popatrzeć na prokuratora Józefa Gurgula...

W tym miejscu odebrano oskarżonemu Janowi Marchwickiemu głos i wyprowadzono go z sali³³.

A raczej wyniesiono, bo stawiał opór.

Był do tego przyzwyczajony. Tydzień wcześniej sędzia również wyrzuca go z sali. Gdy po przerwie pojawia się ponownie, oświadcza, że został wprowadzony pod przymusem i nie ma przyjemności siedzieć z pachółkami SB.

To ostatnie jest skierowane do Wysokiego Sądu i – zgodnie z przewidywaniami –

powoduje ponowne wyprowadzenie z sali. Jednak sędzia nie może prowadzić rozprawy bez oskarżonego, więc gdy ten wraca, musi mu odczytać, co się działo pod jego nieobecność. Jan wykorzystuje to i zadaje mnóstwo drobiazgowych pytań, przedłużając rozprawę. W końcu sędzia Ochman nie wytrzymuje i zarządza karę 14 dni twardego łóża w osobnej celi na oddziale izolacyjnym³⁴. Była to jedna z najdotkliwszych kar, jaką dysponował sąd. O godzinie 22:00 więźnia układano na wznak na twardej drewnianej pryczy, po czym wkładano mu pod plecy drewniany kołek i przypinano pasami, by nie mógł się ruszyć aż do rana. Ale nawet zapowiedź takiej kary niewiele daje. Po przerwie obiadowej Jana znów nie można wpuścić na salę, bo już w drzwiach wyzywa wszystkich, zapowiadając, że uniemożliwi prowadzenie rozprawy.

Godzinę później następuje jeszcze jedna próba doprowadzenia go na ławę oskarżonych.

W czasie wprowadzania oskarżonego na salę oskarżony krzyczy: ja nie pójdę i koniec, ze smykiem nie chcę mieć nic wspólnego, ze smykiem [chodziło o prokuratora Gurgula – przyp. P.S.] i alkoholikiem, bo takich nie sadza się za stół sędziowski³⁵.

Z powodu zeznań Jana Marchwickiego proces jest wyjątkowo niewygodny także dla duchowieństwa.

Na sali wielokrotnie porusza się temat księży.

Kiedy mnie aresztowano, to nie Zdzisława Marchwickiego chciano zrobić „wampirem”, tylko księdza [tu pada imię i nazwisko oraz nazwa wsi w woj. śląskim – przyp. P.S.], z którym się znałem i który miał według milicji, przepraszam za wyrażenie, dużego huja i parafianki do niego stały w kolejce.

Zwrócono oskarżonemu uwagę.

To jest to, co mówiła mi milicja, i ja nie chełpię się tymi sprawami, bo ludzie muszą wiedzieć i świadkowie też muszą wiedzieć, za co rodzinę Marchwickich aresztowano, w jakim celu, a szczególnie Jana Marchwickiego, a wysoki sąd na to nie reaguje, bo sądowi jest to wygodne.

Zwrócono oskarżonemu uwagę.

Ja powtarzam jedynie to, co mi mówili w śledztwie, a wysoki sąd ma obowiązek tego wysłuchać.

[...] Niestety, wysoki sąd nie wie, co należy do jego obowiązków. Wiadomo, że sąd w odpowiednim czasie będzie wiedział, co zrobić, to, co mu każe Służba Bezpieczeństwa, która miała bezpośredni udział w morderstwach, a sąd dostanie za to awans do Sądu Najwyższego³⁶.

Kilku księży musiało stanąć przed sądem w charakterze świadków. Jeden z nich opowiada, że Jan Marchwicki proponował mu zakup lamp samochodowych, które Zdzisław Flak ukradł z Fabryki Samochodów Małolitrażowych.

Chcę oświadczyć świadkowi, z jakiego tytułu świadek się tutaj znalazł. Jan Marchwicki nie został aresztowany z powodu rodziny, lecz rodzina została

aresztowana z powodu Jana Marchwickiego, bo miał kontakty z duchowieństwem, którym chciano przypisać zabójstwo Jadwigi Kuci.

W tym miejscu Przewodniczący zwrócił uwagę osk. Marchwickiemu, by ograniczył się do zadawania pytań.

Wysoki Sądzie, Sąd będzie łaskaw mi pozwolić mówić, co uważam, bo pytano mnie też między innymi o księży.

Ponownie Przewodniczący zwraca oskarżonemu uwagę. Oskarżony podaje w dalszym ciągu: Tutaj o 400 zł robi się wielką sprawę, podczas gdy na Uniwersytecie spalił się magazyn na milion złotych, za co Profesora i jego kochanki nie aresztowano do chwili obecnej i...

Ponownie zwrócono uwagę oskarżonemu, który nie reagując, oświadcza: Sprawa ta ma do rzeczy tyle, by ludzie wiedzieli, jak wygląda praworządność w Polsce Ludowej.

Jeżeli chodzi o praworządność, to obecny tu ukraińiec Józef Gurgul...

Przewodniczący zwraca oskarżonemu uwagę, że zachowanie jego jest niewłaściwe, po czym oskarżony nie zważając na uwagi, podaje: Mam powód do obrazy i mam kogo obrażać, chciał on wmówić, że lampy przekazywałem księdzu [tu pełne nazwisko – P.S.], bo szukano wśród was homoseksualisty, który rzekomo Jadwigę Kucię kazał zabić, a jak nie homoseksualistę, to kogoś innego, kto ją „dmuchał”, począwszy od Kurii Krakowskiej i Częstochowskiej, bo ukraińiec przyjechał, by rozpętać tu najsilniejszy pożar w Polsce Ludowej, bo sfingował już proces Gerharda...

Przewodniczący odebrał oskarżonemu Janowi Marchwickiemu głos. Jan Marchwicki krzyczy jeszcze za świadkiem.

Niech świadek ostrzeże wszystkich z PAX-u przed magistrem [tu pełne nazwisko – przyp. P.S.], bo współpracował ze Służbą Bezpieczeństwa...³⁷.

Nie po myśli sądu toczy się przesłuchanie Edwarda B. Jan był wychowawcą w internacie, w którym świadek mieszkał jako kilkunastoletni chłopak.

Opowiada o stosunkach z oskarżonym i o stosunkach z jednym z księży. Okazuje się, że księdza poznał w Częstochowie, zanim dowiedział się, że jest on znajomym Jana. Oświadcza, że Jan nie stręczył go do stosunków z duchownym i że nie ma do niego żalu.

O tym opinia publiczna się nie dowiedziała, bo tę część rozprawy wyłączono z jawności.

Jan sprawia sędziemu także inne kłopoty. To, co mówi, mogło wskazywać na manipulacje świadkami. Twierdzi, że w zakładzie karnym jest okazywany różnym osobom. I jest przekonany, że celowo, by świadkowie mogli później go rozpoznać. Mówi o współwięźniach, którzy są podstawionymi agentami. Kilku wymienia z nazwiska. Sędzia Ochman nie reaguje, więc Jan wszystkie podobne naruszenia opisuje w liście do sekretarza generalnego ONZ.

Nadaje go za pośrednictwem Sądu Wojewódzkiego.

Tyle że nikt nie ma zamiaru wysłać listu do adresata. Zresztą podobnie jak setek

innych, skierowanych do biskupów czy Komitetu Centralnego partii.

Zachowanie Jana budzi zastrzeżenia nawet u współoskarżonych. Kilka razy dochodzi do pyskówek z Henrykiem i Haliną. Zdzisław upomina brata, by bronił siebie, a nie jego, i ma pretensje, że przepytuje świadków, którzy go rozpoznają. Za to Józef Klimczak, jego były kochanek, wykorzystuje każdą okazję do ataku. Słuchając wyjaśnień na temat wspólnych wyjazdów na wczasy, krzyczy: Kłamie Jan Marchwicki, baranek Boży dynamitem nadziany.

Podczas wyjaśnień Żony między Janem a Józefem Klimczakiem dochodzi do sprzeczki. Jan nazywa Klimczaka kapusiem Gurgula, Klimczak zaś grozi, że jeśli się nie uspokoi, to mu przypierdoli.

Chwilę później Halina Flak oznajmia, że nie może już tego słuchać. Pod tym oświadczeniem zapisanym w protokole kryje się potok inwektyw pod adresem współoskarżonych. W rezultacie sędzia nakazuje wyprowadzić ją z sali, co Klimczak wykorzystuje, by uderzyć Jana pięścią. W efekcie sędzia Ochman karze Halinę Flak pozbawieniem jej widzeń przez miesiąc, a Józefa Klimczaka karą dziesięciu dni twardego łóża. Rozprawę kończy oświadczenie Jana Marchwickiego, który winą za incydent obarcza prokuratora Gurgula, po czym ogłasza rozpoczęcie głodówki.

Świadcami tych widowisk byli tylko widzowie obecni na sali sądowej. Prasa codzienna ledwie wspominała, że oskarżeni zakłócają przebieg rozprawy.

Milicyjny tygodnik „W Służbie Narodu” z całą powagą relacjonował: A ludzie mówią coraz mniej o procesie. Czekają na wyrok³⁸.

[29](#) Sprawa IV.K.157/74, protokół rozprawy z dnia 7 marca 1975 roku, karta 24798-24811.

[30](#) Sprawa IV.K.157/74, protokół rozprawy z dnia 7 marca 1975 roku, karta 24798-24811.

[31](#) Sprawa IV.K.157/74, protokół rozprawy z dnia 27 lutego 1975 roku, karta 24731-24749.

[32](#) Sprawa IV.K.157/74, protokół rozprawy z dnia 5 marca 1975 roku, karta 24770-24784.

[33](#) Sprawa IV.K.157/74, protokół rozprawy z dnia 28 kwietnia 1975 roku, karta 25300-25311.

[34](#) Sprawa IV.K.157/74, protokół rozprawy z dnia 18 kwietnia 1975 roku, karta 25183-25198.

[35](#) Sprawa IV.K.157/74, protokół rozprawy z dnia 22 kwietnia 1975 roku, karta 25199-25231.

[36](#) Sprawa IV.K.157/74, protokół rozprawy z dnia 18 kwietnia 1975 roku, karta 25183-25198.

[37](#) Sprawa IV.K.157/74, protokół rozprawy z dnia 31 stycznia 1975 roku, karta 24554-24566.

[38](#) Elżbieta Cierlica, Jarosław Rulski, Notatki z procesu „W Służbie Narodu” z 23 marca 1975 roku.

CZEŚĆ II

POŚCIG SPRAWA POLITYCZNA

[...] u nas w okolicy grasuje jakiś typ i morduje kobiety, pełno u nas milicji obcej i nie mogą złapać. Atakuje niespodziewanie i uderza w tył głowy, tej ostatniej obciął ucho, to jakiś zboczeniec seksualny, nie gwałci, zadowala się tym, że ofiary swoje rozbiera [...] ¹. Wśród czytelników ówczesnych gazet to, że morderstwa Wampira z Zagłębia miały podłoże seksualne, nie budziło żadnych wątpliwości. Taką wersję zaprezentowano dziennikarzom na wspomnianej konferencji w marcu 1974 roku, a potem konsekwentnie powtarzano ją w prasie.

Tymczasem akta grupy operacyjnej „Anna”, przechowywane w Instytucie Pamięci Narodowej, pokazują inną historię śledztwa niż ta opisywana przez dziennikarzy w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.

Poszukiwania mordercy kobiet pozornie niczym się nie różniły od innych zakrojonych na ogromną skalę śledztw.

Czym żyła ówczesna Polska? Głośne były między innymi następujące sprawy: „Zagubiony”*, związana z poszukiwaniami Bohdana Piaseckiego, syna Bolesława (polityka, przywódca przedwojennej Falangi i założyciela stowarzyszenia PAX); sprawa o kryptonimie „P-64”**; sprawa „K-44”*** – kradzieży cennych obrazów; wreszcie sprawa skoku stulecia, czyli rabunku z banku w Wołowie 12,5 mln złotych****. Oficjalnie wszystkie te dochodzenia prowadziła służba kryminalna milicji. Ale drugie, ważniejsze postępowanie toczyła Służba Bezpieczeństwa. Milicjanci byli zazwyczaj sprowadzani do roli podwładnych esbeków, i to na ich polecenie przesłuchiwali świadków oraz zbierali dowody. Ale w sprawie Wampira to esbecy stanowili zaplecze milicji. Choć wszczęli własne niezależne śledztwo, w praktyce nie miało ono większego znaczenia.

Początkowo obie jednostki – milicyjna i bezpieki – nosiły kryptonim „Zagłębie”. Dopiero w listopadzie 1966 roku, miesiąc po zabójstwie Jolanty Gierek, nazwę zmieniono na kryptonim „Anna”. Po tym morderstwie zrodziły się dwa szczególnie popularne mity dotyczące śledztwa. Według pierwszego właśnie wtedy sprawa Wampira została uznana za polityczną prowokację.

Ciekawe, że przeczył temu drugi mit, wedle którego nowa nazwa kryptonimu – pochodząca od imienia pierwszej ofiary – sugerowała, że w śledztwie dominował motyw seksualny.

Tymczasem przygotowana przez Jerzego Grubę dwa lata później Analiza motywów działania sprawcy na podstawie ustaleń śledczych i operacyjnych w sprawie

kryptonimu „Anna” obu tym wersjom zaprzecza².

Pokazuje również, że kierujący śledztwem Gruba nie miał wpływu na jego przebieg. Musiał wykonywać polecenia przełożonych, tych z Katowic i tych z Komendy Głównej.

Co prawda, biegli medycyny sądowej wskazywali, że seksualne podłoże morderstw jest prawdopodobne, ale ponieważ sprawca nie gwałcił ofiar, oficerowie prowadzący śledztwo nie dawali temu wiary.

Zabójstwa z lubieżności odznaczają się ogromnym sadyzmem. Sprawcy często kaleczą ciała, na przykład rozcinając powłoki brzuszne, choć zdają sobie sprawę ze śmierci ofiary.

Poza tym nigdy nie znaleziono śladów nasienia sprawcy na zwłokach ani w ich pobliżu. Zarówno przed morderstwem Jolanty Gierek, jak i długo potem śledczy nie brali pod uwagę możliwości, że sam akt morderstwa może dawać Wampirowi seksualne spełnienie.

Morderstwo dokonane na Annie Mycek 7 listopada 1964 roku uznano za zbrodnię rodzinną, wynikłą na tle nieporozumień małżeńskich.

Mąż zamordowanej został aresztowany, a nawet przyznał się do winy. Do motywów seksualnych bardziej pasowało morderstwo Lidii Nowackiej z 17 marca 1965 roku. Nie było śladów manipulacji przy narządach rodnych, ale sprawca przeciął bieliznę ofiary. Na motyw seksualny wskazywały także zabójstwa Jadwigi Zygmunt z 22 lipca 1965 roku, Marii Błaszczuk z 15 sierpnia 1965 roku, Teresy Toszy z 25 października 1965 roku oraz usiłowania zabójstwa Eleonory Gąsiorowskiej z 25 lipca 1965 roku i Zofii Wiśniewskiej z 4 sierpnia 1965 roku. Jednak i w tym wypadku major Gruba użył sformułowania, że podejrzenia te się jak gdyby potwierdziły. Nie miał co do tego pewności, ale z treści raportu wynikało, że uważał to za mało prawdopodobne.

Wskazywał wręcz, że to plotki rozpowszechniane w społeczeństwie utrwaliły przekonanie o seksualnym motywie zbrodni. Z tego względu – prawdopodobnie bardziej z powodu nacisków przełożonych Gruby niż z jego inicjatywy – w przypadku zabójstwa Genowefy Łebek z 25 sierpnia 1965 roku, Ireny Szrek z 12 grudnia 1965 roku, Stanisławy Samul z 19 lutego 1966 roku i Genowefy Bijak z 11 maja 1966 roku motyw seksualny przyjęto a priori.

Paradoksalnie, w tych przypadkach oględziny nie ujawniły, by sprawca działał z takich pobudek.

Biegli uważali, że przełom w modus operandi stanowiło już zabójstwo Marii Gomółki z 15 czerwca 1966 roku w Sosnowcu Zagórz. Sprawca wyciął ofierze kawałek wzgórkę łonowego. Dla psychologów i psychiatrów był to wyraźny sygnał. Po pierwsze, że podłoże seksualne zbrodni jest niepodważalne.

A po drugie, że morderca „doskonił” metody działania, wskutek czego nastąpił kolejny etap jego „rozwoju”. Zakładali, że od tej chwili we wszystkich kolejnych zbrodniach motyw seksualny będzie coraz wyraźniejszy. Major Gruba nie wierzył, że

ma do czynienia z zabójstwami z lubieżności również dlatego, że jeszcze tego samego dnia Wampir zaatakował Julianę Kozerską i uciekł, zabierając jej tylko torbę. Jego zdaniem zabójstwo Jolanty Gierek także temu przeczyło: zostało dokonane w niedogodnym miejscu, ograniczało czas przebywania ze zwłokami i niosło ogromne ryzyko wykrycia. W przypadku późniejszego zabójstwa, Zofii Kawki z 15 czerwca 1967 roku, nie znaleziono żadnych obrażeń narządów płciowych, a w dwóch kolejnych – Zofii Garbacz z 3 października 1967 roku oraz Jadwigi Sąsiek z 3 października 1968 – nie stwierdzono nawet naruszenia dolnych części garderoby.

Według Gruby od początku uważano, że motyw działania Wampira jest polityczny i ma na celu wywołanie niepokoju oraz podważenie zaufania do władzy. W listopadzie 1968 roku pisał, że wybór ofiar co najmniej kilkakrotnie nie mógł być dziełem przypadku. Nazwisko Gomółka jednoznacznie kojarzyło się z osobą pierwszego sekretarza Władysława Gomułki.

Różniło się pisownią, której nie dało się wychwycić w mowie, więc w rozmowach kolejkowych na jedno wychodziło.

Zamordowana w Sosnowcu Jolanta Gierek z kolei była krewną pierwszego sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach. Nazwisko to znał każdy mieszkaniec Śląska i Zagłębia.

Z kolei Jadwiga Sąsiek miała w rodzinie dwóch komendantów powiatowych oraz oficera dyżurnego Komendy Powiatowej MO w Będzinie.

Ciekawe wydarzenie nastąpiło 5 sierpnia 1966 roku w Będzinie. Podczas akcji prewencyjnej w pobliżu „małpiego gaju” [*****](#) nad Przemszą wywiadowcy zwrócili uwagę na dziwnie zachowującego się mężczyznę. Widząc milicjantów, podejrzany zaczął uciekać, ci zaś zaczęli go gonić. Do brawurowego pościgu dołączyli przypadkowi przechodnie. Wywiązało się zamieszanie, aresztowanie nie uszło uwadze gapiów.

Następnego dnia w całym Zagłębiu podawano sobie z ust do ust, że milicja schwytała Wampira. Zatrzymanym okazał się Alojzy P. Przyglądał się milicjantom ze zwykłej ciekawości, a gdy ci zwrócili na niego uwagę, ze strachu rzucił się do ucieczki.

Milicja poniosła kolejną porażkę, ale – jak się miało okazać – trafnie wytypowano miejsce, w którym wkrótce potem doszło do ataku.

Podczas tej akcji wywiadowcy spisali wszystkie kobiety, które regularnie chodziły drogą koło „małpiego gaju”.

Była wśród nich Jolanta Gierek.

Milicjanci zwrócili jej uwagę, że to niebezpieczna okolica. Dziewczyna na jakiś czas zmieniła trasę, którą codziennie szła do pracy, ale ponieważ nowa droga była dłuższa, szybko wróciła do starych przyzwyczajień. Major Gruba uznał, że Gierkównę świadomie wybrano na cel ataku.

Podczas analizy zauważono, że dwukrotnie zostały dokonane w rocznicę

poprzednich: dwa razy 15 czerwca (w 1966 i 1967) oraz dwa razy 3 października (w 1967 i 1968). Co ciekawe, oba zabójstwa z 1967 roku nastąpiły tuż po podaniu przez milicję komunikatów o ujęciu przestępców seksualnych*****. Dwa przestępstwa zostały dokonane w dni związane z uroczystościami państwowymi, 7 listopada 1964 roku (rocznica rewolucji październikowej) i 22 lipca 1965. Poza tym w 1967 i 1968 Wampir zaatakował w dniach poprzedzających święto milicji, 7 października.

Podane fakty cisną więc pytanie dlaczego, co sprawca przez swe zbrodnie chciał osiągnąć i rzeczywiście osiągnął.

Odpowiedź wydaje się stosunkowo prosta – sterroryzowanie społeczeństwa i rozgłos.

Komunikaty w prasie, oficjalne apele, panika wśród kobiet i absencja w zakładach pracy wykazują bezsilność władz.

Właśnie te pobudki wydają się najbardziej prawdopodobne.

Sama zbieżność nazwisk Gomułka, Gierek, Sąsiak w zestawieniu z datami przestępstw i okolicznościami im towarzyszącymi są chyba wystarczającym uzasadnieniem³.

Jakie okoliczności Gruba miał na myśli? Z wywiadu środowiskowego przeprowadzonego w dniu morderstwa Marii Gomółki wiadomo, że dziesięć minut przed zabójstwem w okolicy widziano nieznanego mężczyznę. Jego wygląd pasował do portretów pamięciowych sporządzonych na podstawie zeznań kobiet, które przeżyły ataki Wampira. Świadek Jadwiga K. widziała go dwukrotnie.

Odniosła wrażenie, że mężczyzna na kogoś czekał.

Po zamordowaniu kobiety miał możliwość przeciągnięcia ciała w ustronne miejsce, by zaspokoić popęd seksualny, ale tego nie zrobił. Wyciął tylko kawałek wzgóрка łonowego i zostawił ciało w miejscu, w którym dość szybko musiało zostać znalezione. Zdaniem majora Gruby morderca bawił się w ten sposób, chcąc wzbudzić panikę, co – jak pisał w raporcie – na szczęście nie nastąpiło.

Niestety, sprawozdania wydziału kontroli korespondencji mówiły coś dokładnie odwrotnego.

* Bohdan Piasecki został porwany 22 stycznia 1957 roku. Jego ciało odnaleziono przypadkowo 8 grudnia 1958 roku. Sprawców porwania i morderstwa nigdy nie odnaleziono.

** Napad dokonany 22 grudnia 1964 roku przy Banku pod Orłami w Warszawie. Sprawcy zaatakowali konwój z pieniędzmi z Centralnego Domu Towarowego. Zastrzelili jednego z konwojentów i skradli 1,3 mln złotych. Analiza pocisku i łuski wykazała, że z tej samej broni strzelano podczas napadu 4 grudnia 1957 na kasjerkę sklepu obuwniczego Chelmek, napadu na milicjanta 7 kwietnia 1959 roku oraz napadu 1 czerwca na konwój z pieniędzmi z Urzędu Pocztowego 57 w Warszawie.

*** Kradzież obrazów Kossaka, Gierzyńskiego i Matejki z Muzeum Narodowego we Wrocławiu, dokonana 5 marca 1957 roku.

**** 19 sierpnia 1962 roku z banku w Wołowie skradziono 12,5 mln złotych. Sprawców ujęto, ale milicja popełniła wiele kompromitujących błędów.

***** „Małpim gajem” nazywano wówczas popularne pijalnie piwa. Często dochodziło wokół nich do bijatyk i

pijackich awantur.

***** Pierwszym z nich był Bogdan Arnold (zob. rozdział Władca much). Drugi to niejaki Sobolewski z Opola.

1 Notatki Informacyjne Wydziału „W”, Materiały operacyjne Sprawy Kryptonim „Anna”, lata 1966–1968, IPN Ka 032/157 t. 1, cz. 2.

2 Analiza motywów działania sprawcy na podstawie ustaleń śledczych i operacyjnych w sprawie krypt. „Anna”, major magister Jerzy Gruba, 3 listopada 1968, akta IPN KA 032/157, t. 1, cz. 1.

3 Tamże.

LUDZIE LISTY PISZĄ

Władziu, nie wiem czy u Was było co słyhać, że u nas jeszcze grasuje „ten wampir” Teraz poszukują go helikopterami.

Przebierają się za kobiety i zabijają.

Jedną zabił, przewrócił ją do góry nogami na brzuch i przypiął kartkę, że „tysiąc lecie państwa to musi zginąć tysiąc kobiet w wojew. katowickim [...]”⁴.

W październiku 1966 roku katowicki Wydział „W” Służby Bezpieczeństwa przejmuje z urzędów pocztowych Będzina i Sosnowca 31 980 listów, z których 21 300 zostało przeczytanych.

Aż w 723 znajdują się informacje na temat zabójstw kobiet. W 36 przypadkach są tak sugestywne, że ich nadawcy zostają objęci obserwacją. Dwadzieścia sześć listów SB konfiskuje, bo zawierają wyolbrzymione wiadomości, które niepotrzebnie budziły plotki i przerażenie. Miesiąc później wydział kontroli korespondencji sprawdza kolejnych ponad trzysta tysięcy listów, wśród których blisko pięćset zawiera doniesienia o Wampirze.

Jedni podają zdumiewające szczegóły ze śledztw:

[...] w Będzinie znowu nowy mord, tym razem 19-letnia dziewczyna szła rano do pracy z Ksawery wałem na Gzichów do zakł. fryzjerskiego i koło małego gaju zamordował i wrzucił do wody to do pływała aż koło kaplicy.

Była wtedy mgła.

Cały Będzin wstrząśnięty tym, bo bardzo porządna dziewczyna i na pogrzebie było strasznie dużo ludzi i krzyczeli precz z będzińską Milicją [...].

[...] były dwa morderstwa, jedno z nich w Sosnowcu, zgwałcono babkę 21 lat i utopiono, wypłynęła dopiero po dwóch tygodniach pod Jaworzmem. Nie wiadomo, czy to był on, ale fakt jest faktem. W ubiegły czwartek był pogrzeb trzeciej zamordowanej [...] została zgwałcona i wrzucona do Przemszy, zdjętą miała spódniczkę i zakopaną.

Oczywiście przed zgwałceniem była zamordowana, miała dziury w głowie.

Najciekawsze jest to, że jest to podobno siostrzenica Gierka, który podczas pogrzebu był z wizytą w Zw. Radzieckim [...].

Inni dzielą się podejrzeniami co do tożsamości Wampira:

[...] od dwóch lat dzieją się straszne rzeczy, teraz w tym czasie co ja tu jestem zamordowano dwie 19—letnie dziewczyny, a razem w ciągu dwóch lat 16 i mordercy nie znaleziono... To robi jeden i ten sam człowiek, ale jest tak cwany, doskonale zna teren i ma specjalny system zabijania i to tylko kobiety w wieku od 16 do 60 lat i mówią, że musi być milicjant albo ktoś kto ma do czynienia z milicją... W gazetach były odezwy do ludności o pomoc, bo milicja nie ma już sposobów na wykrycie... Było 70 milicjantek z Warszawy specjalnie wyszkolonych i uzbrojonych tajnych, szły w krzaki, same włąziły w drogę i żadnej się nic nie stało – to musiał o tym wiedzieć [...].

[...] Wyobraź sobie, że syna pani F. [w oryginale pełne nazwisko – przyp. P.S.], tej, której Ci opowiadałam, że chce mnie ożenić ze swoim synem posądzają o morderstwo młodych dziewcząt. Gdyby to była prawda, to bym miała znajomość z wampirem. [...]

[...] Podobno zainstalowali już aparaty podsłuchowe. Jedna babka która pracuje w Komendzie Wojewódzkiej mówiła, że kiedy aparaty są podłączone, żadnego morderstwa nie ma, ale gdy tylko wyłączą, jest. Dlatego podejrzewają kogoś z milicji i to w dodatku dużą „szychę”. Podobno ten wampir pisze anonimy do nich, a oni są bezradni [...].

[...] U nas nadal mordują. W ub. sobotę zamordowano w Katowicach mężczyznę, a w niedzielę konduktorkę w tramwaju. Mieli zabrane dokumenty i przychepione do szyi komunikaty prokuratury Wojewódzkiej w sprawie „wampira”. Chyba już samo przez się, sprawa się wyjaśniła. To jest robota dywersyjna, tak jak przed rokiem 1939— tym. Zabierają dokumenty, bo za to dostają „od łebka” w dolarach zapłacone.

To się pewnie zacznie w całym kraju, to robią szwabys, taktyka wszędzie ta sama, wali w lewą połowę czaszki od tyłu.

Muszą być odpowiednio przeszkoleni, tutaj dosłownie Meksyk [...].

Kobiety wprost piszą, że boją się o swoje życie.

[...] U nas bardzo dużo kobiet ktoś zabija, w zeszłym tygodniu w trzech dniach trzy [...]. Wszystkie zginęły w biały dzień. Jedna do przedszkola dziecko odprowadziła i wracała i ktoś ją pomścił. [...] ile zginęło kobiet od tej pory, co tu jestem, to nie zliczone.

Ja sama z domu wychodzę, to nie wiem, czy wrócę [...].

[...] Do Będzina przyjechała cała szkoła oficerska z Warszawy, ale to nic nie pomogło. Nie wiem, czy to cię coś interesuje, jeśli tak to chętnie służę informacjami, a o tych sprawach piszę, abyś się nie zdziwił, gdy od mojej rodziny otrzymasz telegram o mojej śmierci. Tym bardziej że przez trzy noce śniło mi się, że mnie mordują, a mojej siostrze, że była na mym pogrzebie. [...]

Ale listy potwierdzają też stare przysłowie, że każda plotka ma w sobie ziarno prawdy.

[...] Ty z pewnością nie wiesz, co się u nas dzieje. [...] Po prostu ktoś morduje kobiety. Cała ta sprawa nabrała rozgłosu dopiero teraz, kiedy zamordowano bratanicę Gierka, tj. I serk. KW PZPR, mimo że ciągnie się to od dwóch lat. W ubiegłą sobotę milicja i prokuratura wystosowały komunikat i apel do społeczeństwa o pomoc w ujęciu mordercy, bo sami nie mogą poradzić. [...] Poza tym jednym komunikatem prasa nie podawała i nie podaje żadnych wiadomości. A ludzie roznoszą okropne wiadomości. Podobno od ubiegłej soboty zamordowano 4 czy 5 kobiet.

Milicja nie może dać rady, mimo że na pomoc przyjechała milicja z NRD, Scotland Yardu, Interpolu i jeszcze tam jakieś [...].

[...] Podobno pisał ten morderca do Milicji, że skończy mordować jak zamorduje 100, to się wtedy zgłosi sam [...].

Mnóstwo faktów wycieka w czasie śledztwa, o co nietrudno przy zaangażowaniu tak ogromnej liczby osób.

Nie wszyscy potrafią trzymać język za zębami. Fakt przydzielenia do grupy „Anna” jest dla wielu powodem do dumy i pochwalenia się przed rodziną i znajomymi.

Autor ostatniego cytowanego listu nie myli się.

Rzeczywiście, 21 listopada 1964 roku, krótko po zamordowaniu Anny Mycek, w Będzinie został nadany anonim do milicji. Kopertę zaadresowano tak: Wojewódzka Komenda Milicji Obywatelskiej Katowice Do (komendanta) sprawa służbowa Na jej odwrocie, w miejscu gdzie zwykle podpisuje się nadawca, widniał podpis Student oraz rysunek trupiej czaszki z dwiema skrzyżowanymi piszczelami. Wewnątrz – kartka z zeszytu, bez linii i kratek. Być może dlatego treść napisano za pomocą linijki, co – jak się okazało – znacznie utrudniło badanie cech pisma.

Milicja, Menta, Blacharze, Gliny, Łodziarze Nie szukajcie mnie znajść się nie dam.

Zamorduje 100 Kobiet może połowę a może 1/4 to sam się poddam Kto będzie na moim tropie to ten się pozbawi życia swojego.

Piszę po raz ostatni Dowidzenia do zobaczenia na ławie oskarżonych Student Ebdont⁵ Początkowo anonimowi nie skojarzono z zabójstwem Anny Mycek. List został powiązany ze sprawą napadów na kobiety w województwie krakowskim.

Zakładano, że był wynikiem plotek, które krążyły w Małopolsce i na Śląsku. Już wtedy ludzie opowiadali o mordercy napadającym na kobiety. W Krakowie pierwszy atak nastąpił we wrześniu 1964 roku, a w Katowicach w listopadzie. Co gorsza, gdy informacje o anonimie Studenta wypłynęły z komendy, tylko podsyciły opowieści. Mówiono wręcz o szaleńcu, który poinformował milicję o zamiarze zamordowania tysiąca kobiet na tysiąclecie Polski.

Z portretów pamięciowych sporządzonych w Krakowie wynikało, że napastnikiem jest młody mężczyzna. Nie pasował do profilu Wampira poszukiwanego w Zagłębiu. List uznano za złośliwy żart. Sporo ludzi wyrażało w ten sposób swoją niechęć wobec milicji i władz. Mimo to, szukając dla obu spraw wspólnego mianownika, Wydział Służby Kryminalnej KW MO w Krakowie poprosił o wytypowanie młodych mężczyzn z terenu województwa katowickiego. Sprawa krakowska została rozwiązana 14 lipca 1966 roku. Tego dnia milicja ujęła Karola Kota, zaledwie dwudziestojednolatka.

W pierwszej chwili chłopak nie przyznaje się do winy, ale śledczy mają mocne dowody. W końcu pęka i zaczyna ze szczegółami opowiadać o swoich zbrodniach.

Są tak szokujące, że milicjanci nie mogą uwierzyć w to, co słyszą.

Pod powłoką zwyczajnego młodego mężczyzny kryje się potwór.

Karol Kot pochodzi z dobrej rodziny, nie ma kłopotów w nauce, a nawet osiąga sukcesy w strzelectwie sportowym.

W wieku kilkunastu lat w czasie wakacji zagląda do rzeźni. Na początku się tylko przypatruje, później pomaga przy uboju zwierząt. Wtedy pierwszy raz smakuje świeżej, jeszcze ciepłej krwi. Pozwolono mu też zabijać, co tylko rozbudziło jego skryte

pragnienia. Zaczyna się znęcać nad zwierzętami. Wydłubuje oczy żabom.

Później rozpruwa brzuch i liże wnętrzności konających płazów.

Fantazjuje o masowych mordach, komorach gazowych, obozach koncentracyjnych. Wreszcie przestaje mu to wystarczać. Atakuje po raz pierwszy: dźga nożem kobietę modlącą się w przedsionku kościoła. We wrześniu 1964 roku w podobny sposób atakuje trzy razy. Jedna z ofiar umiera w szpitalu, ale on o tym nie wie. Postanawia zastosować inną metodę. Kilka razy dosypuje trucizny do przypraw w krakowskich barach i usiłuje, bezskutecznie na szczęście, podpalać piwnice i strychy. W lutym 1966 roku uda mu się zaspokoić żądzę mordu, gdy zadźga nożem jedenastoletniego chłopca.

Jest z siebie dumny. Dwa miesiące później próbuje zabić sześciolletnią dziewczynkę. Dopiero wtedy do śledztwa zostają włączeni psycholodzy.

Na ślad Karola Kota milicja trafia dzięki zeznaniom osób, które przeżyły jego atak. Zostaje oskarżony o dwa morderstwa, cztery usiłowania, sześć prób otrucia i cztery podpalenia. Sprawa jest trudna. Krakowscy biegli uznają, że Kot miał ograniczoną zdolność rozpoznawania czynów. Innego zdania są specjaliści ze Szpitala Psychiatrii Sądowej w Grodzisku Mazowieckim. Ostatecznie sąd przychyliła się do opinii tych drugich i orzeka karę śmierci. Ze względu na różnice poglądów biegłych Sąd Najwyższy wyraża wątpliwości. Zmienia wyrok na dożywotne pozbawienie wolności. Wtedy wydarza się precedens.

Prokurator generalny składa rewizję nadzwyczajną, w wyniku której w marcu 1968 roku siedmioosobowy skład Sądu Najwyższego przywraca wyrok krakowskiego Sądu Wojewódzkiego.

16 maja 1968 roku Karol Kot został powieszony w więzieniu w Mysłowicach.

Sekcja zwłok wykazuje rozległego guza mózgu. Ta informacja dociera tylko do nielicznych.

[4 Notatki Informacyjne Wydziału „W”, Materiały operacyjne Sprawy Kryptonim „Anna” lata 1966–1968, IPN KA 032/157, t. 1, cz. 2.](#)

[5 Ocena formalno-treściowa anonimu z podpisem „Student” i plan poszukiwania wykonawcy anonimu, z dnia 22 kwietnia 1970 roku, akta sprawy IV.K.157/74, karta 21005-21012.](#)

ZAMACH NA GOMUŁKĘ

Pozostaje zatem pytanie, dlaczego za rejon działania wybrano „Zagłębie”?

Przyczyn może być kilka [...].

Zagłębie jest w wysokim stopniu upartyjnione, w związku z czym ogranicza to poważnie i czyni niebezpiecznymi próby klasycznej dywersji zarówno politycznej, jak i ekonomicznej *vide sprawa Jarosa*⁶.

Dlaczego Wampir działał akurat na terenie Zagłębia? Dla majora Gruby odpowiedź była oczywista: to region znany z rewolucyjnej postawy. Wywodziło się stąd wielu działaczy partyjnych piastujących wysokie stanowiska. Nie po raz pierwszy Zagłębie stało się celem dywersji politycznej i ekonomicznej.

W Analizie motywu działania sprawcy Gruba wprost przypominał sprawę Jarosa.

Dla funkcjonariuszy organów bezpieczeństwa był to czytelny komunikat, choć nawet dziś ta historia jest w zasadzie nieznana.

Na otwarcie kopalni „Porąbka” 3 grudnia 1961 roku, w przeddzień Barbórki, miał przyjechać ówczesny pierwszy sekretarz Władysław Gomułka.

Dwa lata wcześniej, gdy wizytował kopalnię w Sosnowcu, doszło do nieudanego zamachu bombowego na jego życie. Sprawców nie schwytano.

Tym razem za bezpieczeństwo Gomułki osobiście miał odpowiadać Franciszek Szlachcic, komendant wojewódzki MO w Katowicach. Zadbano o wyjątkowe środki ostrożności: wyznaczono trzy alternatywne trasy przejazdu i sformowano trzy kolumny identycznych rządowych limuzyn. Tylko najwyżsi rangą oficerowie wiedzieli, w której naprawdę jedzie pierwszy sekretarz.

Jeszcze gdy Gomułka rozmawiał z górnikiem, z bramy kopalni wyjechał pierwszy fałszywy konwój. Trzy czarne samochody w obstawie milicji. Auta dojechały do budynku przy Krakowskiej 47, gdy eksplodowała umieszczona w przydrożnym słupku mina. Wybuch ranił idącego ulicą górnika oraz dziewczynkę mieszkającą w pobliskim domu. Odłamki podziurawiły rządowe wozy, ale kierowcom nic się nie stało.

Udało się ustalić, że ładunek wybuchowy został zdetonowany impulsem elektrycznym. Ukryty kabel wskazał miejsce, z którego sprawca obserwował okolicę. Sprawdzone, kto miał do niego dostęp, i tak wytypowano grupę pięćdziesięciu podejrzanych.

Śledztwo było bardzo krótkie

– zatrzymano Stanisława Jarosa, lat 33, z zawodu elektryka. W jego domu znaleziono narzędzia, którymi skonstruował bomby, i materiały wybuchowe. Jaros przyznał się też do innych aktów dywersji mających na celu zdestabilizowanie sytuacji politycznej.

Trudno powiedzieć, czy naprawdę był ich sprawcą, czy nie wytrzymał śledztwa. Sąd skazał go na karę śmierci. Wyrok wykonano 5 stycznia 1963 roku.

Sprawa Jarosa była precedensem i kazała władzom brać pod uwagę nawet najbardziej nieprawdopodobne scenariusze. Dlatego na wniosek majora Gruby Służba Bezpieczeństwa sprawdzała także ludzi związanych z byłym podziemiem. Po wojnie na terenie Zagłębia działały bandy terrorystyczno—rabunkowe o zabarwieniu politycznym: Nanusia, Bolesława, Anioła i Treli.

Gruba zalecał, by rozpracowaniu poddawać nie tylko byłych członków band, ale także ich znajomych i krewnych. Do grupy podejrzanych zaliczył również kler i osoby z nim związane, członków rodziny mieszkających na Zachodzie, byłych oficerów Armii Andersa, osoby współpracujące w czasie wojny z okupantem oraz dawnych członków WIN, NSZ i UPA, objętych w 1956 roku amnestią.

Gruba uważał, że przyjmując motyw polityczny, należało założyć, że zabójstw może dokonywać nie jeden człowiek, lecz grupa osób. Taką wersję potwierdzały losy zegarka skradzionego Jolancie Gierek. Po zabójstwie ustalono jego numer. Podejrzewano, że sprawca będzie chciał go sprzedać, objęto więc obserwacją wszystkie zakłady zegarmistrzowskie i targowiska, na których handlowano zegarkami. Trop okazał się właściwy. Już po kilku dniach w jednym z punktów napraw zjawił się mężczyzna z poszukiwanym zegarkiem.

Podejznanego zatrzymano, ten jednak zeznał, że kupił zegarek na targu od dwóch nieznajomych mężczyzn. A zatem sprawców mogło być dwóch, a może i więcej.

Analiza miejsca zabójstwa Jolanty Gierek wskazywała, że sprawca (bądź sprawcy) musiał przygotować drogi dojścia i odejścia z miejsca zdarzenia.

A zatem nie mogła być to zbrodnia spowodowana impulsem, tylko działanie zaplanowane.

Ponieważ ślady w miejscach innych zabójstw nie pozwalały wnioskować, czy sprawca był jeden, nie wykluczano hipotezy, że poszczególnych zabójstw dokonywały różne osoby, należące do grupy przestępczej. Na razie były to jednak tylko domysły, na podstawie których opracowywano różne warianty.

Raport majora Gruby powstał w odpowiedzi na uwagi, które dyrektor Biura Kryminalnego KG MO pułkownik Stanisław Górnicki skierował w październiku 1968 roku do obu grup operacyjnych. Zresztą nie pierwszy raz – podobne krytyczne uwagi już od jesieni 1966 roku formułował i adresował do pierwszego zastępcy komendanta wojewódzkiego MO w Katowicach pułkownika Mariana Dziekana.

Kierownictwo MSW nie było zadowolone z wyników. Krytykowano typowanie sprawców na zasadach identycznych jak w sprawach „P-64” i „Zagubiony”. W tamtych przypadkach również nie przyniosły one spodziewanych efektów. Za błąd uznano także podanie do prasy informacji, że śledztwo osobiście nadzoruje komendant wojewódzki MO.

W ten sposób społeczeństwo otrzymało przekaz: „Milicja jest bezradna”. Negatywnie oceniono również zwrócenie się o pomoc do aktywu partyjnego.

Górnicki ostro skrytykował pomysł prowokacji wymyślonej przez katowickich

oficerów, którzy zaproponowali, by o mordercy kobiet nakręcić czteroodcinkowy film telewizyjny.

Zakładali, że Wampir z ciekawości zgłosi się na plan, by zostać statystą. Górnicki uznał to za mało prawdopodobne.

Już wcześniej podejrzewano, że może przychodzić na pogrzeby ofiar, fotografowano więc wszystkich uczestników.

Wykonano w ten sposób dwanaście tysięcy zdjęć. Na każdym z nich było od kilku do kilkunastu twarzy. Okazało się, że zidentyfikowanie takiej liczby ludzi jest niewykonalne.

Pułkownik Górnicki wytknął także, że w śledztwie panuje ogromny bałagan.

Nikt nie był w stanie zapanować nad typowaniem ani weryfikacją podejrzanych. Często jedna osoba była sprawdzana kilkakrotnie przez różnych wywiadowców. Takim błędem miała zapobiec zmiana struktury organizacyjnej oraz wprowadzenie kartoteki wersji osobowych – czyli osób podejrzanych: recydywistów, gwałcicieli, sadystów, sprawców przemocy domowej, alkoholików, homoseksualistów i księży.

Schemat grupy opisał pułkownik Gruba.

Kierownik grupy współpracował bezpośrednio z dwoma swoimi zastępcami, z których jeden organizował i nadzorował początkowo pracę operacyjno-śledczą, a drugi wszystkie operacje milicyjne (tak nazywano działania prewencyjno— zabezpieczające, zasadzki, pościgi i inne). Kierownikowi grupy podlegały nadto kartoteka i ewidencja, zespół analityków, zespół kontrolny oraz transport. Z biegiem czasu powołano również dział gospodarczy do prowadzenia spraw finansowych, gospodarki materiałowej, ewidencję sprzętu technicznego i innych. Zastępcy kierownika grupy do spraw operacyjno-śledczych podlegały zespoły ds. wersji osobowych, ds. wersji zagadnieniowych i ds. śledczych.

Zespoły składały się z brygad. Każda brygada miała kierownika i dwóch funkcjonariuszy.

Kierownikiem był z reguły doświadczony funkcjonariusz pionu kryminalnego lub dochodzeniowego.

Brygada w zależności od tego, do którego zespołu należała, prowadziła przeciętnie 6–8 wersji osobowych lub 1 kompleksowe zagadnienie albo 1–2 śledztwa.

Decydowała o tym zawartość sprawy i jej zakres. Np. w jednej brygadzie prowadzono śledztwo o usiłowanie zabójstwa Ireny Szymańskiej i Jadwigi Zygmunt, w innej tylko sprawę zabójstwa Genowefy Łebek. W zespole zagadnieniowym w jednej brygadzie prowadzono tylko rozpoznanie operacyjne hoteli robotniczych, w innej kontrolę i współpracę z pralniami chemicznymi i jubilerami.

W toku działań gruntownej reorganizacji uległ – z przyczyn praktycznych – pion śledczy, funkcjonujący odtąd jako ogniwo samodzielne. Kierownika tego działu powołano na zastępcę kierownika grupy operacyjno-śledczej i powierzono mu nadzór nad nowo zorganizowaną grupą pogotowia operacyjnego i ogniwem techniki

kryminalistycznej⁷.

Ta rozbudowana struktura zmieniała swoje zadania po ogłoszeniu hasła „Zabójca”.

Wtedy wszyscy funkcjonariusze koncentrowali się na bieżących działaniach „wykrywczych”.

Mimo wszystkich podejmowanych aktywności w 1968 roku tylko jedno było pewne: śledztwo utknęło w martwym punkcie.

⁶ Analiza motywów działania sprawcy na podstawie ustaleń śledczych i operacyjnych w sprawie krypt. „Anna”, major magister Jerzy Gruba, 3 listopada 1968, akta IPN KA 032/157, t. 1, cz. 1.

⁷ Jerzy Gruba, Niektóre problemy organizacji pracy w sprawie kryptonim „Anna”, Departament Szkolenia i Doskonalenia Zawodowego MSW, Warszawa 1979, akta IPN GD 300/1342.

WŁADCA MUCH

A potem kiedy wyważyli drzwi mieszkania na poddaszu starej kamienicy przy ulicy Dąbrowskiego w Katowicach... I jeszcze ten upał...

Wezwali ekipę „Sanepidu”. Tamci przyjechali, żartując, wspięli się na poddasze, zajrzeli do środka i już któryś oparł się bezwładnie o ścianę, torsje rozrywały mu wnętrzności – Nie wejdziemy! – powiedzieli – Bij pan, strzelaj pan, nigdy! Więc musiał wejść sam.

Każdy jego ruch podnosił w powietrze roje trupich much. Woń rozkładu tamowała oddech⁸.

8 czerwca 1967 roku na milicję zgłasza się Waldemar R., mieszkaniec Katowic.

Od kilku dni obserwuje ogromne roje much w oknie na poddaszu, vis-à-vis jego kamienicy. Przypuszcza, że mogło dojść do śmierci lokatora. Milicjanci udają się do wskazanego budynku przy ulicy Dąbrowskiego 14. Już na korytarzu daje się wyczuć fetor rozkładającego się mięsa.

Nie mogą jednakże sforsować obitych blachą drzwi. Wzywają na pomoc straż pożarną, by dostać się przez okno. Jeden z nich wybija szybę, ale smród jest tak potworny, że do środka wchodzi dopiero w masce przeciwgazowej. Tuż przy oknie leży ciało. Resztki odzieży wskazują na kobietę. Na miejsce zostają sprowadzeni prokurator, lekarze sądowi i oficerowie z grupy operacyjnej „Anna”. Zazwyczaj widok zwłok nie robi na nich wrażenia.

Ale to, co zastają w mieszkaniu, zaskakuje nawet ich. Co rusz któryś nie wytrzyma i musi zrobić przerwę, by dojść do siebie.

Odór i potworny widok powodują, że oględziny trwają z przerwami aż pięć dni.

Zabezpieczono ponad trzysta dowodów i śladów, a protokół oględzin zajął pięćdziesiąt cztery strony maszynopisu.

W dwóch małych pomieszczeniach znaleziono szczątki kilku ciał. Nie dało się ustalić ilu, bo zostały pocięte i znajdowały się w stanie daleko posuniętego rozkładu.

W drewnianej wannie obitej blachą natrafiono na szarobrunatną maź, w której dało się dostrzec kawałki rąk, nóg i dwie czaszki. W dużym kotle znaleziono kolejną czaszkę. Biegli nie byli w stanie dokonać szczegółowych oględzin na miejscu.

Zwłoki przewieziono do Zakładu Medycyny Sądowej Akademii Medycznej w Zabrze, gdzie przez kilka dni próbowano je skompletować.

Doliczono się czterech niekompletnych ciał. Eksperci od razu stwierdzili, że jest mało prawdopodobne, by mordercą był Wampir. Sposób działania sprawcy był zupełnie inny. Ale na ulicy mówiono, że wreszcie odnaleziono mordercę kobiet.

Milicja ustaliła, że właścicielem strychu jest Bogdan Arnold, spokojny elektryk. Wśród sąsiadów miał dobrą opinię, nie awanturował się, był zawsze pomocny. Lokatorzy skarżyli się tylko na brzydkie zapachy dobiegające od niedawna z jego

lokum. W pracy Arnold przejawiał jak najlepsze chęci: uczynność, a nawet daleko idącą uprzejmość wobec kobiet. Co prawda, nadużywał alkoholu, spóźniał się albo bumelował (nie stawiał się do pracy), ale w tamtych czasach wszyscy tak robili. Podejrzenia wzbudziły dopiero zeznania byłych partnerek Arnolda.

Był czterokrotnie żonaty.

Pierwsza żona zmarła. Trzy kolejne się z nim rozstały, bo nadużywał alkoholu i stosował przemoc. Agresja budziła się w nim zwłaszcza w trakcie współżycia.

Zadawała go jedynie perwersje i poniżanie partnerki.

W dniu, w którym odnaleziono zwłoki, Bogdan Arnold wyszedł z pracy jak zawsze. Od tej chwili nikt go nie widział. Ogłoszono poszukiwania. Po tygodniu niespodziewanie sam się zgłosił na komendę głodny i wycieńczony.

Ukrywał się na hałdach koło huty „Silesia”. Od razu przyznał się do winy.

Pierwszą ofiarę poznał 12 października 1966 roku w dworcowym barze. Gdy przyszli do domu i kobieta zażądała pieniędzy, chciał ją wyrzucić. Wtedy podarła na sobie bluzkę i podrapała twarz, grożąc, że zgłosi na milicji gwałt. Kiedy ruszyła w stronę drzwi, złapał ją od tyłu i zaczął dusić. Broniła się. Bezwiednie złapał leżący obok kuchenki młotek murarski i uderzył kilka razy w głowę.

Myślał, że straciła przytomność. Po chwili jednak ofiara przestała oddychać. Wtedy Arnold schował jej ciało w wersalce i wyszedł z domu. Błąkał się po mieście i pił na umór. Po kilku dniach doszedł do wniosku, że musi zrobić z tym porządek.

Wrócił do domu, wydobył zwłoki z tapczanu i próbował się ich pozbyć.

Odciętą dłoń spalił w piecu, ale trwało to zbyt długo, musiał znaleźć inny sposób.

Podczas przesłuchania spokojnie opowiadał, jak rozciął brzuch i kroił wnętrzności na desce, a potem wrzucał je po kawałku do rury kanalizacyjnej. Ciało wyniósł do drugiego pomieszczenia i włożył do drewnianej wanny obitej blachą. Zalał je roztworem chloru, który kupił w sklepie. To powstrzymało proces gnicia i trudny do zniesienia smród.

Wannę przykrył ceratą i postawił na niej skrzynię od tapczanu.

W połowie marca 1967 roku Bogdan Arnold sprowadził do domu prostytutkę przypadkowo poznaną w restauracji „Mazur”. Sporo wypili i kobieta straciła przytomność. Wtedy ją związał. Rano, gdy się ocknęła, zaczął odbywać z nią stosunek. Słyszac kogoś na korytarzu, próbowała krzyczeć. Udusił ją, ciało wyniósł do innego pomieszczenia, włożył do wanny razem z poprzednią ofiarą i poszedł do kolegi na wódkę.

Trzeciego zabójstwa dokonał miesiąc później. Kolejną prostytutkę poznał koło restauracji „Hungaria”. Zaproponował, by poszli do niego, i tak jak poprzednio zaczęło się od wódki. Następnego dnia powiedział jej, że musi wyjść. Kobieta chciała zostać, ale oświadczył, że ma obawy, iż go okradnie. Pozwoli jej zostać tylko pod warunkiem, że ją zwiąże.

Zgodziła się. Gdy tylko skrepował jej ręce, zaczął ją gwałcić. Biciem zmusił do

uległości. Znęcał się nad nią dwie doby, a gdy się zmęczył, udusił kablem elektrycznym.

Czwartą ofiarą była kobieta przypadkowo poznana na dworcu.

Zaproponował jej nocleg, zrobił kolację i poszli spać. Rano użył tego samego podstępu, co poprzednio. Gdy ofiara pozwoliła się związać, powiedział: A teraz, mała, się zabawimy. Gwałcił ją przez dwa dni, po czym udusił jej własną pończochą.

Następną ofiarę, też prostytutkę, również związał, ale był tak pijany, że morderstwo odłożył na później.

W tym czasie kobiecie udało się zbiec.

Zgłosiła się nawet na milicję, ale nie potraktowano jej poważnie. Znano ją jako prostytutkę uprawiającą nierząd w zamian za alkohol.

Biegli ze szpitala w Grodzisku Mazowieckim orzekli, że Bogdan Arnold nie jest chory psychicznie. Stwierdzili u niego osobowość psychopatyczną połączoną z nadużywaniem alkoholu. Ich zdaniem w chwili dokonywania czynów miał zmniejszoną lub ograniczoną w znacznym stopniu zdolność rozumienia ich i kierowania swoim postępowaniem.

Proces był krótki. Arnold składał wyjaśnienia trzy dni. Przytaczane przezeń szczegóły były tak makabryczne, że sąd utajnił część posiedzenia. Trzy poprzednie żony Arnolda zeznały, że zmuszał je do perwersyjnych stosunków, a w ich trakcie stawał się brutalny. Po zaledwie sześciu dniach, 9 marca 1968 roku, Sąd Wojewódzki w Katowicach skazał go na karę śmierci. Sąd Najwyższy podtrzymał wyrok. Przed jego wykonaniem Arnold był spokojny, poprosił o możliwość wypalenia papierosa. Został powieszony 16 grudnia 1968 roku w garażu na terenie Aresztu Śledczego w Katowicach.

Pochowano go na cmentarzu komunalnym w Panewnikach.

[8 Tadeusz Wielgolawski, Na tropach zabójcy, Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 1977.](#)

MILION ZA WAMPIRA

W Sosnowcu przy ulicy Czerwonego Zagłębia mieszka Ob. [...], który nigdzie nie pracuje, podaje się za literata. W ostatnich latach odeszła od niego żona, mieszka jedynie z matką.

Kilkakrotnie zgłaszał się do adwokatów, pytając o zasady oskarżenia i wyrokowanie oraz chcąc zaczerpnąć informacji o sposobie obrony „wampira”, o krześle elektrycznym i gilotynie. Twierdzi on, iż morderca kobiet miał wysłać list do MO, w którym podaje, że zamorduje 100 kobiet. Opowiadał o okrucieństwie ludzi i pisanej na ten temat książce⁹.

Dokładnie w pierwszą rocznicę zabójstwa Marii Gomółki, 15 czerwca 1967 roku, Wampir zdawał się znów kpić z organów ścigania. Zamordował Zofię Kawkę dwieście metrów od miejsca, w którym stał schowany w krzakach radiowóz.

Celowe działanie pod nosem milicji ostatecznie wykluczono, bo samochód ukryty był tak dobrze, że nie zauważyły go nawet osoby, które odnalazły ciało.

Dwa miesiące po morderstwie Jadwigi Sąsiek, 3 października 1968 roku, władze zdecydowały się na desperacki krok. Na terenie Zagłębia rozwieszono obwieszczenia: Uchwałą Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Katowicach z dnia 9 XII 1968 r. przyznano nagrodę w wysokości JEDNEGO MILIONA ZŁOTYCH dla osoby, której informacje przyczynią się pośrednio lub bezpośrednio do wykrycia działającego w rejonie Zagłębia Dąbrowskiego mordercy kobiet.

Informacje prosimy przekazywać osobiście lub listownie Komendzie Wojewódzkiej MO w Katowicach, ul. Powstańców nr 31, bądź telefonicznie na nr 255-555, względnie najbliższej jednostce MO.

Organa ścigania gwarantują bezwzględną dyskrecję osobom udzielającym stosownych informacji.

Szczegóły związane z tą sprawą będzie omawiał apel, który zostanie opublikowany w prasie dnia 14 XII br.

Bliższych informacji udzielają jednostki Milicji Obywatelskiej woj. katowickiego¹⁰.

Ogłoszenia dołączano do gazet z 14 grudnia w formie wielkoformatowych wkładek. Na publikację apelu zgodę wydały władze partyjne. Dla przeciętnego Kowalskiego była to kwota wprost niewyobrażalna. Średnia pensja wynosiła 2100 złotych.

Górnicy oczywiście zarabiali więcej, nawet po 6–7 tysięcy miesięcznie. Za butelkę wódki trzeba było zapłacić 50 złotych, a za kilogram dobrej kielbasy – 100. Liczono, że tak wysoka nagroda zachęci społeczeństwo do współpracy. Tak też się stało. Milicję zasypały doniesienia i anonimy.

Komenda Wojew. MO w Katowicach [...] Z wielką uwagą przeczytałam komunikat Komendy Wojew. MO w sprawie dotychczasowych zabójstw.

Jestem oburzona, że coś takiego ma miejsce w naszym powiecie. Chcę dopomóc w wykryciu sprawcy i wskazać osobnika, który wydaje się nam sąsiadom podejrzany. Mianowicie jest to mężczyzna nazwiskiem S. [tu nazwisko]. Mieszka w Zagórzcu na os. [tu nazwa osiedla – przyp. P.S.] blok 30 *środkowa klatka*. Ma około 35 lat.

Jest na rencie, przebywał w domu dla psychicznie chorych, siedział w więzieniu za zabójstwo mężczyzny.

Z żoną nie mieszka, bo stale robi awantury w domu i groził, że ją zabije.

W domu wszystko porąbał. Często przyprawdza sobie do domu kobiety i odgraża się im że ich zabije. Chodzi zawsze elegancko ubrany, co trochę to w innym garniturze, a żyje tylko z renty. Często wychodzi z domu z różnymi pakunkami. Wychodzi zawsze przed wieczorem, a wraca rano. Często chodzi po polach tak jakby czegoś szukał. Sąsiedzi zastanawiają się, gdzie tak często wyjeżdża i za co się ubiera.

Uprzejmie proszę o zbadanie tej sprawy.

Jego wygląd nie budzi podejrzeń [...].

Zagórzanka¹¹ Komenda Wojewódzka MO w Katowicach [...] Proszę zaobserwować p. Mieczysława *nazwisko nie znane* pracownika Huty [tu nazwa Huty – przyp. P.S.] w *charakterze technologa* Zamieszkały przy ul. Krasickiego w [tu nazwa miasta]. Zwrost [sic!], wiek i zachowanie, jakie zaobserwowaliśmy, odpowiada poszukiwanemu zbrodniarzowi. Dobrze byłoby, obym się myliła.

P.S. ¹²

Każdy z takich listów wymagał sprawdzenia. W aktach IPN-u znajduje się kilkadziesiąt raportów zawierających tak zwane wersje osobowe, opracowane na podstawie podobnych doniesień.

W Dąbrowie Górniczej zamieszkuje [...] który jest psychopatą seksualnym.

Często wychodzi z domu wieczorem i rano, udając się w nieznanym kierunku. Leczy się w przychodni psychiatrycznej w Sosnowcu. Jest skryty, zamknięty w sobie, ciągle zamyślony.

W Będzinie przy ulicy Modrzewiowej zamieszkuje [...], który często dostaje szału i robi w domu awantury. Z pracy wraca do domu około godz. 20, wysłuchuje dziennika i znów wychodzi w niewiadomym kierunku lub wyjeżdża motorem. W teczce nosi dwa klucze samochodowe i łyżkę do opon¹³.

Listy i zgłoszenia przekazywali wścibscy, wrogo nastawieni sąsiedzi, byłe żony, porzucone kochanki i tak zwani życzliwi.

W wielu wypadkach informatorzy, licząc na nagrodę, podawali swoje personalia.

Śledczym brakowało nowych pomysłów i w październiku 1969 roku Komenda Główna w końcu zgodziła się na podjęcie gry operacyjnej.

W „Wiadomościach Zagłębia” pojawił się cykl artykułów Elżbiety Jabłońskiej pod wspólnym tytułem Śladami zbrodni. Ich bohaterem był major Jerzy Gruba.

Od kilku lat na terenie Zagłębia Dąbrowskiego działa niebezpieczny przestępca, dokonujący napadów na samotnie przechodzące kobiety.

W wielu przypadkach ofiary napadów zmarły w następstwie doznanych obrażeń.

Mimo angażowania najlepszych sił ludzkich i najbardziej nowoczesnych środków będących w dyspozycji organów ścigania dotychczasowe wysiłki mające na celu ujęcie mordercy kobiet nie zostały uwieńczone powodzeniem.

Niebezpieczny przestępca korzysta wciąż z wolności, stanowiąc zagrożenie kobiet mieszkających w naszym regionie.

Taki stan rzeczy budzi zrozumiałą niepokój opinii publicznej i większe zainteresowanie osobą przestępcy oraz jego metodą działania. Powtarzające się co pewien czas napady są przedmiotem wielu rozmów, dyskusji.

Większość z nich, ze zrozumiałych względów, nie ma nic wspólnego z prawdą, stanowi natomiast pożywkę sprzyjającą powstawaniu rozmaitych domysłów, pogłosek, często plotek.

Ażeby obalić niektóre mity, zacierające w dodatku faktyczną sytuację, zwróciliśmy się do kierownictwa Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej z prośbą o autorytatywne wyjaśnienie szeregu okoliczności związanych z samymi napadami, jak również ze ściganiem przestępcy. Przyjemnie nam donieść, że KW MO pozytywnie rozpatrzyła naszą prośbę, kierując nas jednocześnie do osoby najbardziej kompetentnej, do majora mgr.

Jerzego Gruby kierującego akcją mającą na celu ujęcie mordercy kobiet.

Major Jerzy Gruba jest z wykształcenia prawnikiem. W Milicji Obywatelskiej pracuje od 17 lat.

Zajmuje stanowisko zastępcy naczelnika wydziału kryminalnego KW MO w Katowicach. Jego specjalnością jest wykrywanie zabójstw ze szczególnym uwzględnieniem zabójstw na tle seksualnym¹⁴.

Major Gruba opowiadał dziennikarce między innymi, ilu zbrojców udało mu się schwytać. Choć jego praca była niekończącym się pasmem sukcesów, skromnie tłumaczył, że daleki jest od podkreślania swoich zasług. Przypomniał, że nagroda miliona złotych wciąż czeka, i by ułatwić kontakt, podał swój numer telefonu: 255-555. W rzeczywistości był to numer „telefonu wampirońskiego”, który podawano już w obwieszczeniach o nagrodzie. Ten, kto chciał osobiście przekazać informacje, mógł odwiedzić Komendę Wojewódzką MO w Katowicach przy ulicy Powstańców 31, pokój 164. Obok tekstu opublikowano również zdjęcie majora Gruby.

Kolejne odcinki cyklu Śladami zbrodni ukazywały się co kilka dni. Prezentowano w nich dowody rzeczowe odnalezione przy ofiarach, informacje mogące pomóc w identyfikacji zabójcy i opisy samych zbrodni. Nie zdradzano jednak zbyt wielu szczegółów, by sam przestępca nie mógł się zorientować, ile milicja rzeczywiście wie. W niektórych odcinkach opisywano także inne przestępstwa, ale wyłącznie te zakończone schwytaniem sprawców.

Niestety, i ta metoda nie przyniosła pożądanych rezultatów.

Wywiady z majorem Grubą pojawiały się w „Wiadomościach Zagłębia” do końca

1970 roku. W październiku podjęto kolejną próbę skontaktowania się i włączenia do śledztwa społeczeństwa.

Między 16 października 1970 roku a 16 czerwca 1971 roku w Będzinie, Czeladzi, Sosnowcu, Dąbrowie Górniczej, Grodźcu, Strzeszycach, Łagiszy i Kazimierzu Górnym zorganizowano wystawy pod tytułem Śladami zbrodni.

Były w pewnym sensie kontynuacją cyklu prasowego. Prezentowano na nich fotografie przedmiotów, które mogły należeć do zabójcy, portrety pamięciowe itd. Na koniec zwiedzający mogli wpisać się do książki pamiątkowej i wyrazić opinię o tej bulwersującej sprawie.

Łącznie wystawę zwiedziły 33 352 osoby.

Nie chodziło jednak o informowanie obywateli, bo ci byli przecież informowani aż zanadto.

Wystawa była kolejną prowokacją.

Władze liczyły, że wzbudzi zainteresowanie Wampira, który będzie chciał zobaczyć, jakimi dowodami dysponuje milicja, i sprawdzić, czy śledczy depczą mu po piętach. Z ukrycia fotografowano odwiedzających, a wpisy do książki pamiątkowej badano w laboratorium kryminalistyki.

Na próżno.

Dwa lata później okazało się, że Zdzisław Marchwicki nic nie słyszał o tej wystawie. Widział ją za to jego brat Henryk i wpisał się nawet do książki pamiątkowej. Tyle że nie naprowadziło to śledczych na żaden ślad.

[9](#) Notatki Informacyjne Wydziału „W”, Materiały operacyjne Sprawy Kryptonim „Anna” lata 1966–1968, IPN KA 032/157, t. 1, cz. 2.

[10](#) Janusz Wilk, Koniec wielkiej obławy. Proces wampira z Zagłębia, „Prawo i Życie” z 20 października 1974 roku.

[11](#) Notatki Informacyjne Wydziału „W”, Materiały operacyjne Sprawy Kryptonim „Anna” lata 1966–1968, IPN KA 032/157, t. 1, cz. 2.

[12](#) Tamże.

[13](#) Tamże.

[14](#) Elżbieta Jabłońska, Śladami Zbrodni, „Wiadomości Zagłębia” z 17 października 1969 roku, nr 42 (7050).

NIE CHCĘ SIĘ BAWIĆ W CHIROMANTE

Nasuwa się uwaga, czy te manipulacje koło narządów rodnych, rozbieranie biustonosza itp., czy to jest działanie popędowe, czy jest też symulowanie przestępstwa seksualnego¹⁵.

Gruba w końcu przyznał rację psychologom i psychiatrom utrzymującym, że Wampirem kieruje popęd seksualny, ale czy rzeczywiście w to wierzył, to inna sprawa.

Z opracowywanych co miesiąc „planów działania” wynikało, że wciąż stawiał na stare, wielokrotnie sprawdzone metody.

Stale w gotowości na jego rozkaz czekało 210 milicjantów i 100 żołnierzy OTK (Obrony Terytorialna Kraju), którzy w ciągu kilkunastu minut byli w stanie zablokować wskazany obszar. Tysiące funkcjonariuszy patrolujących teren, milicjantki wypuszczane na wabia, rutynowe sprawdzenia w podejrzanych środowiskach, a nawet chodzenie od drzwi do drzwi – wszystko na nic.

Prewencja nie przyniosła spodziewanych efektów. Znane, sprawdzone metody kryminalistyczne tym razem zawiodły.

W 1970 roku w jednym z raportów Służby Bezpieczeństwa napisano wprost, że motyw polityczny jest jednak mało prawdopodobny.

4 marca 1970 roku Wampir zaatakował po niemal półtorarocznej przerwie. W Siemianowicach Śląskich znaleziono zwłoki Jadwigi Kucianki.

Wkrótce potem do Komendy Wojewódzkiej MO w Katowicach doręczono dwa anonimy. Oba wysłane w Tarnowskich Górach. Pierwszy 11 marca, drugi 4 kwietnia.

„Droga milicjo!”

To morderstwo, które popełniłem niedawno, było moim ostatnim morderstwem. Zawsze czułem niechęć do kobiet. Nie cierpiałem ich i nie lubiłem ich. Dlatego też mordowałem je. Zaznaczam, że to było moje ostatnie morderstwo, nie wiem dlaczego je mordowałem i nie wiem dlaczego posyłam do Was ten list. Być może powodem tego jest moja przypuszczalna choroba umysłowa.

Myślę, że niedługo spotka mnie coś, co mnie wyśle na tamten świat. Żal mi jest Was, „droga” milicjo, która mnie ścigałaś nadaremnie przez parę lat.

Z „poszanowaniem”

Wampir¹⁶

„Droga milicjo!”

Wy, naiwniacy, jesteście ostatnimi patałachami. Żeby aż tak długo mnie ścigać. Mam was tam, gdzie światło dzienne nie dochodzi.

Myślę że niedługo wpadniecie na mój trop (ale i tak go prędko zgubicie).

Z poszanowaniem Kochany Wampir¹⁷

Anonimów nie potraktowano serio.

Zbadano je w katowickim Laboratorium Kryminalistyki KW MO dopiero 15 maja.

Biegli stwierdzili, że choć na pierwszy rzut oka charakter pisma nieznacznie się różni, oba zostały napisane przez tę samą osobę. Jak wiele podobnych listów trafiły do archiwum.

Tymczasem pod koniec kwietnia w Komendzie Wojewódzkiej w Katowicach zorganizowano naradę.

Poza kierownictwem grupy „Anna”, komendantem wojewódzkim pułkownikiem Włodzimierzem Kruszyńskim i naczelnikiem Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego majorem Zygmuntem Kaliszem pojawiło się kilku wysokich rangą oficerów z Warszawy.

Byli także naukowcy, w tym profesor Tadeusz Bilikiewicz, profesor Bolesław Popielski, profesor Jan Stanisław Kobiela, docent Tadeusz Hanausek, docent Władysław Nasiłowski, doktor Stanisław Różycki i kilku innych specjalistów z zakresu psychiatrii, psychologii i medycyny sądowej.

Na początku spotkania psychiatra doktor Stanisław Różycki odwoływał się do wątpliwości dotyczących motywu seksualnego, ponownie przypominając o motywie politycznym. Temat zamknął definitywnie pułkownik Muniak, naczelnik Wydziału I KG MO w Warszawie.

[...] ogólnie rzecz biorąc, suma wypadków ma już polityczną wymowę [...]. Jeśli przyjąć, że sprawcy zależy na wywołaniu niepokoju w terenie tak specyficznym, to czy nie osiągnąłby większego efektu, dobierając ofiary w sensie żon działaczy partyjnych, członkiń Ligii Kobiet, żon oficerów MO, WP itp. Wprawdzie istnieje jakiś dobór nazwisk GOMUŁKA, GIEREK i te dwa nazwiska mogą sugerować powyższe, ale śledząc wiek i zawód pozostałych, mamy do czynienia z robotnicami, jedną pielęgniarką i jedną księżową, obecnie dopiero mamy pracownika naukowego.

W większości jednak wypadków są to prości ludzie. Ja osobiście motyw polityczny bym odrzucił, chociaż taki był już brany pod uwagę¹⁸.

Kadra milicyjna milczała, a naukowcy dyskutowali o hipotetycznym wyglądzie sprawcy, środowisku, z jakiego się wywodzi, zachowaniach.

Szukając analogii, omawiali literaturę i przypadki z całego świata. Powtarzali wciąż te same, często wykluczające się tezy. Jedni twierdzili, że morderca jest wielokrotnie karany sadystą, inni, że nigdy nie miał konfliktu z prawem. Zakładali również, że jest homoseksualistą, by już po chwili uzasadniać, że to mężczyzna heteroseksualny mający uraz do kobiet.

Mógł wprawdzie prowadzić podwójne życie, być spokojnym mężem i ojcem, ale według kolejnej teorii wątpliwe było, by założył rodzinę, raczej żył samotnie, na uboczu, wycofany i spokojny.

Mógł być sportowcem lub byłym komandosem.

Profesor Bilikiewicz, psychiatra, uważał, że sprawca uprawia ryzykowny zawód – jest górnikami albo cyrkowcem. Mógł być impotentem, a może i mieć wadę anatomiczną prącia.

Albo odwrotnie: mógł być nadpobudliwy seksualnie i często się masturbował.

Zastanawiano się też, czy jest możliwe, że morderca tylko pozorował motywację seksualną. A jeśli tak, to co naprawdę kieruje jego zachowaniem? Czy te wszystkie zbrodnie są dziełem jednego człowieka, skoro widoczna jest zmiana modus operandi? – pytał z kolei profesor Kobiela, który uważał też, że Wampir mógł się ukrywać w środowisku zakonników, hermetycznym i trudnym do zbadania.

Sporo uwagi poświęcono obrażeniom ofiar. Docent Nasiłowski, specjalista medycyny sądowej, zwrócił uwagę, że ciosy zwykle zadawano po lewej stronie głowy, co wskazywało, że sprawca zadawał je lewą ręką. Tylko w przypadku ostatniej ofiary, Jadwigi Kuci, ciosy zadano prawą ręką (obrażenia znajdowały się po prawej stronie). Mimo to nie chciał przesądzać prawo- lub leworęczności sprawcy. Zauważył też, że w ostatnich dwóch przypadkach musiała nastąpić zmiana narzędzia, bo inny jest charakter ran.

Wreszcie doktor Różycki podsumował: Co do osobowości sprawcy, nie można przyjmować jakiegś jednej hipotezy i tylko jej się trzymać, bowiem właściwie niczego o sprawcy nie wiemy. Powołując się na literaturę światową, w tej sprawie stwierdzam, że tych ludzi można by szukać właściwie wszędzie¹⁹.

Ta bolesna prawda obnażała bezsilność zarówno organów ścigania, jak i naukowców. Potwierdził to również profesor Bilikiewicz: Zwraca uwagę zmasowane działanie sprawcy w latach od 1966 r. – występuje tu jak gdyby przymus w działaniu. Nie potrafię wyjaśnić i nie chcę się bawić w „hiromante” [sic!], i wskazywać kogokolwiek, najlepiej powiedziałbym: każdy może być – teraz jest trudno coś powiedzieć, to bardzo ryzykowne, może być wśród nas²⁰.

Ale gdy się czyta stenogram z narady, trudno oprzeć się wrażeniu, że dyskusja przypominała wróżenie z dłoni.

Naukowcy sami przyznawali się do swojej bezradności, a rola majora Gruby ograniczyła się do zreferowania sprawy.

Z akt zgromadzonych w Instytucie Pamięci Narodowej wynika jasno, że w kwietniu 1970 roku, po ponad pięciu latach śledztwa, nikt nie miał pojęcia, gdzie szukać Wampira. Nie istniała też żadna lista cech sprawcy. Nikt nie wspominał o teczkach osobowych, kartach perforowanych, podświetlarce ani tym bardziej o komputerze.

Tymczasem już w czerwcu 1970 roku, a więc niecałe dwa miesiące później, major Gruba i pułkownik Muniak dzięki współpracy aż czterdziestu wybitnych specjalistów dokonali analizy i stworzyli obraz sprawcy odpowiadający 485 cechom. Pisała o tym Barbara Seidler w książce Ludzie i paragrafy wydanej w 1988 roku. Niestety, dokumentu tego nie ma ani w aktach IPN, ani w archiwum sądu. A szkoda, bo mógłby wyjaśnić, co właściwie stało się między kwietniem a czerwcem 1970 roku, że oto nagle, po latach bezowocnego pościgu, Gruba przygotował Problemową analizę całokształtu materiału i działań, któremu to dokumentowi od tej chwili podporządkowano śledztwo.

Zastanawiające też, po co w marcu 1971 roku Gruba i Muniak sprowadzili z NRD podpułkownika doktora Manfreda Ochernala, skoro już w czerwcu 1970 roku zrozumieli, jak schwytać Wampira.

Ochernal był radcą ministra, specjalistą psychiatrii i neurologii, kierował szpitalem psychiatrycznym, w którym Stasi przetrzymywała więźniów politycznych. Rozmawiał z doktorem Różyckim, doktorem Rakowskim, docentem Nasiłowskim i docentem Hanauskim. Przez trzy dni zapoznawał się z aktami, oglądał pięć filmów nakręconych w czasie oględzin miejsc zabójstw i obdukcji ofiar, a nawet osobiście odwiedził miejsca zbrodni.

[...] koncentracja przestępstw w Będzinie i na północny zachód od Będzina wskazuje na to, że sprawca zamieszkuje w Będzinie lub w bezpośrednim sąsiedztwie Będzina albo też, że tam pracuje.

Jednakże nie powinno się tylko na tym koncentrować, lecz uwzględnić również inne miejscowości /poza teren województwa/. Jeśli bowiem nawet przestępstwa popełnione zostały w okręgu Katowickim, to z uwagi na:

- a/ wielką liczbę,
- b/ sposób /przede wszystkim seksualnym/,
- c/ zaniepokojenie ludności itd. *polityczne*, posiadają one wybitne ponadregionalne znaczenie /dla terenu całej PRL/.

Być może należałoby jeszcze raz poddać dokładnej analizie wszystkie metody, a szczególnie środki taktyki kryminalistycznej i techniczne, ponieważ przy pomocy dotychczasowych metod nie posunięto się istotnie dalej. Myślę tutaj o jednym śladzie, który prawdopodobnie pozostawił sprawca, tzn. o liście z dnia 11.11.1964 r. Być może, że bardzo ofensywne zastosowanie jeszcze większej ilości środków dla wyjaśnienia mogłoby sprawę posunąć dalej. Należało by w całej Polsce objąć sondażami zakłady psychiatryczne, karne, warsztaty młodzieżowe i szkoły średnie /szczególnie instytuty techniczne, gdyż może być to pismo techniczne/, zakłady przemysłowe /jak fabryki, kopalnie itd./, tzn. sprawdzić, czy „Student” to przezwisko, nazwisko hippisa lub coś w rodzaju [...] ²¹.

Anonim Studenta analizowali wcześniej – w sierpniu 1966 roku – polscy specjaliści, ale wnioski były zbyt ogólne, by naprowadzić śledczych na nowy trop. Ekspertyza nie wykazała, czy został napisany przez jedną osobę. Po zamknięciu sprawy Karola Kota – jak już była o tym mowa – trafił do archiwum i przez kolejne kilka lat przeleżał w aktach jako jedna z poszlak; uznano, że może w przyszłości uda się go dopasować do sprawcy. Ochernal nie miał wątpliwości, że anonim został napisany przez mordercę, i wiele o nim mówił.

Wydaje się, że z chęci posiadania władzy zapanowała w nim żądza imponowania /vide list: „100 kobiet, 50, 1/4”, itd. albo „do zobaczenia na ławie oskarżonych”. Taka rozprawa sądowa mogłaby stać się odprężeniem dla jego anomalii np.

„Jestem najciekawszym i najbardziej poszukiwanym mordercą Polski, a być może

całego świata!” albo dosłownie: „Nie szukajcie mnie, nie dam się znaleźć”.

To, w połączeniu z obrażaniem milicji, wskazuje na głód władzy *potrzebę imponowania*²².

Poza analizą anonimu raport doktora Ochernala niewiele się różnił od ustaleń polskich naukowców. Jego wnioski były tak samo ogólne i tak samo nie wskazywały żadnego punktu zaczepienia.

Konsultacja nie posunęła śledztwa ani o krok. Mimo to zdecydowano, aby zasięgnąć opinii kolejnego specjalisty.

Władze centralne musiały być zdesperowane, skoro zgodziły się zwrócić o pomoc do USA. Nie ma wątpliwości, że decyzję musiał zaakceptować sam Edward Gierek. Teraz pełniący już funkcję pierwszego sekretarza Komitetu Centralnego PZPR.

¹⁵ Protokół z narady w sprawie „Anna” z dnia 22 kwietnia 1970 roku, akta sprawy IV.K.157/74, karta 8248-8291.

¹⁶ Akta sprawy IV.K.157/74, brak numeru karty.

¹⁷ Tamże.

¹⁸ Protokół z narady w sprawie „Anna” odbytej w dniu 22 kwietnia 1970 roku w KWMO Katowice, akta sprawy IV.K.157/74, karta 08248-08291.

¹⁹ Tamże.

²⁰ Tamże.

²¹ Sprawozdanie dra Ochernala z dnia 20 marca 1971 roku, akta sprawy IV.K.157/74, karta 8300-8326.

²² Tamże.

ANONIMY TARNOGÓRSKIE

O ogólnym poziomie umysłowym zdaje się też świadczyć jakość poczucia humoru: choć nie ma tu wulgaryzmów, to jednak „dowcipne” w zamierzeniu autora ironiczne zwroty w rodzaju „Droga milicjo”, „Kochany wampir” czy „mam Was tam, gdzie...” nie są dowcipami wyższego rzędu – ogólny poziom autora określiłbym więc jako średni²³.

W październiku 1971 roku prokurator Leszek Polański zwrócił się do Katedry Filologii Polskiej Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu z prośbą o wykonanie analizy językowej anonimów tarnogórskich. Mijał właśnie rok od rozpoczęcia akcji milicyjnej na gigantyczną skalę.

Założono, że Wampir przewinął się już wśród osób sprawdzanych, więc co pewien czas ponownie weryfikowano wszystkie materiały odłożone ad acta. Nie przyniosło to spodziewanego efektu: nikt z grupy dotychczas sprawdzanych mężczyzn nie był autorem anonimów.

Ponieważ uważano, że listy musiał napisać ktoś spośród stu dwudziestu tysięcy mieszkańców Tarnowskich Gór i Będzina, w październiku 1970 roku grupa specjalnie przeszkolonych techników porównywała cechy pisma autora anonimów z wnioskami dowodowymi i innymi dokumentami, takimi jak życiorysy, pisma urzędowe itp.

Każdego dnia ekspertyzie poddawano około sześciuset rękopisów. Do końca listopada sprawdzono dwadzieścia tysięcy osób. Akcja zakończyła się pod koniec 1971 roku, ale w aktach brakuje informacji o jej wyniku.

Prokurator Leszek Polański chciał się dowiedzieć, czy na podstawie treści anonimów można określić stopień rozwoju umysłowego autora, jego wykształcenie albo region zamieszkania.

Badania zlecono doktorowi Markowi Kornaszewskiemu.

[...] charakter pisma, sposób pisania liter [...] znamionują, moim zdaniem, człowieka nawykłego do pisania o tzw. „wyrobionym” charakterze pisma. [...] Widoczna na pierwszy rzut oka jest różnica pod względem grafii pomiędzy tekstami „B” oraz „A” – ten ostatni robi wrażenie pisanego przez osobę mało i słabo piszącą. Przyjęte założenie wstępne o wspólnym autorstwie obu tekstów każe jednak wnioskować, że widocznie przyczyna takiej formy tekstu „A” była inna – jeśli nie zamierzona mistyfikacja, to warunki, w jakich list powstał: stan dużego napięcia emocjonalnego (szok?), pośpiech, może brak światła czy t.p.

Warto jednak zwrócić uwagę na pewną zbieżność pomiędzy obu tekstami: otóż oba pisane są na papierze kratkowym, w obu wypadkach autor nie przestrzega linii (pisze pomiędzy kratkami), a jednak pisze wcale równo. Dowodzi to już nie tylko wyrobienia w pisaniu, ale czegoś więcej – takiej swobody w posługiwaniu się pismem na papierze nie liniowanym (co nie jest bardzo częste), że autor w ogóle nie zwraca na to uwagi²⁴.

Sporo informacji przyniosła analiza znaków interpunkcyjnych. Autor dość swobodnie, a przy tym często poprawnie, stosował kropki, przecinki, wykrzykniki, cudzysłów oraz nawias. Pozwalało to sądzić, że musi posiadać przynajmniej wykształcenie średnie. Na poparcie tej tezy doktor Kornaszewski przeprowadził eksperyment z udziałem osiemdziesięciu studentów pierwszego roku filologii.

Podyktował im cztery zdania złożone o takiej samej konstrukcji składniowej, jaką miały te zawarte w liście.

Trzy pierwsze z wybranych zdań autor tekstu napisał poprawnie, podczas gdy w zdaniach „eksperymentalnych” popełniono błędy: w pierwszym – 30 osób, w drugim – 36 osób, w trzecim – 25; w czwartym zdaniu, co prawda, i autor pomiął konieczne przecinki, ale aż 57 spośród piszących polonistów popełniło ten sam błąd²⁵.

W analizie doktor Kornaszewski omówił także ortografię, składnię, scharakteryzował styl, przeanalizował słownictwo i frazeologię.

Jedno wyrażenie mogłoby świadczyć o znajomości stylu administracyjnego, „biurokratycznego”, przez autora: „Zaznaczam, że...”. Nie ma żadnych wyrazów czy połączeń frazeologicznych, które by mogły świadczyć o pochodzeniu terytorialnym autora (ewentualne wtręty gwarowe), jego zainteresowaniach czy zawodzie (brak ewentualnej wyraźnej terminologii). Krótkość tekstu nie pozwala również na wyłowienie ewentualnych ulubionych przez autora wyrazów (np spójniki, przysłówki, a więc wyrazy niezależne od treści tekstu). Możliwe, że takimi wyrazami, świadczącymi o indywidualnym wyborze autora lub o jego pochodzeniu, okazałyby się np. „naiwniak”, „z poszanowaniem” (zamiast „uszanowaniem”), „posyłam” (zam. możliwego „wysyłam”), „patałach” (zam. możliwych synonimów: „niezdara”, „fajtłapa”, „frajer”, „noga”) – ten ostatni wyraz, rzadziej ostatnio używany, mógłby dowodzić wieku autora, a mianowicie że nie należy on do pokolenia młodego.

Warto zwrócić uwagę na fakt, iż autor, przy całej swej manifestowanej niechęci (nawet pogardzie) do MO ustrzeża się wulgaryzmów w epitetach skierowanych pod jej adresem; nawet w b. dosadnej sytuacji (w liście „A”, pisanym, jak sądzę, w stanie dużego napięcia emocjonalnego) zdobywa się na opisowy eufemizm („Mam Was tam, gdzie światło dzienne nie dochodzi”) – wszystko to znamionuje, moim zdaniem, człowieka przywykłego do kontrolowania swych wypowiedzi, do kulturalnego wyrażania się²⁶.

Niestety, żaden z anonimów nie pozwolił określić, z jakiej grupy zawodowej wywodził się ich autor, jakie miał zainteresowania ani skąd mógł pochodzić. Najbardziej prawdopodobny wydawał się wiek mieszczący się w przedziale 35–40 lat.

Niełatwym także, mimo istnienia pewnych przesłanek, jest określenie osobowości, cech charakterologiczno—psychicznych autora.

Wymaga to bowiem już nie tylko znajomości psychologii, ale psychopatologii, w której to dziedzinie nie czuję się kompetentny. Dodatkowo komplikuje sprawę fakt różnic pomiędzy obu listami.

Wydaje się, że autor jest osobą niezrównoważoną (sposób stawiania liter przy wyrobionym przecież charakterze pisma, niekończenie wyrazów przy nawyku poprawnego i równego pisania), psychicznie „napiętą” (wewnętrzna konieczność „rozładowania” napięcia przez podzielenie się przeżywanym, mogłoby to dowodzić swoistego „chojractwa”, tutaj jednak ma chyba podłoże patologiczne).

Różnice (zwłaszcza w charakterze pisma) pomiędzy listami mogły być spowodowane zamierzoną mistyfikacją autora w wypadku listu „A”, chęcią skierowania organów ścigania na fałszywy trop. Dowodziłoby to jednak, trudnej do przyjęcia w świetle innych spostrzeżeń, naiwności autora.

Przyczyny różnic dopatrywałbym się więc raczej (obok ewentualnych różnic w warunkach pisania obu listów) w „falowaniu” stanu emocjonalnego piszącego – np. list „A” mógł powstać na krótko po popełnieniu przestępstwa lub w innym momencie napięcia, list „B” natomiast w chwili większego spokoju, refleksyjnej zadumy²⁷.

Poszukiwanie autora anonimów tarnogórskich podaje w wątpliwość oficjalną wersję, zgodnie z którą już wiosną 1970 roku major Gruba był na tropie Zdzisława Marchwickiego.

²³ Postanowienie o zasięgnięciu opinii biegłego z dnia 30 października 1971 roku, akta sprawy IV.K.157/74, karta 20302- 20315.

²⁴ Tamże.

²⁵ Tamże.

²⁶ Tamże.

²⁷ Tamże.

BOŻE, CZEMU NIE SPOWODUJESZ MOJEJ ŚMIERCI

Mężczyzna przystanął, zaczekał, aż go minęła. A potem to już były sekundy.

Poczuła, że na jej szyję opada gruby sznur, że ten sznur się zaciska i że ktoś ciągnie ją do tyłu. Nie zdołała nawet krzyknąć. Upadła na szosę i czuła, że napastnik wlecze ją gdzieś w bok. Na chwile rozluźnił pętlę, zachłysnęła się powietrzem. Po chwili pętla zacisnęła się znowu²⁸.

W czerwcu 1971 roku zaczęła się jeszcze jedna prowokacja. Tygodnik „Zagłębie”^{*} rozpoczął publikację powieści Ludzie o dwóch twarzach Elżbiety Jabłońskiej znanej już z cyklu Śladem zbrodni²⁹.

Pierwszy rozdział, Ślady we mgłę, dotyczy morderstwa młodej kobiety.

Kolejnymi ofiarami seryjnego mordercy padają wyłącznie kobiety. Co ciekawe, ten rodzaj prowokacji zastosowano już drugi raz. W 1967 roku zagłębiowski tygodnik drukował powieść Marii Trzcińskiej Nieuchwytny.

Wówczas prowokacja – w pewnym sensie – się udała.

Maria Trzcińska to jeden z kilku pseudonimów literackich Larisy Zajączkowskiej-Mitznerowej, pisarki między innymi popularnych powieści kryminalnych, najlepiej znanej jako Barbara Gordon. W swojej autobiografii Powieść życia.

Dzienniki i wspomnienia, wydanej pośmiertnie, pisarka ujawniła, że Nieuchwytnego pisała na zamówienie milicji. Chodziło o prowokację, a zarazem uwrażliwienie społeczeństwa. Czytelnicy zamiast się bać, mieli obserwować i informować władze o swoich podejrzeniach. Tak postępowała główna bohaterka.

Po napisaniu tej powieści zdarzyło się coś, co na wiele lat zniechęciło mnie do kryminałów. Otóż nagle doszła do mnie informacja, że albo wampir zmienił sposób zabijania, albo też pojawił się nowy morderca, stosujący metodę, którą ja w tej powieści dla niego wymyśliłam. Proszono mnie bowiem, żebym nie powtarzała dokładnie realiów tej sprawy, aby uniknąć komplikacji w śledztwie. Mógł bowiem jakiś szaleniec, opętany żądzą sławy, zgłosić się na milicję jako poszukiwany wampir, podając okoliczności przeze mnie opisane. Wymyśliłam więc, że dusi kobiety pętlą z kabla. I oto pojawił się morderca stosujący właśnie ten sposób. Zrobiło mi się zimno. Okazało się jednak, że był to inny człowiek, a mordować w ten sposób zaczął, zanim jeszcze skończyłam moją powieść.

Może to przykład jakiejś złej telepatii.

Po napisaniu tej książki, a zwłaszcza rozdziału, który na swój użytek nazwałam „spowiedzią wampira”, byłam wykończona, psychicznie i fizycznie³⁰.

Przestępca, o którym pisała, był Krzysztof P., nazwany przez śledczych Pętlarzem.

1 sierpnia 1972 roku patrol Ruchu Drogowego w Oświęcimiu zatrzymuje do

kontroli syrenkę o numerze rejestracyjnym SP 48-11. Za kierownicą siedzi Krzysztof P., mieszkaniec Sosnowca. Plutonowy Jerzy Koftis kojarzy, że samochód o podobnych numerach był widziany w okolicy, w której niedawno zaatakował Pętlarz.

Ale nie daje nic po sobie poznać.

Spokojnie wyjaśnia kierowcy, że powodem zatrzymania są źle wyregulowane światła.

Mężczyzna tłumaczy, że wóz jest nowy, ma go od niedawna i jeszcze nic przy nim nie robił.

Milicjant proponuje, aby pojechali razem na komendę i tam poprawili światła, mówi, że oślepiają innych kierowców.

Gdy docierają na miejsce, Krzysztofa P. zostaje przeszukany.

Pod nogawką spodni ma owinięty na nodze kawałek sznura. Tłumaczy, że schował go, wychodząc z domu, żeby żona nie zauważyła. Skruszonym głosem wyznaje, że chciał odwiedzić kochankę, pożegnać się z nią, a później popełnić samobójstwo.

Milicjanci jednak nie dają temu wiary.

Sznur ma zaledwie osiemdziesiąt centymetrów – za mało, by zrobić pętlę i powiesić się na gałęzi. Zatrzymują P. w areszcie i powiadamiają Komendę Wojewódzką o ujęciu mężczyzny, który może być Pętlarzem. Kilka godzin później przeszukują jego mieszkanie.

Znajdują w nim kilka kawałków sznurów i kabli oraz kombinerki. Zabezpieczone przedmioty przesyłają do laboratorium kryminalistyki KG MO w Warszawie.

Odpowiedź przychodzi bardzo szybko.

Badania mechanoskopijne potwierdzają, że właśnie tymi kombinerkami odcięto kawałek drutu znaleziony przy jednej z ofiar.

P. zostaje postawiony zarzut.

W okresie od 13 lipca 1970 roku do 6 lipca 1972 roku na terenie województwa katowickiego i krakowskiego systematycznie dopuszczał się napadów na kobiety i obezwładniał je za pomocą zarzucanej na szyję pętli, przy czym godził się na ich ewentualny zgon w wyniku doznawanych przez nie obrażeń³¹.

Podjejrany nie przyznaje się do winy i zaprzecza, że jest Pętlarzem. Przekonuje, że doszło do pomyłki, bo ma żonę, dziecko i prowadzi normalne życie.

Niedawno nawet wygrał na loterii syrenkę. Nie ma powodów, by napadać kobiety. Wreszcie przez przypadek mówi, że był kiedyś karany za gwałt na nieletniej. Odsiedział nawet część wyroku, resztę darowano mu na mocy amnestii.

Milicjanci są zdumieni, bo w jego aktach nie ma takiej informacji. Kontynuują przesłuchanie P., który zaczyna symulować chorobę psychiczną.

Opowiada o duchach, które go jakoby nawiedzają, o rogatych kozach i diabłach.

W nocy wzywa strażników i żąda wody święconej. Po kilku dniach, widząc, że w taki sposób nic nie wskóra, obiecuje powiedzieć prawdę pod warunkiem umożliwienia mu spotkania z żoną i dzieckiem. Śledczy godzą się, ale także mają warunek: najpierw

przyznanie się, potem spotkanie. Ku ich zaskoczeniu P. opowiada, jak w Ząbkowicach Będzińskich napadł na młodą dziewczynę. Dusił ją pętlą zarzuconą na szyję. Gdy dostała drgawek, przestał.

Kiedy odzyskała przytomność, porozmawiał z nią chwilę – miała na imię Teresa. Kazał jej zamknąć oczy, liczyć do dwudziestu, sam zaś uciekł. Po spotkaniu z żoną przyznał się jeszcze do szesnastu napadów.

Nie zgadzał się tylko z zarzutem godzenia się na pozbawienie życia. Był przekonany, że nie robi im krzywdy. W młodości sam się chciał powiesić, ale sznur się urwał i tylko stracił przytomność. Dusił ofiary tak, by mdlały, potem rozbierał je i gwałcił. W czasie śledztwa okazało się, że jego żona jest chora na padaczkę. Biegli stwierdzają, że jej choroba i problemy z pożyciem małżeńskim znajdowały odzwierciedlenie w zachowaniu P. Zeznawał: Jeśli ofiara po zarzuceniu jej na szyję pętli była nieprzytomna i dostawała drgawek, to doznawałem szczególnie mocnego zadowolenia, dlatego ją porzucałem, nie próbując nawet jej obnażyć czy też zgwałcić [...] po wszystkim czułem zawsze obrzydzenie do samego siebie i tak sobie myślałem – Boże, czemu nie spowodujesz mojej śmierci, żebym ja te dziewczyny nie męczył, bo i tak z tego nie mam żadnej przyjemności ani ona, ani ja, ale tylko jeszcze męczę te kobiety. A właściwie to przyjemność, jak mi się wydaje, miałem wtedy, gdy kobietę ciągnąłem i miałem ją w rękach³².

Choć badania psychiatryczne wykazały u Krzysztofa P. „charakteropatię z głębokimi zaburzeniami popędu seksualnego oraz głębokie zmiany osobowości o cechach schizoidalnych i infantylnych”, sąd skazał go na 25 lat więzienia. Prokurator odwołał się od wyroku, żądając kary śmierci, a obrońca – powołując się na chorobę psychiczną – wniósł apelację, wnioskując o uniewinnienie. Do rozprawy jednak nie doszło. 5 września 1975 roku P. zmarł w Zakładzie Karnym w Strzelcach Opolskich. W dokumentach napisano, że śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych.

Dlaczego Zajączkowska-Mitznerowa pisała we wspomnieniach, że Pętlarz zaatakował, zanim ukończyła swoją powieść, już się nie dowiemy.

* Od stycznia 1971 roku tygodnik „Wiadomości Zagłębia” ukazywał się pod nazwą „Zagłębie”.

²⁸ Barbara Gordon, *Nieuchwytny*, Czytelnik, Warszawa 1977.

²⁹ Elżbieta Jabłońska, *Ludzie o dwóch twarzach – ślady we mgle*, odc. 1, Regionalny Tygodnik Społeczno-Polityczny i Kulturalny „Zagłębie” z 18 czerwca 1971 roku, nr 24 (792).

³⁰ Larysa Zajączkowska-Mitznerowa (Barbara Gordon), *Powieść życia. Dzienniki i wspomnienia*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2008.

³¹ Maria Osiałaczkowa, *Wampir z Sosnowca*, „Prawo i życie” z 15 lipca 1974 roku, nr 29.

³² Tamże.

RAPORT BRUSSELA

Ogólnie należy podnieść, że dr Brussel w czasie kontaktów z nami zachowywał się bardzo poprawnie, wyrażając w sposób oficjalny uznanie dla zespołu, który prowadził z nim rozmowy, jak również prezentowanej mu dokumentacji technicznej. Nie chciał się angażować w dyskusje o charakterze społeczno-politycznym.

Na podstawie tego, co zobaczył wraz z żoną w sposób kierowany i podczas samodzielnego zwiedzania Warszawy wielokrotnie i spontanicznie wyrażał wraz z żoną uznanie dla naszego państwa i narodu. Stwierdzili, że to, co osobiście zobaczyli, było dla nich miłym rozczarowaniem na tle oficjalnej propagandy Stanów Zjednoczonych³³.

3 stycznia 1972 roku pułkownik Józef Muniak, naczelnik Wydziału I Biura Kryminalnego KG MO, napisał notatkę do komendanta głównego. Było to sprawozdanie z wizyty amerykańskiego psychiatry Jamesa A. Brussela, który w dniach 27–28 grudnia 1971 roku przyleciał do Warszawy.

W 1956 roku doktor Brussel przygotował portret psychologiczny przestępcy, który przez szesnaście lat podkładał bomby w budkach telefonicznych, szaletach miejskich, bibliotekach i innych miejscach publicznych w Nowym Jorku. Dzięki temu policja ujęła Mad Bombera – szalonego bombiarza, którym okazał się George Metesky. Tak jak przypuszczał Brussel, nosił dwurzędową marynarkę, był katolikiem oraz imigrantem z Europy.

Jego rodzice byli Litwinami, on sam urodził się na terenie zaboru rosyjskiego.

Brussel pomógł także w ujęciu Alberta DeSalvo, seryjnego mordercy kobiet nazywanego Dusicielem z Bostonu, i rozwiązał setki innych zagadek z przestępstwami na tle seksualnym. Był twórcą metody profilowania psychologicznego, którą w latach sześćdziesiątych wprowadziło FBI.

Muniak napisał w notatce, że specjaliście z Ameryki udostępniono dokumentację, ale w odróżnieniu od doktora Ochernala, Brussel nie spotkał się z polskimi naukowcami. Nie ujawniono mu dotychczasowych teorii ani hipotez dotyczących Wampira.

Na podstawie zaprezentowanego materiału dr Brussel wydał następującą opinię: przestępca jest dotknięty chorobą zwaną schizofrenią paranoidalną.

Choroba ta osiągnęła szczyt po 30. roku życia i obecnie jest w stadium schyłkowym; sprawca rozpoczął działalność w wieku 30–35 lat, aktualnie nie powinien mieć więcej jak 45 lat; pochodzi z rejonu, w którym dokonuje przestępstw, i jest z tym rejonem związany na stałe; motywem działania przestępczego są zaburzenia w sferze życia seksualnego; nienawiść do kobiet, a przede wszystkim do matki, jest zasadniczym impulsem w jego działaniu. Nad impulsem tym może panować przez długie miesiące. Stąd arytmia w jego przestępczym działaniu. Nie można wykluczyć, że w okresie „ciszy” może uprawiać masturbację; celem zasadniczym w działaniu jest

zabijanie kobiet. Pozostałe przy życiu sześć ofiar nie mają w tym kontekście znaczenia. Sprawca mógł je pozostawić w przekonaniu, że umrą; sprawca jest samotnikiem i raczej należy wykluczyć, aby był żonaty.

W codziennym życiu jest schludny, precyzyjny, nie popadający w panikę.

Jest czynny zawodowo raczej jako pracownik techniczny lub umysłowy.

W miejscu pracy powierzone mu zadania wykonuje prawidłowo, jest jednak indywidualistą i chce realizować zadania sam.

Będzie protestował, jeśli zlecono by mu określone zadania do wykonania wspólnie z kobietami; posiada co najmniej średnie wykształcenie, ponadto wrodzoną inteligencję, z charakteru sobek, nie nawiązujący i nie utrzymujący stosunków towarzyskich; raczej nie przechodzi w zbiorach kryminalnych milicji.

Nie jest alkoholikiem i prawdopodobnie nie pali również tytoniu; w oparciu o charakter obrażeń uważa, że sprawca jest mańkutom; ostatnie dwa anonimy nadane w Tarnowskich Górach pochodzą od sprawcy, natomiast wyklucza, aby anonim z podpisem „Student” był dziełem poszukiwanego przestępcy.

W oparciu o całokształt sprawy i przedmiotowe anonimy dochodzi do wniosku, że sprawca na zabójstwie J. KUCIA zakończył swoją zbrodniczą działalność /paranoik jest wierny własnym deklaracjom/; jeśli chodzi o narzędzie, to dr Brussel wychodzi z założenia, że mamy do czynienia z narzędziem metalowym prawdopodobnie związanym z zawodem lub miejscem pracy przestępcy.

Sugeruje, że możemy mieć do czynienia z szerokim i płaskim pilnikiem³⁴.

Doktor Brussel obiecał przesłać w ciągu miesiąca na adres ambasady polskiej w Waszyngtonie szczegółową opinię zawierającą odpowiedzi na osiemnaście pytań przygotowanych przez śledczych. Za jego zgodą rozmowa została nagrana na taśmie magnetofonowej.

Notatka pułkownika Muniaka kończyła się wnioskiem, by natychmiast rozpocząć działania nad poszerzeniem zespołu eksperckiego przez włączenie do niego konsultantów z dziedziny psychiatrii i psychologii. Co prawda, zaznaczył, że nasi naukowcy nie podzielili zdania co do rodzaju jednostki chorobowej – wykluczali schizofrenię paranoidalną na rzecz charakteropatii – ale w pozostałych kwestiach się zgadzali.

Prasa wielokrotnie podkreślała, że śledczy wpadli na trop Wampira w listopadzie 1971 roku. A zatem do wizyty Brussela doszło w czasie, gdy opisywany w gazetach komputer wytypował już podejrzanego. O ile jakkolwiek komputer został w śledztwie użyty. Dlaczego Muniak, współtwórca analizy, ponownie wnioskował o ściślejszą współpracę z naukowcami?

Czy tak wysoki rangą oficer milicji nie dysponował informacjami o postępach śledztwa? Czy na początku grudnia 1971 roku Gruba miał jakiegokolwiek pojęcie, gdzie szukać Wampira?

Raportu Brussela nie ma w sądowych aktach sprawy ani w archiwum IPN. Jego

fragment znajduje się w książce Grażyny Starzak. Niestety, autorka nie pamięta, od kogo otrzymała dokument. Nie ma pewności, czy są to urywki samego raportu czy raczej notatki sporządzone na podstawie nagranej rozmowy. Taśma magnetofonowa mogłaby rozwiać wątpliwości, ale ona również przepadła.

Nie ma jej w żadnym archiwum.

O raporcie Brussela wspomina także profesor Tadeusz Widła z Katedry Kryminalistyki Uniwersytetu Śląskiego.

Jest pewien, że go miał, ale po tylu latach gdzieś się zapodział. Urywki z książki Grażyny Starzak muszą wystarczyć.

Jednak gdy się takich ludzi ujmie i przeprowadzi szereg testów psychologicznych i psychiatrycznych, okazuje się, że prawie we wszystkich przypadkach jest to schizofrenia typu paranoidalnego.

Typ paranoidalny odznacza się prawidłową budową ciała (w linii poziomej i pionowej rozwinięty jest proporcjonalnie, symetrycznie).

Jednakże biorąc pod uwagę wagę niektórych ofiar i odległości, na jakie były przemieszczane, przestępca musi dysponować więcej niż przeciętną siłą (na taki wniosek wskazuje również siła, z jaką uderzał ofiary swoim narzędziem). Jako typ paranoidalny jest on w swoich poczynaniach precyzyjny, jest ostrożny, planuje starannie swoje działania; jest schludny, lubi porządek, jest czysty.

Trzyma się z dala od ludzi – tak mężczyzn, jak i kobiet. Jego jedynym sposobem osiągnięcia zadowolenia seksualnego jest masturbacja lub – symbolicznie, jak ze swymi ofiarami – pewna kombinacja fetyszyzmu i zemsty na matce i całym rodzaju żeńskim.

Z uwagi na to, że schizofrenia osiąga swoje szczytowe nasilenie objawów klinicznych w wieku (zazwyczaj) 35 lat, człowiek ten musi być obecnie w latach czterdziestych. [...] Dowodem na to, że jest on mańkutom, jest fakt, iż dwie kobiety zostały zabite jednym ciosem przez lewą stronę głowy. Że zbliżał się on do swoich ofiar od tyłu, widać stąd, że rany są szersze bliżej tyłu głowy i zewężają się ku przodowi. Jego listy wskazują na to, że ma on wykształcenie średnie lub wyższe, być może o charakterze technicznym. Używane przez niego narzędzie przypominało pilnik o przekroju półokrągłym, przy czym przekrój od strony uchwytu miał kształt prostokątny.

Szerokość narzędzia można ustalić na podstawie szerokości ran, które wynosiły 12 mm. Jeżeli przyjąć, że 15 cm potrzeba było sprawcy na trzymanie narzędzia w ręku, to całe narzędzie musiało mieć co najmniej 45 cm długości. Przestępca musiał gdzieś przeczytać czy dowiedzieć się, że okolica skroniowo— potylicowa czaszki jest najcieńsza – najbardziej wrażliwa na złamanie – ze wszystkich kości czaszkowych, ponieważ uderza on swe ofiary przede wszystkim w to miejsce. [...] Jako typ paranoidalny planował on swój sposób postępowania nawet na wypadek wystąpienia nieprzewidzianych okoliczności.

Dlatego też kiedy pewnego razu został niemal wykryty na skutek zatrzymania autobusu w pobliżu niego i jego ofiary, zabrał on jej torebkę, oddalając się po

półkolistej drodze, rozrzucał rzeczy należące do napadniętej kobiety. Chodziło mu o to, by opóźnić pogoń, która zatrzymywała się w celu zebrania porzuconych rzeczy. Jego interesowały same ofiary, a nie ich rzeczy. Żaden ze skradzionych przedmiotów nigdy się nie znalazł.

Mam wrażenie, że sprawca je wyrzucał.

[...] Przy swoim wykształceniu może on zajmować odpowiedzialne stanowisko.

Może nawet być zwierzchnikiem technicznym lub administracyjnym kilkuset pracowników, lecz on sam prawdopodobnie pracuje samotnie lub w osobnym gabinecie.

Jest on uprzejmy, zachowując przy tym dystans, ściśle wykonuje powierzone mu zadania, nie uczestniczy w życiu towarzyskim współpracowników, unika kobiet, a podczas pory posiłku w pracy woli jadać samotnie. Jego biurko cechuje ład, może nawet nie trzyma na nim niczego. Nigdy nie jest ono zavalone papierami.

W aktach personalnych przebieg jego pracy jest bez zarzutu [...]. Wątpię, by był on już notowany w kartotekach milicyjnych.

Być może uprawiał seks w sposób sadystyczny, lecz nie do tego stopnia, aby to było uznane za działania przestępcze. Być może w obecnym okresie uprawia sadystyczne stosunki płciowe, na przykład chłostę, chociaż mam co do tego poważne wątpliwości.

Ze względu na to, że zbliża się on lub już przeżywa klimakterium, jego popęd płciowy mógł zmaleć nawet do całkowitego braku aktywności. Jako typowi paranoidalnemu można mu wierzyć, gdy napisał, że już nie będzie zabijał³⁵.

Brussel był pewien, że sprawca chorował na schizofrenię paranoidalną.

Dowodem były ślady pozostawione na miejscach zbrodni, których nasi naukowcy nie potrafili zinterpretować.

Żadnej z ofiar Wampir nie zdjął biustonosza, a sposób manipulowania przy narządach rodnych wydawał się dość prymitywny. Istotne było to, że nie gwałcił – ani przed dokonaniem morderstwa, ani po zamordowaniu.

Zadawał się jedynie samym zabijaniem.

To typowe dla schizofreników, ale nie dla psychopatów. Zdaniem doktora Brussela Wampir był człowiekiem o przynajmniej średnim wykształceniu, dobrze zorganizowanym, nierzucającym się w oczy, nigdy nienotowanym.

W strzępach odnalezionych informacji była też mowa, że z całą pewnością był homoseksualistą, świadomym swojej orientacji, ale nieutrzymującym kontaktów seksualnych z mężczyznami.

Istotnych wskazówek dostarczyły Brusselowi również anonimy tarnogórskie.

Mordercy schizofrenicy często „bawią” się ze śledczymi. Wysyłają listy, starają się naprowadzić na swój trop.

Jeśli piszą, że kończą mordować, to słowa dotrzymują. Gdy zostają złapani, zawsze przyznają się do winy i ze szczegółami opowiadają o swoich wyczynach. Są z nich

dumni.

Raport Jamesa Brussela z odpowiedziami na pytania śledczych prawdopodobnie dotarł do Polski, ale nie miał już znaczenia. Zdzisław Marchwicki nie był mańkutem, nie miał średniego ani wyższego wykształcenia, nie chorował na schizofrenię, pił, palił, był notowany i miał rodzinę. Z całą pewnością też nie on napisał listy, które zdaniem Brussela były dziełem prawdziwego Wampira.

Mimo to 6 stycznia 1972 roku, trzy dni po sporządzeniu notatki przez pułkownika Muniaka, Zdzisław Marchwicki został aresztowany.

[33 Akta IPN BU 0364/13T.3, Archiwum MSW 4921/K/3.](#)

[34 Tamże.](#)

[35 Grażyna Starzak, Powrót wampira. Zdzisław Marchwicki 20 lat później – morderca czy ofiara?, Venus, Kraków 1993.](#)

TO MÓJ MAŻ JEST WAMPIREM

Żonę Zdzisława Marchwickiego widziałem tylko jeden raz po aresztowaniu oskarżonego. Przyszła do mnie 7 stycznia 1972 r. i pyta, gdzie jest mąż, na co ja powiedziałem, że to ona powinna o tym wiedzieć, po czym zwróciła się do syna, z którym przyszła: „widzisz, twój ojciec jest mordercą”. Chłopak był w wieku około 14 lat, wysoki, na słowa Marchwickiej rozplakał się³⁶.

18 listopada 1971 roku do Komendy Miejskiej MO w Siemianowicach wpłynęło podanie z prośbą o ukaranie Zdzisława Marchwickiego – alkoholika, który awanturuje się i znęca nad rodziną.

Napisała je jego Żona.

Pięć dni później o ósmej rano do domu Marchwickich puka sierżant Stanisław Pająk. Kobieta opowiada o mężu – że pije, awanturuje się, od wielu lat znęca się „fizycznie i moralnie” nad nią i nad dziećmi. Kilka dni wcześniej miał powybijać szyby w oknach, a interweniujących milicjantów zwyzywać. Sierżant Pająk przyjmuje zawiadomienie, spisuje protokół i obiecuje pomoc. Jeszcze tego samego dnia prokurator podpisuje postanowienie o wszczęciu dochodzenia.

Po zapoznaniu się z materiałami w sprawie zniewagi funkcjonariuszy MO sierżanta Ryszarda Hofmana i plutonowego Mariusza Stefańskiego przez Zdzisława Marchwickiego dn. 15.11.71 r. w Siemianowicach Śl. podczas wykonywania przez nich obowiązków służbowych.

Na mocy art. 255 kpk i zgodnie z art. 257 § 1 kpk postanowił: wszcząć w powyższej sprawie dochodzenie o przestępstwo z art. 236 kk³⁷.

Dokument podpisuje akurat prokurator Leszek Polański, który nadzoruje właśnie śledztwo w sprawie Wampira. Nie wiadomo, dlaczego nie zrobił tego zaraz po zajściu na wniosek znieważonych milicjantów, ale dopiero po doniesieniu Żony Marchwickiego.

4 grudnia w domu Marchwickich zjawia się Marek Badowski, starszy inspektor grupy operacyjnej „Anna”.

Z rozmowy z Żoną sporządza sześciostronicową notatkę urzędową. Z jej relacji wynika, że mąż od chwili zawarcia związku małżeńskiego nadużywał alkoholu oraz był nadmiernie pobudliwy seksualnie. W ciągu doby potrafił odbyć z nią od 10 do 15 stosunków płciowych, co ze względu na ich brutalność nie sprawiało jej żadnej przyjemności.

Z reguły wymuszał siłą odbywanie stosunków, bił ją, gdy nie chciała mu się oddać.

Wymuszał zbliżenia nawet w czasie menstruacji. Usiłował lizać zakrwawione narządy płciowe, tłumacząc, że „ma wówczas wielkie zadowolenie”.

Od roku 1959 jego potencja wyraźnie spadał. Dążył do stosunku, ale nie miał wzrodu członka. Bawił się wówczas narządami płciowymi żony, wkładał rękę do

pochwy i dopiero wtedy następował u niego wytrysk, tyle że bez wzwodu członka i włożenia go do pochwy.

Wynaturzone praktyki seksualne odbijały się również na zdrowiu Żony.

Chorowała na padaczkę. Zdzisław miał celowo doprowadzać do awantur, które wywoływały atak, a gdy ta traciła przytomność, gwałcił ją. Wiedziała o tym, bo gdy odzyskiwała świadomość, miała na sobie podartą bieliznę, a na udach i piersiach spernę. Kilkakrotnie do podobnych gwałtów miało dojść w obecności dzieci. Zapytała męża nawet, czy taki stosunek, gdy leży jak trup, sprawia mu przyjemność.

Miał odpowiedzieć: Grunt, że jesteś ciepła.

Jak wspomniano, podczas pobytu Zdzisława w więzieniu Żona poznała J.B., z którym uciekła do rodziny w Lęborku.

Na dowód, że Marchwicki pozostał na Śląsku, wręczyła Badowskiemu jego listy.

Były bardzo ważnym dowodem, bo zgodnie z oficjalną wersją Marchwicki miał być już wtedy sprawdzany, ale z powodu niedopatrzenia posterunkowego z Lęborka wykluczono go z grona podejrzanych.

W 1966 roku kobieta spotkała męża podczas odwiedzin u rodziców (według późniejszych zeznań nastąpiło to wiosną 1968 roku). W trakcie libacji alkoholowej wywiązała się burda. Jan K. miał uspokajać Zdzisława słowami: Cicho, nie podskakuj, bo wiesz, co zrobiłeś z Myckową. Żona zeznała, że między jej rodzicami a Myckami dość często wybuchały sąsiedzkie awantury, w których uczestniczył także Zdzisław.

Miał nawet uderzyć Annę Mycek, bo nazywała go „gorolem” i „niemrawą”, a z powodu wady wzroku także „ślepcokiem”. Winą za śmierć Anny Mycek obciążała swego ojca, matkę i męża. Jej ojciec włamał się do mieszkania Mycków i pobił Annę, a matka oblała ją kwasem solnym. Zostali za to skazani na karę więzienia w zawieszeniu.

Matka nakłaniała ojca do tego, aby za wszelką cenę wykończył Annę Mycek, i w tym celu przynosiła mu wódkę. Wiem, że w libacjach tych brał udział mój mąż Zdzisław Marchwicki, gdyż stołował się u mojej matki, gdy ja przebywałam w Lęborku. Mówiła mi moja matka, gdy przyjechała [...] do Lęborka, że „Myckowa została wyniesiona w miechu z domu, uderzona w głowę żelazem i położona na torach, kaj jedzie maszynka na Szelerka”.

Sama byłam zdziwiona, że matka zna szczegóły śmierci Anny Mycek³⁸.

Po śmierci Myckowej dawne konflikty odeszły w niepamięć. Żona Marchwickiego sama widziała go z Janem K. oraz mężem ofiary, jak pili razem wódkę u „Koniarka” w Dąbrowie Małej.

Informuje, że mąż ofiary miał kochankę, konduktorkę z MPK, z którą ma dziecko.

Twierdzi także, że rozwiodła się z Henrykiem Marchwickim, bo przyłapała go na stosunku z matką Florentyną K.

O tym, że również brała udział w awanturach i bójkach nie wspomina ani słowem.

Żona pamięta dokładnie, że od września do listopada 1968 roku Zdzisław miał

damski zegarek produkcji radzieckiej, złotego koloru, z czarnym zamszowym paskiem. Mówi także, że Zdzisław oraz jego brat Henryk i siostra Halina Flak leczą się prywatnie u lekarza, który wystawia im fałszywe zwolnienia lekarskie. W marcu 1970 roku, po zabójstwie Jadwigi Kuci, w domu Marchwickich pojawiła się milicja. Była to rutynowa kontrola, bo Zdzisław znalazł się w grupie podejrzanych ze względu na wiek i karalność. Kobieta zeznała, że gdy jej mąż dowiedział się o wizycie, bardzo się zdenerwował i spalił w piecu buty gumowe.

W miesiącu lipcu 1971 roku przyszedł do miejsca zameldowania pijany, rozebrał się w swym pokoju do naga, na parapecie rozłożył zdjęcia nagich kobiet i onanizował się. Gdy go podpatrywała, słyszała, jak mówił do siebie, onanizując się: „takie fajne dupy, a ja nie mogę”. Zdjęcia pornograficzne zabrała swemu mężowi, gdy spał, i oddała około 20 listopada 1971 r. w KMMO Siemianowice, która to komenda prowadzi sprawę przeciwko Zdzisławowi Marchwickiemu za znęcanie się nad rodziną³⁹.

Zdzisław Marchwicki miał nosić przy sobie także „majzel” – przecinak owinięty kawałkiem flanelowej koszuli. Kobieta zabrała go mężowi, ale niestety zgubiła.

Pamięta jednak, że Zdzisław często chodził w butach gumowych z cholewami, do których wsuwał nogawki spodni. Zdarzało się, że przychodził do domu w godzinach pracy, i nigdy nie dostał nagany za opuszczenie zakładu. Przechwalał się, że razem ze swoimi przełożonymi kradnie materiały budowlane i je sprzedaje.

Zeznania Żony Marchwickiego idealnie pasują do wizerunku osoby poszukiwanej. 7 stycznia, dzień po aresztowaniu Zdzisława, idzie z synem do kopalni, by się dowiedzieć, gdzie zniknął jej mąż. Nigdy wcześniej tego nie robiła, choć Zdzisław całymi tygodniami nie wracał do domu, nocując u siostry lub u kolegów w hotelu robotniczym. Tego dnia wydaje się zaskoczona wiadomością, że jej mąż został zatrzymany. Jednak już na drugi dzień przez osiem godzin składa kolejne obciążające zeznania.

³⁶ Protokół rozprawy z dnia 30 stycznia 1975 roku, akta sprawy IV.K.157/74, karta 24539-24553.

³⁷ Postanowienie o wszczęciu dochodzenia z dnia 24 listopada 1971 roku, akta sprawy IV.K.157/74, karta 10843.

³⁸ Notatka urzędowa z dnia 4 grudnia 1971 roku, akta sprawy IV.K.157/74, karta 08334-08336.

³⁹ Tamże.

TO JEST CZY NIE JEST?

Głos kapitana śledczego Andrzeja Jaksy: – Więc tak to ma się skończyć.

W mroźny grudniowy dzień na placu w Dąbrowie Górniczej. Minęło siedem lat. Nawet Szłapowicz posiwiiał. Czy potrafimy żyć normalnie, bez tego koszmarnego pytania: kto? ⁴⁰. Jest poranek, jasno. Przez plac przejeżdża czarna wołga.

Kamera pokazuje mężczyznę idącego ulicą. Milicjanci ruszają w jego kierunku. I znowu głos zza kadru.

– Jest Zdzisio. Może to rzeczywiście koniec? Jeśli koniec naprawdę istnieje.

– Marchwicki Zdzisław?

– Tak.

– Jesteście aresztowani.

Dwóch umundurowanych milicjantów zakuwa Marchwickiego w kajdanki. Po jego twarzy przebiega nieśmiały uśmiech. Wypowiada cicho tylko jedno słowo: Nareszcie. Kapitan Jaksy wysiada z wołgi i staje przed Marchwickim. – No Zdzisiu, spotkaliśmy się nareszcie. No cóż, zimno jest, chodź⁴¹.

Tak moment zatrzymania najbardziej poszukiwanego przestępcy w PRL-u pokazał Janusz Kidawa w filmie Anna i wampir z 1981 roku. Wizja artystyczna – jak to często bywa – rozminęła się z rzeczywistością.

Marchwickiego aresztowano nie w Dąbrowie Górniczej, lecz w Siemianowicach, i nie pod koniec grudnia, tylko 6 stycznia 1972 roku. Nie zgadzała się też godzina. O 6:00 rano jest jeszcze całkiem ciemno. Podpułkownika Jerzego Gruby, filmowego kapitana Jaksy, nie było przy zatrzymaniu. I co najważniejsze: Marchwicki nie powiedział: Nareszcie.

NOTATKA URZĘDOWA o zatrzymaniu osoby Ja por. Jan Kowalski z Komendy Wojewódzkiej MO z polecenia Komendanta Miejskiego MO w Siemianowicach w dniu 6 stycznia 1972 r. o godz. 7.00 dokonałem zatrzymania Nazwisko i imię Marchwickiego Zdzisława imiona rodziców Józef i Janina z domu Merta data i miejsce urodzenia 18.10.1927 r. w Dąbrowie Górniczej miejsce zamieszkania Siemianowice ul. Krupanka nr 36 miejsce pracy Kopalnia „Siemianowice” w Siemianowicach którego tożsamość ustaliłem na podstawie dowodu osobistego BR-2510779 wyd. przez KM MO Czeladź Wymienionego osadzono w areszcie w KW MO Katowice do dyspozycji Prokuratora Powiatowego dla m – Katowice⁴² Porucznik Kowalski zapisał prawdopodobnie godzinę sporządzenia notatki. Do zatrzymania musiało dojść wcześniej, bo Marchwicki szedł do pracy na pierwszą zmianę, a ta zaczynała się właśnie o 7:00.

Dwie godziny później asesor Prokuratury Rejonowej dla Miasta Katowic Andrzej Popiołek przedstawia Marchwickiemu zarzuty. Tylko dwa. – od 1964 roku do 1971 znęcania się nad żoną [imię i nazwisko] oraz małoletnimi dziećmi – znieważenia

funkcjonariuszy MO podczas interwencji w dniu 15.11.1971 roku w Siemianowicach Śląskich⁴³.

Marchwicki nie przyznaje się do winy i odmawia podpisania dokumentu.

Zostaje przewieziony do Aresztu Śledczego w Mysłowicach. Nie po raz pierwszy został zatrzymany i prawdopodobnie cała sytuacja nie robi na nim wrażenia. W końcu od dawna kradł materiały budowlane i złom. Liczył się z tym, że w końcu wpadnie, a teraz został oskarżany o błahe, jego zdaniem, przewinienia.

O 17:00 Marchwicki ponownie trafia do Komendy Wojewódzkiej w Katowicach. Tym razem prokurator Leszek Polański przedstawia mu poważny zarzut: 7 listopada 1964 roku miał pozbawić życia Annę Mycek. Zdzisław nie ma pojęcia, kim była zamordowana kobieta. Nie potrafi też powiedzieć, co robił ponad siedem lat wcześniej. Gdy prokurator przypomina mu, że Myckowie mieszkali obok jego teściów K., zaczyna kojarzyć, o kogo chodzi. Słyszał o tym morderstwie. Twierdzi jednak, że nie znał osobiście zamordowanej i nigdy jej nie widział. Kilka razy rozmawiał z jej mężem, który ponoć był tramwajarzem, ale nie mógł sobie przypomnieć jego imienia. Zaprzeczył, by kiedykolwiek pił z nim wódkę.

Zachowanie Marchwickiego wygląda dość wiarygodnie. Śledczy są przekonani, że po prostu gra. Przestępcy zazwyczaj nie przyznają się w pierwszej chwili.

Dopiero gdy wysondują, jakimi dowodami dysponuje milicja, kalkulują, czy przyznanie się wpłynie na obniżenie wyroku.

Krótko po aresztowaniu Marchwickiego do komendanta wojewódzkiego dzwoni telefon. To Edward Gierek – pyta, czy złapali Wampira. Komendant nie ma pewności, podejrzanemu dopiero przedstawiono zarzut i się nie przyznał.

– To jest czy nie jest? – słyszy w słuchawce podniesiony głos.

Pada twierdząca odpowiedź. Od tej chwili Zdzisław Marchwicki musi być Wampirem.

8 stycznia 1972 roku przesłuchanie zaczyna się o 9:00. Śledczy nie naciskają.

Prokurator Leszek Polański i kapitan Andrzej Siebierski nie pytają o Annę Mycek. Zależy im, by Zdzisław jak najwięcej mówił. Chcą zdobyć jego zaufanie. Ten wierzy, że wszystko zaraz się wyjaśni, i opowiada swój życiorys ze szczegółami. Nie ma pojęcia, że to, co mówi, nie zgadza się z wersją przedstawioną przez Żonę. Nie wie, że w tym samym czasie w innym pokoju kobieta składa kolejne obciążające go zeznania.

Zdzisław nie ukrywa, że był kilkakrotnie karany. Po wojnie zajmował się nielegalnym handlem, za co parę razy zatrzymywano go na 48 godzin. Siedział też dwa miesiące w więzieniu w Mysłowicach. Doszło nawet do sprawy, ale został uniewinniony. W roku 1961 lub 1962 kilka tygodni spędził w areszcie, bo Żona oskarżyła go o znęcanie. Nie było świadków ani dowodów, więc sąd umorzył sprawę.

Zapytany o życie seksualne, odpowiada, że do jego pierwszego stosunku doszło, gdy miał 16 lat, na robotach w gospodarstwie rolnym w czasie wojny. Gdy zdejmował ze strychu siano dla krów, przyszła do niego Emma, córka gospodarzy, której mąż

wyjechał na front. Zdzisław nie miał doświadczenia, więc to ona przejęła inicjatywę. Później jeszcze kilka razy dochodziło między nimi do zbliżeń.

Następny kontakt z kobietą – prostytutką – miał już po wojnie. Po trzech dniach od współżycia zachorował na rzeżączkę. Miał jeszcze kilka przygodnych znajomości z kobietami poznanymi w pracy lub koleżankami siostry Haliny.

W kwestii życia seksualnego wyjaśniam, co następuje: Nigdy nie odczuwałem i nadal nie odczuwam wzmożonego popędu płciowego. W tym względzie jestem opanowany, z natury spokojny, nigdy nie miałem okresów nadmiernej pobudliwości płciowej⁴⁴.

Śledczy chcą wiedzieć, co się działo dziesięć lat później. Dopytują o J.B. i wyjazd Żony do Lęborka. Interesują ich też znajomości z Heleną i Zuzanną.

Szczegółowo dopytują o sierpień 1967 roku, gdy na krótko Żona wróciła.

31 stycznia w Laboratorium Ośrodka Techniki Operacyjnej w Warszawie Marchwicki zostaje poddany badaniom na poligrafie – wykrywaczu kłamstw. Jest to wówczas jedyne urządzenie w Polsce i należy do wywiadu wojskowego.

Milicja dopiero rozważa przydatność takich badań w sprawach kryminalnych (pisze o tym kwartalnik „Problemy Kryminalistyki”, podając przykłady z zagranicy). Zostaje przeprowadzonych pięć testów: test zasadniczy, test z kartą, powtórzenie testu zasadniczego, test pytań mieszanych, test na „tak”. Po przerwie dwukrotnie zostaje wykonany test szczytowego napięcia.

Podczas badania Zdzisław Marchwicki reaguje na pytanie dotyczące morderstwa kobiety nad Przemszą. Nie powinno to dziwić, skoro wiedział o nim niemal każdy mieszkaniec Zagłębia, jak pokazały sprawozdania wydziału kontroli korespondencji. Poza tym Zdzisław musi się domyślać, że chodzi nie tylko o morderstwo Anny Mycek. Dotąd śledczy nie pytali o nic poza tamtym zabójstwem.

Wyniki badań na wykrywaczu kłamstw powodują, że 14 lutego 1972 roku Marchwicki słyszy kolejne zarzuty.

[...] Leszek Polański, Wiceprokurator Prokuratury Wojewódzkiej w Katowicach, mając na uwadze dalsze wyniki śledztwa w sprawie przeciwko Zdzisławowi Marchwickiemu podejrzanemu o przestępstwo z art. 225 § 1 kk. z 1932 r. na zasadzie art 270 k.p.l., postanowił uzupełnić postanowienie o przedstawieniu zarzutów z dnia 6 stycznia 1972 r.

Zdzisławowi Marchwickiemu i przedstawić temu podejrzanemu zarzut, że: w czasie od 17 marca 1965 r. do 4 marca 1970 r. na terenie powiatu będzińskiego oraz miasta Sosnowiec i Siemianowic działając z pobudek seksualnych w zamiarze pozbawienia życia Lidii Nowackiej, Ireny Szymańskiej, Jadwigi Zygunt, Eleonory Gąsiorowskiej, Zofii Wiśniewskiej, Marii Błaszczuk, Genowefy Łebek, Teresy Toszy, Alicji Dubiel, Ireny Szrek, Stanisławy Samul, Genowefy Bijak, Marii Gomółki, Julianny Kozerskiej, Jolanty Gierek, Zofii Kawki, Zofii Grabacz, Jadwigi Sąsieć, i Jadwigi Kuci – zadał im obrażenia głowy narzędziem twardym, przy czym jedynie w

odniesieniu do Ireny Szymańskiej, Eleonory Gąsiorowskiej, Zofii Wiśniewskiej, Stanisławy Samul, Julianny Kozerskiej nie okazały się śmiertelne, podczas gdy pozostałe pokrzywdzone zmarły wskutek odniesionych ran [...] odmówił podpisu bez podania przyczyny Marchwicki Z. L. Polański 11.8.1972. wiceprokurator Marchwicki odmawia podpisania dokumentu. W protokole przesłuchania znajduje się jego oświadczenie.

Nie przyznaję się do treści przedstawionego mi zarzutu ogłoszonego w postanowieniu z dnia 14 lutego 1972 r., które to postanowienie jest uzupełnieniem [...] których faktycznie nie dokonałem i z którymi nie mam absolutnie nic wspólnego.

Oświadczam, że w życiu moim nie zabiłem żadnej kobiety jak również nie usiłowałem dokonać zabójstwa jakiejkolwiek kobiety. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego przedstawia mi się taki zarzut. [...] Pragnę wyjaśnić, że w ogóle nie znam nazwisk tych kobiet, które wymienione są w postanowieniu.

[...] ⁴⁵. Na postanowieniu znajduje się podpis Marchwickiego. Co zaskakujące, z datą z sierpnia 1972 roku. W aktach brakuje informacji mogącej wyjaśnić, dlaczego podpisał dokument pół roku później.

Wiadomo tylko, że po przedstawieniu nowych zarzutów Marchwickiego przewieziono do Komendy Głównej MO w Warszawie. Zakładano, że tam prędzej się przyzna, tymczasem wciąż twierdził, że jest niewinny. Pisze zażalenie do prokuratury, zarzuty uznaje za absurdalne.

Twierdzi, że ma alibi, ale nie potrafi się wystawić ani niczego wyjaśnić. Poprosił o przydzielenie adwokata z urzędu ⁴⁶.

4 kwietnia 1972 roku Sąd Wojewódzki w Katowicach oddał zażalenie. Sędziowie Wilczek, Ochman (!) i Majkowski uznają, że konieczne jest przedłużenie aresztu tymczasowego.

Wiedzą, że w więzieniach ludzie miękną.

Nie myślą się i tym razem. Marchwicki zaczyna mówić. Tyle że nie o sprawach, na których wyjaśnieniu zależy śledczym.

Przyznaje się do kradzieży złomu należącego do kopalni „Siemianowice” w listopadzie 1971 roku wspólnie z kierowcą samochodu ciężarowego Norbertem B. Sprzedał złom w hucie „Będzin” za 1500 zł. Z tej kwoty 500 zł oddał kierowcy.

Powoli zaczyna wymieniać inne kradzieże i współników.

Do zabójstw kobiet się nie przyznaje.

W końcu przedstawia też alibi. Twierdzi, że w dniu zabójstwa kobiety w Siemianowicach, 4 marca 1970 roku, przebywał w mieszkaniu znajomego, Jana Oporowskiego, z którym oglądał telewizję. Od godziny 15:30 transmisję meczu między Legią i jakąś drużyną francuską, a od 22:00 – mecz Górnika Zabrze z Manchesterem City. W przerwie meczu miał zostać nadany komunikat o morderstwie, w którym pokazano ślady butów gumowych znalezione na miejscu zdarzenia.

Jednym z ogniw łączących Zdzisława Marchwickiego z morderstwami mogły być anonimy tarnogórskie. Analiza językoznawcza wskazywała jednak jasno, że ich autor ma przynajmniej wykształcenie średnie i dobrze posługuje się gramatyką. Milicja posiadała też listy, które Zdzisław pisał do żony, i nawet bez opinii biegłego widać było różnicę w posługiwaniu się słowem pisany.

A mimo to 2 lutego 1972 roku do Tarnowskich Gór wysłano kapitana Sławomira Korysondowicza, który ustalił, że obie przesyłki zostały wrzucone do skrzynek pocztowych na terenie miasta.

Niestety, były tam aż 32 skrzynki, a znajdujące się w nich listy zwożono do jednego punktu w urzędzie pocztowym, gdzie były stemplowane. Wskazanie skrzynki, do której je wrzucono – i to po dwóch latach – było niemożliwe.

W czerwcu oba listy poddano kolejnej ekspertyzie, tym razem grafologicznej. Biegli orzekli, że żaden z nich nie został napisany przez Zdzisława Marchwickiego ani pozostałych pięciu podejrzanych. Z czasem uznano, że za anonimami stał – mimo wszystko – Jan Marchwicki.

Podczas konferencji prasowej w marcu 1974 roku padło nawet stwierdzenie, że mógł on nakłonić kogoś do napisania listów, aby w ten sposób wprowadzić milicję w błąd. Aż do rozpoczęcia procesu próbowano znaleźć dowody potwierdzające taką hipotezę.

Bezskutecznie.

[40](#) Film *Anna i wampir* w reżyserii Janusza Kidawy.

[41](#) Tamże.

[42](#) Notatka urzędowa z dnia 6 stycznia 1972 roku, akta sprawy IV.K.157/74, karta 10840.

[43](#) Postanowienie o przedstawieniu zarzutów z dnia 6 stycznia 1972 roku, akta sprawy IV.K.157/74, karta 10846.

[44](#) Protokół przesłuchania z dnia 11 stycznia 1972 roku, akta sprawy IV.K.157/74, karta 08606-08618.

[45](#) Protokół przesłuchania z dnia 14 lutego 1972 roku, akta sprawy IV.K.157/74, karta 08668-08670.

[46](#) Pismo Zdzisława Marchwickiego do Prokuratury Wojewódzkiej w Katowicach z 5 marca 1972 roku, patrz: [aneks](#).

TAK, ZABIŁEM

Po przesłuchaniu, będąc sam z podejrzanym, przeprowadziłem z nim luźną rozmowę na okoliczność popełnionych przez niego zbrodni.

Zdzisław Marchwicki wyraził się, iż czuje żal do milicji o to, że zatrzymano go tak późno, gdyż można go było ująć bezpośrednio po zabójstwie Anny Mycek i wówczas nie byłoby tej, jak to się wyraził, „całej afery” ⁴⁷.

Po zatrzymaniu Marchwickiego grupa operacyjna „Anna” zostaje przekształcona w sztab operacyjny. Funkcjonariusze dzielą się na dwa zespoły. Jeden przygotowuje materiały dla sądu, a drugi w dalszym ciągu zbiera dowody. „Nareszcie”, to jedno słowo, którego nie zapisano w żadnym protokóle, zostało potraktowane jak przyznanie się do winy.

Tymczasem przez kilka kolejnych tygodni nie następuje przewidywany zwrot śledztwa. Zdzisław Marchwicki wciąż powtarza, że jest niewinny. Aby go złamać, podstawiano mu do celi milicjantów udających zatrzymanych.

Jeden z nich dał się nawet pobić, żeby wyglądać wiarygodniej. Przekonywał Zdzisława, że jak się przyzna, będzie miał już spokój, a i do jedzenia dostanie, co zechce. Któregoś dnia Marchwicki, wracając z przesłuchania, zdenerwował się, że i w celi jest nagabywany. Zaczął krzyczeć, że ci, którzy z nim siedzą, są gorsi od tych na górze. Ale śledczy nie poddawali się. Przesłuchania trwają po kilka godzin dzień po dniu. Gdy Marchwicki, do znudzenia pytany o te same szczegóły z życia, ma dość, śledczy radzą mu, by się przyznał, a wszystko się skończy.

– Nie przypominam sobie, nie wiem, co mam mówić, panie poruczniku, nie wiem jak zacząć, żeby to wszystko zagrało, bo ja naprawdę sam nie wiem, jak mam mówić.

– To niech pan zacznie od początku, od morderstwa Anny Mycek.

– To co, ja mam wszystko brać na siebie? No to ile ja tych zabójstw mam właściwie?

– No powie pan, ile dokonał?

– Co ja mogę, jak ja nie pamiętam.

– Co pan używał, haka czy łyżki?

– Panie poruczniku, ale ja nie mogę przecież powiedzieć, że używałem, przecież ja tego nie robiłem... Panie poruczniku, pomóżcie mi, co ja mam mówić?

– Jak się pan sam przyzna, to dostanie pan mniejszy wyrok.

– Wyrok dostanę mniejszy, ale ludzie będą myśleć, że to ja zrobiłem.

– Tak przecież było.

– Właśnie tak nie było.

W końcu śledczy opowiadają mu, co zrobił Wampir. Wymieniają daty, miejsca i szczegóły.

Z punktu widzenia kryminalistyki popełniają błąd, bo sprawca sam powinien

mówić o swoich czynach.

Oceny dokonuje się, porównując wyjaśnienia z materiałem dowodowym. Ale w tym wypadku potrzebowano tylko przyznania się do winy. Szczegóły nie były aż tak ważne.

10 maja porucznik Bogusław Zieliński rozpoczyna przesłuchanie o 11:00. Nic nie zapowiada, że Marchwicki powie więcej niż dotychczas.

W dniu dzisiejszym, to jest 10 maja 1972 r., postanowiłem składać szczerze wyjaśnienia odnośnie przedstawionych mi zarzutów – a dotyczące zdarzeń, w wyniku których doszło do śmierci wielu kobiet.

Proszę bardzo o zastosowanie wobec mnie art. 57 KK i łagodne potraktowanie.

Tak, przyznaję się do tego, iż w okresie od 1964 roku do roku 1970 na terenie Zagłębia woj. katowickie dokonałem zabójstw wielu kobiet i w związku z tym wyjaśniam, co następuje: w 1964 r. na jesieni, a jak się dowiedziałem w śledztwie, było to 7 listopada, w Dąbrówce Małej-Katowicach napadłem na kobietę [...] ja posiadałem pręt metalowy, który trzymałem owinięty w gazetę, uderzyłem ją kilkakrotnie z tyłu głowy.

Nie pamiętam, czy w trakcie uderzania kobieta ta odwracała się czy nie, jak też nie pamiętam ile razy ją uderzyłem, ale mogłem uderzyć 2–3 lub więcej razy. Po moich uderzeniach kobieta upadła na tory. Ja pozostawiłem ją, a sam odszedłem w stronę miasta. [...] ⁴⁸. Już samo powołanie się na artykuł 57 kodeksu karnego pozwala podejrzewać, że Zdzisław Marchwicki w tamtej chwili jest przekonany, iż przyznanie się do winy spowoduje złagodzenie kary. Nie rozumie, że za zamordowanie kilkunastu kobiet jedyną karą może być szubienica.

Przyznaje się do sześciu zabójstw.

Następnego dnia, 11 maja, porucznik Bogusław Zieliński już tylko protokołuje.

Przesłuchanie prowadził teraz podpułkownik Henryk Czmocho.

Podejrzany zostaje poinformowany, że jego zeznania będą nagrywane na taśmę magnetofonową. Zgadza się. W dalszym ciągu składa wyjaśnienia związane z morderstwami kobiet. Tym razem bardzo dokładnie opisuje okoliczności zabójstwa Anny Mycek. Zapamiętał nawet, że odbył z nią stosunek, ale nie jest w stanie powiedzieć, czy wytrysk nasienia nastąpił do pochwy. W przypadku drugiego morderstwa (w 1965 roku) również twierdzi, że odbył stosunek z ofiarą. Wymienia miejsca innych napadów: Sosnowiec Pogoń, Czeladź Piaski, Będzin od strony Dąbrowy Górniczej, Łagisza Bory, Łagisza, Będzin nad rzeką Przemszą, Grodziec, Wojkowice, Maczki i Siemianowice.

Pamiętam, że kobietom, które napadałem, zabrałem następujące przedmioty: pantofle – 2 razy, pończochy, zegarek – w 2 przypadkach, sukienka, sweter rozpinany, rajstopy elastyczne, botki skórzane, obrączkę, pierścionek, majtki – w 2 przypadkach, pieniądze – chyba raz w sumie 1000 zł *jeden tysiąc złotych*. Obecnie nie pamiętam, jakie jeszcze przedmioty wzięłem napadniętym. [...] Jeśli chodzi o narzędzia – pręty

metalowe, którymi uderzałem kobiety, to używałem, o ile pamiętam – trzech. Były to pręty metalowe o długości około 40 centymetrów, płaskie, o szerokości 1 do 2 cm. Pamiętam, że jeden z tych „prętów” był na końcu spłaszczony i zaokrąglony, podobny do łyżki.

Obecnie proszę o zakończenie przesłuchania w dniu dzisiejszym⁴⁹.

12 maja Marchwicki prosi oficerów, by pozwolili mu przeczytać protokół z poprzedniego dnia. Dostaje go i przez chwilę siedzi w milczeniu, wpatrując się w kartki. Nagle chwyta je obiema rękami i rozdziera na dwie części. Milicjanci rzucają się na niego, próbują powstrzymać przed zniszczeniem dokumentu. Krzyki i odgłosy szarpaniny alarmują konwojentów, którzy wbiegają do pokoju, razem z oficerami obezwładniają Zdzisława i zabierają mu papiery. Marchwicki leży na podłodze i płacze.

– To wszystko nieprawda!

Najchętniej bym zjadł całe te akta – bełkocze. – Zdzisiu, przecież my nagrywaliśmy twoje zeznania. Nie pamiętasz? – odpowiada mu jeden z oficerów*.

Po tym zajściu Marchwicki zostaje odprowadzony do celi.

Następne przesłuchanie odbywa się dopiero cztery dni później, 16 maja. Tego dnia ponownie składa obszernie zeznania, opisując szczegóły morderstw kobiet. Na koniec na każdej stronie dopisuje: Tak powiedziałem, ale to jest nie prawda.

Przesłuchanie odbywa się w obecności podpułkownika Jerzego Gruby, który specjalnie przyjeżdża z Katowic. Jego podpisu nie ma na protokole, jest za to notatka, którą napisał po tym, jak osobiście odprowadził Zdzisława do aresztu.

W drodze Marchwicki miał wyrazić do niego pretensje, że schwytano go tak późno.

Gdyby został złapany po pierwszym morderstwie, nie byłoby tej całej afery.

Odsiedziałby swoje i już dawno by wyszedł. Gruba miał zapytać, kiedy milicja była najbliższej schwytania go, a Marchwicki odparł podobno, że w życie w Grodźcu, gdyż słyszał rozmowę kilku osób, w tym mężczyzn, którzy chcieli wejść do żyta, w chwili gdy przebywał tam ze zwłokami⁵⁰. Wyjaśnił też, co by zrobił: gdyby weszła jedna osoba, zamordowałby ją, a gdyby kilka – to by powiedział, że właśnie znalazł zwłoki i musi iść zawiadomić milicję. Gdyby nakrył go milicjant z bronią, to by był koniec**.

Marchwicki przez trzy kolejne przesłuchania mówi o morderstwach i podpisuje protokoły. W czerwcu zeznaje już tylko na temat kradzieży oleju, cementu, złomu metali kolorowych oraz płyt pilśniowych.

Sporo opowiada o dzieciństwie, młodości i pożyciu z Żoną. Do tematu morderstw nie chce wracać. Śledczy nie naciskają. Mają już to, na czym im zależało.

Na początku lipca milicja ma już własny poligraf. W kilku dokumentach znajdują się wzmianki o tym, że 5 i 8 sierpnia 1972 roku Marchwicki zostaje ponownie przebadany. W aktach nie ma protokołu z tych badań. Wiadomo tylko, że zaraz po nich Marchwicki zostaje przewieziony do Katowic. Przesłuchania są coraz rzadsze. Czasem

przez kilka tygodni podejrzany ma całkowity spokój.

Bywa wzywany na dziesięć minut, by wysłuchać czyichś zeznań i odnieść się do nich, jeśli zechce.

W marcu 1973 roku w piśmie do Prokuratury Wojewódzkiej w Katowicach pisze, co następuje***: Oświadczam, iż kategorycznie zaprzeczam swoim kłamliwym zeznaniom złożonym w Komendzie Głównej M.O. w Warszawie, w miesiącu maju 1972 r., z których to zeznań wynika jako ja miałem być z prawcą zabójstw kobiet w latach 1964. 1970 r na terenie Zagłębia⁵¹.

Na dziewięciu stronach papieru kancelaryjnego wylicza zeznania kolejnych osób, twierdząc, że są kłamstwem.

Zaprzecza, by miał cokolwiek wspólnego z zabójstwem „profesorki”. Uważa, że zeznania Żony są złośliwym pomówieniem i zemstą za opuszczenie domu, a zrobił to dlatego, że miał dość awantur. Na koniec prosi o odstąpienie od oskarżenia i umorzenie zarzutów.

Śledczy mają już jednak plan.

Przystępują do kolejnego ataku. 12 maja 1973 roku prokurator Zygmunt Nakonieczny prosi Marchwickiego, by sporządził listę zabójstw, do których przyznał się przed rokiem podczas przesłuchań w Warszawie. Zdzisław nie rozumie sprytnie ukrytej intencji.

W aktach znajduje się kartka, na której w kolumnie wypisał: Dąbrówka Mała Mycek, Będzin Dworzec PKP, Będzin nad Przemszą Jolanta Gierek, Będzin remiza tramwajowa, Łagisza, Bory, Zagórze Kop. Mortimer, Maczki, Czeladź koło mostu od strony Bańgowa, Czeladź Piaski, Wojkowice, Grodziec, Siemianowice, Sosnowiec Pogoń. Na końcu data przesłuchania⁵².

Kilka dni później zostaje jeszcze raz poproszony, by samodzielnie zrobił listę zabójstw, do których już się wcześniej przyznał. Okoliczności tego zdarzenia wyjaśnia notatka podpułkownika Gruby.

Katowice, dnia 20 V 1973 r.

ZAPISEK URZĘDOWY

W czasie rozmowy z podejrzanym Zdzisławem Marchwickim związanej z przesłuchiwaniami go przez prokuratora na okoliczności złożonych wyjaśnień w sprawie zabójstw kobiet – podejrzany podniósł zastrzeżenie, że „wyszło mu coś za dużo spraw, do których się przyznał”. Stwierdził, że chciał się przyznać do 6–8 spraw, w Warszawie przyznał się do 12, a przed prokuratorem wyszło mu coś więcej. W związku z tym wręczyłem podejrzanemu kartkę papieru i poprosiłem o ponowne własnoręczne spisanie spraw, do których się przyznał. Po spisaniu i podliczeniu, że przyznał się do 16 spraw, stwierdził, że już nic wyjaśniał nie będzie, gdyż się gubi, oraz że różnica między pierwszym przyznaniem a obecnie wynika stąd, iż nie zapamiętał dobrze, do których się już przyznał, i „przez to podał nowe sprawy o których napewno poprzednio nie zeznawał”.

Na zapytanie, skąd o nich wie, skoro twierdzi, że ich nie dokonał i w ogóle się tą sprawą nie interesował, odpowiedział, że on wie dużo więcej, ale „krawata sam na siebie kręcić nie zamierza”.

Do notatki załączam wspomniany wykaz sporządzony własnoręcznie przez podejrzanego Zdzisława Marchwickiego w dniu 19 V 1973 r.

Naczelnik Wydziału Operacyjnego d/s „Anna” KWMO Katowice ppłk mgr J. Gruba⁵³ Na „wykazie sporządzonym osobiście przez podejrzanego Zdzis. Marchwickiego” widnieje: Mycek, Dworzec PKP, Siemianowice, Przemsza, Remiza tramwajowa, Bory, Łagisza, Zagórze, Pogoń, Wojkowice, Grodziec, Grodków, Dąbrowa od strony Będzina, Maczki, Piaski, Czeladź⁵⁴.

Zdzisław jest przekonany, że na listę wpisał to, do czego się przyznał, choć w swoim mniemaniu nie popełnił. Nadal więc zaprzecza, że kiedykolwiek zabijał kobiety. A prokuratorzy wciąż stosują tę samą taktykę. Nie żądają przyznania się do winy, lecz jedynie powtórzenia tego, co zeznawał w maju 1972 roku w Warszawie. Marchwicki nie rozumie sytuacji. Nieudolnie próbuje się bronić.

Twierdzi, że podczas badania poligrafem treść zeznania została mu zasugerowana.

Podczas badania nie podawano szczegółów. Padało jedno krótkie pytanie, po czym składał obszernie wyjaśnienia.

Nie potrafi wytłumaczyć, dlaczego to, co mówił w Warszawie, było zgodne z ustaleniami śledztwa.

[...] w Warszawie byłem badany przez urządzenie typu „wariograf” i badający mnie zadawał mi różne pytania o podobnej treści. Dlatego znając i pamiętając te pytania, tak wyjaśniałem w Warszawie. Obecnie nie potrafię sobie uświadomić tego, dlaczego w Warszawie przyznawałem się do dokonywania zabójstw kobiet, a w tym Jolanty Gierek, skoro tych zabójstw nie dokonywałem. Na pytanie, dlaczego przyznał się w maju 1972 r. w Warszawie do dokonywanych zabójstw kobiet na terenie Zagłębia, skoro obecnie twierdzi, że zabójstw tych nie dokonał, podejrzan [...] wyjaśnił: trudno mi obecnie wyjaśnić, dlaczego będąc przesłuchiwanym w Warszawie w maju 1972 r., przyznałem do dokonywania zabójstw kobiet, ponieważ chciałem aby to „pasowało do sprawy”. Bardzo głupio w tym czasie rozumowałem, nie potrafię jednak wyjaśnić, dlaczego.

Człowiek jest tylko człowiekiem i robi dobre i złe rzeczy. Obecnie twierdzę, że jestem w tej sprawie niewinny. Nie mam na to jednak żadnych dowodów.

Nic więcej nie mam do powiedzenia w tej sprawie⁵⁵.

W końcu śledczy przedstawiają mu wykaz pytań zadanych podczas badań na wykrywaczu kłamstw.

Marchwicki przyznaje, że nie mógł z nich wywnioskować wielu szczegółów, które zeznał w trakcie przesłuchań w Warszawie.

Nie mam już nic do powiedzenia, nie chce mi się już mówić, zapędziłem się w kozi róg, mam tego powyżej uszu.

Znane mi są częściowo wyjaśnienia braci Janka, Henryka Marchwickich i siostry Haliny Flak oraz Józefa Klimczaka, z których wynika, że ja jestem sprawcą zabójstw kobiet, do czego sam się przyznałem. Ja wiem, co mam dalej robić, to znaczy mówić prawdę, jaką mówię, ale nie mam żadnych argumentów⁵⁶.

* Notatka służbowa z przesłuchania Zdzisława Marchwickiego w dniu 12 maja 1972 roku, patrz: aneks.

** Notatka służbowa podpułkownika Jerzego Gruby z rozmowy ze Zdzisławem Marchwickim z 16 maja 1972 roku, patrz: aneks.

*** Oświadczenie Zdzisława Marchwickiego do Prokuratury Wojewódzkiej w Katowicach z 27.03.1973 r., patrz: aneks.

47 Zapisek urzędowy z dnia 16 maja 1972 roku, akta sprawy IV.K.157/74, karta 08711.

48 Protokół przesłuchania Zdzisława Marchwickiego, w dniu 10 maja 1972 roku, akta sprawy IV.K.157/74, karta 08694-08698.

49 Protokół przesłuchania Zdzisława Marchwickiego, w dniu 11 maja 1972 roku, akta sprawy IV.K.157/74, karta 08700-08705.

50 Notatka służbowa z przesłuchania Zdzisława Marchwickiego w dniu 12 maja 1972 roku, patrz: aneks.

51 Oświadczenie Zdzisława Marchwickiego z dnia 27 marca 1973 roku, akta sprawy IV.K.157/74, karta 08778-08782.

52 Załącznik do protokołu przesłuchania podejrzanego Zdzisława Marchwickiego z dnia 12 maja 1973, akta sprawy IV.K.157/74, karta 08799.

53 Zapisek urzędowy z dnia 20 maja 1973 roku, akta sprawy IV.K.157/74, karta 08810.

54 Załącznik do notatki z dnia 20 maja 1973 roku, akta sprawy IV.K.157/74, karta 08811.

55 Protokół przesłuchania Zdzisława Marchwickiego z dnia 1 czerwca 1973 roku, akta sprawy IV.K.157/74, karta 08829-08831.

56 Protokół przesłuchania Zdzisława Marchwickiego z dnia 13 czerwca 1973 roku, akta sprawy IV.K.157/74, karta 08846-08848.

WESOŁA RODZINKA

- Wesoła rodzinka, moralne dno, prostytutki, alfonsi, do tego jeszcze jeden pedał.
- Pedał? No, takiego jeszcze nie mieliśmy.
- Brat Marchwickiego, pracuje na Uniwersytecie Śląskim.
- Gdzie?
- Jedyne porządny, pracuje na uniwersytecie⁵⁷.

We wspomnianym już filmie Anna i wampir Janusza Kidawy przedstawiono w ten sposób rodzinę Marchwickich.

Prostytutką miała być Halina Flak, alfonsiem Henryk Marchwicki, a pedałem Jan.

Moralne dno pasowało do całokształtu zła, o którym sędzia Ochman rozmawiał z prezesem sądu. „Wykolejona” rodzina doskonale nadawała się, by zagrać główną rolę w przedstawieniu wystawionym na scenie sali widowiskowej Domu Kultury Zakładów Cynkowych „Silesia”. Ale jak na razie scenariusz dopiero powstawał.

W marcu 1974 roku, podczas konferencji prasowej, poinformowano, że Zdzisław Marchwicki przyznał się do winy, gdyż został przygnieciony dowodami. Wśród nich miały być zeznania Henryka i Jana Marchwickich, a także Józefa Klimczaka. Wszyscy pogrążyli Zdzisława.

Tyle że Jan Marchwicki został aresztowany dopiero 23 maja 1972 roku, Henryk – następnego dnia, obaj już po tym jak Zdzisław przyznał się do morderstw. Pozostałych aresztowano jeszcze później: Halinę Flak w lipcu, Józefa Klimczaka w listopadzie i wreszcie, Zdzisława Flaka, syna Haliny – w grudniu.

Henryk Marchwicki był alkoholikiem, kilka dni po aresztowaniu zaczął odczuwać skutki głodu alkoholowego. Zeznałby wszystko, byle móc się napić. Śledczy wykorzystali to i w trakcie przesłuchań dawali mu alkohol.

Podczas rozprawy Jan Marchwicki wykrzyczał, że proponowano mu wódkę, a gdy odmówił, jeden z milicjantów powiedział, że Heniek nigdy nie odmawia. Nie był to jedyny środek przymusu, który stosowano wobec tego ostatniego.

Zaraz po zatrzymaniu zagrożono, że aresztowana zostanie także jego żona, a dzieci trafią do domu dziecka. Był w stanie powiedzieć wszystko, nawet przyznać się, że to on mordował. Nie było jednak takiej potrzeby – wystarczyło, by zeznał, że Wampirem jest Zdzisław⁵⁸. W końcu przyznał się do udziału w zabójstwie Jadwigi Kuci, ale nie potrafił przedstawić jednej wersji wydarzeń. Co kilka dni odwoływał poprzednie zeznania i opowiadał od nowa. Podczas wizji lokalnej wskazał miejsce zbrodni. Tyle że w trakcie rozprawy twierdził, że nie miał pojęcia, gdzie do niego doszło. Że w pierwszej chwili pokazał nie to miejsce, co trzeba, ale milicjanci mu wyjaśnili, co powinien pokazać. Tylko czy można było wierzyć jego słowom?

Przez dwa miesiące Henryka badano na oddziale psychiatrycznym szpitala więziennego w Grodzisku. Stwierdzono, że jest psychopatą nałogowo nadużywającym

alkoholu. Cechuje go prymitywizm środowiskowy i skłonność do kłamstwa. Z taką diagnozą każde jego zeznanie mogło być uznane za niewiarygodne, z wyjątkiem sytuacji, w których obciążał Zdzisława.

Aresztowanie Jana Marchwickiego, podobnie zresztą jak Zdzisława, nie nadawało się na scenę filmu sensacyjnego. 23 maja 1972 roku wezwano go do Komendy Miejskiej MO w Sosnowcu, by złożył zeznania w sprawie brata. Zamiast przesłuchania zbadano go na poligrafie i zatrzymano na 48 godzin. Następnego ranka usłyszał dwadzieścia trzy zarzuty. Najważniejsze dotyczyły nakłaniania Zdzisława Marchwickiego do zabójstwa Jadwigi Kuci oraz przyjęcia przedmiotów zrabowanych zamordowanym kobietom.

Jan tylko się śmiał. Był trudnym przeciwnikiem dla oficerów śledczych.

Doskonale rozumiał sytuację i biegle poruszał się w przepisach prawa. Mówił, co chciał i kiedy chciał. Sypał nazwiskami znanych osób, opowiadał o nadużyciach i korupcji. Mógł pogryźć mnóstwo ludzi, którym musiał się wydawać większym zagrożeniem niż Wampir we własnej osobie.

Jan Marchwicki wojewódzki Areszt Śledczy w Katowicach Pawilon D cela 16 Pismo to jak i uprzednie piszę na wyraźne życzenie i polecenie ob. PŁK Jana Pieszko z KGMO w Warszawie Dane dotyczące moich wiadomości o tzw. „wampirze”.

Jak do większości społeczeństwa Zagłębia i okolic, tak i do mnie od czasu do czasu docierały te wersje – plotki, o których mówiło się głośno w tramwajach, w biurach, sklepach itp.

Dla mnie osobiście były to w większości niedorzeczności, gdyż nie byłem tym zainteresowany. [...] Nie oglądałem także żadnej wystawy poświęconej tej problematyce. [...] Ze zrozumiałych względów najgłośniej było wówczas, kiedy ogłoszono nagrodę miliona złotych, gdyż to wyzwoliło wszelką głupotę, ciemnotę, mściwość, zazdrość, nienawiść i chęć zysku łatwą drogą zdobytego. Wówczas to, jak mówili pracownicy KWMO byli zasypywani anonimami, w których głupstwa pisały zawiedzione stare panny, rozwódki noszące zemstę w swych sercach do swych byłych mężów, psychopaci różnego kalibru i typu, a przede wszystkim ci, którzy oczekiwali miliona, a nie prawdy i przyjscia z pomocą społeczeństwu polskiemu. Do tych między innymi zaliczam organa śledcze w całości, które ulegając różnym niedorzecznym sugestiom, celowo i świadomie wykazywali swoją niesprawność /wysługując się pewnym wrogim elementom naszej rzeczywistości socjalistycznej/ lub reprezentując wyjątkowo niski poziom wiedzy zawodowej. Sami pracownicy KWMO mówili, że anonimy wprowadzały ich w wielu wypadkach w błąd, myliły ślad, dezorientowały w działalności, a także osłabiały czujność. [...] Były przedstawiane różne hipotezy [...]. W swoim czasie mówiono nawet, że może to być były lub aktualny funkcjonariusz MO, który zawsze był dobrze zorientowany w przeciwdziałaniu akcji: ANNA /jeżeli chodzi o miejsce, czas i jej zasięg/.

Głośno przecież mówiło się o tym, że jednym z podejrzanych był były komendant

KWMO ob. [tu pełne nazwisko – przyp. P.S.]. Później pogłoskę tę zdementowano i mówiono, że odszedł z pracy z powodu braku aktywności w tej akcji i jej rezultatów, następnie z powodu zawału serca, a inni jeszcze mówili, że był właścicielem rybnych stawów w Goczałkowicach, z których czerpał duże korzyści materialne, a dla pilnowania których powołał do istnienia posterunki MO opłacane z funduszu państwowego, o czym nie wiedzą nasze Władze Partyjne i Rządowe. Inni jeszcze uzasadniali to wystawnym weselem córki ob. S., które przewyższało nawet w swojej oprawie „Wesele Wyspiańskiego”⁵⁹.

Zdaniem Jana Marchwickiego morderstwa mogły być celową akcją Warszawy skierowaną przeciw Katowicom. Miał na myśli dygnitarzy partyjnych i Służbę Bezpieczeństwa.

Opisywał przypadki pisania na niego donosów i rewizji w jego mieszkaniu, wykonywanych bez nakazu prokuratora.

Gdy poskarżył się na to komendantowi miejskiemu, miał usłyszeć, że lepiej by zrobił, żeniąc się, wtedy ludzie dadzą mu spokój.

W chwili obecnej jestem przekonany, że każdy z podejrzanych jest na swój sposób preparowany i wciągany w tą brudną robotę MO.

Tak jak kiedyś były modne procesy fikcyjne i poszlakowe tak teraz przyszła era na tak zwane „procesy rodzinne”.

Świadczy o tym sprawa kielecka, warszawska a trzecia będzie katowicka*. Jest to nowy styl tej samej reżyserskiej ręki, ale ręki bardzo nie odpowiedzialnej i niebezpiecznej dla społeczeństwa Polskiego jak i całego narodu. Mam prawo przypuszczać, że jest to dalsza destruktywna działalność wrogich czynników Polski Ludowej, a nawet w większym lub mniejszym stopniu mająca związek z syjonizmem, którego uboczne wpływy mają jeszcze coś do powiedzenia w naszym kraju⁶⁰.

Jan Marchwicki codziennie pisał kilka podobnych dokumentów. Do komitetu partii, do pierwszego sekretarza, do Prokuratury Generalnej, do biskupów.

Już wtedy było wiadomo, że jego udział w publicznym procesie będzie co najmniej kłopotliwy. Milicja i prokuratura musiały dobrze się przygotować i znaleźć sposób, by nad nim zapanować.

7 listopada 1973 roku Jan Marchwicki został poddany badaniom w szpitalu psychiatrycznym w Lublińcu.

Już na wstępie zaznaczył, że osobą badaną powinien być nie on, lecz prokurator Leszek Polański.

Niestety, wiedza i elokwencja na niewiele się zdały w starciu z psychiatrami. Doktor Andrzej Różycki i doktor Stanisław Krzak napisali opinię niezwykle przydatną dla dalszego śledztwa.

Aktualne badanie [...] nie wykazało istnienia wyraźnych objawów choroby psychicznej ani też niedorozwoju umysłowego. Treść jego wypowiedzi wiązała się z zasadniczą tematyką zadawanych mu pytań.

[...] Inteligencja odpowiada w pełni jego wykształceniu i środowisku, w jakim przebywał. Nastrój jest dostosowany do jego aktualnej sytuacji, afekt żywy, prawidłowo modulowany.

U Jana Marchwickiego stwierdza się szereg nieprawidłowości cech charakterologicznych, zwłaszcza takich jak: obniżenie uczuciowości wyższej, nieszczerłość, nieprawdomówność, brak trwałych związków uczuciowych z rodziną i otoczeniem, niewłaściwe pojmowanie przepisów prawnych, a zwłaszcza pojęcia cudzej własności.

Wszystkie powyższe cechy charakterologiczne świadczą, że Jan Marchwicki jest osobnikiem psychopatycznym.

Równocześnie stwierdza się, że jest osobnikiem czynnym homoseksualnie, a powodem tego zboczenia seksualnego, sądząc po zebranych od niego wywiadzie oraz po jego budowie anatomicznej, są przypuszczalnie wrodzone zaburzenia endokrynologiczne.

Treść niektórych wypowiedzi Jana Marchwickiego, zwłaszcza dotyczących sposobu prowadzenia śledztwa w jego sprawie, nosi cechy postawy obronnej, przyjętej przez osobnika psychopatycznego⁶¹.

Kilka miesięcy później, w kwietniu 1974 roku, wykonano kolejne badania, tym razem w szpitalu psychiatrycznym w Gnieźnie. Specjaliści doktor Adrian Bregowski i doktor Marian Jaśka nie stwierdzili u Jana objawów choroby psychicznej. Mógł więc odpowiadać przed sądem, a wyniki – posłużyć do zdyskredytowania go przed opinią publiczną i zneutralizowania jego nieprzewidzianych wypowiedzi.

Z dostępnych danych oraz przeprowadzonych badań wynika, że badany przejawia odchylenia w strukturze osobowości, głównie w sferze uczuciowo-popędowej. Jest on osobnikiem egocentrycznym.

Jego postępowanie nacechowane jest dążeniem do zaspokojenia własnych potrzeb bez liczenia się z konsekwencjami i normami społecznymi.

Wykazuje wyraźne nastawienie wyższościowe. Cechy te niewątpliwie są przyczyną częstych konfliktów badanego z otoczeniem, jego społecznej desadaptacji /częste ucieczki z domu, częste zmiany miejsca nauki i pracy/. Wyrazem egocentryzmu jest również jego dążność do przerzucenia na otoczenie całej winy i odpowiedzialności za swoje niepowodzenia i konflikty. Podobnie w odniesieniu do zarzucanych mu aktualnie czynów przestępczych, usiłuje wykazać, że padł ofiarą walki ideologicznej. Jego zachowanie się w śledztwie, a szczególnie liczne zażalenia świadczą o skłonnościach piniaczych.

Z zebranych materiałów wynika również, że badanego cechuje bardzo słaba więź uczuciowa z rodziną i otoczeniem. W stosunku do rodziny był nastawiony wyższościowo i egoistycznie.

Opisane odchylenia cech osobowości istnieją u badanego od wczesnej młodości i uwarunkowane są czynnikami dziedziczno- środowiskowymi *psychopatia*.

Poza tym podejrzany Jan Marchwicki wykazuje zboczenie popędu seksualnego pod postacią homoseksualizmu.

Naszym zdaniem przyczyną tego zboczenia są istniejące u niego odchylenia cech osobowości.

Niemniej pewną rolę w rozwoju tego zboczenia mogły odegrać czynniki psychologiczne, a szczególnie podawane przez podejrzanego uwiedzenie w okresie dziecięcym, tzn. przed dokonaniem się orientacji seksualnej.

Zarówno opisane odchylenia cech osobowości, jak zboczenia seksualne nie stanowią choroby psychicznej i nie ograniczają u podejrzanego „tempore criminis” jego zdolności rozumienia znaczenia czynów i kierowania swoim postępowaniem⁶².

Odrębną opinię wydał psycholog kliniczny Andrzej Różalski: sprawność intelektualna badanego odpowiada normie, zauważalne są zaburzenia osobowości oraz nieprawidłowe zaspokajanie popędu płciowego w postaci homoseksualizmu.

W latach siedemdziesiątych skłonności homoseksualne działały na niekorzyść oskarżonego. Wykorzystano to także w przypadku Józefa Klimczaka, kochanka Jana. Już w trakcie trwania procesu kpił z niego nawet sędzia Ochman. Nikogo to nie raziło. Proces rozpoczął się w 1974 roku, a niespełna rok wcześniej Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne skreśliło homoseksualizm z listy chorób. W krajach socjalistycznych odmienna orientacja seksualna wciąż była nazywana zboczeniem lub chorobą, a powszechnym określeniem na homoseksualistę było słowo „pedał”.

Zdaje się, że w przypadku Jana Marchwickiego i Józefa Klimczaka homoseksualizm był najważniejszym argumentem pokazującym ich odmienność w stosunku do reszty społeczeństwa.

Pozostali członkowie rodziny także trafili na obserwacje psychiatryczne.

Halina Flak, oskarżona o przyjmowanie od brata przedmiotów zrabowanych ofiarom, o usmażenie kotletów z mięsa zabranego jednej z zamordowanych kobiet (współdziałł w zbrodni) i wyproszenie fałszywego zwolnienia z pracy u znajomego lekarza, najgorzej zniosła pobyt w areszcie i dziesięć miesięcy procesu. Już w trakcie procesu często krzyczała, klęła, a gdy udzielano jej głosu, twierdziła, że w śledztwie grożono jej i podawano jakieś zastrzyki na prawdomówność. Można przypuszczać, że partyjni decydenci żałowali decyzji sądenia jej razem ze Zdzisławem.

* Sprawa kielecka to proces rodziny Zakrzewskich (Józefa, Czesława i Adama) ze wsi Rzepin w powiecie starachowickim, którzy w nocy z 2 na 3 listopada 1969 roku zamordowali pięcioosobową rodzinę Lipów, a w celu zatarcia śladów podpalili dom.

W trakcie śledztwa przyznali się do popełnienia jeszcze trzech zabójstw. Józef i Czesław Zakrzewscy zostali skazani na karę śmierci. Adam Zakrzewski na 25 lat pozbawienia wolności – w więzieniu popełnił samobójstwo. Mówiąc o sprawie warszawskiej, Jan Marchwicki najprawdopodobniej miał na myśli proces „Złotogłowych”, w którym na ławie oskarżonych zasiadł Witold Mętlewicz z żoną, Mieczysław Młynarczyk, także z żoną, oraz sześć innych osób zamieszanych w największą aferę przemytniczą w historii. Proces rozpoczął się w grudniu 1974 roku, ale podejrzanych aresztowano pod koniec 1973, o czym donosiła prasa, podając szokujące szczegóły o przemycie za

granice dzieł sztuki i 16 ton złota.

[57](#) Dialog z filmu Anna i wampir w reżyserii Janusza Kidawy.

[58](#) Grażyna Starzak, Powrót wampira. Zdzisław Marchwicki 20 lat później – morderca czy ofiara?, Kraków 1993.

[59](#) Pismo Jana Marchwickiego z dnia 11 stycznia 1973 roku, akta sprawy IV.K.157/74, karta 23494-23498.

[60](#) Pismo Jana Marchwickiego z dnia 11 stycznia 1973 roku, akta sprawy IV.K.157/74, karta 23494-23498.

[61](#) Orzeczenie sądowo-psychiatryczne z dnia 7 listopada 1973 roku, akta sprawy IV.K.157/74, karta 17189-17200.

[62](#) Orzeczenie sądowo-psychiatryczne z dnia 1 kwietnia 1974 roku, akta sprawy IV.K.157/74, karta 20198-20221.

NIE OSKARŻAM BEZ PRZEKONANIA

Przed wszystkim błędny jest tu i ówdzie lansowany pogląd, jakoby sąd i prokuratura służyły różnym celom.

Interesy aparatu wymiaru sprawiedliwości i ścigania są tożsame i nie ma, co więcej – nie może być – rozbieżności między sądem a prokuraturą w aspekcie zasad i celów ich funkcjonowania w socjalistycznym społeczeństwie⁶³.

We wrześniu lub październiku 1973 roku prowadzącego śledztwo prokuratora Leszka Polańskiego zastępuje prokurator Józef Gurgul z Prokuratury Generalnej. Gurgul nie od razu trafił do pracy w prokuraturze. Po ukończeniu studiów prawniczych na Uniwersytecie Jagiellońskim kilka lat pracował w przemyśle wydobywczym ropy naftowej na Podkarpaciu.

Później zatrudnił się w Powiatowym Związku Gminnych Spółdzielni i Powiatowym Zarządzie Rolnictwa. Jednocześnie pełnił funkcję członka Powiatowej Rady Narodowej w Gorlicach. Do prokuratury w Rzeszowie trafił dopiero w 1957 roku.

Szybko awansował. Jego pierwszą głośną sprawą był proces morderców Jana Gerharda.

Podtekst polityczny w tym śledztwie od początku wydawał się oczywisty.

Nawet Radio Wolna Europa podzieliło ten pogląd. Przez kilka miesięcy prasa nie informowała o postępach śledztwa.

Sprzyjało to szerzeniu się plotek, również o charakterze obyczajowym. Mieczysław Rakowski pisał w Dziennikach politycznych: Władze śledcze idą tropem zbrodni na tle seksualnym. Po śmierci Janka okazało się, że prowadził bardzo bujne życie, o którym nikt nie miał zielonego pojęcia; nawet jego najbliżsi przyjaciele⁶⁴.

Wiadomość, że Gerharda zamordował dla pieniędzy Zygmunt Garbacki, narzeczony jego córki, wraz ze współnikiem Marianem Wojtasikiem, zaskoczyła wszystkich. Motyw mordu był nieprawdopodobnie przyziemny – skomentował Rakowski.

Gdy sprawców ujęto, władze starały się zatuszować podążanie fałszywymi tropami: nagłośniono bandycki charakter zbrodni, gazety drukowały obszerne relacje z procesu, cytowały świadków, oskarżonych, obrońców i prokuratorów.

Gdy Gurgul opublikował na łamach „Problemów Kryminalistyki” artykuł Kryminalistyczne aspekty postępowania karnego w sprawie zabójstwa Jana Gerharda, ani słowem nie wspominał w nim o wątku politycznym czy obyczajowym. W 1987 roku Zbigniew Pudysz w książce Zabójstwo z premedytacją, poświęconej śmierci Gerharda, szeroko opisał milicyjne śledztwo, ale też przemilczał wiele szczegółów, które jako generał milicji musiał znać.

Prawdę ujawniły dopiero akta zgromadzone w Instytucie Pamięci Narodowej, do których dotarł historyk PAN-u Grzegorz Motyka. Czytała je także Violetta Krasnowska-Sałustowicz, dziennikarka tygodnika „Newsweek Polska”. Udało jej się porozmawiać

z samym Gurgulem. W 2010 roku nie musiał już niczego ukrywać. Przyznał, że kierownictwo prokuratury od początku naciskało na prowadzenie śledztwa pod kątem motywów politycznych, których należało szukać w bogatej i pełnej tajemnic biografii zamordowanego.

Niemal wyłącznie brano pod uwagę porachunki związane z działalnością Gerharda we francuskim ruchu oporu lub zemstę ze strony ukraińskich nacjonalistów. W zwykły napad bandycki nikt nie wierzył. Wielu wątpiło też w karę śmierci, na którą skazano Garbackiego i Wojtasika. Krążyły plotki, że obaj żyją gdzieś w Bułgarii pod zmienionymi nazwiskami. W roku 2015 motyw rabunkowy wydaje się równie nieprawdopodobny jak w 1972. Akta nie pozostawiają wątpliwości: Gerharda zamordowali Garbacki i Wojtasik, kara śmierci została wykonana.

Tamten proces miał dla Gurgula ogromne znaczenie. Był początkiem jego prawdziwej kariery. Później przysłała kolejna głośna sprawa, Iwana Ślęzki vel Zygmunta Bielaja, oskarżonego o uprowadzenie i zabójstwo płockiej lekarki Stefanii Kamieńskiej oraz szantażowanie jej męża i pięciu mieszkańców Konina. Gurgul udowodnił mu wiele przestępstw kryminalnych.

Choć Bielaj nie został skazany za najcięższy zarzucany czyn (porwanie i morderstwo), dostał wyrok aż piętnastu lat więzienia i trzystu tysięcy złotych grzywny.

14 czerwca 1974 roku tygodnik „Prawo i Życie” opublikował wywiad Marka Rymuszki z prokuratorem Józefem Gurgulem. Ten podkreślał, że nie służy żadnej wymyślonej idei, lecz konkretnemu systemowi sprawiedliwości społecznej.

Jego zdaniem wymiar sprawiedliwości i aparat ścigania miały na względzie ten sam cel i nie mogło być mowy, by sąd i prokuratura w aspekcie zasad i celów ich funkcjonowania w socjalistycznym społeczeństwie miały inne zdanie. W procesie Wampira wspólny cel podkreślało umieszczenie prokuratorów na podwyższeniu, za jednym stołem razem z sędziami i ławnikami. Załamanie stołu było tylko zabiegiem pro forma.

Rymuszko pytał o prawo oskarżonego do obrony.

Zdaniem Gurgula oskarżony ma prawo do swobodnych wypowiedzi, ale tylko w obszarze meritum sprawy. Zauważył, że podczas procesów zbyt często dochodzi do sytuacji, w których oskarżony narusza prawa pokrzywdzonych lub ofiar.

Nie przypuszczał jeszcze, że już wkrótce Jan Marchwicki miał do tej grupy dodać także prokuratorów. W wywiadzie poruszono też sprawę Ślęzki / Bielaja; Gurgul daleki był od podważania wyroku sądu. Uważał jednak, że sędzia nie wziął pod uwagę wszystkich dowodów. Zapowiedział, że sprawa niebawem znów trafi na wokandę, tym razem Sądu Najwyższego. Właśnie ta apelacja stała się przyczyną niemal miesięcznej przerwy, którą ogłoszono zaraz po odczytaniu aktu oskarżenia w sprawie Marchwickich.

Prokurator Józef Gurgul się mylił. 3 października Sąd Najwyższy podtrzymał wyrok Sądu Wojewódzkiego, dzieląc pogląd, że mimo kilku lat śledztwa nie udało się

udowodnić udziału Bielaja w morderstwie. Co więcej, ponieważ nigdy nie odnaleziono ciała, nie było wiadomo, czy porwana lekarka rzeczywiście nie żyje. Śledztwo toczyło się przez kolejne lata, aż do śmierci Iwana Ślęzki. Prokurator Gurgul udowodnił, że Bielaj to przybrane nazwisko, ale nie doprowadził do skazania go za sfałszowanie dowodu osobistego. Ślęzkę objęła amnestia. Gurgul starał się deportować go na Ukrainę. Nie udało się – Iwan Ślęzko zmarł, zanim sąd wydał decyzję*.

W wywiadzie opublikowanym na łamach „Prawa i Życia” nie padło ani jedno słowo na temat procesu Marchwickich.

Marek Rymuszko gratulował prokuratorowi doktoratu świeżo obronionego na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu. Później na sali sądowej Jan Marchwicki bronił się, mówiąc, że prokurator nie mógł kontrolować postępów śledztwa i jednocześnie pisać pracy doktorskiej.

Rzeczywiście, obrona pokrywała się z końcową fazą postępowania przygotowawczego. Tyle że dla Gurgula był to dopiero początek udziału w tej sprawie.

* Niedługo przed śmiercią Iwan Ślęzko kilkakrotnie spotykał się z młodym oficerem Grabowskim. Podczas ostatniego spotkania miał wyjawić prawdę. Niestety, wracając z widzenia, Grabowski zginął w wypadku samochodowym. Ślęzko zmarł następnego dnia.

63 Nigdy nie oskarżam bez przekonania, „Prawo i Życie” z 14 czerwca 1974 roku.

64 Mieczysław Rakowski, Dzienniki polityczne 1972–1975, t. 5, Iskry, Warszawa 2002.

JESZCZE JEDNO MORDERSTWO

Dodatkowo wyjaśniam, że przez tą amfibię, wielkiego mecenasa mam teraz kłopoty, ponieważ musiała na moje nieszczęście trzymać ten list. Na pytanie przesłuchującego wyjaśniam, że amfibią i mecenasem nazwałem moją żonę [...]. Chciałem kiedyś dobrać się do tej torby i zrobić porządek. Prostuję, że nie starałem się zaglądać do jej torby, to jest żony⁶⁵.

Gdy tylko prokurator Józef Gurgul przejmuje śledztwo, natychmiast zaczyna weryfikować zebrany materiał dowodowy. Nie jest to łatwe, bo w aktach panuje potworny bałagan.

Dobry adwokat bez trudu mógłby podważyć większość dowodów. Ale w tej sprawie adwokata jeszcze nie ma i nikt nie patrzy prokuratorowi ani śledczym na ręce.

Dowody winy trzeba szybko przygotować. Zdzisław Marchwicki tkwi w areszcie już prawie dwa lata, a władza musi się w końcu wykazać skutecznością.

Jedną z najważniejszych spraw jest udowodnienie, że Marchwicki po zamordowaniu Gierkówny sprzedał na targowisku w Będzinie jej zegarek.

Ponieważ milicja brała pod uwagę, że morderca może tak postąpić, podczas obserwacji targu zrobiono kilka tysięcy zdjęć.

Już wcześniej bez skutku próbowano znaleźć na nich podejrzanego.

Zdjęcia odłożono do archiwum, tak że nawet nie było wiadomo, gdzie dokładnie są. Gurgul każe je odnaleźć i ponownie przejrzeć. Na jednej z pierwszych rolek negatywu śledczy natrafiają na mężczyznę podobnego do Marchwickiego.

Najważniejsze, że świadkowie rozpoznają w nim tego, który sprzedał zegarek. Nagle odnajduje się też pejcz uznany przez biegłych za narzędzie zbrodni. Nikomu nie przeszkadza, że jest za miękki, by rozłupać człowiekowi czaszkę, ani że nie znaleziono na nim krwi ofiar.

Daty morderstw pokrywają się z kryzysami w związku Zdzisława i Żony.

Gdy ta odchodziła od niego, ginęły kobiety. Gdy się godzili i mieszkali razem, ataki ustawały. Prokurator Gurgul nie wykorzystuje tylko ekspertyz z badania wykrywaczem kłamstw, bo w Polsce dotąd nie stosowano tej metody w kryminalistyce.

W styczniu 1974 roku Gurgul przedstawia Marchwickiemu postanowienie o zmianie zarzutów.

Pierwsze dwa dotyczą zabójstw, o których dotąd nie było mowy.

I. Dnia 14 stycznia 1959 r. w Siemianowicach, działając w zamiarze pozbawienia życia Tadeusza L. [tu pełne nazwisko – przyp. P.S.], spowodował oberwanie się zwisającego okapu węglowego, w wyniku czego pracujący pod tym okapem Tadeusz L. poniósł natychmiastową śmierć, tj. o czyn z art. 225 §1 KK z 1932 r.

II. Dnia 30 sierpnia 1969 r. w Katowicach – Brynowie, działając w zamiarze pozbawienia życia Ireny Włodyki, zadał jej cios w głowę narzędziem twardym, jednak

zamierzonego skutku nie osiągnął, powodując obrażenia ciała w postaci złamania kości jarzmowej, tj. o czyn przewidziany w art. 23 §1 KK w zw. z art 225 §1 KK z 1932 r. ⁶⁶.

Pozostałych siedemnaście zarzutów dotyczy drobnych przestępstw, kradzieży oleju, cementu, płyt pilśniowych oraz złomu metali kolorowych. Zdzisław Marchwicki przyznaje się do wszystkich kradzieży. Wielu z nich nie pamięta, ale uznaje, że skoro śledczy tak ustalili, to on to przyjmuje i potwierdza. Zaprzecza jednak, by mógł doprowadzić do śmierci górnika.

W dniu śmierci L. ja byłem górnikiem przodowym. Razem ze mną pracowali wtedy G., P. i M. [tu pełne nazwiska – przyp. P.S.] oraz L. [...] Ja po wypadku w ogóle z nimi nie rozmawiałem i nie nakłaniałem ich do fałszywych zeznań na temat przebiegu wypadku. [...] Ja L. w ogóle nie znałem. W dniu jego śmierci pracował on u mnie poraz pierwszy. W chwili oderwania się okapu na L. ja miałem w jednym ręku kilof, a w drugim miarę do mierzenia stojaka. [...] Wypadek miał miejsce na Oddziale II-gim Kopalni Siemianowice, na głębokości około 210 metrów.

Władze górnicze uznały wtedy ten przypadek za spowodowany ciśnieniem tektonicznym, a więc za zwyczajny przypadek górniczy⁶⁷.

Prokurator Józef Gurgul ma też zeznania świadków, które obalają alibi na dzień 3 października 1967 roku.

Marchwicki twierdził, że był wtedy jeszcze na wczasach leczniczych w Szczawnie-Zdroju. Ze szczegółami opowiadał o wieczorku pożegnalnym, który przyspieszono o jeden dzień, tak że zamiast orkiestry bawiono się przy gramofonie. Utrzymawał, że wrócił do Katowic 4 października. Ale wskazany przez niego kuracjusz Franciszek S., także pracownik kopalni „Siemianowice”, przyznał, że owszem, wrócił z Marchwickim jednym pociągiem, ale jeszcze przed zakończeniem turnusu, 3 października. Niestety, świadek umiera przed rozpoczęciem procesu. Gurgul i na to znajduje rozwiązanie. Zamiast S. przed sądem zeznania złoży żona S., powtarzając to, co opowiadał jej mąż.

Prokurator ma jeszcze jeden dowód potwierdzający, że Marchwicki wrócił ze Szczawna wcześniej, niż planował. List, który Zdzisław napisał do żony po powrocie z sanatorium. Znajduje się w nim informacja, że Bolesław O., z którym mieszkał w hotelu robotniczym na dwa dni przed powrotem, został zabrany do szpitala. Śledczy ustalili, że O. trafił do szpitala 29 września, a więc Zdzisław Marchwicki musiał wrócić jeszcze wcześniej i mógł dokonać w Wojkowicach zabójstwa Zofii Garbacz.

Na to Zdzisław nie ma już argumentów.

W lutym 1974 roku Marchwicki trafia ponownie do Szpitala Psychiatrii Sądowej w Grodzisku Mazowieckim. 6 kwietnia dyrektor szpitala doktor Józef Mielczarek oraz ordynator oddziału doktor Andrzej Różycki sporządzają opinię sądowo-psychiatryczną.

Na stu dwudziestu stronach podsumowują informacje z akt śledczych. Przepisują to, co się znajduje w protokołach przesłuchań i zeznaniach świadków, w tym głównie Żony Marchwickiego. Wyniki własnych badań i obserwacji zajmują im zaledwie dwie strony.

W teście Wechslera badającym poziom inteligencji Zdzisław Marchwicki uzyskuje średni poziom 102, co nie odbiega od normy. Badanie testem Rorschacha, nazywanym testem plam atramentowych, nie przynosi wielu informacji.

Marchwicki jest dość ostrożny, jego wypowiedzi są skąpe.

Jednak w trzech przypadkach ma skojarzenia seksualne, co uznano za brak kontroli i dowód nieprawidłowości w tej sferze życia. Test Grahama–Kendalla daje wynik na pograniczu patologii, co może świadczyć o istnieniu zaburzeń, ale równie dobrze być skutkiem przyjęcia przez badanego postawy obronnej.

Na podstawie informacji zebranych podczas obserwacji biegli przygotowują opinię. Zajmuje sto trzydzieści osiem stron, w tym trzynaście stron to wnioski.

Reszta jest właściwie podsumowaniem zeznań Żony.

Istnieje analogia pomiędzy tym, co podała w wywiadzie [imię i nazwisko], z okolicznościami, w jakich znajdowano ofiary. Analogia polega na tym, że brak jest danych, by sprawca odbywał stosunki z ofiarami, natomiast w większości przypadków są obnażone narządy rodne. Odpowiada to jego zwyczajowi oglądania narządów rodnych żony, nawet bez późniejszego odbycia stosunku.

Ślady krwi w okolicach narządów rodnych u niektórych ofiar, otarcia naskórka na wardze sromowej przemawiają za tym, że sprawca obmacywał je zakrwawionymi rękami, gdyż brak jest okaleczeń, mogących spowodować samoistne zabrudzenie krwią tych okolic⁶⁸.

Zdaniem biegłych Marchwicki obmacywał zakrwawionymi rękami narządy rodne ofiar. Zdziwiająco, że nie zostawiał przy tym śladów linii papilarnych. Psychiatrzy znaleźli jeszcze jedną istotną analogię.

Dokonywanie czynów przez Z.

Marchwickiego w okresie gdy nie było jego żony, a ze znajomymi dwiema kobietami miewał stosunki bez cech sadystycznych, jest analogiczne z przypadkiem Modzelewskiego tzw. „wampira z Gałkówka”. Modzelewski dokonywał zabójstw przed ożenieniem się, był sadystą i całkowitym impotentem. Po ożenieniu się przez około 8 lat nie dokonał ani nie usiłował dokonać żadnego zabójstwa. Wyżywał się seksualnie poprzez znęcanie się nad swą żoną. Gdy żona wyjechała do swej rodziny na wieś, po około dwóch miesiącach dokonał ponownego zabójstwa o charakterze typowego mordu z lubieżności. Analogia polega na tym, że Z. Marchwicki w latach 1954–1964 nie dokonywał żadnych zabójstw, gdyż mógł zaspokajać swój sadystyczny popęd przez znęcanie się nad żoną. Typowe morderstwa z lubieżności przypadają w znacznej większości na okres 1964–1967, gdy żony jego nie było i nie dochodziło do możliwości wyżycia się poprzez znęcanie się nad nią.

Ponadto istnieje i drugie podobieństwo w tym, że Modzelewski zgodził się, by żona do niego wróciła, będąc w ciąży z innym mężczyzną.

Marchwicki zgodził się na powrót żony, która urodziła dwoje dzieci ze swym kochankiem J.B. [tu nazwisko – przyp. P.S.]. Modzelewski zgodził się, gdyż wiedział,

że będzie mógł znowu zaspokajać z nią swój zboczony popęd, można przyjąć, że podobnie postąpił Marchwicki.

Wszystko powyższe świadczy o tym, że Z. Marchwicki jest osobnikiem o nieprawidłowych cechach osobowości i zboczonym sadystycznym popędzie seksualnym. [...] Odrębna jest sprawa poczytalności Z.

Marchwickiego odnośnie zarzucanych mu czynów, których dokonał na skutek psychopatycznych cech osobowości i sadystycznego zboczenia popędu seksualnego.

Większość autorów uważa, że tam gdzie nie zachodzą objawy zaburzeń w sferze intelektu, nie można mówić o ograniczeniu poczytalności na skutek istnienia jedynie zboczenia seksualnego. Sposób dokonania przez Z. Marchwickiego zarzucanych mu czynów wykazuje, że zawsze działał on z dużą ostrożnością.

Intelekt Z. Marchwickiego nie budzi żadnych zastrzeżeń, odpowiada w pełni jego wykształceniu, środowisku, z jakiego pochodzi i w jakim przestawał⁶⁹.

W opinii znajduje się też ciekawy fragment dotyczący zachowania Zdzisława podczas obserwacji. Lekarze zauważyli, że miał pogodny nastrój, chętnie rozmawiał z innymi pacjentami.

Uznał, że oskarżenie go o mordowanie kobiet jest niedorzeczne i że niebawem sprawa się wyjaśni, a on zostanie wypuszczony. Z całym przekonaniem mówił o tym innym pacjentom. Wyjaśnił także, dlaczego w maju 1972 roku przyznał się do zabójstw. Myślał, że gdy to zrobi, śledczy porównają jego zeznania z dokumentami i dojdą do wniosku, że nic się nie zgadza.

Stało się dokładnie odwrotnie. 26 kwietnia 1974 roku, a więc miesiąc po konferencji prasowej, na której zaprezentowano dziennikarzom dowody winy Marchwickiego, prokurator Józef Gurgul przedstawia zarzuty podejrzanemu.

Oświadczam, że zarzuty przedstawione mi w dniu dzisiejszym zrozumiałem. Na ten temat wyjaśniałem już wszystko i nie mam nic nowego do dodania. To co do tej pory w mojej sprawie wyjaśniałem, to nadal podtrzymuję, bo przecież nie mogę się z tego wycofać. Nie może być inaczej, bo ja wiem, o czym dotychczas mówiłem, i dzisiaj też nie może być inaczej. Wszystkie protokoły dotąd były mi odczytywane lub ja je osobiście odczytałem, po czym je podpisywałem własnoręcznie.

Co do zarzutu kradzieży, opisanego w pkt XXII – [...] że mogłem wspólnie z innymi osobami dokonać kradzieży [...]. Przyznaję się także do winy, że obraziłem funkcjonariuszy Milicji [...]. Byłem zdenerwowany, więc im naubliżałem.

[...] Ja się nie przyznaję do winy, tylko do zarzutu opisanego w pkt XXI postanowienia, to jest do przestępstwa znęcania się nad żoną. Tego jednego przestępstwa stanowczo nie popełniłem⁷⁰.

Dość szokujące, że dziennikarze zostają zapoznani ze sprawą wcześniej niż sędzia i obrońcy. Ze świecą szukać drugiego takiego przypadku, żeby na konferencji prasowej przedstawiono podejrzanego przed postawieniem mu zarzutów. Lub żeby ujawniono dowody dotyczące szczegółów śledztwa albo zeznania współoskarżonych mające

doprowadzić do tego, że zatrzymany w końcu się przyznaje. Uczestnicy konferencji nie zdawali sobie sprawy, że Marchwicki przyznał się, zanim ktokolwiek z jego rodziny został aresztowany. Ani że Józef Klimczak, koronny świadek, który pierwszy miał się wyłamać ze zmywy milczenia, trafił za kratki jako ostatni.

Całkowicie przemilczano natomiast kluczowe zeznania Żony, które doprowadziły do zatrzymania Zdzisława. Zamiast tego przedstawiono historię współpracy z naukowcami i wykorzystania w śledztwie komputera.

Atmosferę sukcesu zepsuło tylko pytanie o samobójcę z Sosnowca.

[65](#) Przesłuchanie Zdzisława Marchwickiego z dnia 16 stycznia 1974 roku, akta sprawy IV.K.157/74, karta 08897-08906.

[66](#) Postanowienie o uzupełnieniu postanowienia o przedstawieniu zarzutów z dnia 14 stycznia 1974 roku, akta sprawy IV.K.157/74, karta 08893-08895.

[67](#) Protokół przesłuchania Zdzisława Marchwickiego z dnia 14 stycznia 1974 roku, akta sprawy IV.K.157/74, karta 08895-08896.

[68](#) Orzeczenie sądowo-psychiatryczne w sprawie Zdzisława Marchwickiego wydane na polecenie Prokuratury Wojewódzkiej w Katowicach z dnia 6 kwietnia 1974 roku, akta sprawy IV.K.157/74, karta 20496-20636.

[69](#) Tamże.

[70](#) Protokół przesłuchania Zdzisława Marchwickiego z dnia 26 kwietnia 1974 roku, akta sprawy IV.K.157/74, karta 19623-19624.

CZEŚĆ III

WYROK JESTEM WIELKIM MORDERCĄ

Jak Marchwicki był w rękach władz, to dowiedziałem się o tym, że on jest tym zbrodniarzem. Nie widziałem nigdy Marchwickiego ani nawet w śledztwie mi go nie pokazywano.

Mam podstawy, że sprawcą zabójstwa mojej żony jest Zdzisław Marchwicki, dowodów jest dużo. Sąd ma na to dowody, pierwszym dowodem jest ten zegarek, który sąd mi okazał. Co jeszcze więcej potrzeba. [...] Takich to należy wieszać, a dowód leży na stole sędziowskim¹.

Mąż jednej z ofiar rozpoznaje zegarek, który Zdzisław Marchwicki miał zabrać zamordowanej. Jest pewien, że należał do jego żony. Gdy Jan Marchwicki zaczyna zadawać pytania, denerwuje się. Nie pamięta numeru seryjnego i ma do tego prawo, ale – jak tłumaczy – w domu jest karta gwarancyjna. W aktach zanotowano numer, który milicja spisała jeszcze podczas śledztwa. Zostaje odczytany świadkowi: 6889. Następnie świadek odczytuje numer zegarka leżącego na stole sędziowskim: 85319.

Wiem, że zegarek żony był taki sam, zresztą ja nie pamiętam numeru zegarka żony – kwituje².

Zdzisław Marchwicki wysłuchuje podobnych zeznań w spokoju. Czasem tylko protestuje, mówiąc: ta pani nie pamięta, co na obiad jadła, a co dopiero co było 10 lat temu albo jelenia szukacie, ja pamiętam, gdzie chodziłem. Jego uwagi i komentarze nie mają jednak żadnego znaczenia. Z dnia na dzień widać po nim, że jest coraz słabszy i zrezygnowany. Odmawia jedzenia. Na dodatek pod koniec procesu w sali sądowej panuje niemiłosierny upał.

Ogromne okna wpuszczają mnóstwo światła, ale ze względów bezpieczeństwa nie wolno ich otwierać. Marchwicki ledwo trzyma się na nogach. Wreszcie podczas mowy prokuratora Gurgula wstaje i podnosi rękę³.

– To co oskarżony chce powiedzieć?

– Co oskarżony Zdzisław Marchwicki chciał powiedzieć?

– Chciałem prosić o jakąś małą przerwę, Wysoki Sądzie, a później chciałem powiedzieć.

No przecież w końcu trzeba zakończyć ten proces.

Stałem się bandytą, byłem bandytą, wykończyłem świat, jak z tego wynika, siebie, ludzi, rodzinę i muszę iść tam, gdzie jest moje miejsce. Najwyższy Sądzie, no trudno, żałuję tego wszystkiego, żałuję, że się to tak stało, ale co zrobić?

– A co się stało?

– No to, co słyszałem, że ja niby wykończyłem świat. Z tego wynika, ludzi, siebie, rodzinę, stałem się mordercą wszechświata. No, nie wiem, Wysoki Sądzie. Żałuję bardzo, ale co z tego?

– Jak to należy rozumieć, co oskarżony mówi?

– Mnie to się tak mniej więcej wydaje, Wysoki Sądzie. Ale jaka jest prawda, to ja nie wiem. Pozabijałem kobiety, byłem mordercą, pozabijałem, i koniec. Sam nie wiedziałam, co robię, co mówię.

– Co oskarżony chce przez to powiedzieć?

– No Wysoki, Najwyższy Sądzie, prosiłbym, aby mnie w końcu wziąć i zaprosić tam, gdzie jest moje miejsce, bo to ani tak, ani tak, ani tak. Przecież w końcu...

– Co oskarżony chce przez to wyrazić?

– Najwyższy Sądzie, no ja nie wiem.

Przecież jestem za głupi do takich rzeczy, ja sam nie wiem, co ja robię.

– Co oskarżony chce powiedzieć przez to, żeby go zaprowadzić? Żeby skończyć?

– No bo przecież tych rozpraw tu jest, Najwyższy Sądzie. Ja nic nie mówiłem, bo z takimi rzeczami się nie spotkałem, aż za dużo. Po co to męczyć Wysoki Sąd? Ja się mam męczyć?

– To co oskarżony chce powiedzieć?

– No to, żeby mnie zawieziono tam, gdzie powinienem. Nie na Mikołowską, tylko tam w to miejsce. Najwyższy Sądzie, gdzie powinienem odpoczywać.

– Dlaczego oskarżony w ten sposób mówi?

– No bo co tutaj Wysoki Sąd ma się męczyć, i ja też? Bo tam się też będę męczył, nie wiem jak to tam. Się bardzo tego wszystkiego boję. To jest okropne dla mnie, ale co zrobić.

– Oskarżony krąży tak wokół, ale o co w istocie oskarżonemu idzie?

– No żeby Najwyższy Sąd zdecydował o mnie. Najwyższy Sądzie, żeby tutaj nie przyjeżdżać.

– A co oskarżony chce od siebie powiedzieć?

– By wydać takie zarządzenie milicjantom, którzy mnie wożą, Najwyższy Sądzie, czy no ostatecznie w więzieniu, gdzie ja mam iść. Żeby ja nie czekał tam i nie mówił to, a robiło się co. Ja też tam dużo zawiniłem, że nie poszedłem parę razy, żeby się stało to, co ma się stać.

– Z jakiego powodu ma się stać, co ma się stać?

– No to, Wysoki Sądzie, ja już nie umiem na to odpowiedzieć, naprawdę.

– Co oskarżony wewnętrznie odczuwa w tej chwili? Kiedy tutaj mówi?

– Ja już, Wysoki Sądzie, mówiłem, że wniosek z tego wynika, z tych różnych splotów mojego urodzenia, że [milczenie] się mordercą. Sam nie wiem, co mówiłem, co robiłem, i to wielkim mordercą.

– Niech oskarżony powie, czy [milczenie] jest faktycznie mordercą czy tylko taki splot.

– Sploty, no i to wszystko, Najwyższy Sądzie, że jestem...

– Czy należy rozumieć to, że oskarżony przyznaje się do zabójstw kobiet?

– No, Najwyższy Sądzie, przyznaję się do tego, co tu się dowiedziałem.

– Co oskarżony chce na ten temat powiedzieć?

– Nic więcej, Najwyższy Sądzie. Ja tylko zwracam się jeszcze raz z gorącą prośbą do Najwyższego Sądu.

– To wobec tego oskarżony się przyznaje?

– No to już już nie wiem, ja dziękuję.

– Do zabójstw kobiet, a ilu?

– Dwudziestu, czy tam iluś tam, mogłem zabić, ja już nie pamiętam dokładnie.

– Czy oskarżony mówi to szczerze?

Czy też dlatego, żeby zaspokoić ciekawość i skończyć dyskusje?

– Nie dlatego mówię, Najwyższy Sądzie. Ale dlatego mówię, że mówię. Że jak już powiedziałem Najwyższemu Sądowi, że ja, Najwyższy Sądzie, jestem tylko prochem, i że mną tu już za wiele kłopotów Najwyższy Sąd miał, no a ja też nie umiem o sobie sam decydować. Bo cóż ja mam czy miałem do powiedzenia, Najwyższy Sądzie?

– Czym się oskarżony kieruje, mówiąc tutaj o tym, żeby go już zaprowadzić?

Czyli krąży wokół problemu, nie mówiąc o istocie rzeczy.

– No to, Najwyższy Sądzie, raczej pan mecenas musiałby mnie wytłumaczyć, ale tu się stało zupełnie coś innego, o czym ja nie miałem pojęcia, bo ja byłem człowiekiem prostym. Dziękuję Najwyższy Sądzie, nie mam nic do powiedzenia.

– Co z tymi zabójstwami, o których oskarżony mówi? O zabójstwach kobiet, i tak dalej? Coś więcej, do ilu oskarżony się przyznaje, do dwudziestu?

– No, do dwudziestu. Dwadzieścia czy dwadzieścia sześć tam było. Ja nie pamiętam, Najwyższy Sądzie.

– Kto jest sprawcą zabójstw tych kobiet?

– No, ja, Najwyższy Sądzie. Nie mam nic więcej do powiedzenia. Dziękuję, nie mam nic więcej do powiedzenia.

– A ostatnie zabójstwo? Które było ostatnie?

– Które było ostatnie? Najwyższy Sądzie, tego nie wiem. Ja też na to pytanie absolutnie nie umiem odpowiedzieć.

Czekałem, byłem, Najwyższy Sądzie.

– Które zabójstwo było ostatnie?

– Nie, nie, Najwyższy Sądzie. Bardzo dziękuję, no naprawdę, ja nie umiem na takie pytania odpowiedzieć.

– Proszę, panie mecenasie, pan mecenas Polewka chciał coś powiedzieć.

– Czy oskarżony dokonał tych zabójstw? Czy też mówi o tym po to, by zakończyć szybciej proces? Czy mówi o tym, co się dowiedział?

– Ja nie chcę, ja dziękuję, Najwyższy Sądzie. Ja nie chcę. Nie odpowiem ani na to pytanie. Nie umiem na to pytanie odpowiedzieć.

Mecenas Jan Polewka drażył jednak dalej.

– Co oskarżony w związku z tym przyznaniem się chce osiągnąć?

– Ja już nic nie chcę osiągnąć. Nic w życiu nie osiągnąłem i nic więcej nie chcę osiągnąć. Dziękuję, Najwyższy Sądzie, ja już nie mam nic do dodania i już nie będę odpowiadał.

Sąd ogłasza półgodzinną przerwę. Po wznowieniu posiedzenia mecenas Polewka składa wniosek o przerwaniu rozprawy. Uzasadnia, że jego klient jest wyczerpany fizycznie i psychicznie.

Z udzielanych odpowiedzi wynika, że nie rozumie pytań ani w jakiej znalazł się sytuacji. Wnioskuje też o zbadanie Zdzisława Marchwickiego przez biegłych psychiatrów.

Na wypadek gdyby wypowiedź jego klienta została potraktowana jako przyznanie się do zarzucanych mu czynów, wnosi w myśl artykułu 356 kodeksu postępowania karnego o rozpoczęcie rozprawy na nowo w celu odebrania wyjaśnień związanych z poszczególnymi zarzutami. Wnioski mecenas Polewki spotykają się z ostrą reakcją prokuratora.

Co do wszystkich tych wniosków oponuję, jako że są one oczywiście, żeby nie powiedzieć rażąco bezzasadne.

Jeśli Zdzisław Marchwicki dziś jest załamany, to żal, że aż tak późno. Żal, niesłychany żal. Wtedy, kiedy mu się udowadnia 20 morderstw z tego 14 dokonanych, ohydnych, brudnych, i 6 usiłowanych – Zdzisław Marchwicki ma być nigdy nie załamany. Po prostu widzi bezsens swojego zachowania.

Jest to najzupełniej adekwatne do tego, co słyszy i co dzieje się na sali. Według mojej skromnej oceny operuję cały czas dowodami w czasie przewodu i jeśli oskarżony obserwował, co się tu dzieje, to widzi, że nie wykraczam poza to, co się mówiło w toku przewodu. Po prostu czuje się osaczony, czuje się pokonany po raz pierwszy w życiu. Jest to reakcja zupełnie adekwatna do tego, co się tu dzieje, to jest raz, a to, że adekwatnie reaguje, to świadczy przeciwko tezie pana obrońcy. Druga rzecz, nie wie ile było czynów, o wie, wie, proszę Wysokiego Sądu, wszak dwadzieścia mu zarzucanych, a na dodatkowe pytanie odpowiedział, że było ich 26 *choć dobrze nie liczył*, i o dziwo w tej sprawie było dokładnie badanych 26, dokładnie 26, których przypomniał mi się w związku z wnioskiem pana obrońcy. Mianowicie była badana sprawa Marii Gryndy – zabójstwo, następnie – Puchalska – usiłowanie zabójstwa, Wanda Łukasik, Wanda Niedbała, Ewa Pakuła i Alicja Bugiel.

Sześć spraw nie zostało objętych dlatego, że w tamtym czasie brakło przekonujących dowodów, przynajmniej taka była między innymi i moja opinia. Tak więc Zdzisław Marchwicki z dokładnością arytmetyczną wyliczył, że 26.

W przyrodzie nic nie ginie, nie zginęła również zbrodnia Zdzisława Marchwickiego i on je przywiódł dziś ku pamięci sądu. Godziłbym się z wnioskiem obrony tylko pod jednym warunkiem, gdyby każdego, kto mówi prawdę można było

uznać za niepoczytalnego, za psychicznie chorego. To wówczas bym się zgodził, przyłączyłbym się do tego wniosku, stąd mówienie prawdy, jeszcze raz powiadam, nie dyskwalifikuję intelektu, nie dyskwalifikuję wartości życia psychicznego nikogo, a oskarżonego w szczególności, po prostu powiedział Zdzisław Marchwicki prawdę.

Wszystkie wnioski obrony uważam za niesłuszne, bezzasadne i wnoszę o ich oddalenie⁴.

Sąd odrzuca wnioski obrony, a prokurator Gurgul kontynuuje swoje wystąpienie.

Głównego oskarżonego uznaje za psychopatę przejawiającego odchylenia pod względem zбочonego sposobu zaspokajania popędu płciowego, ale podkreśla, iż nie oznacza to niepoczytalności. Potwierdzeniem winy ma być kilkakrotne dobrowolne przyznanie się do popełnienia zarzucanych mu czynów. Gurgul przypomina o strachu, jaki panował w Zagłębiu przez sześć lat, mówi o terrorze i przerażeniu. Zdzisława Marchwickiego nazywa hurtownikiem zbrodni.

Następnego dnia dzienniki informują, że Marchwicki przyznał się do winy, i cytują kilka zdań z jego wypowiedzi. To nic, że są wyrwane z kontekstu i przytaczane niedokładnie.

[...] Zdzisław Marchwicki zwrócił się do sądu z prośbą o udzielenie mu głosu. Kiedy spełniono jego prośbę, oświadczył, że jest już zmęczony długim tokiem rozprawy i życzyłby sobie, aby została ona jak najszybciej zakończona, ponieważ jest przeświadczony, że i tak otrzyma to, na co zasłużył.

Przewodniczący składu sędziowskiego – Władysław Ochman zapytał wówczas oskarżonego, co oznaczać mają te słowa, czy przyznanie się do winy. – No tak – stwierdził Zdzisław Marchwicki – przyznaję, że byłem mordercą, wielkim mordercą, zabiłem 20, a może 26 kobiet, bo wszystkich zdarzeń nie pamiętam⁵.

Tymczasem pułkownik Jerzy Gruba wzywa do siebie podpułkownika Zygmunta Kalisza, naczelnika Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego.

Odtwarza mu nagranie z sali sądowej. Po wysłuchaniu słów Marchwickiego Kalisz mówi tylko jedno zdanie:

– Słuchaj, Jurek, nie byłem pewny, czy Zdzichu jest winien czy nie, ale tym „przyznaniem się” tyś mi udowodnił, że on nie jest Wampirem.

¹ [Protokół rozprawy z dnia 2 maja 1975, akta sprawy IV.K.157/74, karta 25342-25359.](#)

² [Tamże.](#)

³ [Dialog na podstawie protokołu rozprawy z dnia 10 lipca 1975 roku, akta sprawy IV.K. 157/74, karta 26831-26861.](#)

⁴ [Protokół rozprawy z dnia 10 lipca 1975 roku, akta sprawy IV.K.157/74, karta 26831-26862.](#)

⁵ [Z. Marchwicki przyznał się do popełnienia morderstw, „Dziennik Zachodni” z 11 lipca 1975 roku; Zdzisław Marchwicki przyznał się do zarzucanych mu czynów, „Wieczór” z 11 lipca 1975 roku.](#)

NIEWIERZĄCY

Koncepcja o zabójstwie Jadwigi K. dokonanym w zмовie i na zamówienie przy wykorzystaniu najemnego mordercy, którym jest poszukiwany przez całe społeczeństwo i MO zabójca z łubieżności Zdzisław Marchwicki, jest sprzeczna po prostu ze zdrowym rozsądkiem⁶.

Tydzień po rozmowie z pułkownikiem Grubą naczelnik Kalisz został odwołany ze stanowiska, a jego zastępcę Michalika przeniesiono do Zabrza. Tak skończyli wszyscy „niewierzący”.

Wątpliwości mieli już niektórzy oficerowie z grupy „Anna”. Odciski palców Marchwickiego nie zgadzały się z tymi, które zidentyfikowano przy ofiarach (znaleziono ich niewiele, a gros tych, które były, nie nadawało się do identyfikacji). Nie zawsze dało się potwierdzić lub obalić alibi, w większości przypadków nie sposób było tego sprawdzić.

Marchwicki pracował w kopalni „Siemianowice” jako konwojent, ale była to praca dodatkowa, dorobienie do renty. Z tego powodu nie mógł zarobić więcej niż dwa tysiące złotych. Za nadgodziny – zamiast pieniędzy – dostawał dni wolne.

W kopalniach panował zwyczaj, że w trakcie odbierania nadgodzin wpisywano normalną dniówkę.

W przypadku górników nazywano je „dniówkami sztygarskimi”. Sprawdzone dokumentację personalną, ale po tylu latach nikt nie był w stanie powiedzieć, kiedy Marchwicki był w pracy, a kiedy odbierał nadgodziny. Co ważniejsze jednak, podczas rozprawy przełożony Marchwickiego Józef D. zaprzeczył możliwości wpisywania „dniówek sztygarskich”, bo takie przysługiwały tylko górnikom dołowym. Pozostali mieli odnotowany w aktach normalny dzień urlopu.

Przez większą część pościgu za Wampirem śledztwo nadzorował prokurator Leszek Polański. To on uczestniczył w spotkaniach z naukowcami w 1970 roku i on stawiał pierwsze zarzuty Zdzisławowi Marchwickiemu.

Ale w książce Grażyny Starzak i w filmie dokumentalnym Jestem mordercą Macieja Pieprzycy z 1998 roku Polański przyznał, że w miarę kolejnych aresztowań, przesłuchań i sprawdzania dowodów nabierał przekonania, że Zdzisław nie może być Wampirem.

Tuż po aresztowaniu wyglądało na to, że jedyną osobą przekonaną o winie Zdzisława był podpułkownik Gruba.

Jego zastępca Zbigniew Gątarz miał inne zdanie: ujawnił po latach, że podczas towarzyskiego spotkania przy wódce powiedział w obecności prokuratora Polańskiego i podpułkownika Kalisza, że dowody są fabrykowane⁷. Gruba się wściekł, a Gątarz już następnego dnia został wezwany do komendanta wojewódzkiego pułkownika Benedykta Cadera. Zapytany o tamtą wypowiedź Gątarz opowiedział o swoich

wątpliwościach.

Cader wysłuchał wszystkiego z uwagą i poprosił o napisanie raportu.

Raport powstał w kilka dni. Gątarz punkt po punkcie obalał dowody winy Marchwickiego.

Jego wątpliwości dotyczyły przede wszystkim zeznań Żony. Jako główny świadek oskarżenia nie miała żadnej wartości. Z tego, co mówiła, wynikało, że mogła celowo pomówić męża. Poza tym to nie ona była ofiarą przemocy domowej, raczej odwrotnie: była sprawcą. Należało także zwrócić uwagę na jej przeszłość.

Konflikty, do których doprowadzała, spowodowały, że musiała zmieniać miejsce zamieszkania aż czternaście razy.

Miała wyroki za pobicia i groźby, w tym także wobec funkcjonariuszy milicji.

Z powodu zaniedbań odebrano jej prawa rodzicielskie. Zdziwił fakt, że w aktach sprawy nie wspomniano o tym ani słowem. W trakcie rozprawy sędzia Ochman przyjmował jej słowa bezkrytycznie, a nawet ze współczuciem wysłuchiwał, jak przedstawiała się w roli ofiary męża sadysty. Zeznania świadków, którzy temu przeczyli, w tym także jej rodziców, Florentyny i Jana K., nie miały znaczenia.

Dla Gątarza absurdem była teza, jakoby zabójca z lubieżności mógł się podjąć morderstwa na zlecenie. Taki casus byłby precedensem w światowej kryminalistyce.

Gdyby przyjął, że Zdzisław dokonał zabójstwa Jadwigi Kuci na zlecenie Jana, to fakt ten wykluczał możliwość, by był seryjnym mordercą*.

I jeszcze obrażenia zadawane po lewej stronie głowy, dowodzące, że Wampir był mańkutom.

Marchwicki był praworęczny.

Osobną kwestię stanowiły przesłuchania Zdzisława Marchwickiego.

Mordercy z lubieżności zwykle przyznają się do winy i ze szczegółami opowiadają o swoich czynach. Tak to wyglądało we wszystkich dotychczasowych przypadkach: Arnolda, Modzelewskiego, Rachubińskiego, Sobolewskiego, Kota, a także gwałciciela Krzysztofa P. Na te przypadki powoływali się biegli, porównując osobowość sprawców z osobowością Marchwickiego. Tę regułę miał niebawem potwierdzić także Joachim Knychała**.

Tymczasem Marchwicki zaprzeczał.

Owszem, wiedział o morderstwach, ale nie więcej niż inni.

Pozostałe szczegóły miał usłyszeć w śledztwie. Zbyt wiele napisano w zarzutach, które usłyszał. Gątarz twierdził też, że o morderstwach opowiadali mu agenci podstawieni do celi.

Krótko po złożeniu raportu Gątarza przeniesiono do Komendy Miejskiej w Katowicach. Wiele lat później, podczas spotkania z dziennikarką Grażyną Starzak, Gątarz miał nawet odtwarzać z magnetofonu fragmenty przesłuchań Marchwickiego. Protokoły znajdujące się w aktach sprawy nie pasują do tego, co zacytowała Starzak w swojej książce.

Niestety, ani taśm, ani raportu nie ma dzisiaj w żadnym archiwum.

Krótko po przeniesieniu Gątarza ze sprawy wycofał się także Leszek Polański. Raport zniknął, a nadzór nad śledztwem powierzono prokuratorowi z Warszawy Józefowi Gurgulowi. Z tej zmiany zadowolony był tylko Jan Marchwicki, który podczas jednego z przesłuchań oświadczył, że wreszcie przyszedł ktoś kompetentny, co zapowiada rychłe uniewinnienie członków jego rodziny. Już wkrótce miał się przekonać, jak bardzo się mylił.

Leszek Polański porzucił prokuraturę i podjął praktykę adwokacką.

* Za seryjnego mordercę uważa się sprawcę, który w celu zaspokojenia popędu zamorduje przynajmniej trzy osoby. Karol Kot zamordował dwie osoby, podobnie Stefan Rachubiński z Bydgoszczy. W tych przypadkach zakłada się jednak, że szybkie schwytywanie sprawców zapobiegło kolejnym morderstwom. Za seryjnego mordercę uznawany jest Władysław Mazurkiewicz, którego ofiarą mogło paść nawet trzydzieści osób. Tyle że Mazurkiewicz mordował w celach rabunkowych, nie był więc seryjnym mordercą, ale wielokrotnym zabójcą.

** Patrz rozdział: Frankenstein.

6 Grażyna Starzak, Powrót wampira. Zdzisław Marchwicki 20 lat później – morderca czy ofiara?, Venus, Kraków 1993.

7 Tamże.

ZŁY DUCH RODZINY MARCHWICKICH

Oskarżony Jan Marchwicki podaje: Dlatego pytam o to, bo w śledztwie mówiono mi, że J. Kucia była brzydka i nadstawiała tyłka każdemu, nie tylko tym w sutannie.

Przewodniczący zwrócił oskarżonemu uwagę, by zadawał pytania i przyzwoicie się zachowywał. [...] Zadałem, proszę sądu, tego rodzaju pytanie, bo w pewnym okresie śledztwa usiłowano zrobić J. Kucię lesbijką, nie tylko prostytutką i ku... księżowską⁸. Tadeusz Wielgolawski pisał o nim, że czego się dotknął, togniło. Zanim rozpoczął się proces Wampira, Jan Marchwicki trzykrotnie zasiadał na ławie oskarżonych. Cztery i pół roku więzienia dostał za udział w zorganizowanej grupie przestępczej zajmującej się nielegalnym handlem walutą. Za przyjęcie łapówek na niebagatelną kwotę miliona złotych Sąd Powiatowy w Katowicach skazał go na dwanaście lat więzienia i 250 tysięcy grzywny.

A za nielegalny druk bezdebitowych materiałów religijnych otrzymał karę czterech i pół roku więzienia oraz 50 tysięcy grzywny, którą z powodu braku możliwości zapłacenia zamieniono na dodatkowe pięćset dni pozbawienia wolności.

Szczególnie zastanawiający jest wyrok za łapówki w wysokości miliona złotych.

W latach siedemdziesiątych taką kwotę mógł zdobyć wyłącznie „prywaciarz” mający szklarnię.

Dla zwykłego człowieka zatrudnionego na państwowej posiadzie była niewyobrażalną fortuną.

Wygrane tego rzędu rzadko padały nawet w totolotku. Mały fiat na wolnym rynku kosztował sto tysięcy. Wynika z tego, że Jan Marchwicki był majątnym człowiekiem. Nie sposób ustalić, dlaczego mając tyle pieniędzy, mieszkał w spółdzielczym bloku, nie posiadał nic poza meblościanką i telewizorem, które podczas pierwszego przesłuchania wpisano w rubryce „stan majątkowy”.

Sędzia Ochman skrupulatnie wyliczył, że na utrzymanie Józefa Klimczaka wydał pięćdziesiąt tysięcy złotych.

Tyle kosztowały wspólne wczasy, modne ubrania i przesiadywanie w kawiarniach.

Co się stało z resztą pieniędzy? Jan próbował wykrzyczeć to na sali sądowej, ale sędzia skutecznie go uciszał, bo prawda była niewygodna.

Ochman w swoich wspomnieniach zreferował życiorys Jana Marchwickiego.

Jego zdaniem Jan dzięki kontaktom z czasów seminarium przeniknął do administracji uniwersytetu. To prawda, że wykorzystywał znajomości do osiągnięcia swoich celów, ale akurat nie te związane z duchowieństwem. Poza tym nie było w tym nic nadzwyczajnego. W PRL-u nawet kupienie pralki czy telewizora wymagało znajomości. Pracę teoretycznie miał każdy, ale naprawdę liczyła się tylko posada umożliwiająca „załatwienie” czegoś.

O tym, że Jan Marchwicki wykorzystywał swoje stanowisko, wiedziała zarówno

Służba Bezpieczeństwa, jak i milicja. Na Wydziale Prawa studiowało wielu oficerów.

Regularnie spotykali się z Marchwickim. Poza tym jeden z tajnych współpracowników SB doniósł, że Jan przechwalał się swoimi wpływami.

Opowiadał o kontaktach biznesowych z Sekretarką Profesora i samym Profesorem. Twierdził, że na uczelni mówi się o nich „święta trójca”. Do Komendy Wojewódzkiej wpłynął także donos.

Obywatelu Komendancie!

Nie wiem czy dobrze robię, lecz pragnę opisać moje spostrzeżenia w stosunku do jednego obywatela, który budzi duże podejrzenie. Na Filii U.J. a obecnie Uniwersytecie Śląskim w Katowicach od kilku lat pracuje w Sekretariacie Studium Administracyjnego Jan Marchwicki.

Jak mi wiadomo od studentów, którzy bliżej go znają i ludzi, którzy go znali kilka lat wstecz, nasuwa mi się dużo podejrzeń, które zaczynam łączyć ze sobą.

Kilka lat wstecz Marchwicki studiował w Krakowie Teologię. Był już klerykiem, zakonnikiem czy księdzem.

Oderwał się jednak od kleru, zdobywając duże zaufanie u ludzi, którzy pracują na wyższych uczelniach i którzy udostępnił mu studiowanie Prawa Zaocznego w Krakowie oraz pracę na Uczelni. Człowiek ten wykorzystując kontakty z ludźmi na Uczelni i księżmi, zrobił się płatnym pośrednikiem, jeżeli chodzi o dostanie się na studia czy inne kłopoty. Do tegoż muszę dodać, że na Uczelni uprawiał i uprawia sprzedaż skryptów i podręczników, za które bierze sumy kilkakrotnie wyższe niż kosztują w księgarni, tylko że nie można ich dostać.

Znajomości jego są tak duże, że wszystkie sprawy podejmuje się załatwić, za co pobiera czasem zawrotne sumy. Człowieka tego stać na wszystko, jak wymaga sytuacja rzuca olbrzymie sumy pieniędzy nawet i w obcej walucie.

Do tego człowiek ten zawsze lubił *przebywać* obcować z młodymi studentami, których zapraszał do własnego mieszkania. Bardzo często wyjeżdża na wczasy, zawsze dobiera sobie jakiegoś studenta, i jest już dowiedzione, że człowiek ten jest zbrojcem *pederastą*.

Teren Zagłębia człowiek ten zna tak dobrze, jak własną kieszeń.

Przestępstwa, które robi, od razu przemyśla, żeby prawo sprawiedliwości nie dosięgło go.

Wygląd jego i zachowanie w otoczeniu bliższym jest tak dziwne, że nasuwa się myśl, czy to nie jest człowiek, który od dłuższego czasu uprawia zabijanie kobiet, znany u nas w Zagłębiu jako Wampir.

Mieszka on przy ulicy Bankowej 31.

Jestem pewna, że Ob. Komendant, gdy poleci grupie ludzi, którzy szczerze zainteresują się wyżej wymienionym, wyjdzie na jaw oprócz tych dużo więcej innych przestępstw dokonanych przez niego. 1/35 Katowice dnia 4 XI 1968 r. ⁹

Miesiąc później przyszedł kolejny anonim napisany przez tę samą osobę. Tym

razem interesy uczelniane były już tylko dodatkiem. Chodziło głównie o sprawę Wampira. W dość zawołowany sposób autorka (bądź autor, jeśli przyjąć, że forma żeńska miała zmylić śledczych) odniosła się do anonimu podpisanego „Student”. Wyjaśniała bowiem, że student nie musi być osobą młodą, bo przecież studiują też ludzie czterdziestoletni. List podpisano inicjałem 1/35.

Służba Bezpieczeństwa nie znalazła dowodów łączących Jana Marchwickiego z morderstwami kobiet. Jednak zaraz po sprawdzeniu informacji zawartych w anonimach jeden z oficerów odwiedził Jana i powiedział mu o donosach.

Uprzedził też, że założono mu podsłuch na telefonie prywatnym i służbowym.

Potwierdzają to słowa Jana Marchwickiego z rozprawy sądowej z 10 stycznia 1975 roku: Moje mieszkanie od 1968 r. było pod obserwacją organów M.O. Do milicji wpłynęły anonimy, że ja jestem wampirem.

Jan był przekonany, że za anonimami stała Sekretarka Profesora. W aktach nie ma informacji, kto napisał donosy, choć esbecy musieli to ustalić, bo już z samej ich treści wynikało, że był to ktoś ze środowiska uniwersyteckiego. Poza tym oba listy były napisane na maszynach do pisania, a ponieważ każda była zarejestrowana, a wzory czcionek znajdowały się w kartotece, odnalezienie maszyny oraz osób mających do niej dostęp nie nastęczało trudności.

W donosie znajdowały się informacje o handlu skryptami. Dzisiaj trudno zrozumieć, co w tym naganego. Prawa ekonomii są proste. Jeśli towaru brakuje, jego cena rośnie. Ale w socjalizmie wykorzystywanie braku towaru do podnoszenia ceny uznawano za spekulację i wymierzano za to surową karę. Na tym drobnym handelku nie dało się jednak zarobić miliona. Jan miał dostęp do dokumentów kandydatów na studnia. Znajdował wśród nich dzieci osób wpływowych i zamożnych i oferował pomoc. W razie słabego wyniku na egzaminie pisemnym podmieniał pracę, a gdy kandydatowi powinęła się noga na ustnym, doradzał napisanie odwołania do rektora dysponującego miejscami ze swojej puli.

Interes doskonale prosperował i przynosił krociowe zyski.

Jan Marchwicki należał do pierwszego i najważniejszego z ogniw układu. Ale choć bez niego proceder nie mógł funkcjonować, przy podziale zysków otrzymywał najmniej. Z czasem przestało mu odpowiadać, że odwała czarną robotę, a dostaje resztki. Znalazł nowy sposób zarabiania na studentach.

Prosił znajomych wykładowców, by przychylniej traktowali jego podopiecznych.

Podczas egzaminu ustnego wchodził na salę za zdającym i kładł na stole komisji paczkę carmenów.

Jeśli mimo to studentom nie udawało się zdać, po kilku dniach szedł z indeksem do odpowiedniej osoby i ocena była poprawiana.

Wykładowcy za taką przysługę otrzymywali gratyfikację w postaci telewizora, pralki albo innego trudno dostępnego artykułu, a Jan inkasował swoją dolę. Nie zawsze w gotówce. Studentom, których nie było na to stać, proponował seks. Wielu się

zgadzało.

Sprawa łapówek wyszła na jaw w 1969 roku, gdy jeden z wykładowców zażądał zwołania Rady Wydziału. Jednak zbyt wielu osobom zamieszkanym we współpracy z Marchwickim zależało na wyciszeniu afery. Choć wówczas niczego nie wyjaśniono, na uniwersyteckich korytarzach sporo się mówiło. W ten sposób wieści dotarły w końcu do Sekretarki i Profesora, któremu Marchwicki podpadł już wcześniej.

Dziennikarz Tomasz Szymborski odnalazł w IPN-ie akta kontrolne i fragment przesłuchania Jana Marchwickiego, którego nie ma wśród dokumentów sprawy Wampira. Komuś zależało, by w publicznym procesie nie mówić o kulisach działalności Uniwersytetu Śląskiego. Ob. Aleksander C. – pracownik SB – pozostawił mi kartkę z nazwiskami swoich protegowanych na ZSA

[Zaoczne Studia Administracji – przypis P.S.] i nie tylko z KW MO.

Oczywiście wszyscy zostali przyjęci, ale przez to musiałem dwa nazwiska skreślić z listy WRN [...] [Wojewódzkiej Rady Narodowej – przypis P.S.], a ci kandydaci mieli pierwszeństwo. Wiem, że w tej sprawie wezwał mnie ob. [tu nazwisko Profesora – przyp. P.S.], który był u siebie w gabinecie z I sekretarzem KU PZPR i pytał się, co się stało.

Odpowiedziałem, że chodzi o ludzi ob. C. Profesor nic się nie odezwał i kazał mi iść. [...] Jeżeli chodzi o Aleksandra C., to tutaj muszę dodać, o czym nie chciałem pisać w protokole por. [tu imię i nazwisko – przyp. P.S.], że właśnie w czasie kiedy byłem zabierany na rozmowy do KW MO, pouczał mnie, abym nie poruszał sprawy łapówek i uważał na podpis protokołów – chodziło o to, aby między ostatnim zdaniem protokołu a podpisem nie było miejsca, gdyż przesłuchujący mogą coś niekorzystnego tam dopisać. Tak samo wspominałem, że Aleksander C. pobrał od syna organisty S. [tu nazwisko] 1000 zł na załatwienie węgla i nie załatwił ani nie oddał pieniędzy. Por. [tu nazwisko] odparł, że to sprawa prywatna i w protokole tego pisać nie będzie¹⁰.

W czasie gdy zwołano Radę Wydziału, pierwszy sekretarz Komitetu Uczelnianego PZPR poinformował o sprawie łapówek Służbę Bezpieczeństwa. Esbecy jednak nie zareagowali, bo wielu z nich korzystało z pomocy Marchwickiego, i to nie za darmo. Było jeszcze coś. Tomasz Szymborski opisał w miesięczniku „Focus Śledczy” agenturalną przeszłość Jana Marchwickiego. TW „Janusz” miał zostać zwerbowany w 1962 roku przez kapitana Stanisława Wowrę. Marchwicki zbierał informacje o księżach, którym dostarczał druki religijne. Dzięki temu zdobył zaufanie esbeków, a ci w zamian umieścili go na uniwersytecie. Oczywiście nieprzypadkowo. Tu także był dla nich przydatny, a sprawujący kontrolę nad uczelnią oficer SB korzystał z jego gabinetu oraz informacji.

Choć rewelacje na temat Uniwersytetu Śląskiego były bardzo niewygodne, sędzia Ochman nie potrafił skutecznie uciszyć Jana, który przy każdej nadarzającej się okazji z lubością rozprawiał o uczelnianych układach i ujawniał mechanizmy nadużyć. Wyrażał też opinie na temat zabójstwa Jadwigi Kuci. Podczas rozprawy 7 listopada 1974 roku

oświadczył: Mówiłem, że to wszystko bzdury, gdyż zabójstwo Jadwigi Kuci zorganizowała „mafia uniwersytecka”¹¹ – tzn. Profesor i Sekretarka. – Byłem niewygodny dla [tu nazwisko Sekretarki – przyp. P.S.] w pewnym momencie i dlatego uważam, że intencją [tu nazwisko Sekretarki – przyp. P.S.] było doprowadzenie do zabójstwa J. Kuci i posądzenie o to zabójstwo mnie – dodawał na kolejnej rozprawie¹². Często padały też nazwiska oficerów Służby Bezpieczeństwa.

Mówiąc o SB, miałem na myśli Aleksandra C., Wiktora G. i Ryszarda G. – te osoby inspirowały mi dotarcie, poprzez księży z terenu Katowic do Kurii. Miałem być w tym wypadku szpiclem¹³. Można przypuszczać, że esbecy nie byli zachwyceni, gdy Marchwicki publicznie dekonspirował ich działania.

Jan naraził się dosłownie wszystkim.

Atakował sędziego, współoskarżonych, publiczność, świadków, obrońców, a nawet ofiary. W tej sytuacji samosąd – czego oficjalnie obawiano się ze strony robotników – wcale nie musiał być ich pomysłem. Być może esbecy rozważali taki sposób uciszenia kłopotliwego oskarżonego. Gniew robotników dałoby się łatwo uzasadnić, a prowokację zatuszować.

Ostatnie słowo Jana Marchwickiego przypominało isticie szekspirowski monolog.

Zaczął niepozornie, od zwrócenia uwagi, że zginęły mu lusterko i ołówek. Bał się, że przedmioty te mogą zostać podrzucone jako dowody znalezione w miejscach przestępstwa.

Chwilę później błyszczał już wiedzą, elokwencją i talentem krasomówczym.

[...] Paweł Jasienica w książce pt.

Tylko o historii między innymi pisze „świat walił się w Republice Rzymskiej, ale terminy i przepisy prawa musiały być przestrzegane, stanowiły one archimedesowy punkt oparcia, którego się czepiała ludzka nadzieja, to ratowało społeczność rzymską tuż przed ostatecznym rozkładem, porządek prawny był często łamany siłą, lecz zawsze można było odróżnić prawo od gwałtu”. Co ten sam pisarz i jemu podobni napisaliby, gdyby towarzyszyli oskarżonym w śledztwie, gdyby przewertowali i szczegółowo przeanalizowali akta śledztwa, akt oskarżenia i gdyby od początku do końca uczestniczyli w rozprawie rozpatrywanej przez Wysoki Sąd. Bez jakiegokolwiek skrupułu, a na pewno z całą odpowiedzialnością prawną przed polskim społeczeństwem i światem stwierdziliby, że narody na dobre i na zawsze przyzwyczyły się do tegoż, że piastunom władzy wcale nie wszystko wolno, że społeczne zasady nowych porządków, w nowym państwie socjalistycznym, o którym zapewnia nowe kierownictwo partii i rządu PRL, zostały naruszone przez organa ścigania w sposób nadzwyczajny, że sprzeniewierzyły się swojemu zaszczytnemu posłannictwu środki masowego przekazu, a przede wszystkim prasa polska, która deformowała prawdę obiektywną i wprowadzała w błąd opinię społeczną kraju i poza granicami naszego ludowego państwa. Wysoki Sądzie, stosunek do człowieka czy to do pokrzywdzonego, czy to oskarżonego jest ostatecznym kryterium do wydania sądu o

prokuraturze.

Człowiek odpychający, opryskliwy, zgryźliwy, hipokryta, purytanin nie jest i nie może być pracownikiem państwowym, jest tylko maszyną, marną i niebezpieczną maszyną urzędniczą, i z tego powodu oraz względu nie ma prawa oskarżać obywateli ludowego i socjalistycznego państwa, w którym humanitaryzm prawniczy zajmuje pierwsze i naczelne miejsce.

Autorzy komentarza do nowego Kodeksu Karnego z 1970 r. wyraźnie stwierdzają „prawnika, który nie jest humanistą, nie podobna uważać za jurystę”, a właśnie z takim zjawiskiem mamy do czynienia, jeżeli chodzi o ocenę osobowości oskarżycieli publicznych w tym procesie. Ma na to dowody i przykłady każdy oskarżony, każdy, kto bacznie i uważnie śledził to wszystko, co działo się na tej sali¹⁴.

Nie sposób przytoczyć całej mowy końcowej Jana Marchwickiego.

Jej stenogram zajmuje pięćdziesiąt stron.

Oskarżony wielokrotnie odnosił się do zarzutów, dowodów i świadków – oceniał wagę ich zeznań, wykazywał błędy i nieścisłości w akcie oskarżenia.

Nie chodziło już ani o Wampira, ani o ustalenie, kto nim był. Chodziło o pojedynek pomiędzy Janem Marchwickim a prokuratorem Gurgulem.

Pojedynek, który Jan już przegrał. Nie zdawał sobie sprawy, że to jego ostatnie publiczne wystąpienie, i niezależnie od tego, co powie, wyrok już zapadł. Tylko nie na sali sądowej. Sądowi przypadła jedynie rola ogłoszenia kary, która miała uciszyć Jana na zawsze.

⁸ Protokół rozprawy z dnia 21 marca 1975 roku, akta sprawy IV.K.157/74, karta 24948-24978.

⁹ List anonimowy z dnia 4 listopada 1968 roku, akta sprawy IV.K.157/74, karta 17469.

¹⁰ Akta kontrolne śledztwa przeciwko Janowi Marchwickiemu, Ireneuszowi Palonkowi i Ryszardowi Mierzwińskiemu podejrzanych o przestępstwo z art. 199 par. 1 kk, IPN KA 029/329, t. 1.

¹¹ Protokół rozprawy z dnia 7 listopada 1974 roku, akta sprawy IV.K.157/74, karta 24172-24190.

¹² Protokół rozprawy z dnia 8 listopada 1974 roku, akta sprawy IV.K.157/74, karta 24191-24205.

¹³ Protokół rozprawy z dnia 31 stycznia 1975 roku, akta sprawy IV.K.157/74, karta 24554-24566.

¹⁴ Protokół rozprawy z dnia 23 lipca 1975 roku, akta sprawy IV.K.157/74, karta 26293-26318.

TRZEBA TO KOŃCZYĆ, WYSOKI SĄDZIE

Wokół Zdzisława Marchwickiego wyrósł mur dowodów i poszlak.

Trudno dzisiaj jest powiedzieć, czy zapierając się swoich czynów przez wiele miesięcy, nie zdawał sobie sprawy z wagi tych dowodów, trudno odpowiedzieć, na co liczył, czego się spodziewał. Aż przyszedł dzień, gdy ugiął się pod ich ciężarem, przyznał się¹⁵.

Mowy końcowe mecenasów Jana Polewki, Bolesława Andrysiaka i Mieczysława Frelicha zajmują trzy dni.

Podają oni w wątpliwość wartość zgromadzonych dowodów rzeczowych.

Ani jeden nie został znaleziony u oskarżonego. Pejcz – w piwnicy jego ojca Józefa Marchwickiego. Portmonetka taka sama, jaką posiadała ofiara – odnaleziona przez ocięzalego umyślowo chłopca, przy drodze, którą Marchwicki codziennie chodził. I pióro, takie samo, jakie miała Jadwiga Kucia. Na żadnym z nich nie było śladów potwierdzających, że Marchwicki miał z nimi kiedykolwiek styczność.

Zdaniem adwokatów również zeznania świadków rozpoznających Marchwickiego nie mogą być brane pod uwagę. Przede wszystkim, z powodu upływu lat. Wielu z nich widziało domniemanego sprawcę przeszło dziesięć lat przed procesem.

Poza tym w większości przypadków przyznali, że istnieje możliwość, iż widzieli wtedy inną osobę. Nawet samo przyznanie się do winy nie powinno być przez sąd uwzględniane, bo Marchwicki wypowiedział je w stanie zaburzeń psychicznych związanych z procesem.

Zanim głos zostanie oddany samym oskarżonym, ponownie wypowiada się oskarżyciel publiczny. Prokurator Józef Gurgul oświadcza, iż rezygnuje z przysługującego mu prawa repliki po wystąpieniu adwokatów. Jego zdaniem obrońcy w niczym nie podważyli tez oskarżenia i wypowiedzieli się w kwestiach peryferyjnych.

Spośród oskarżonych pierwszy głos zabiera Józef Klimczak.

Ponownie przyznaje się do winy, wyraża skruchę i prosi o łagodny wyrok. O łagodne potraktowanie proszą również Zdzisław Flak i jego matka Halina Flak, która dodała, że nawet teraz nie jest przekonana o winie swego brata Zdzisława. Następny zabiera głos Jan Marchwicki.

Jan Marchwicki, nie wykazując żadnej skruchy ani żalu oraz przedstawiając siebie jako człowieka prawego charakteru, uznał zarzuty oskarżenia za tendencyjne, zeznania świadków – za fałszywe i kłamliwe, wyjaśnienia współoskarżonych – za oparte na pomówieniach, a opinie biegłych – za mylne. Odpowiedzialność za dokonane zbrodnie, a zwłaszcza za zabójstwo Jadwigi K., oskarżony starał się jeszcze raz przerzucić na wielu wymienianych po nazwisku ludzi, którym zarzucał przynależność do bliżej nieokreślonej „mafii”.

Na zakończenie swojego kilkugodzinnego wystąpienia Jan Marchwicki stwierdził, że nie ma nic wspólnego z zamordowaniem dr Jadwigi K. oraz nakłanianiem do zamordowania Henryki U., w związku z czym prosi o uniewinnienie go od tych zarzutów.

Jeśli chodzi o pozostałe przestępstwa, oskarżony, przyznając się do ich popełnienia, powiedział, że przyjmie taką karę, na jaką zasłużył¹⁶.

24 lipca 1976 roku sąd udziela głosu dwóm ostatnim oskarżonym. Pierwszy przemawia Henryk Marchwicki. Ale cała sala czeka na to, co powie Zdzisław¹⁷.

– Co oskarżony chciałby powiedzieć w ostatnim słowie?

– A cóż ja mam, proszę Najwyższego Sądu, do powiedzenia? Zrobiono ze mnie wielkiego ofiarę. Ofiarę losu i nic więcej.

Co ja o tym wszystkim mogłem wiedzieć? Zagoniono mnie tak daleko, że nie wiem teraz, co mam robić i czego się mam chwycić? Przecież co ja mogłem wiedzieć o takim czymś? Ja... cóż nie mam nic więcej do powiedzenia.

– Niech to oskarżony rozszyfruje, że boi się tam iść, gdzie ma iść.

– No tam gdzie ja mam iść, Najwyższy Sądzie. Bo ja się strasznie tego boję. Bo mam tam iść.

– Gdzie ma iść?

– No mam tam gdzieś iść i utopić się.

– Utopić się? Skąd te wiadomości?

– Głosy mi mówią. Jakiś głos mi mówi.

– Co oskarżony jeszcze chce powiedzieć?

– Ja nie mam nic, Najwyższy Sądzie, do powiedzenia. Cóż ja mogę więcej powiedzieć? Powiedziałem za mało na początku, bo cóż, nie zdawałem sobie w ogóle z tego sprawy, gdzie ja się w ogóle znalazłem. Cóż ja teraz, Najwyższy Sądzie, powiem? Nic nie powiem, bo nie miałem już dawno nic do powiedzenia. Ale zawiniłem wiele, to cóż ja dziś naprawię. Padłem ofiarą ciężkiego losu swojego życia i nic więcej. Z tego, co wynika, z tego, co wiem, to dopiero mnie czeka, Najwyższy Sądzie. Cóż ja przeżyłem przez te parę lat.

– Co oskarżony powie na temat tych dwudziestu przynajmniej zarzutów aktu oskarżenia?

– No cóż ja, Najwyższy Sądzie, mogę powiedzieć? Przecież Najwyższy Sąd wie.

Z tego, co się zorientowałem, już dawno Sąd Najwyższy wie i wiedział wszystko lepiej ode mnie. Ja zawiniłem, no to w końcu będę musiał iść, bo cóż...

– Czym oskarżony zawinił?

– No, urodzeniem, życiem swoim, tak się złożyło.

– No, a co do tych zabójstw?

– No cóż ja, Najwyższy Sądzie? Co ja, Najwyższy Sądzie, powiem? Sąd wie Najwyższy przecież. Gdybym wiedział od początku, jak to wygląda, jak to jest, tobym na pewno inaczej postąpił. Gdzie ja się w ogóle znajduję. Ja początkowo jak każdy

człowiek liczyłem, że może się to jakoś ułożyć, że może się jakoś naprawi.

I tak upływał miesiąc za miesiącem i się w głowie kręciło wszystko dookoła. No i wylądowałem w końcu tak, że znalazłem się w takiej krytycznej sytuacji, że...

– Jak to się miało oskarżonemu ułożyć na początku?

– No cóż ja powiem? Ja nigdy za wiele nie umiałem się wytłumaczyć z różnych spraw, a tutaj w ogóle. Co ja miałem, po tym, co się później dowiedziałem, co miałem do gadania?

Nic. Że zawiniłem wiele tutaj, to na pewno.

– Co oskarżony zawinił?

– No to zawiniłem, że dawno nie poszedłem tam, gdzie miałem iść.

– Gdzie oskarżony miał pójść?

– Skoczyć do tego bagna, co narobiłem.

– To znaczy? Co to jest...

– Najwyższy Sądzie, ja naprawdę nie mam nic do powiedzenia.

– Co oskarżony chciałby powiedzieć na temat zarzutów czternastu zabójstw i sześciu usiłowań?

– Chciałbym... Ja chciał... Coś powiedzieć. Najwyższy Sądzie, to nie będę się nawet i z tego umiał wytłumaczyć. Proszę, by mnie tam... ja nie mam naprawdę nic do powiedzenia.

Prosiłbym, by mnie zaprowadzono tam, gdzie mam iść, i koniec.

– Gdzie oskarżony ma iść?

– Albo pójdę sam, gdzie mnie oczy poniosą.

– Dokąd?

– Pójdę sam tam, gdzie mam iść, i koniec. Tam gdzie mnie zawiozą i tam gdzie mnie puszcza.

– Gdzie mają zawieźć?

– Do więzienia, bo obecnie znajduję się w więzieniu.

– To oskarżony nie chce się wypowiedzieć odnośnie tych zarzutów?

– No bo cóż, Najwyższy Sądzie, ja powiem? Cóż ja powiem? Zrobiono ze mnie mordercę, i koniec. Ja też do tego się przyznałem.

– Czy oskarżony jest mordercą?

– No jak z tego, co słyszałem, to wynika... Z tego, co wiem, co się dowiedziałem, no to tak.

– Nie chodzi o to, co oskarżony słyszał, tylko co sam oskarżony uważa.

Czy oskarżony jest mordercą?

– No chyba tak myślę. Ja tam miałem coś zbezczęścić. Ja naprawdę nie umiem się wygadać. Teraz nic nie powiem. To, co powiedziałem, pójdę tam, gdzie mam iść, i koniec.

– Gdzie oskarżony ma pójść?

– Na jakąś emfemię. Czy coś takiego.

Iść i cierpieć teraz. Czy ja wiem, co to jest infemia? Cóż, Najwyższy Sądzie. Jakie to ma teraz znaczenie?

Ja tak jak powiedziałem, Najwyższy Sąd wie lepiej ode mnie. Ja bym prosił, by mnie Wysoki Sąd zwolnił mnie w ogóle od... Ja nie chcę po prostu już zeznawać, bo nie mam nic do powiedzenia. Wiele zawiniłem, to na pewno, że tak postąpiłem, tego żałuję, ale dzisiaj już za późno.

– Czy oskarżony się przyznaje czy nie?

– No cóż, Najwyższy Sądzie. Cóż to jest za różnica? Jaka to jest różnica, jak ja się znalazłem w takim położeniu? Nie wiem, Najwyższy Sądzie, jak mam odpowiedzieć. Nie dla mnie jest to proste pytanie, Najwyższy Sądzie. Dla takiego człowieka jak ja. Na pewno się przyznaję, z tego, co się od dłuższego czasu... Co się zorientowałem... Nie tak bardzo dawno to jeszcze tak bałem się tego wszystkiego i przyznaję się, że wiele zawiniłem.

Narobiłem sobie największego bałaganu.

– Co znaczy wiele zawiniłem?

– No postąpieniem... Że dałem...

Pocałowałem... Tak jak mi sąd kazał iść, w więzieniu, tam gdzie miałem iść. Ja bym naprawdę prosił, by Najwyższy Sąd mnie zwolnił z tych pytań, bo ja na żadne z tych pytań rzeczowo nie odpowiem. Za wiele nigdy nie umiałem mówić, a teraz jestem zagoniony tak daleko, że jak sobie przed oczami przedstawię, to aż dreszcze przechodzą.

– Czy oskarżony czuje się winny czy niewinny?

– Z tego, co ja od jakiegoś czasu...

Bo dłuższy czas nie orientowałem się w ogóle... To winny się czuję. Tutaj najwięcej zbecześciłem, Wysoki Sądzie.

Dużo się rzeczy złożyło, o których nie miałem najmniejszego pojęcia, i nie spodziewałem się takiego obrotu sprawy.

Że takie coś mnie w życiu spotka. No winien, nie winien? Ja prosiłbym Najwyższy Sąd, by mnie Najwyższy Sąd zwolnił od pytań. Bo ja jestem za słaby.

Prasa ani jednym słowem nie odniosła się do głosu Henryka Marchwickiego. Już sam tytuł W ostatnim słowie Z.

Marchwicki ponownie przyznał się do winy podsumowywał wydarzenia na sali sądowej.

Jako ostatni zabrał głos główny oskarżony, Zdzisław Marchwicki.

Stwierdził on, że w zasadzie nie ma nic do powiedzenia, ponieważ wszystko ujawnił już w czasie przewodu sądowego.

Kiedy jednak przewodniczący składu orzekającego sędzia Władysław Ochman poprosił oskarżonego, aby ustosunkował się konkretnie do 20 pierwszych zarzutów aktu oskarżenia, dotyczących dokonania 14 zabójstw i usiłowania pozbawienia życia 6 dalszych kobiet, Zdzisław Marchwicki powiedział: – moje życie ułożyło się tak, że

wiele zawiniłem, ale cóż teraz naprawię. Sąd wie najlepiej, co zrobiłem. Żałuję, że tak postąpiłem. Obecnie nie ma to jednak żadnego znaczenia.

Na pytanie, czy słowa te mają oznaczać przyznanie się do winy, Zdzisław Marchwicki odpowiedział: –

Czuję się winny, boję się tego, co mnie czeka, chciałbym, ażeby jak najszybciej posłano mnie tam, dokąd mam pójść¹⁸.

Z powodu zawichości sprawy i dużego zasobu materiału dowodowego sąd postanowił ogłosić wyrok 28 lipca 1975 roku o godzinie 12:00. Nikt nie miał wątpliwości, jaki wyrok zapadnie. Może z wyjątkiem samego Zdzisława Marchwickiego.

¹⁵ Maria Osiadacz, Bilans zbrodni „Prawo i Życie” z 3 sierpnia 1975 roku.

¹⁶ Ostatnie słowo oskarżonych, „Dziennik Zachodni” z 24 lipca 1975 roku.

¹⁷ Dialog na podstawie protokołu rozprawy z dnia 24 lipca 1975 roku, akta sprawy IV.K.157/74, karta 26319-26325.

¹⁸ W ostatnim słowie Z. Marchwicki ponownie przyznał się do winy, „Wieczór” z 25 lipca 1975 roku.

JEDYNY MOŻLIWY WYROK

Uzasadniając wydany wyrok, przewodniczący składu orzekającego stwierdził, że sąd uznał skazanych winnymi dokonania zarzucanych im przestępstw.

Przewód sądowy – powiedział sędzia Wł. Ochman – ujawnił pełny obraz rodziny Marchwickich, jej cynizm, zakłamanie, zdemoralizowanie, brutalność i stosowanie przemocy¹⁹.

Zdzisław Marchwicki za dokonanie czternastu zabójstw i pięciu usiłowań oraz za znęcanie się nad członkami rodziny i zagarnięcie mienia społecznego został skazany łącznie na karę śmierci.

Uniewinniono go z zarzutu usiłowania pozbawienia życia Ireny W. Jan Marchwicki za zlecenie i kierowanie zabójstwem doktor Jadwigi K., namawianie do zabójstwa Henryki U., czyny lubieżne z nieletnim oraz nakłanianie do zaboru mienia społecznego został również skazany na karę śmierci.

Henryk Marchwicki otrzymał karę łączną 25 lat pozbawienia wolności, 10 lat utraty praw publicznych i 10 tysięcy grzywny.

Józef Klimczak otrzymał karę pozbawienia wolności na 12 lat i utratę praw publicznych na lat 6.

Halina Flak została skazana na 4 lata więzienia oraz grzywnę 7 tysięcy złotych.

Zdzisław Flak otrzymał karę 4 lat więzienia oraz 10 tysięcy grzywny i 8 tysięcy odszkodowania na rzecz uszkodzanego zakładu pracy.

¹⁹ Zdzisław i Jan Marchwiccy skazani na karę śmierci, „Dziennik Zachodni” z 29 lipca 1975 roku.

WYWIAD Z WAMPIREM

Wiadomo, kto to zagłębiowski wampir Zdzisław Marchwicki. W tych dniach Sąd Najwyższy zbierze się, żeby zatwierdzić ostateczny wyrok w sprawie zbrodni. W maju 1976 dostałam z Sądu Najwyższego zezwolenie na widzenie ze Zdzisławem Marchwickim. W pogodny wiosenny dzień przyleciałam do Katowic... Ale cofnijmy się do początku...²⁰

Po wydaniu wyroków sprawa Wampira przycicha. Dopiero po rocznej przerwie, na przełomie września i października 1976 roku, o Zdzisławie Marchwickim przypomina „Życie Literackie”. Reportaż Barbary Seidler W tych dniach ostateczny wyrok... jest zapowiadany już na okładce. Autorka pisze o ofiarach i przypomina żmudne śledztwo. Ale przede wszystkim ujawnia, jak milicja odnalazła Wampira.

Dzięki przygotowanej w czerwcu 1970 roku analizie całokształtu materiału śledztwa opracowano wspomniane już 485 cech osobowych – fizycznych i psychicznych, jakie powinien posiadać ten, którego poszukiwano. [...] Funkcjonariusze „szli po kołędzie” od domu do domu – spisywali wszystko, sprawdzali karty zdrowia w przychodniach i skargi w radach narodowych, wypytywali o dzieciństwo dorosłych już mężczyzn i o intymne współżycie z kobietami.

Szukano człowieka małomównego, konfliktowego, psychicznie zrównoważonego, ale jednocześnie brutalnego w pożyciu z najbliższymi, człowieka z dobrą opinią w miejscu pracy²¹. Na koniec, wedle relacji Seidler, perforowane karty odpowiednio poukładano na podświetlarce i tak wytypowano Zdzisława Marchwickiego, który miał aż trzydzieści sześć cech sprawcy.

Seidler charakteryzuje całą kryminogenną rodzinę, którą milicja prześwietliła jak w rentgenie. Omawia każdego z osobna i wymienia zarzucane im czyny. Przyznaje, że nie wszystkie zarzuty miały jednakowy ciężar, ale chodziło o to, aby, jak w zwierciadle, odbiła się moralność ogromnej większości członków tej rodziny.

Przypomina czytelnikom, że sprawę rozpatrywano podczas 126 posiedzeń.

I wymienia bogaty materiał dowodowy: wyjaśnienia oskarżonych złożone w śledztwie oraz podczas rozpraw; zeznania pięciuset świadków przesłuchanych podczas procesu; zeznania kolejnych tysiąca osób przesłuchanych w śledztwie; ekspertyzy dwudziestu biegłych z różnych dziedzin nauki; protokoły z eksperymentów procesowych; ponad tysiąc różnych dokumentów; sto dowodów rzeczowych; dwadzieścia pięć taśm magnetofonowych zawierających nagrania z przesłuchań oskarżonych; sześć filmów; trzysta dwadzieścia pięć przezroczy. Razem sto czterdzieści jeden tomów akt postępowania przygotowawczego i kolejnych dziesięć tomów protokołów rozpraw. Było także dwieście pięćdziesiąt pięć taśm magnetofonowych oraz pięć taśm magnetowidowych.

Ale co najważniejsze, podaje, że 10 maja 1972 roku Marchwicki pękł i zaczął

mówić.

A zatem przyznał się do winy.

[...] Życie rodzinne i małżeńskie głównego podsądnego to było jedno pasmo nieporozumień, antagonizmów, znieważzeń, znęcania się fizycznego i moralnego, bójek i awantur. Taka była codzienność. Nie mieli łatwych charakterów oboje. On czasem bywał nietrzeźwy, ona – zawsze – aż nadto konfliktowa. Był wobec niej brutalny, bezwzględny, mówiła o tym długo przy zamkniętych drzwiach sali, do uzasadnienia wyroku przedostały się takie stwierdzenia: „W stosunku do żony używał metod sadyzmu fizycznego, realizował je konsekwentnie, zwłaszcza że żona znajdowała się często w stanie nieprzytomności z powodu ataków epilepsji”.

Trudno się dziwić, że w październiku 64 r. opuściła męża i wraz z przyjacielem i dziećmi wyjechała do Lęborka. Wtedy Zdzisław Marchwicki zaczął mordować²².

Jak sędzia Ochman w czasie rozprawy nie dopytywał, tak Seidler o kulisach tej „przyjaźni” nie wspomina ani słowem.

O Józefie Klimczaku także pisze jako o przyjacielem i partnerze Jana Marchwickiego, unikając nazwania rzeczy po imieniu. Za to bardzo krytycznie ocenia postawę wszystkich oskarżonych, którzy w trakcie procesu ubliżali powadze sądu, obrażając świadków, biegłych, prokuratorów i siebie nawzajem. Strach było czasem patrzeć na towarzystwo siedzące między milicjantami, w dwóch rzędach, pod ścianą świetlicy huty „Silesia” – pisała.

Barbara Seidler od lat relacjonowała procesy sądowe. Czytelnicy wiedzieli, że mogą liczyć nie tylko na rzetelną informację, ale i świetne pióro.

Dziennikarka doskonale buduje napięcie.

I pod koniec trzeciego dnia przemówienia prokuratora coś chyba pękło w podsądnym. Może to był taki sam moment jak tamten, przed laty, gdy przywieziony do Warszawy w czasie śledztwa, po miesiącach milczenia, zaczął mówić?

Bo wstał nagle i wychrypiął:

– Tak, przyznaję się do winy.

Jestem wielkim mordercą. Nie wiem ile kobiet zabiłem, może 20, może 26, nie pamiętam, nie liczyłem. Ponoszę wielką winę. Narobiłem wiele krzywdy.

Powiedział to i usiadł. I już w odrętwieniu jakby słuchał dalszej części przemówienia, nie drgnęła mu twarz, gdy prokurator zażądał kary śmierci, sprawiał wrażenie nieobecnego, gdy zabierali głos obrońcy.

Dopiero w ostatnim słowie oskarżonego, gdy przewodniczący zwrócił się doń sakramentalnym:

– O co oskarżony prosi?

Wstał i podpierając się rękami o blat ciemnej dębowej ławy, powiedział:

– Chciałbym już tam iść, gdzie trzeba²³.

W tym miejscu rozpoczyna się prawdziwa reporterska relacja z katowickiego więzienia przy Mikołowskiej. Naczelnik więzienia jest zaskoczony, że Seidler

otrzymała zgodę na rozmowę z Marchwickim bez świadków.

– Ma pani widzenie bez krat i bez strażnika. Jak pani to sobie wyobraża?

– Zwyczajnie, już przecież nieraz rozmawiałam z więźniami.

– To nie jest zwyczajny więzień. Czy pani wie, że on może być niebezpieczny?

Uderzy panią, a ja odpowiadam za wszystko, co się w tych murach dzieje.

– Czym uderzy?

– Ręką. Jest bardzo silny. Poza tym, czy pani wie, że on drapie się po twarzy, potem rozdrapuje rany, moczy palce we krwi, ogląda je czasem?

Czasem robi inne dziwne rzeczy: owija się w prześcieradło, klęczy w celi.

Symuluje, wygłupia się, nie wiemy?

Ostatecznie dziennikarce towarzyszy kapitan Labocha z milicji.

[...] Stoi naprzeciw mnie człowiek, którego już widziałam na sali rozpraw, którego wzrost znam w centymetrach, o którym wiem tak dużo, a jednocześnie tak niewiele.

Wiem, że jest skryty, małomówny. Stoi przede mną człowiek skazany na karę śmierci.

Wyciągam do niego rękę. Dłoń ma spoconą. Podnosi moją rękę do ust, całuje.

– Dziękuję, że chciał pan ze mną rozmawiać.

Nie mówi nic. Siedzimy naprzeciw siebie. Marchwicki spuścił głowę, zaciska palce, widzę jak mu sinieją opuszki. Wtedy pomaga mi kpt.

Labocha.

– Chcesz zapalić, Zdzisiu?

Kiwa głową.

Zaciąga się papierosem łapczywie, w pokoju nie ma popielniczki, więc kapitan podsuwa pudełko z zapalkami. Strząsa do niego popiół. Milczymy. Długo milczymy²⁴.

Po dłuższej chwili kapitan Labocha wychodzi.

Teraz on pyta o swoją rodzinę.

Odpowiadam, że o ile wiem, to dobrze się czują.

– Oni już nie żyją.

– Kto?

– Moja rodzina, oni wszyscy. To ja do tego doprowadziłem. To moja wina.

Tłumaczę długo, cierpliwie, że to nieprawda. Że wiem na pewno. Słucha skwapliwie. Wyciera łzy wierzchem dłoni.

[...]

I znów zapada w odrętwienie, jakby mnie nie słyszał. Więc zadaję proste pytanie:

– Co pan lubi najbardziej?

– Z jedzenia?

– Niech będzie z jedzenia.

– Mięso. Schabowe kotlety.

– Co pan jeszcze lubi?

– Sport.

– Jaki?

– Piłkę nożną.

Pamiętam z akt sprawy. Był zapalonym kibicem. Akurat przed dwoma dniami odbywał się ważny międzynarodowy mecz. Nie oglądam meczów, ale przypominam sobie, co na ten temat mówił mój przyjaciel.

Zaczynam powtarzać to Marchwickiemu. Pyta o szczegóły.

Mówi: to ciekawe. Potem do mnie:

– Pani się wcale na tym nie zna. Nic pani nie pamięta. A to ważny mecz był.

[...] Kręcimy się w kółko: spacer, wieś, co z rodziną? Czemu nie piszą? Potem płoszy mnie pytaniem:

– Czy jeszcze trochę to będzie trwało?

Trzecia część reportażu ukazuje się 10 października. I oto prawdziwa sensacja – do rąk czytelników trafia Pamiętnik mordercy²⁵. 29 czerwca 1976 roku dziennikarka udaje się do Sądu Najwyższego, by uczestniczyć w rozprawie rewizyjnej. Posiedzenie jednak rozpoczyna się od ogłoszenia przerwy, bo prokurator Gurgul chce przedstawić sądowi dodatkowe dowody.

[...] W przerwie siedzę na korytarzu na ławce z Haliną Flak, Dzidzio [Zdzisław Flak, syn Haliny – przypis P.S.] chodzi po miękkim dywanie tam i z powrotem. Halina płacze i wygraża prokuratorowi. Syn podbiega i uspokaja ją: „Nie wygłupiaj się, nie można”.

Pytam, dlaczego nie pisze do brata.

Mówię, że się z nim widziałam, że wypytywał o rodzinę.

Flakowa opowiada mi o swojej ciężkiej pracy (pamiętam z akt, że miała dobre opinie z zakładów, w których pracowała), a potem mówi ściszym głosem:

– Co to za głupstwa gadają, że ja ze Zdziśkiem żyłam. Ja w ogóle nie wierzę, że on mógł to wszystko zrobić. To chyba niemożliwe...

Woźny prosi na salę.

Sąd postanawia: zaliczyć dokumenty w poczet dowodów, a w związku z treścią przedłożonego pamiętnika i koniecznością uzyskania od autora dodatkowych wyjaśnień uzupełnić postępowanie. [...]

Listu pisanego do córki nie chciałabym tu przytaczać. Jest to w końcu bardzo intymna sprawa i choć list znalazł się w aktach, nie czuję się upoważniona do cytowania go. Jest to jakby list pożegnalny do córki.

Zostawmy coś człowiekowi na własność, nawet jeśli jest wielkim mordercą.

Co innego pamiętnik, który był przedmiotem dociekań Sądu Najwyższego.

Zwykły zeszyt za 4 zł 50 gr w brązowej okładce z rysunkiem wrocławskiego ratusza, z tyłu stempel zachęcający do składania datków na Centrum Zdrowia Dziecka.

Na pierwszej stronie „Ten oto pamiętnik dedykuję koledze, z którym siedzę w jednej celi – Marchwicki Z. – wampir Zagłębia”, a dalej pismo równe, w kratkach, w sumie 38 stron zapisanych przez oskarżonego (w aktach załączona ekspertyza autentyczności pisma).

Jest to pamiętnik straszny. Jeszcze nigdy w życiu nie czytałam nic tak odrażającego i wstrętnego, ekshibicjonistycznego²⁶.

W reportażu znajduje się zaledwie krótki fragment pamiętnika.

Resztę Seidler streszcza własnymi słowami.

Odnotowuje, że opisane w pamiętniku napady na kobiety różnią się od tych z aktu oskarżenia. Przede wszystkim jest ich aż trzydzieści pięć. Padają nazwy miejscowości, o których nie mówiono w sądzie. Strzemieszyce, Rogoźnik, Rybnik, Pszczyna, Ogrodzieniec, Szopienice, Ruda Śląska, Limanowa, Wirek, Piotrków, Mysłowice, Końskie, Radomsko. Marchwicki przyznaje się też do współżycia z siostrą. 13 lipca 1976 roku, podczas przesłuchania w sali 219 budynku Sądu Wojewódzkiego w Katowicach, Zdzisław Marchwicki zeznaje podczas sesji wyjazdowej Sądu Najwyższego.

„Pamiętnik pisałem dobrowolnie... W okresie, kiedy go pisałem, oprócz mnie w celi było jeszcze dwóch więźniów... pisałem go od razu na czysto, nie robiąc wcześniej żadnych notatek.

Pisałem kilka godzin dziennie...

W pamiętniku, który napisałem, część jest prawdą, a część nie... Prawdą jest to, co napisałem na temat zabójstw opisanych w wyroku, natomiast to, co pisałem na temat innych zabójstw, jest zmyślane przeze mnie... nie wiem, jak mam wytłumaczyć, że pewne fakty wymyślane przeze mnie mają pokrycie w rzeczywistości. Nie wiem, co mam mówić, nie spodziewałem się, że będę doprowadzony dzisiaj na przesłuchanie. ... Wszystko pisałem samodzielnie, nikt mi nic nie podpowiadał... Po ogłoszeniu wyroku nie miałem z nikim widzenia. Była tylko u mnie pani redaktor...”

Okazano mu pamiętnik.

„Tak, to jest ten pamiętnik, który pisałem”.

Na pytanie adwokata odpowiedział: „Pisałem ten pamiętnik, bo chciałem sobie przedłużyć trochę okres wykonania wyroku... Kiedy pisałem pamiętnik, byłem załamany, w chwili obecnej czuję się tak samo”.

Na pytanie obrońcy Haliny Flak: „... Nie żyłem fizycznie z siostrą.

Ona nie wiedziała nic na temat faktów, do których się przyznawałem”.

Na pytanie sądu: „Udział brata Henryka Marchwickiego w tych nie wykrytych zabójstwach należy uznać za fakt wymyślony przez mnie...”

Wszystko co pisałem na temat pomocy członków mojej rodziny w zabójstwach, jest zmyślane. Prawdą jest to, co podałem o współudziale braci, jeśli idzie o zarzuty opisane w wyroku”.

Na pytanie obrońcy Jana Marchwickiego: „Jan nie miał żadnego udziału w zabójstwie dr K.”

I zaraz na pytanie sądu: „Prawda jest zupełnie inna. Raczej nie chciałbym na temat tej prawdy wyjaśniać”.

Na pytanie biegłych: „Sam już nie wiem, co mam mówić, tyle się wszystkiego

narobiło...”

Na pytanie sądu: „Pisałem do płk Gruby, bo chciałem z nim jeszcze porozmawiać...”

Przytoczyłam niemal w całości protokół z tego przesłuchania, aby uzmysłowić czytelnikowi, przez jaki gąszcz odwoływanych po wielokroć stwierdzeń, wyjaśnień i zeznań musiał się przebijać sąd, jak w tym bardzo trudnym procesie trzeba było analizować wypowiedzi świadków, dowody, jak szalenie trudno było dotrzeć do prawdy materialnej, która musiała być udowodniona²⁷.

Z przesłuchania pułkownika Gruby Seidler cytuje zaledwie jedno zdanie.

O tym, że Marchwicki pisał do niego często, a gdy oficer go odwiedził, Zdzisław był w nastroju innym niż zwykle. Niewiele więcej przytoczyła z zeznań współwięźnia Zygmunta A.

Dwudziestosiedmioletni stolarz odsiadywał wyrok za rozbój. Początkowo zaproponował Zdzisławowi, by dla zabicia nudy przepisywał jakąś książkę.

Potem za własne pieniądze kupił mu zeszyt i namówił do pisania pamiętnika.

Relację z sesji wyjazdowej Sądu Najwyższego w Katowicach kończy cytat z opinii biegłych na temat pamiętnika.

Nie dostrzegli zaburzeń psychicznych, natomiast pederastię i zoofilię uznali za skutki uboczne sadyzmu, uważali go za zasadniczą dewiację. 22 września 1976 roku Barbara Seidler uczestniczy w ostatniej rozprawie przed Sądem Najwyższym w Warszawie.

Jest świadkiem, jak obrońcy dowodzą uchybień sądu pierwszej instancji.

Wysłuchuje się w długą przemowę prokuratora Gurgula, który punkt po punkcie zbijał argumenty obrony.

Notuje, że punktów tych było aż pięćdziesiąt. Po blisko 12-tu latach od pierwszego morderstwa, jakiego dopuścił się zagłębiowski wampir, Sąd Najwyższy postanowił uchylić rewizje wniesione przez obrońców Zdzisława, Jana i Henryka Marchwickich i wyrok sądu I instancji w części dotyczącej trzech braci i Józefa Klimczaka utrzymać w mocy. [...]

Po dwóch latach postępowania sądowego zapadł ostateczny wyrok w procesie największego w świecie mordercy kobiet i jego rodziny, związanej solidarnością, przy jakiej błędą więzy Corleonów²⁸.

Barbara Seidler przypomniała o Marchwickich czytelnikom w całej Polsce. Jej wywód był jasny i klarowny, wina skazanego – niepodważalna, wyrok sądu – w pełni zasadny. Pamiętnik Wampira tylko to potwierdzał. Niestety, prawda o ostatnim przesłuchaniu Zdzisława Marchwickiego jest nieco bardziej złożona.

²⁰ Barbara Seidler, W tych dniach ostateczny wyrok, „Życie Literackie” z 26 września 1976 roku.

²¹ Tamże.

²² Tamże.

²³ Tamże.

[24 Tamże.](#)

[25 Barbara Seidler, Pamiętnik mordercy, „Życie Literackie” z 10 października 1976 roku.](#)

[26 Tamże.](#)

[27 Tamże.](#)

[28 Tamże.](#)

OSTATNIE PRZESŁUCHANIE

13 lipca 1976 roku, godzina 10:30, sala 219 Sądu Wojewódzkiego w Katowicach.

– Oskarżony Zdzisław Marchwicki, w związku z treścią pamiętnika zostanie dodatkowo przesłuchany.

Oskarżony niech wstanie i oświadczy co do treści pamiętnika, jego powstania, przyczyn, co chce powiedzieć na ten temat.

– Ja już sam nie wiem, co mam mówić, nie mam głowy do tego wszystkiego, taki załamany jestem. /głos wyraźnie zrezygnowanego człowieka, słaby/.

– No, ale pamiętnik napisaliście dobrowolnie?

– Tak²⁹.

W archiwum Sądu Najwyższego w Warszawie przechowywane są cztery pudła akt dotyczące sprawy Wampira.

W jednym z nich znajduje się zeszyt, zwykły brulion w kratkę, w którym Zdzisław Marchwicki spisał swój pamiętnik.

Jest też szpula taśmy magnetofonowej ORWO z zapisem przesłuchania podczas sesji wyjazdowej Sądu Najwyższego z 13 lipca 1976 roku.

To jedyna taśma magnetofonowa, jaka ocalała z kilkuset nagranych podczas procesu.

Sąd Najwyższy zwykle nie prowadzi rozpraw z udziałem oskarżonych i świadków. Sędziowie przeglądają akta i sprawdzają, czy nie doszło do uchybień mogących podważyć wyrok. Jeśli je znajdą, przekazują sprawę do ponownego rozpoznania. Tym razem postanowiono jeszcze raz przesłuchać Zdzisława Marchwickiego, a także jego współwięźnia z celi Zygmunta A. i pułkownika Jerzego Grubę. Sąd musiał ustalić, czy Pamiętnik Wampira można uznać za nowy dowód w sprawie.

Barbara Seidler napisała w reportażu, że przytoczyła protokół przesłuchania niemal w całości. Tymczasem załączony do taśmy magnetofonowej dokument ma dziesięć stron, z czego zaledwie trzy to zeznania Zdzisława Marchwickiego.

Zapisano w nim spójną, logiczną wypowiedź, z której można wywnioskować, że przed sądem stanął butny morderca.

Tymczasem Marchwicki zeznał przez prawie godzinę*. Na nagraniu brzmi jak człowiek wyczerpany i zrezygnowany. Nie wie, co chce powiedzieć. Sędzia wyciąga z niego najwyżej pojedyncze słowa, czasem kilka urwanych zdań. Nie wiedział, że będzie przesłuchiwany na okoliczność pamiętnika. Właściwie w ogóle nie wiedział, że tego dnia będzie przesłuchiwany. Nie miał też pojęcia, że pamiętnik trafił w ręce sądu. Twierdził, że napisał go z własnej woli, że nikt mu nie podpowiadał ani nic nie sugerował. Raz mówił, że pisał prawdę, innym razem, że zmyślał. Kolejne wypowiedzi wzajemnie się wykluczały. Przewodniczący składu w końcu zapytał wprost, jak to jest, że w pamiętniku oskarżony wypowiada się dość płynnie, a podczas przesłuchania duka.

Marchwicki nie był w stanie wyjaśnić nawet tego, choć wciąż zapewniał, że pisał sam.

W protokole zapisano, że Henryk i Jan Marchwiccy zostali powiadomieni o terminie przesłuchania brata i nie stawili się w sądzie. Tymczasem Barbara Seidler pisała, że Jan Marchwicki chciał wziąć udział w sesji w Warszawie, ale sąd nie wyraził na to zgody. Dlaczego więc nie stawił się na przesłuchaniu w Katowicach? Areszt śledczy i budynek sądu były wtedy połączone przejściem, które umożliwiało doprowadzenie osadzonego w ciągu kilku minut. Można przypuszczać, że żaden z oskarżonych nie został powiadomiony o terminie przesłuchania.

Jak wspomniała Seidler, Zdzisław zadedykował pamiętnik koledze z celi.

Obecny podczas przesłuchania mecenas Bolesław Andrysiak pamięta, że Marchwickiego zapytano, co oznacza termin dedykuję. Miał odpowiedzieć, że nie zna takiego słowa. Dlaczego więc go użył?

Co ciekawe, na taśmie magnetofonowej ani w protokole nie ma tego fragmentu przesłuchania. Co się z nim stało?

Wskazówką mogą być nagrane dźwięki, bardzo charakterystyczne dla magnetofonów używanych w tamtym czasie. Wciśnięcie pauzy zatrzymywało taśmę.

Ale mechanizm, choć skomplikowany, nie był precyzyjny i nim taśma całkowicie się zatrzymywała, zwalniała jak hamujący samochód, wciąż rejestrując dźwięk.

Impulsy były zapisywane coraz gęściej, jako zgrzyt.

Oczywiście osoba obsługująca magnetofon nie mogła przewidzieć, w którym momencie powinna przerwać zapis. Ale gdy słucha się nagrania, staje się jasne, że posiedzenie nie było protokołowane na bieżąco. Protokół musiał powstać później, tak jak się to działo w trakcie rozprawy. Taśma mogła zostać przeegrana, z pominięciem niewygodnych fragmentów. Nie ma żadnego dowodu, że ta zachowana w archiwum Sądu Najwyższego jest oryginałem.

Ta prymitywna metoda manipulacji jest dla specjalistów z laboratorium kryminalistyki łatwa do wykrycia. Ale milicja nie mogła przecież donieść na samą siebie. Nikt też się nie spodziewał, że taśma będzie przez kogokolwiek przesłuchiwana.

Na sali nie było dziennikarzy. Może dlatego, że wówczas sprawa Marchwickiego nie budziła już takiego zainteresowania. A może nikt ich nie zawiadomił o terminie przesłuchania.

Ostatnie artykuły miały się ukazać niebawem w „Prawie i Życiu”, a redaktor Seidler opisała dokładnie to, co władzom było na rękę – wersję utrwaloną w protokole. Wygląda na to, że o tej taśmie po prostu zapomniano. Bo jak inaczej wytłumaczyć, że jest jedyną, jaka pozostała w sądowych archiwach.

Barbara Seidler ledwie wspomniała w reportażu o przesłuchaniu pułkownika Gruby. Nic dziwnego. Jego zeznanie to kuriozalna opowieść dobrego wujka, który troszczył się o podejrzanych, przynosił im papierosy, szczoteczki i pastę do zębów. Pilnował, by Zdzisławowi Marchwickiemu nie zabrano diety, bo miał wrzody żołądka,

i wpadał z wizytą, dopytując o samopoczucie.

Gruba był znakomicie przygotowany, wiedział, o czym ma mówić i jakie pytania zada mu sąd. Od początku doskonale recytował wyuczoną rolę.

Dokładnie dobierał słowa, modulował głos, nawet interpretował wypowiedzi.

Kokietował sędziego, wtrącając: między nami mówiąc. A sędzia jakby oczekiwał takiego obrotu sprawy.

Głos przewodniczącego z pełnego wyższości, z jaką odnosił się do oskarżonego, zmienił się, gdy stanął przed nim pułkownik milicji. Nagle stał się miły i łagodny, jakby prowadził przyjemną konwersację ze starym znajomym.

Taśma z przesłuchania pułkownika Gruby przynosi jeszcze jedną cenną informację. Procedura wymagała, aby Gruba złożył zeznania w sprawie notatek z rozmów z Marchwickim podczas procesu przed Sądem Wojewódzkim.

Tymczasem ten sam przyznał, iż tego nie zrobił. Mimo to Sąd Wojewódzki przyjął notatki jako dowody winy. Poza tym Gruba przysłuchiwał się zeznaniom Marchwickiego. Jeśli był świadkiem – a w tym wypadku był – nie miał prawa przebywać na sali.

Zeznania świadka Zygmunta A. są nie mniej interesujące**.

Dwudziestosiedmiolatek skazany prawomocnym wyrokiem pięciu lat pozbawienia wolności za rozbój powinien odbywać karę w zakładzie karnym w jednej celi z kimś sądzonym za podobne przewinienie (zwykle więźniów dobiera się tak, by „nie uczyli się” od siebie nawzajem). A tymczasem nie dość, że trafia do aresztu śledczego (choć to dwa zupełnie różne światy), to jeszcze do jednej celi z więźniem skazanym na karę śmierci za wielokrotne zabójstwo.

Mało tego.

Młody stolarz, z zawodowym wykształceniem, proponuje Marchwickiemu, by dla zabicia nudy zabrał się do przepisywania jakiejś książki. Zapewne przepisywanie książek to ulubiona rozrywka znudzonych więźniów.

Następnie z własnej woli i za własne pieniądze kupuje koledze zeszyt i obiecuje, że odda pamiętnik swojej rodzinie podczas widzenia.

Po czym wykazuje się obywatelską postawą, przekazując zeszyt władzom.

Zeznaje, że czytał go wzrokowo, by chwilę później twierdzić, że czytał dokładnie i zrozumiał, że może on mieć wartość dowodu.

Zeznania Zygmunta A. są parodią więziennej codzienności. Cella to ledwie kilka metrów kwadratowych i wciąż te same twarze współlokatorów. Godzina samotnego spaceru dziennie, jeden prysznic w tygodniu. A człowiek mimo wszystko jest istotą społeczną. Zamknięty w małym pomieszczeniu, spędza czas głównie na rozmowach. Nawet jeśli nie lubi swoich towarzyszy, jest na nich – nomen omen – skazany. Każdy ma jakieś wspomnienia i nawet jeśli więzień nie interesuje się cudzym życiem, w celi słucha innych z zaciekawieniem.

Zygmunt A. zeznawał, że był zajęty sobą, swoimi sprawami i problemami

rodzinnymi. To prawda. Ale też nigdy nie wzbudziłby zaufania współwięźnia, gdyby o nich nie opowiadał ze szczegółami.

Tak działa reguła wzajemności.

Przed sądem zeznawali też biegli, doktor Andrzej Różycki i doktor Józef Mielczarek. W tym wypadku zapis na taśmie magnetofonowej również różni się od protokołu. Zapisano w nim tylko zeznanie Różyckiego, skrócone o połowę.

Natomiast zeznanie doktora Mielczarka ogranicza się do krótkiego stwierdzenia, iż przychylił się do wypowiedzi kolegi.

Na taśmie nie ma go wcale.

Ostatni fragment przesłuchania to rozmowa sędziego z Haliną Flak, która tamtego dnia po raz ostatni widziała swego brata.

Dźwięk przerwane nagrania.

– bo ja, Wysoki Sądzie, dłużej nie mogę znieść ciężaru...

– Zaraz, zaraz, to nieporozumienie.

Tu nie trwa rozprawa Sądu Najwyższego, tylko czynności dodatkowe. Czy w związku z tym ma oskarżona coś do wyjaśnienia?

– Twierdzi brat *niezrozumiale*.

– Co oskarżona słyszała?

– *niezrozumiale*

– Proszę sądu, może wyjaśnić oskarżonej, że brat odwołał to, że nie miał z panią stosunków i że pani o niczym nie wiedziała.

– Ale poza tym to nie jest przedmiotem dzisiejszego...

– Ja nie mam pojęcia, co to jest sąd. Ja byłam załamana, ja przysięgam na swoje dzieci, niech je dzisiaj w trumnie zobaczę, że od Marchwickiego Zdzisława żadnego kolczyka nie otrzymałam. Proszę sądu, ani też parasolki...

– To oskarżona będzie wyjaśniać, jak będzie chciała brać udział w rozprawie rewizyjnej w Warszawie.

To oskarżona ma prawo przed całym składem wyjaśnić.

Dźwięk przerwane nagrania.

* Zapis przesłuchania Zdzisława Marchwickiego podczas sesji wyjazdowej Sądu Najwyższego z 13 lipca 1976 roku, patrz: aneks.

** Zapis przesłuchania Zygmunta A., współwięźnia Marchwickiego, podczas sesji wyjazdowej Sądu Najwyższego z 13 lipca 1976 roku, patrz: aneks.

29 Stenogram taśmy magnetofonowej zawierającej zapis sesji wyjazdowej Sądu Najwyższego z dnia 13 lipca 1976 roku, odbywającej się w sali 219 Sądu Wojewódzkiego w Katowicach, akta sprawy II.KR.171/75.

FRANKENSTEIN H.K.

I myśmy, cholera, nikt nie poznał w domu, ja nie wiem. Tyle osób, nikt nic nie wiedział, ale tyś nie był zdenerwowany, ty byłeś normalny taki, jak to możliwe? Cholera jasna. Jednego Marchwickiego powiesili, a ty jesteś drugi. Czyś ty mądry, głupi nie byłeś, wszyscy przychodzą do mnie, Halina, prawda to, ja mówię, nic nie wiem, ino tyle, co słyszę od ludzi. Tam przyjadę, nikt nic nie chciał powiedzieć. I to wszystko, co ludzie.p. – To dzisiaj już wiesz, bo to było wszystko trzymane w tajemnicy, bo ja ci to chciałem powiedzieć. Nie żebyś od kogoś słyszała, tylko odemnie³⁰.

Choć Marchwicki siedzi w więzieniu, milicja wciąż ma ręce pełne roboty.

Funkcjonariusze z komendy w Katowicach od pewnego czasu prowadzą śledztwa w sprawach powtarzających się napadów i morderstw młodych, ładnych kobiet. Nie udaje się ukryć, że sprawca atakuje podobnie jak Wampir. Uderza w tył głowy tępym narzędziem. Później obnaża i masakruje zwłoki. Nie gwałci ich, tylko manipuluje przy narządach rodnych. Milicjanci są przekonani, że pomoże im doświadczenie, które zdobyli, tropiąc Wampira i Pełtarza.

Zwracają uwagę, że 6 maja 1976 roku w Chorzowie napastnik zaatakował Mirosławę S. W 1974 roku kobieta podczas wizji lokalnej rozpoznała Zdzisława Marchwickiego i zeznawała w sądzie podczas procesu jako główny świadek zabójstwa Jadwigi Kucianki.

Później dostrzegają związek między tym zabójstwem a „wyjaśnionym” już morderstwem Stefanii M. w Piekarach Śląskich z listopada 1975 roku (do zabójstwa przyznał się narzeczony dziewczyny – był tak pijany, że nie wiedział, co robił przez kilka godzin), a także Teresy R. w Bytomiu (30 października 1976 roku) oraz kilkoma innymi napadami na kobiety. Wszystkie mają cechę wspólną: wydarzyły się blisko bytomskiej linii tramwajowej numer 6.

Jak się później miało okazać, akurat w tej kwestii się nie mylą.

Powstaje grupa operacyjna pod kryptonimem „Szóstka”. W listopadzie 1976 roku w Bytomiu przy ulicy Wrocławskiej morderca atakuje kobietę wchodzącą do klatki schodowej. Cios metalowym prętem w głowę amortyzuje wełniana czapka z wywiniętym do wewnątrz pomponem. Kobieta krzyczy, spłoszony napastnik ucieka. Ale jej zeznania pozwalają przybliżyć wygląd sprawcy. To młody, wysoki mężczyzna z bujnymi włosami. Do kolejnego nieudanego ataku dochodzi 20 stycznia 1977 roku w Siemianowicach Śląskich.

Tym razem niedoszłą ofiarę ratuje beret, który dla ocieplenia wypchała gazetami.

Przez chwilę widzi napastnika. Ma na sobie kraciatą kurtkę, tak zwaną budrysówkę.

Choć udaje się odtworzyć portret pamięciowy, milicjanci wiedzą, że w takich

sprawach to za mało. Wykonują manekina, odtwarzając sylwetkę mordercy i jego twarz. Ma na sobie taką samą kurtkę jak ta, którą opisały ofiary.

Milicja obwozi manekina po komendach dzielnicowych, pokazuje go funkcjonariuszom i zostawia jego zdjęcie.

Milicjanci w cywilu jeżdżą tramwajami na linii numer 6 i patrolują wieczorami ulice.

Praca operacyjna trwa także przy biurkach. Bez rezultatu.

Po przeanalizowaniu miejsc napadów śledczy dochodzą do wniosku, że morderca jest mieszkańcem Bytomia. Nie posuwa to jednak sprawy do przodu.

Fragment dokumentalnego nagrania z narady grupy operacyjnej „Szóstka” znalazł się w filmie Macieja Muzyczuka Frankenstein. Dialog bardzo dobrze pokazuje, jakim doświadczeniem dysponują milicjanci pracujący wcześniej nad sprawą Wampira:

- Może mieszkać z boczką.
- Niekoniecznie, może w centrum.

W praktyce sprawca może więc mieszkać wszędzie. Tak samo jak w sprawie Wampira śledczy szukają po omacku. Wyciągają z archiwów wszystkie sprawy dotyczące gwałtów, molestowania i innych przestępstw na tle seksualnym.

Dołączają do nich osoby, które w ostatnich latach brały udział w bójkach, awanturowały się pod wpływem alkoholu, były notowane w związku z przemocą domową, podejrzane o stręczycielstwo, a także homoseksualistów.

Po wstępnej weryfikacji w grupie podejrzanych znajduje się siedem tysięcy mężczyzn.

Milicjanci sprawdzają jednego po drugim.

Rozmawiają z nimi, robiąc wcześniej dyskretny wywiad środowiskowy.

Wypytyują o alibi, które później weryfikują. W efekcie tych działań na liście pozostaje siedemset osób, co do których mają wątpliwości. Większość badają na poligrafie. Wtedy takim urządzeniem dysponuje już Uniwersytet Śląski. Obsługuje je kierujący Katedrą Kryminalistyki profesor Jan Widacki.

Badania nie przynoszą jednak spodziewanego rezultatu. Mordercy nie ma w wytypowanej grupie, choć dzięki ogromnej pracy milicja zatrzymuje kilkadziesiąt osób, którym prokuratorzy udowadniają przestępstwa z lubieżności, głównie gwałcicieli i ekshibicjonistów.

„Szóstka” działa jednak nadal, bo sprawca wciąż pozostaje na wolności.

Zastanawiające, że nikt nie wpada na pomysł użycia komputera, który podobno tak fantastycznie sprawdził się w przypadku Marchwickiego.

Pod koniec czerwca 1979 roku w Piekarach Śląskich dochodzi do kolejnej makabrycznej zbrodni. Dwie dwunastoletnie dziewczynki, Kasia i Halinka, idą do lasu na jagody. Nie wracają do wieczora, więc rodzice zaczynają ich szukać. Gdy to nie daje rezultatu, zgłaszają zaginięcie dzieci. 24 czerwca rano milicja odnajduje w lesie nagie ciała zgwałconych dziewczynek. Po chwili okazuje się, że jedna z nich żyje.

Obecny na miejscu zastępca komendanta milicji w Piekarach Śląskich bierze ją na ręce i biegnie do radiowozu.

Po kilku dniach stan Kasi poprawia się na tyle, że można ją przesłuchać.

Dziewczynka opisuje napastnika. Szybko okazuje się jednak, że to błędny trop. Tuż po odnalezieniu na moment odzyskała przytomność i zapamiętała twarz ratującego ją milicjanta. Do rozwiązania tej sprawy zostaje powołana grupa operacyjna pod kryptonimem „Frankenstein”. Niestety, nie wiadomo, gdzie szukać mordercy.

Wszyscy potencjalni podejrzani zostali już sprawdzeni przez grupę „Szóstka”. Wtedy funkcjonariusze zwracają uwagę, że modus operandi Frankensteina jest taki sam jak poszukiwanego od czterech lat mordercy kobiet. Podczas wspólnej narady obu grup operacyjnych kapitan Świętoń i porucznik Czekan składają wniosek, by oba śledztwa wspólnie poprowadzić, dołączając do nich wszystkie niewyjaśnione morderstwa, napady i gwałty. Na taką propozycję ostro reaguje pułkownik Jerzy Gruba. Po ujęciu Marchwickiego szybko awansował i jest już zastępcą komendanta wojewódzkiego w Katowicach. Wścieka się, że jest to próba stworzenia nowego Wampira. Nie ma jednak wyjścia. Nowy seryjny morderca już grasuje. Nawet nie jeden, ale dwóch, bo cały Śląsk mówi o Wampirze z Bytomia i Frankensteinie z Piekar.

Przez kolejne dwa lata milicja co jakiś czas otrzymuje zgłoszenia o nieudanych napadach i gwałtach. Po połączeniu grup „Szóstka” i „Frankenstein” śledczy zauważyli, że w niektórych przestępstwach modus operandi sprawcy nieco się różni. Zaczynają podejrzewać, że pojawił się jeszcze jeden gwałciiciel. Od listopada do grudnia 1981 roku dochodzi do następnych czterech zabójstw połączonych z gwałtami. Mimo to z chwilą wprowadzenia stanu wojennego działania grupy operacyjnej zostają wstrzymane, podobnie jak niemal wszystkie działania w sprawach kryminalnych.

Podczas narady w Komendzie Wojewódzkiej major Roman Hula z grupy „Frankenstein” pyta Jerzego Grubę, dlaczego nie szukają mordercy.

Ten zdenerwowany odpowiada, że socjalizm się wali, a on tu z jakimś mordercą wyskakuje.

Rzeczywiście, komendant ma na głowie większe problemy. To jemu podlegają oddziały ZOMO, które dokonały pacyfikacji górników w kopalni „Wujek”.

Na szczęście od 13 grudnia 1981 roku ataki na kobiety ustają. Prawdopodobnie godzina milicyjna i ograniczenia w poruszaniu się ludności utrudniły także działanie mordercy.

Przełom w sprawie Frankensteina następuje w maju 1982 roku. Na milicję zgłasza się Joachim Knychala, trzydziestoletni górnik kopalni „Andaluzja”. Składa zeznania w sprawie nieszczęśliwego wypadku, do którego doszło podczas spaceru na hałdach. Jego szwagierka Bogumiła L. pośliznęła się i spadła z urwiska, uderzając głową o kamień. Zginęła na miejscu. Wersja zdarzenia przedstawiona przez Knychalę nie wzbudza podejrzeń. Dopiero w czasie sekcji zwłok biegli zwracają uwagę na dość nietypowe uszkodzenie czaszki. Przy upadku rzadko dochodzi do uderzenia górami głowy.

Uznają taki uraz za mało prawdopodobny: musiał powstać przez celowe uderzenie tępym narzędziem.

Swoje wątpliwości przekazują milicji.

Knychała zostaje zatrzymany, ale upiera się, że śmierć Bogusi była wypadkiem. Śledczy sprawdzają jego życiorys. Okazuje się, że w wieku osiemnastu lat skazano go na trzy lata więzienia za gwałt zbiorowy. Odsiedział połowę. W 1979 roku znalazł się na liście podejrzanych w sprawie operacyjnej „Szóstka”. Zatrzymano go na 48 godzin.

Dzielnicowy zwrócił nawet uwagę na plamę krwi na marynarce i pokazał mu zdjęcie poszukiwanego w budrysówce.

Zrobiło mu się gorąco. Wiedział, że milicja jest na jego tropie. Na komendzie w Piekarach Śląskich okazano go ofiarom, które go rozpoznały, ale na prawie wszystkie napady miał niepodważalne alibi: był w kopalni, pod ziemią. Tylko w jednym przypadku nie potrafił wyjaśnić, co robił, ale akurat wówczas ofiara nie poniosła prawie żadnych obrażeń i uznano to za chuligański wybryk. Knychała otrzymał wyrok w zawieszeniu i pięć tysięcy grzywny. Jak później zeznał, cieszył się w duchu, że w milicji pracują durnie.

Po śmierci Bogusi L. milicja ponownie sprawdza alibi Knychały: mogły to być „dniówki sztygarskie”.

W czasie rewizji w jego mieszkaniu funkcjonariusze odnajdują kurtkę budrysówkę i kilka przedmiotów, które skradziono pierwszej ofierze, a w piwnicy – dowód osobisty jednej z zamordowanych kobiet.

Badanie poligrafem nie pozostawia wątpliwości: Knychała bardzo wyraźnie reaguje na pytania dotyczące zbrodni. Ponownie rozpoznają go niedoszte ofiary. Zresztą nawet przygotowany przez milicję manekin był do niego podobny. Aż dziwne, że podobieństwa nie dostrzegł dzielnicowy ani nikt inny, bo fotografie prasa wiele razy publikowała.

Materiał dowodowy jest na tyle mocny, że Knychała przyznaje się do pięciu zabójstw i siedmiu napaści, w tym do zabójstwa dwunastoletniej Halinki i gwałtu na jej koleżance Kasi. Niestety, nie są to wszystkie niewyjaśnione morderstwa z ostatnich lat. Pozostaje kilka, co do których biegli od początku mieli wątpliwości, czy są dziełem Frankenstein. Ich sprawca otrzymuje nowy kryptonim, „Fantomas”^{*}, nawiązujący do kolejnego znanego z filmów czarnego charakteru^{**}.

W trakcie przesłuchań śledczy odkrywają przeszłość Joachima Knychały. Jego matka była Niemką.

Wyszła za mąż za Polaka. Tego związku nigdy nie wybaczyła jej babka Joachima.

Mówiła o nim polski bękart, a koledzy z podwórka dla odmiany nazywali go szwabem. Od czasu wyroku za gwałt ma poczucie krzywdy.

Twierdzi, że dziewczyna go wrobiła, a żadnego gwałtu nie było. To dlatego jest uprzedzony do kobiet. Tylko o swojej żonie wyraża się dobrze. Prosi prokuratora, by sam mógł jej powiedzieć o swoich zbrodniach.

Dostaje zgodę pod warunkiem, że rozmowa zostanie nagrana.

W archiwum Sądu Okręgowego w Katowicach zachował się stenogram z tego spotkania. Zaczyna się od omówienia spraw domowych, kilka zdań o dzieciach, co słyshać na działce.

W końcu Halina pyta, czy to prawda.

Z ust męża dowiaduje się, że w jednym ciele było dwóch Joachimów, jeden, którego znała i kochała, i drugi, który mordował i gwałcił. Że od kilku lat żył z jej siostrą Bogusią. Dziewczyna miała już dość, zagroziła, że wyjawí prawdę.

Była w ciąży. Joachim wiedział, że to oznacza koniec jego małżeństwa. Bał się o dzieci. Uznał, że morderstwo to najlepsze rozwiązanie. Knychała ujawnia w śledztwie, że wielokrotnie chodził na proces Marchwickiego. Czuł do niego odrazę, gdy ten zaprzeczał, że jest Wampirem. To wtedy w jego głowie zrodziła się myśl o mordowaniu kobiet. Chciał być w tym lepszy od Marchwickiego. Za każdym razem dokładnie obmyślał plan działania.

Sprawdzał okolicę i drogi, którymi mógł szybko uciec. Po zatrzymaniu w 1979 roku stał się ostrożniejszy. Aby nie wzbudzać podejrzeń i zyskać dobrą opinię, zapisał się do Związku Młodzieży Socjalistycznej i podjął naukę w szkole wieczorowej. Na jakiś czas przestał też mordować. Od pierwszej napaści zdawał sobie sprawę, że prędzej czy później zostanie złapany i powieszony. Nie spodziewał się tylko, że akurat zabójstwo Bogusi będzie jego ostatnim.

19 kwietnia 1984 roku Sąd Wojewódzki w Katowicach skazuje Joachima Knychałę na karę śmierci.

W więzieniu nie miał już nic do stracenia. Wzorem Marchwickiego zaczął pisać pamiętnik.

Marzył, że jego wspomnienia zostaną opublikowane i w ten sposób zapewni byt rodzinie, którą bardzo kochał. Tak jak Marchwicki chciał przejść do historii. Sądził, że stanie się obiektem badań naukowców.

Po prawie roku od daty zatrzymania mnie przez funkcjonariuszy milicji, będąc w zamknięciu przez pierwszą fazę śledztwa, postanowiłem opisać całą moją działalność kryminalną z wszystkimi szczegółami każdego zajścia jak byłem pierwszą osobą, nie omijając niczego wraz z moimi stanami psychicznymi i myślami, które mnie nachodziły przed i po dokonaniu zabójstwa czy usiłowaniu zabójstwa.

Myślę, że książka ta będzie w przyszłości pomocna w zwalczaniu tego typu przestępstw, jakich ja się dopuściłem, i zarazem będzie przestrogą dla innych, jeśli ktoś chciał mnie naśladować. Wiadomo, że tego typu przestępstwa były, są i będą, ale niechaj dzięki moim słowom będzie ich mniej, niech książka ta dotrze do wszystkich tych osób, które zechcą ją przeczytać, i niechaj naprawdę będzie pomocą dla organów ścigania i przestrogą dla naśladowcy.

Książkę niniejszą dedykuję dwóm pracownikom działu kryminalnego KWMO w Katowicach: kapitanowi Tadeuszowi Zielińskiemu i porucznikowi Romanowi Hulii,

którzy najwięcej czasu w trakcie śledztwa poświęcili mojej osobie, wielokrotnie odrywając się od innych prac, którzy mimo że byłem wielkim zbrodniarzem, traktowali mnie jak człowieka i dzięki ich przekonywującym słowom rzuciłem z siebie cały ten ciężar, który mnie gniótł przez tyle lat i był przyczyną nieszczęść. Joachim Knychala³¹ W kilkudziesięciostronicowym rękopisie Knychala z przerażającą dokładnością opisał swoje zbrodnie.

Liczba szczegółów, które zawarł, zaszokowała śledczych. Dowiedzieli się, ile razy byli o krok od schwytania Frankensteina i gdzie popełniali błędy, które pozwalały mu umknąć. Knychala planował niemal wszystkie morderstwa w najdrobniejszych szczegółach, gdzie zaatakuje i jak ucieknie.

Muszę przyznać, że idąc za swą ofiarą już w drodze rozmyślałem jaki kierunek obrać ucieczki po napaści.

Znając dobrze ten teren, wiedziałem że z jednej strony ulicy jest park Świerczewskiego a z drugiej gęsta zabudowa z wieloma ciemnymi uliczkami i z torami kolejowymi, pozostało mi czekać na dogodny moment napaści³².

Tylko w kilku przypadkach pozwolił, by zawładnął nim przymus nagłego zaspokojenia popędu.

Tak jak w przypadku napaści na dwie dziewczynki zbierające jagody. We wspomnieniach opisywał, co czuł, gdy szedł za ofiarą, jak zadawał ciosy i jak wracał do domu, do codziennych spraw.

Jak bardzo bawiło go granie milicji na nosie.

Muszę stwierdzić, że najlepszym chciałem być we wszystkim, co po upływie kilku lat osiągnąłem, ponieważ dzisiaj jestem uważany za jednego z największych morderców w latach powojennych. Niepochlebne to słowa, ale sam przez szereg lat dążyłem do tego, że do mojego nazwiska dostawione jest słowo morderca. [...]

Jedno wiedziałem i wiem, że pod wpływem widoku krwi moich ofiar zawsze pastwiłem się w brutalny sposób nad nimi. Nie wystarczało mi to, że zabiłem. Musiałem jeszcze odczuć zadowolenie z tego, że przed chwilą niespełna stało to jeszcze na nogach, a teraz leży. Leży u mych stóp i robię co chcę. [...] Nigdy nie atakowałem swoich ofiar z chęci zysku, tylko napaści te miały podłoże seksualne.

Nienawidziłem kobiet i chciałem pokazać światu, że kobieta, jej ciało to nic szczególnego, że można te godność kobiecą zhańbić, zgnoić. Po prostu po śmierci jest kupą kości i mięsa. [...] Ciągle miałem mało krwi.

To mordowanie i napadanie było silniejsze od mojego ja, a ponadto wychodziłem przeciw do pracy, ale tylko ja wiedziałem jak ta praca naprawdę się przedstawia³³.

22 kwietnia 1985 roku Rada Państwa nie skorzystała z prawa łaski. Wyrok wykonano w więzieniu w Krakowie.

* 8 marca 1983 roku zatrzymano Mieczysława Zuba, byłego milicjanta, który w latach 1977–1983 zamordował cztery kobiety i dokonał kilkunastu gwałtów.

** Fantomas był złodziejem obrazów, bohaterem powieści Fantômas Pierre'a Souvestre'a i Marcela Allaina.

[30](#) Protokół z rozmowy podejrzanego Joachima Knychały z żoną w dniu 10 lipca 1982 roku, akta sprawy IV.K.171/81, karta 00057-00063.

[31](#) Akta sprawy IV.K.171/81, karta 0000086.

[32](#) Rękopis pamiętnika Joachima Knychały, akta sprawy IV.K.171/81, karta 00087-000108.

[33](#) Tamże.

PAMIĘTNIK WAMPIRA

Następnego przestępstwa dokonałem w Będzinie w 1964 r koło kolei, udałem się tramwajem w celu aby dokonać zabójstwa jakiej kobiety idąc pieszo spotkałem kobietę przed sobą ja z tyłu uderzyłem ją kilka razy w głowę upadła ona na ziemię ja zacząłem ją rewidować zabrałem jej pieniądze zabrałem jej obrączkę i oddaliłem się kobieta ta liczyła około 40 lat³⁴.

Według oficjalnej wersji Zdzisław Marchwicki napisał pamiętnik z własnej woli. Trudno w to uwierzyć. Sędzia Sądu Najwyższego podczas wspomnianego już przesłuchania z 13 lipca 1976 roku zwrócił uwagę na potoczny język i w miarę poprawną konstrukcję zdań. Nie jest to cała prawda. Tylko środkowa część tekstu, w której wymieniane są kolejne morderstwa, jest spójna i uporządkowana.

Następujące po sobie wydarzenia są podzielone na akapity, myśl ułożona w zdania, czytelna i zrozumiała. Gdy Marchwicki zaczyna opisywać to, co się dzieje w celi, albo wspomina swoje życie, kropki, przecinki i akapity znikają.

[...] robiąc nazłość sam nie wiem komu wkładałem ztarą bieliznę i tu też gdyby nie kolega drugi tydzień bym chodził w brudnej bieliźnie pamiętam wtedy byłem obwinięty w prześcieradło klęczałem za chwilę przyniesiono kolację kolega Zygmunt doszedł do mnie i kazał jeść ja mu odpowiedziałem że nie będę jadł wtedy kolega zapytał mnie co będziesz a wtedy nic mu nie odpowiedziałem poszedłem do tacy wzięłem miskę ponownie uklęknąłem pod drzwiami i mleko z mamą wylałem na głowę bardzo pobrudziłem się kolegów nie chciałem pobrudzić i sam nie wiem dlaczego to zrobiłem na złość sobie bo musiałem się myć uprać prześcieradło i pozprzątać z podłogi [...].

Tylko z kontekstu można się domyślać, gdzie kończy się jedno zdanie i zaczyna następne. Ten potok słów przypomina list, który 8 lipca 1964 roku Marchwicki napisał z więzienia do Żony, gdy dowiedział się, że w jego domu mieszka inny mężczyzna.

List odebrałem niemyś że zostałem zaskoczony lub zdruzgotany tym wiedziałem kogo zostawiłem przyżekłaś, że się więcej nie powturzy a jednak nie wytrzymałaś nawet 3 miesiące żyć uczciwie jak kobieta zastanów się kim ty jesteś chyba ludzie o zdrowym umyśle nie umią sobie tego wytłumaczyć żeby w jednym dniu coś podobnego zrobić matka dzieciom widząc razu luja wiedząc że jest żonaty i ściągnąć do mieszkania i żyć z nim jakbyś żyła 5 lat gdzie twoje słowa ktore gadałaś u kułaczki jak ty wyglądasz wobec samego niego wydałaś na świat dzieci dzisiaj nie dajesz możliwości życia bo przez kurestwo masz rozum z brandzłowany i poprostu mordujesz ich na co byś ich ty wychowała na bandytów i na prostytutkę chyba Wtedy też zupełnie nie kontrolował emocji. Choć jest to chaotyczny strumień świadomości, można wyobrazić sobie, co się działo w głowie Marchwickiego, gdy go zapisywał. Późniejsze listy do Żony były już zupełnie inne, stonowane, zawierające nawet wątki miłosne: W pierwszych słowach mego listu pozdrawiam cię z całego serca list od ciebie

otrzymałem na który tak zniecierpliwnością czekałem niewiedząc gdzie się znajdujesz. Mysiu piszesz mi co ja myślę o tobie, więc chyba mnie znasz przeżyliśmy 10 lat nie byłem babiażem tylko żyłem z tobą i dziećmi kochałem cię dzieci i dom pomimo że mi choroba całe życie dokucza lecz staram się jak mogę aby żyć trochę jak ludzie i nie zepchnąć się do całkowitej nędzy bo życie jest ciężkie i trzeba się dobrze zastanowić nim człowiek zrobi jakiś krok bo to się może odbić na całym życiu a i tak już jest nie wesoło, no ale nie ma się co przejmować jak to mówią po złym następuje dobre W tym samym liście, wysłanym ze Szczawna-Zdroju, namawia Żonę do aborcji: co do ciąży to proszę się bardzo usuń jak najprędzej nie zwlekaj nierub sobie krzywdy i dzieciami tym które jóż są wiesz że oboje nie mamy zdrowia a już jest ich za dużo jak nie będą ci chcieli usunąć to pożycz gdzieś na tą ćwiartkę krwi a ja po przyjeździe ci wyśle na węgiel to po 20 X dopiero ze sprawą tesz nie zwlekaj wiesz w jakiej sytuacji zostałaś i wogóle cały nasz dom łatwo jest zrójnować Dzieli się też wrażeniami z wypoczynku: unikaj takich z praw niebądź porywczą a bedziesz szczęśliwsza. a teraz trochę o moich wczasach jest tu bardzo ładnie mieszkam z trzema wczasowiczami jeden jest ze nawet z kopalni Siemianowice starszy gość chodzi się na różne zabiegi na wycieczki sątu wczasowicze z całej Polski nawet z Gdyni. na życie też nie można narzekać myślę że jak ułoży nam się życie to wyjedziemy sobie razem na rodzinne wczasy Co jednak najważniejsze, przy silnych emocjach, bez względu na ich rodzaj, Marchwicki zapisywał listy i niektóre części pamiętnika w identyczny sposób.

Tymczasem opisy kolejnych morderstw mają zupełnie inny styl. Nie są nawet napisane językiem kogoś, kto skończył sześć klas szkoły podstawowej. Pełno w nim zwrotów wyjętych z milicyjnych protokołów. „Przybyłem”, „dokonałem”, „w pośpiechu oddaliłem się”, „udaliśmy się do wymienionej miejscowości”, „pragnę dodać”: Następne przestępstwo dokonałem w Dąbrówce Małej koło torów w r 1959. Po przyjeździe do Dąbrówki napotkałem kobietę którą zaatakowałem. Uderzyłem ją kilka razy w głowę łomę odbyłem z nią stosunek zabrałem pierścionek i pieniądze po zajściu poszedłem na ałtobus i poszedłem do domu [...]

Następnego przestępstwa dokonałem w Będzinie w 1964 r koło kolei, udałem się tramwajem w celu aby dokonać zabójstwa jakiej kobiety idąc pieszo zpotkałem kobietę przed sobą ja z tyłu uderzyłem ją kilka razy w głowę upadła ona na ziemię ja zacząłem ją rewidować zabrałem jej pieniądze zabrałem jej obrączkę i oddaliłem się kobieta ta liczyła około 40 lat.

Jednocześnie pomija szczegóły.

Zdaniem psychiatrów Marchwicki kontrolował swoje działania i panował nad sobą. Miał być sprytny, unikać pościgu, planować.

Musiał więc zapamiętywać. Zapach, smak krwi, głosy, szum drzew. Zamiast tego pisał krótko i zwięźle jak w notatce posterunkowego.

Nabiera to znaczenia, gdy się porówna treść pamiętnika Marchwickiego ze wspomnieniami napisanymi kilka lat później przez Joachima Knychałę.

Dumny z tego, co zrobił, delectował się, opisując szczegóły zbrodni i pisząc o kobietach, że są tylko kupą mięsa, które można podeptać i zniszczyć.

Przerażające. Ale zupełnie inne od tego, co pisał Marchwicki.

Dlaczego zabójstwa opisane w pamiętniku nie są tymi, które znalazły się w akcie oskarżenia? Pułkownik Gruba twierdził, że po sprawdzeniu powiązano je z Marchwickim. Co ciekawe, większość z nich nie wydarzyła się na terenie, na którym działał Wampir. Czyli zmiana modus operandi. Wyłom w profilu psychologicznym, którym tak bardzo się podpierano. Nie jedyny. Bo przecież żadna z ofiar objętych aktem oskarżenia nie została zgwałcona. Ofiary ataków, które Marchwicki „zmyślił”, a które następnie z nim „powiązano”, zapewne tak.

Wśród tych krótkich, suchych relacji tylko jeden opis jest szczegółowy. Ten dotyczący morderstwa Jadwigi Kuci. Ale i w tym wypadku różni się on od stanu faktycznego ustalonego podczas przewodu sądowego.

Pozwala to przypuszczać, że cała środkowa część pamiętnika została Marchwickiemu podyktowana. Milicja chciała zwyczajnie zamknąć kilkanaście niewykrytych spraw.

Emocje, których brakuje w opisach zbrodni, wracają, gdy Marchwicki opowiada o tym, co się działo w celi.

Nagle potrafił bardzo obrazowo opisać, co czuł, gdy wydawało mu się, że jest prowadzony na szubienicę. Czytając tę część pamiętnika, można odnieść wrażenie, że autor jest bliski szaleństwa.

Zupełnie traci poczucie rzeczywistości.

Słyszy gołębie, szczekające psy, kościelne dzwony.

Rozmawia z Bogiem.

Udręczony strachem i czekaniem na wykonanie wyroku, sam zaczyna prosić, by go już powieszono. mimo że koledzy mnie pocieszali to jednak nie mogłem przetrwać swojego załamania i wygłupiam się z tego powodu kilka razy wstawałem do drzwi i podchodziłem i dzwoniłem do odziałowych i prosiłem żeby mnie zaprowadzili tam gdzie mam iść to znaczy żeby mnie powiesili jednak prośby moje nie dochodziły do skutku za każdym razem po moim wygłupianiu się drzwi się otwierały inspekcyjny z odziałowym kazali mi się spać położyć żebym nie zakłócał ciszy nocnej i mimo tłumaczeniom nadal się wygłupiałem a robiłem to dlatego że chciałem i nie chciałem żeby mnie powiesili przed takim zdecydowaniem na śmierć zawsze myślałem ile jest wart moje życie i ile krzywdy ludzi i rodzinie narobiłem wtak paskudny zposub mam odejść z tego świata kiedy doszedłem do tej myśli działo się coś nie zrozumiałego i nie umie tego opisać wtenczas wstawałem klękałem wten zposub żegnałem się ze światem pacieża nie mówiłem bo nie umie To dowodzi, że nie zdawał sobie sprawy z tego, co się działo poza więzieniem. Nie rozumiał, że jego obrońcy złożyli w Sądzie Najwyższym apelację, a wyrok mógł być wykonany dopiero po jej rozpatrzeniu. A i to nie był krok ostatni. Pozostawał jeszcze wniosek o łaskę do Rady Państwa i znowu

komisja badająca sprawę. Musiał o tym wiedzieć, bo sam napisał, że pamiętnik miał mu pomóc i że miał nawet nikłą nadzieję, że kiedyś jeszcze wyjdzie na wolność. Dlaczego więc tak panicznie zareagował na wyprowadzenie z celi? Nie wiedział, że chodziło o podpisywanie zdjęć. Wampir stał się atrakcją, źródłem cennych pamiątek*.
Ciekawe w czyich rodzinnych zbiorach można dziś znaleźć trofea w postaci fotografii z podpisem Marchwickiego.

Marchwicki pisał w pamiętniku o kolegach z celi. Wciąż używał liczby mnogiej. Pojawilo się nawet imię Zygmunt.

Chodziło oczywiście o Zygmunta A., który zeznawał w sądzie, potwierdzając autentyczność pamiętnika.

Ani razu jednak nie wymienił imienia tego drugiego. Nie został on także wezwany na przesłuchanie przed Sądem Najwyższym.

Dlaczego?

Przecież poinformowanie przez władze więzienne sądu o tożsamości drugiego więźnia nie byłoby problemem. Odpowiedź jest prosta. Milicjanci z grupy „Anna” wypowiadający się w filmie dokumentalnym Jestem mordercą Macieja Pieprzycy relacjonowali, że jeszcze w czasie śledztwa Marchwickiemu podstawiano do celi funkcjonariuszy³⁵.

Podstawieni milicjanci mieli pilnować, by oskarżony nie popełnił samobójstwa.

Ale też cały czas obserwowali jego zachowanie, słuchali tego, co mówi.

Marchwicki o tym wiedział.

Były milicjant Wiesław Tomaszek wspominał nawet, że pewnego razu po przesłuchaniu Marchwicki powiedział do współwięźniów: jesteście gorsi od tych na górze. Tymi więźniami byli funkcjonariusze jednej ze służb.

Milicjanci, esbecy albo strażnicy więzienni.

Ze służbami śledczymi współpracował także Zygmunt A.

Takiego więźnia nazywa się agentem celnym. On także udzielił wywiadu w filmie Pieprzycy. Wyjaśnił, że zgodził się na współpracę za obietnicę obniżenia kary.

Nie ma bezpośredniego dowodu na to, że Marchwickiemu podyktowano pamiętnik. Załóżmy jednak, że ktoś mu podpowiedział, by napisał wspomnienia.

Miał to być dowód jego niepoczytalności.

Być może od początku był taki plan.

– Pisz, Zdzisiu, a im więcej szokujących historii opiszysz, tym szybciej zostaniesz uznany za wariata i uniewinniony. Społeczeństwo musiało dostać winnego. Proces się odbył, a teraz po cichu uznamy cię za szaleńca i nikt nie zauważy, że nie było żadnej kary śmierci.

– Nie wiem, co pisać. Pomożecie mi?

– Pomożemy, Zdzisiu.

Ta prosta, tłumacząca wszystko teoria ma tylko jeden słaby punkt: dlaczego Marchwicki, stojąc przed sądem, nie ujawnił, że nakłoniono go do napisania

pamiętnika? Może wciąż wierzył, że zgodnie z planem zostanie uznany za wariata? I dlatego nadal uparcie grał ustaloną rolę? W aktach znajduje się dokument potwierdzający to przypuszczenie.

Do Sądu Najwyższego w Warszawie Wobec tego że sam i dobrowolnie wyjaśniłem przestępstwa nie objęte aktem oskarżenia bardzo proszę Wysoki Sąd Najwyższy o wzięcie pod uwagę moich dobrych chęci i szczerze przyznanie się przed wykonaniem wyroku, to znaczy że proszę o przedłużenie tego jak najdłużej.

Informuję Wysoki Sąd Najwyższy że sam wyjaśniałem przestępstwa pisząc o nich na Komendę Wojewódzką w Katowicach. Już to mówi że nie chciałem ukrywać przestępstw nie objętych aktem oskarżenia. Następnie o wszystkich swoich przestępstwach i całym swoim życiu opisałem w pamiętniku koledze lecz nie wiem co się z nim stało. Prawdo podobnie uległ on zniszczeniu.

Przydzielono mi z urzędu trzech adwokatów i mimo tego że mam obronę nie pisałem prośb o rozmowe z nimi i powiadamiam Wysoki Sąd Najwyższy że wdalszym ciągu niechęć z obrońcami rozmawiać bo poco, nic niechce kręcić i zbyteczni są mi obrońcy. Popeliłem te czyny o kturych pisałem i szczerze się do nich przyznaję.

Jeszcze raz bardzo prosze wziąć pod uwagę to że nie chciałem w dalszym ciągu niechęć utrudniać.

Trudno, popełniłem przestępstwa i muszę być ukarany. Tylko proszę o przedłużenie tego wszystkiego.

Bardzo dziękuję za pozytywne rozpatrzenie mojego pisma Marchwicki Zdzisław syn Józefa³⁶

W piśmie Marchwicki ujawnił też, że złożył wyjaśnienia na komendzie, ale ani listu, ani protokołu z takiego przesłuchania nie ma w aktach. Dlaczego ani pułkownik Gruba, ani prokurator Gurgul nie poinformowali o tym Sądzie Najwyższego? Gruba stwierdził tylko lakonicznie, że informacje zawarte w pamiętniku sprawdzono i pokrywają się z morderstwami, do których rzeczywiście doszło. Czy nie należało w tej sytuacji wznowić śledztwa i zbadać dokładniej szczegółów? Gruba i Gurgul musieli zaniechać dalszych działań, bo doskonale zdawali sobie sprawę, że nie uda się przypisać tych czynów Marchwickiemu. Wystarczyło im, że kolejny raz przyznał się do winy.

* Podczas składania zeznań zapytano Zygmunta A. także o „dyplom”. Karteczka przepadła, a więzień nie pamiętał dokładnego brzmienia, wiadomo jednak, że w formie żartu Marchwicki podarował Zygmunutowi A. kartkę ze swoistą nominacją: „młodszemu wampirowi starszy wampir”.

34 Akta Sądu Najwyższego, zeszyt w kratkę, bez numeru.

35 Maciej Pieprzyca, film Jestem mordercą; Grażyna Starzak, Powrót wampira. Zdzisław Marchwicki 20 lat później – morderca czy ofiara?, Venus, Kraków 1993.

36 Akta IPN Ka 0025/1374 t1, brak numeru karty.

CZEŚĆ IV

MGŁA POWIEŚCIOWY BOHATER

Od strony poczty nadchodził przygarbiony mężczyzna.

Miał powłóczyisty chód, a jednocześnie odnosiło się wrażenie, że stąpa lekko i bezszelestnie. – Jesteś! – Jaksza spodziewał się, że ta chwila przyniesie mu gwałtowne emocje, i ze zdziwieniem spostrzegł, że jest zupełnie spokojny. – Siedem lat, dwa miesiące bez jednego dnia – powiedział na głos.

Z pierwszej warszawy wysiadł Szłapowicz, za nim jeszcze dwóch cywilów. Podeszli do nadchodzącego mężczyzny i wzięli go między siebie.

Po chwili cała czwórka była już w samochodzie. Odbyło się to tak szybko, że Jaksza nie zdążył zaobserwować wyrazu twarzy tamtego ani ruchu warg, choć Szłapowicz powiedział mu potem, że kiedy ich ujrzał i zrozumiał wszystko, jego policzki i czoło przybrały barwę popiołu i wybełkotał: – Nareszcie! ¹

Na kilka dni przed publikacją ostatniego reportażu Barbary Seidler zainteresowanie Wampirem znów znacząco rośnie. Do księgarń trafia kolejna część cyklu reportaży napisanych przez dziennikarzy tygodnika „W Służbie Narodu”, od kilku lat ukazującego się w wydawnictwie Książka i Wiedza². Cieszył się ogromnym powodzeniem: stutysięczny nakład kolejnych wydań w ciągu kilku dni zniknął z półek. Tym razem książkę opatrzono wspólnym tytułem Kryptonim Anna. Autorami tytułowego tekstu byli Elżbieta Cierlica i Jarosław Rulski.

Reportaż książkowy stanowiły zebrane w całość teksty artykułów zamieszczonych na łamach tygodnika w trakcie procesu Wampira. Teraz autorzy mieli więcej swobody, pozwolili więc sobie na długie cytaty z akt śledztwa.

Zamieścili także obszernie wypowiedzi prokuratora Gurgula, dotyczące śledztwa i procesu, a w szczególności wyjątkowo dramatycznej chwili gdy Zdzisław Marchwicki przerwał wypowiedź prokuratora i przyznał się do winy. Jak się okazało, Gurgul nie był tym zaskoczony.

Od początku tak planował swoje końcowe wystąpienie, by zmusić oskarżonego do reakcji. – Wystąpienie towarzysza prokuratora było zatem taktycznie przemyślanym posunięciem.

Rekapitulowało dowody i tak dobierało argumenty, by trafiały one do oskarżonego. – Nad konstrukcją i racjami tego końcowego wystąpienia zastanawiałem się od chwili napisania aktu oskarżenia.

Zacząłem od przypomnienia sobie, a nawet czytania na nowo literatury, która ma związek z problematyką postaw zbrodniarza, z jego uwarunkowaniami psychicznymi, z

jego sposobami myślenia. Notowałem, jakie twierdzenia mogłyby trafić do przekonania zbrodniarza, które z nich jest on w stanie przyjąć, co może go skłonić do powiedzenia prawdy.

Zastanawiałem się, czy w ogóle istnieje możliwość pobudzenia w nim ambicji, poczucia swoistej męskości lub jakiejś cywilnej odwagi. A zatem jeden nurt przygotowań to literatura piękna: Dostojewski, Dürrenmatt, Zola, Chesterton i inni; drugi – zgłębianie literatury fachowej, głównie z dziedziny psychologii i psychiatrii, na przykład Kępińskiego Rytm życia czy Z psychopatologii życia seksualnego. – Mówimy ciągle o przyznaniu się Zdzisława Marchwickiego do zabijania kobiet. W naszym odczuciu jednak sprawa „Anna” była tak przygotowana od strony dowodowej, że przyznanie się głównego oskarżonego mogło dodać samej sprawie barw, nie było jednak konieczne do wykazania jego winy. – Powiedziałbym inaczej: było ono znaczące dla „uspokojenia ducha”, dla udzielenia odpowiedzi wszystkim sceptykom, którzy w rzeczywistości wcale nie znali sprawy, jej nieco głębszych warstw³.

Przed księgarniami ustawily się kolejki. Choć nakład wyczerpał się po kilku dniach, wydawnictwo nie planowało dodruku.

Tymczasem z zainteresowania skorzystał też Czytelnik. W styczniu 1977 roku, w popularnej serii Z Jamnikiem, ukazała się wspomniana już powieść kryminalna Nieuchwytny Barbary Gordon, drukowana wcześniej w odcinkach.

Szedłem tropem obu kobiet aż do bloków, w których mieszkają. Po drodze zatrzymały się i rozmawiały.

Przeczekałem w ukryciu, aż skończą trajkotać, a trajkotały chyba z godzinę.

Kiedy rozstały się i ta mała najpierw ruszyła w stronę swojego bloku, a potem zrezygnowała z pójścia do domu i zawróciła w kierunku osiedlowej kawiarni – zabiegłem jej drogę.

– Dobry wieczór – powiedziałem do niej. – To miło, że znów się spotykamy.

Nie wiedziałem, że pani tu mieszka.

Odrzekła mi, że idzie właśnie na randkę z narzeczoną. Ofiarowałem się, że odprowadzę ją, bo ciemno, włóczą się pijacy i chuligani. Nie chciałem z nią robić nic w pobliżu domu. Wyczekałem, aż znajdziemy się w bardziej pustym i ciemnym miejscu. Broniła się, ale szybko z nią skończyłem...⁴

Choć fragment zamieszczony na tyle okładki nie zdradzał, że inspiracją powieściowego mordercy był Wampir z Zagłębia, czytelnicy i tak skojarzyli seryjnego mordercę kobiet i fryzjera Feliksa, który dusił swoje ofiary kablem.

I znowu stutysięczny nakład rozszedł się w mgnieniu oka.

Zainteresowanie Wampirem postanowił wykorzystać również dziennikarz Tadeusz Wielgolawski. We wrześniu 1977 roku do rąk czytelników trafiła powieść Na tropach zabójcy⁵.

W przedmowie autor wyjaśnił, że fabułę oparł na prawdziwych wydarzeniach, ale zmienił nazwiska ofiar, świadków, a nawet milicjantów. Postacie tych ostatnich musiał

zbudować na nowo.

Przez siedem lat w śledztwie przewinęło się kilka tysięcy oficerów. W gronie tych najważniejszych była przynajmniej setka.

Wielgolawski ograniczył się do kilku osób. W przedmowie wymienił parę najważniejszych nazwisk, ale nikogo, kto należałby do grupy „niewierzących”.

Niezmienione pozostało tylko jedno nazwisko. Wampirem pozostał Zdzisław Marchwicki, choć był tylko postacią drugiego planu. Głównym bohaterem Wielgolawskiego stał się kapitan Jaksa, szef grupy operacyjnej „Anna”. Jego pierwowzorem był pułkownik Jerzy Gruba, którego w przedmowie Wielgolawski nazwał swoim przyjacielem.

Powieściowy Jaksa był znany czytelnikom ze Śląska. Od lat ścigał przestępców na łamach „Trybuny Robotniczej”. Mało kto jednak wiedział, że choć kapitan był fikcyjny, śledztwa, które prowadził, były jak najbardziej prawdziwe.

Na przykład historia bydgoskiego fałszerza banknotów pięćdziesięciozłotowych wydrukowana we wrześniu 1974 roku, której Wielgolawski nadał tytuł Banknot numer AC 4171909. W książce o Wampirze Jaksa przez siedem lat ścigał bezwzględno mordercę, czytelnicy razem z nim przeżywali kolejne porażki i odwiedzali miejsca zbrodni. Od początku znali koniec tej historii, ale nie wątek kryminalny był kluczowy.

Chodziło o pokazanie pracy milicji, bez spektakularnych pościgów znanych z amerykańskich seriali o poruczniku Colombo czy Kojaku. Jaksa potrafił przyznać się do błędów, a gdy zawiodły sprawdzone metody, prosił o pomoc naukowców.

Kosterski położył na podświetlarce karty perforowane katalogu cech domniemanego sprawcy zabójstw kobiet. Było tych cech, a więc kart również, czterysta osiemdziesiąt pięć.

Starannie wyrównał stertę. Zgasił światło, przekręcił kontakt podświetlarki. – Proszę spojrzeć – powiedział cicho i pochylił się.

Z ciemnego tła przeblyskiwało kilkadziesiąt punkcików, jakby ktoś rozsypał na stole garść świętojańskich robaczek. Niektóre świeciły wyraźnie, inne były ledwie dostrzegalne. Jaksa położył dłoń na wierzchniej karcie.

Wyczuł sieć mikroskopijnych otworków, wybitych przez perforator.

– Jest tak, jak miało być, szefie –

powiedział Kosterski. – Kto posiada więcej cech wspólnych z zabójcą, ten na większej ilości kart ma wydziurkowany swój numer i świeci jaśniej. Proszę spojrzeć, w tym miejscu najjaskrawiej. Pierwsze miejsce – prawie sto cech wspólnych, a więc co piąta. Numer akt 8854: Zygfryd Bobera. Miejsce drugie – numer 7002: Alfred Masny, siedemdziesiąt dwie cechy. Trzeci jest numer 322, o, w tym miejscu.

Sześćdziesiąt trzy cechy. To Józef Siemiński. Na miejscu czwartym, numer akt 12850: Zdzisław Marchwicki. Pięćdziesiąt cztery cechy.

To jest czołówka. Na piątym miejscu znalazł się osobnik z dwudziestoma sześcioma cechami. Potem jest cała masa z trzema, dwoma, jedną. Tych na

podświetlarce nie widać. W sumie stu osiemdziesięciu mężczyzn.

Mam nadzieję, że jest wśród nich wampir, bo jak sobie pomyślę, że będzie podobna harówka nad Sosnowcem albo Dąbrową...

Weryfikowali tych ze szczytu piramidy.

Najmniej kłopotów było z osobnikami oznaczonymi numerami 8854 oraz 322.

Zygryd Bobera zginął w wypadku ulicznym jeszcze przed zabójstwem w Bytkowie.

Józef Siemiański przebywał od wiosny do zimy 1965 roku na zamkniętym leczeniu psychiatrycznym. [...]

I tylko jeden spośród tych, którzy znaleźli się w czołówce, nie był kryminalistą karanym za przestępstwa przeciwko życiu i zdrowiu, a także obyczajowości.

Z pozoru zwykły, przeciętny, szary. Nikt by nawet nie pomyślał, że warto się takim zainteresować.

Lecz karty perforowane nie myślą.

Przyjmują i przechowują układ punktów, tworzących numer ewidencyjny.

Perforator, karta perforowana, podświetlarka. Martwe przedmioty. Niezdolne do oceny, do podjęcia decyzji o wyeliminowaniu lub pozostawieniu kogoś w kręgu podejrzania. Potrafiące to tylko, do czego zostały stworzone. Perforator swoje, karta swoje, podświetlarka swoje. Nic więcej – obiektywne narzędzia.

Numer akt 12 850. Liczba kart, na których ów numer został wyperforowany, stale rosła⁶.

Powieść Wielgolawskiego bardzo dokładnie oddała realia kilku lat pościgu za Wampirem. I co ciekawe, pokazała problemy, z jakimi borykała się milicja.

Kończyła się sceną aresztowania, po której zamieszczono komunikat Polskiej Agencji Prasowej z 3 maja 1977 roku.

Wyrokiem Sądu Wojewódzkiego w Katowicach, utrzymanym w mocy przez Sąd Najwyższy, skazani zostali na karę śmierci oraz pozbawieni praw publicznych na zawsze Zdzisław Marchwicki i Jan Marchwicki.

Zdzisław Marchwicki uznany został winnym dokonania zabójstw czternastu kobiet i usiłowania zabójstwa dalszych pięciu.

Jan Marchwicki skazany został za zorganizowanie i dokonanie przy współudziale innych osób morderstwa pracownicy naukowej Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach oraz szeregu innych wysoce społecznie szkodliwych przestępstw.

Zbrodni morderstwa dopuścił się on z premedytacją.

Wszystkie zabójstwa dokonane zostały ze szczególnym okrucieństwem, połączonym z beczeszczaniem zwłok i okradaniem ofiar.

Rada Państwa nie skorzystała z prawa łaski.

Wyroki zostały wykonane⁷.

Podobne komunikaty ukazywały się w prasie za każdym razem, gdy wykonywano wyrok śmierci, nawet jeśli sprawy miały charakter lokalny. Tym razem gazety zrobiły wyjątek.

O powieszeniu braci Marchwickich poinformował dopiero Wielgolawski.

1 Tadeusz Wielgolawski, Na tropach zabójcy, Śląsk, Katowice 1977.

2 W imieniu prawa (1970), Ciąg dalszy nastąpi (1971), Drogi w ciemności (1973), Szarobłękitni (1974),
Przestępca nie ma szans (1975), Kryptonim Anna (1976), Za judaszowe srebrniki (1978), Sprawa K-18 (1979).

3 Elżbieta Cierlica, Jarosław Rulski, Kryptonim Anna, w: Tadeusz Brytan i in.

Kryptonim „Anna”: Zbrodnie wcale nie doskonałe, Książka i Wiedza, Warszawa 1976.

4 Barbara Gordon, Nieuchwytny, Czytelnik, Warszawa 1977.

5 Tadeusz Wielgolawski, Na tropach zabójcy, Śląsk, Katowice 1977.

6 Tamże.

7 Tamże.

SĄDZIŁEM WAMPIRA

Słyszałem wiele różnych opinii na temat sprawy, która właściwie jeszcze się nie zaczęła. Niektórzy już nawet mówili o jej zakończeniu i wyroku, inni powiadali: „Po co ten proces, kiedy wszystko jest jasne i wiadomo, kto jest wampirem; po co te sądy i marnowanie czasu”⁸.

W lutym 1977 roku tygodnik „Prawo i Życie” rozpoczął druk czteroodcinkowego cyklu wspomnień Władysława Ochmana⁹.

Była to niezwykle ciekawa relacja, pokazująca proces z za stołu sędziowskiego. Niemal jednocześnie wydawana w Bielsku-Białej „Kronika” zamieściła ośmiodcinkowy wywiad z Ochmanem przeprowadzony i spisany przez redaktora Tadeusza Patana¹⁰.

W nagłówku pierwszego odcinka znalazło się zastrzeżenie, że wspólny tytuł całego cyklu, Sądziłem wampira, został nadany przez redakcję, a zbeletryzowana forma narracji ma na celu przedstawienie tematu w sposób bardziej przystępny dla czytelników.

I rzeczywiście, ta wersja była bliższa sądowej powieści kryminalnej niż pamiętnikowi sędziego orzekającego w sprawach karnych.

Wspomnienia Ochmana są cennym uzupełnieniem akt sprawy Wampira.

Akt oskarżenia wpłynął do sądu na początku lipca. Pierwsza rozprawa odbyła się 18 września. Sędzia wspominał, że przed procesem trzykrotnie przeczytał akta. Kilka razy powtórzył, że było to pięćdziesiąt tysięcy stron, a w „Kronice” wymienił nawet liczbę sześćdziesiąt tysięcy. Mijał się z prawdą. Owe 141 tomów to dwadzieścia cztery tysiące stron. Pozostaje odpowiedzieć na pytanie: „tylko” czy „aż”?

Tak obszernego materiału nie dało się poznać w tak krótkim czasie. Tym bardziej że Ochman jednocześnie kończył sprawę gospodarczą, w której sądził trzydziestu oskarżonych, i nadzorował sprawy organizacyjne. Mimo to twierdził, że znał akta niemal na pamięć. Aż osiemnastu doświadczonych prawników znało sprawę nie gorzej niż ja – deklarował. Albo: Musiałem poznać sprawę lepiej niż oni razem wzięci i każdy z osobna. To akurat nie było trudne. Bo jak się okazuje, obrońcy nie znali akt prawie wcale.

Kancelaria mecenasa Bolesława Andrysiaka, ostatniego żyjącego obrońcy występującego w procesie Wampira, znajduje się vis-à-vis budynku Sądu Okręgowego w Katowicach. Obronę Zdzisława Marchwickiego powierzono mu na 31 dni przed rozpoczęciem procesu. Jemu i pozostałym siedemnastu adwokatom. Uradzili wspólnie, że każdy z nich złoży wniosek o odroczenie rozprawy, motywując go brakiem możliwości zapoznania się z aktami.

I bynajmniej problem nie tkwił w ich obszerności. Dosłownie nie mieli do nich dostępu. Wnioski zostały odrzucone.

Podobnie jak te o całkowite zrzeczenie się obrony, złożone przez kilku adwokatów. Na kilka dni przed rozpoczęciem procesu mecenas Andrysiak spotkał na korytarzu sądu znajomego sędziego.

– Panie sędzio, jak mam bronić Marchwickiego, skoro nie znam akt? Ja ledwie raz widziałem na oczy mojego klienta.

– Bolek, daj spokój. Sprawa potrwa kilka miesięcy. Zdązysz sobie wszystko dokładnie przeczytać.

Ale mecenas Andrysiak twierdzi, że obrońcy nie mieli dostępu do wszystkich dokumentów nawet w trakcie procesu.

Dysponowali jednym egzemplarzem aktu oskarżenia i kilkoma tomami akt z protokołami przesłuchań oraz opiniami biegłych. W tamtych czasach nie było wielu kserografów. Urządzenie należące do milicji służyło tylko do kopiowania protokołów rozpraw.

Podpułkownik Gruba i jego ludzie nie pomagali adwokatom tak jak sędziemu. Stali w końcu po tej drugiej stronie. Obrońcy musieli więc wzajemnie pożyczać sobie dokumenty, a resztę mogli przeglądać w budynku sądu, na takich samych zasadach jak dziennikarze. Tyle że rozprawy toczyły się kilka dni w tygodniu, a sąd był czynny tylko do 16:00. By móc przeczytać akta, musieli wysyłać na rozprawę kogoś na zastępstwo. W takim trybie nawet osiemnastu obrońców niewiele mogło zdziałać.

Tymczasem Ochman pisał we wspomnieniach: Szczerze mówiąc, współczułem im. Bo choć akta sprawy Zdzisława Marchwickiego zawierały szereg braków, niedomówień i wątpliwości, tożsamość człowieka, który [...] dokonywał zabójstw kobiet na terenie Zagłębia, wydawała się oczywista. Oto sędzia wspomina, że współczuł obrońcom beznadziejnej sprawy, mimo że tej nie wywołano jeszcze nawet na wokandę. Można odnieść wrażenie, że adwokatom przypadła drugoplanowa rola wynikająca z przysługującego oskarżonym prawa do posiadania obrońcy.

Prawo do obrony ma zresztą nie tylko osoba oskarżona, ale nawet podejrzana, zanim jeszcze zostaną jej postawione zarzuty. Zdzisław Marchwicki poprosił o adwokata już w marcu 1972 roku.

Dziennikarze relacjonujący później proces uznali to za bezczelność.

Jakże cynicznym było żądać obrońcy, będąc mordercą tylu kobiet. Już w chwili rozpoczęcia śledztwa dołożono starań, by podejrzany został sam, by nikt mu nie doradzał, jak się bronić. Śledczy nie mogli pokazać komukolwiek, że dopiero zbierają, a raczej dopasowują dowody do zatrzymanego. Sąd odrzucił zażalenie, w którym Marchwicki poprosił o obrońcę, a decyzję podpisał nie kto inny, tylko właśnie sędzia Ochman.

Można się zastanawiać, jaką wartość w takiej sytuacji miały protokoły przesłuchań. A jednak dla prokuratora i sędziego stały się wiarygodnym dowodem.

Rolę, jaka przypadła obrońcom, pokazała też wymiana zdań między prokuratorem Gurgulem a mecenasem Frelichem, do której doszło na sali sądowej 18 kwietnia 1975

roku.

Awantura rozpoczęła się od zeznań świadek, która rozpoznała Zdzisława Marchwickiego jako mężczyznę widzianego w dniu poprzedzającym morderstwo dziesięć lat wcześniej.

Mecenas Frelich miał wątpliwości, bo świadek, opisując płaszcz, użyła określenia najbardziej podobny. Mogło ono oznaczać, że w śledztwie okazano kilka płaszczy i świadek wskazała ten najbardziej podobny, a nie ten, który widziała przed dziesięciu laty. Kolejne pytania rozżłościły prokuratora do tego stopnia, że zwrócił mecenasowi uwagę.

Nie wiadomo jednak, co dokładnie powiedział, bo wypowiedź Gurgula nie została odnotowana w protokole rozprawy. Słów mecenasa Frelicha nie dało się pominąć, bo jego wypowiedź była długa. Da się z niej wywnioskować, że Gurgul uznał pytania do świadka za bezsensowne. A potem oświadczył, że taka postawa służy wyłącznie przeciąganiu procesu, i zaapelował do Wysokiego Sądu o uchylanie podobnych pytań. Tego było już za wiele.

Adw. Frelich składa oświadczenie: W zasadzie na wystąpienie pana prokuratora powinienem prosić sąd o zwolnienie mnie z obrony oskarżonego Zdzisława Marchwickiego. Skoro jestem zbędny w tym procesie, skoro moje pytania są bez sensu, bo tak należy wywnioskować z wypowiedzi pana prokuratora, skoro zmierzam do przedłużenia procesu, to w takim razie moja osoba jest niepotrzebna w tym procesie i, jak powiadam, tylko ten wniosek mógłby skwitować niezrozumiałe absolutnie dla mnie wystąpienie pana prokuratora. Przez szereg miesięcy, tu na tej sali, słuchamy świadków zawnioskowanych przez rzecznika oskarżenia, nie był słuchany ani jeden świadek obrony. Jeżeli przeanalizujemy dotychczasowy protokół rozprawy, okaże się, że około 80% świadków, taka jest moja ocena, obrońcy, było zbędnych. Kto więc przedłuży ten proces, w czym interesie leży przedłużanie procesu, przecież nie my, siedzący na ławie obrońców, powoływaliśmy świadków i nie my mieliśmy gestię do tej pory w prowadzeniu rozprawy. Jeżeli zadaję niestosowne pytania, sąd jest zgodnie z ustawą uprawniony do uchylania tych pytań. Nie można w ten sposób ograniczać prawa do obrony, by obrońca siedział na sali w charakterze elementu dekoracyjnego, jeżeli mam spełniać tę funkcję, to funkcja ta jest zbędna i dlatego proszę sąd o zajęcie odpowiedniego stanowiska do wypowiedzi pana prokuratora¹¹.

Ta wypowiedź, niestety, nie zrobiła na nikim wrażenia. Pobudziła tylko Henryka i Jana Marchwickich. Henryk oświadczył, że prokurator sugeruje świadkom zeznania, a Jan – w typowy dla siebie sposób – nazwał Gurgula ukraińskim smykiem. W efekcie sędzieja Ochman nakazał wyprowadzić Jana z sali i ogłosił pół godziny przerwy, po której zaapelował do stron, by wzajemnie szanowały swoje stanowiska.

Opinia publiczna także wydawała się rozwścieczona tym, że adwokaci w ogóle się odzywają. Niektórzy wyrażali swoje zdanie, pisząc listy do sędziego Ochmana.

Wysoki Sądzie!

Śledzę pilnie przebieg procesu Marchwickiego nieustannie w prasie, zostałem bardzo zaskoczony wypowiedzią adwokata Jana Polewki.

Ktury przyszedł do wniosku że Marchwicki to człowiek niewinny, nieszczęśliwy, wszyscy świadkowie to są ludzie wprost nieuczciwi, że po tych latach mogą rozpoznać zbrodniarza.

Tak samo i rodzina, która tak się zęcała nad biedakiem. Dopiero jeden człowiek, a mianowicie adwokat Jan Polewka, który nie był przy żadnym wypadku morderstwa ulitował się nad biednym mordercą. Wprawdzie zabrał rzeczy [nieczytelne] osobami (ale to bagatela). Wprawdzie wypowiedź jego nie wiąże Wysokiego Sądu z wydaniem sprawiedliwego wyroku.

Gdyby Marchwicki dokonał zbrodni na rodzinie p. Polewki, może zdanie by zmienił.

Pytam się po co ludzie zdobywają wyższe wykształcenie w zawodzie prawnika, ażeby w błąd wprowadzać sąd i przeszkadzać mu w wydaniu sprawiedliwego wyroku w Polsce ludowej.

Wiem że oskarżonym i obrońcom kłamać wolno, ale Jan Polewka według mnie przebrał miarę.

Boję się że być może jutro Jan Polewka zażąda zamknąć wszystką milicję obywatelską, po co uczciwym złodziejom i bandytom w pracy przeszkadzają¹².

Jak już była o tym mowa, przed rozpoczęciem procesu Ochman zastanawiał się, czy aby wszystkie zarzuty powinny być rozpatrywane w tej jednej sprawie. Zdzisław Flak odpowiadał za kradzież części samochodowych, jego matka Halina Flak za wyłudzenie zwolnienia lekarskiego i przyjęcie przedmiotów zrabowanych ofiarom, a Zdzisław Marchwicki za czternaście zabójstw i sześć usiłowań. Zarzuty, których nie dało się porównać. Ale po dyskusji z prezesem sądu Ochman uznał, że w ten sposób można pokazać całokształt działalności oskarżonych.

Dlaczego więc przyznał się do wątpliwości, pisząc o nich w gazecie?

Może dlatego, że doświadczony sędzia musiał zdawać sobie sprawę, iż jest to pozbawione sensu i w przyszłości zostanie negatywnie ocenione.

Mimo to godził się, by jego rola chwilami sprowadzała się do bycia obserwatorem. Często nie reagował na sprzeczki między oskarżonymi. Zupełnie lekceważył poczynania prokuratora Gurgula, który w sposób uwłaczający zwracał się do oskarżonych. Nie traktował też w równy sposób obu stron. Niemal każde nieregularne wystąpienie oskarżonych spotykało się z upomnieniem. Gdy wyprowadzony z równowagi prokurator wypowiadał sądy o oskarżonych lub strofował adwokatów, a z ust świadków padały stwierdzenia, że proces jest zbędny, uprzejmie prosił o kulturalne zachowanie.

Sam zresztą z drwiną zwracał się do oskarżonego Klimczaka, gdy ten opowiadał o wspólnym życiu z Janem.

Nie reagował także na to, co ukazywało się w prasie. Jan Marchwicki skarżył się

na postawę dziennikarzy podczas rozprawy 24 stycznia 1975 roku.

Ochman odpowiedział, że za informacje prasowe ponoszą odpowiedzialność wyłącznie dziennikarze, nie sąd. A treść notatek w prasie nie stanowi żadnego materiału dowodowego w sprawie.

Zastrzeżenia do relacji prasowych miał też Henryk Marchwicki.

Mam prośbę i jednocześnie zażalenie, ponieważ w dniu 30 kwietnia „Dziennik Zachodni” podał do publicznej wiadomości, że Teresa Kula zeznała, iż widziała mnie w Katowicach w dniu zabójstwa Jadwigi K. przecież stwierdziła na rozprawie, że widziała mnie w Katowicach w dniu ogłoszenia komunikatu w TV. W związku z tym proszę, by sąd wpłynął na prasę i by sprostowano ten artykuł, ponieważ tym samym prasa już mnie skazuje na wyrok, a tu stoi człowiek niewinny i tłumaczy się nie wiem za co¹³.

Sędzia w końcu musiał zareagować.

Ukarał redaktora Jerzego Kamienieckiego zakazem publikowania, choć pod naciskiem komitetu partii szybko decyzję odwołał. Ale od tej pory Kamieniecki musiał przedstawiać sędziemu każdą notatkę do zatwierdzenia. Tym samym Ochman został również cenzorem prasowym.

8 Władysław Ochman, Zainteresowanie ogromne, „Prawo i Życie” z 27 lutego 1977 roku, nr 8.

9 „Prawo i Życie”: Proces wampira, 13 lutego 1977, nr 7; Przygotowania, 20 lutego 1977, nr 8; Zainteresowanie – ogromne, 27 lutego 1977, nr 9; Proszę wstać, Sąd idzie, 6 marca 1977, nr 10.

10 „Kronika”: Wyrok, 21 lutego 1977; Casus Marchwicki, 28 lutego 1977; Druga twarz mordercy, 7 marca 1977; Nie ma zbrodni doskonałej, 14 marca 1977; Sobowtór mordercy, 21 marca 1977; Zły bóg rodziny Marchwickich, 28 marca 1977; Spowiedź mordercy, 4 kwietnia 1977; Czekając na kata, 11 kwietnia 1977.

11 Akta sprawy IV.K.157/74, protokół rozprawy z dnia 18 kwietnia 1975 roku, karta 25199-25232.

12 Akta sprawy IV.K.157/74, karta 26378.

13 Protokół rozprawy głównej z dnia 2 maja 1975 roku, akta sprawy IV.K.157/74, karta 25342-25359.

ANNA I WAMPIR

Wczoraj kamera, z ukrycia, penetrowała targowisko i sąsiednie ulice. Były to miejsca częstych wędrowek Marchwickiego, który przychodził tu z łupem po ofiarach i tu je sprzedawał.

Nabywcą „towaru” był Mendryczko, miejscowy „niebieski ptaszek”, którego gra w filmie aktor – amator, Jerzy Świętochowski. Wczoraj przedzierał się przez tłum kupujących – już w towarzystwie wywiadowcy, Błaksika, którego gra Leszek Piskorowski. [...]

W roli Marchwickiego wystąpi – Mieczysław Krawczyk.

Film wejdzie na ekrany w przyszłym roku¹⁴.

Na początku listopada 1980 roku katowicki „Wieczór” obwieścił, że Wampir niebawem zagości na kinowych ekranach. „Dziennik Zachodni” swoją relację zamieścił dopiero 18 grudnia.

Pisano wprost, że scenariusz filmu został oparty na znanej bodaj każdemu historii Wampira z Zagłębia Zdzisława Marchwickiego.

W rozmowie z dziennikarzami reżyser Janusz Kidawa podkreślał, że będzie opowiadał nie tyle o seryjnym mordercy kobiet, ile o milicji.

Ostatecznie, wiadomo, kto zabijał, więc nie da się zaskoczyć widza jak w klasycznym kryminale. Reżysera zainteresowała praca aparatu ścigania i dramaty ludzi, którzy przez wiele lat szukali Wampira. Dla tych, którzy czytali książkę Wielgolawskiego, stało się jasne, że film jest adaptacją powieści.

Pierwszy klaps padł w październiku we Wrocławiu. Po tygodniu filmowcy przenieśli się na Górny Śląsk. Redaktor Lewandowski z „Dziennika Zachodniego” towarzyszył im podczas próbnych zdjęć w parku Sieleckim w Sosnowcu. Udało mu się porozmawiać z Leonem Niemczykiem, który opowiedział o swojej roli. Miał zagrać majora Dobiję, oficera z Warszawy, przysłanego, by pomóc prowincjonalnym oficerom. Ale major poniósł klęskę i sprawę ponownie przejął główny bohater kapitan Jaksza.

Kidawa był dokumentalistą i ogromną uwagę poświęcał szczegółom.

Pokazano prawdziwe materiały ze śledztwa, zdjęcia realizowano w miejscach zbrodni Wampira, a statystami byli milicjanci, którzy wcześniej pracowali w grupie operacyjnej „Anna”. By dodać realizmu, operator Henryk Janas nie używał statywu. Tak jak w reportażu telewizyjnym, filmował z ręki w celu uzyskania surowości obrazu. Żeby pomóc aktorom wczuć się w rolę i stworzyć prawdziwą atmosferę grozy, która przeniesie się na ekran, na plan przywożono gipsowy odlew głowy Zdzisława Marchwickiego.

Milicyjni technicy zrobili ją zaraz po wykonaniu wyroku. Była to kolejna wersja, bo oryginał uznano za mało wampirzy.

Kierownictwo zaakceptowało dopiero trzeci odlew.

Redaktor Ilona Łepkowska z magazynu ilustrowanego „Film” również podążyła „Śladem zbrodni”¹⁵. Jej relacja z planu filmu Anna tropi wampira nie pozostawiała wątpliwości, Marchwicki w chwili aresztowania powiedział ponoć: „nareszcie”.

Skończyła się w tym momencie koszmarna gra, jaką prowadził z tymi, którzy go ścigali. I o tych ludziach, nie o nim, będzie ten film¹⁶. Oprócz pokazania prawdziwej pracy śledczej fabuła miała jednak nieść ważny przekaz: każde przestępstwo można wykryć.

Technika, która wspomaga funkcjonariuszy, jest na tak wysokim poziomie, że nie daje przestępcom żadnych szans. Tak jak w przypadku Wampira ujętego dzięki komputerowi.

Widzom przyszło długo czekać na film Janusza Kidawy, bo premiera odbyła się dopiero 2 lipca 1982 roku, a pierwsze kopie trafiły do warszawskich kin „Atlantic”, „Luna” i „Sawa” w poniedziałek 12 lipca. W stolicy projekcje poprzedziła akcja promocyjna.

Przy kinach wywieszono ogromne transparenty z hasłem „powrót KATOWICKIEGO wampira”. A w „Życiu Warszawy” ukazało się ogłoszenie, w którym informowano, że wszyscy znów stajemy oko w oko z katowickim wampirem!!!. Nie wszyscy zrozumieli, że chodzi o film. Do redakcji pism dzwonili czytelnicy, prosząc o informacje. Zamieszczenie na łamach „Szpilek” wyjaśnił Remigiusz Matuszak, rzecznik prasowy Zespołu „Silesia”: Obawa, że „na widowni pojawi się śląski krwio pijca i jego czeladka”, częściowo się sprawdziła, z zamówionych trzech ogłoszeń prasowych ukazało się tylko pierwsze¹⁷.

Gdy stało się jasne, że Wampir wraca tylko na ekrany kinowe, przed kasami ustawily się długie kolejki. Prasa szeroko komentowała film, który ostatecznie nosił tytuł Anna i wampir. Po reżyserze gorąco przyjętych obrazów Pejzaż horyzontalny i Grzeszny żywot Franciszka Buły wiele sobie obiecywano. Elżbieta Dolińska z „Filmu” zauważyła, że Kidawa lubi patrzeć tam, gdzie wielu jego kolegów po kamerze nawet nie zatrzymuje wzroku, i dostrzegać, ile się tylko da.

Potrafi być błyskotliwy, obrazoburczy i uderzająco wobec badanej rzeczywistości satyryczny¹⁸. Jej zdaniem mocną stroną filmu było nasycenie realiami, co dla dokumentalisty z krwi i kości było bardzo naturalne. I wreszcie główny bohater kreowany przez doskonałego aktora Wirgiliusza Grynia.

O antyfeminiście Marchwickim, za sprawą którego grozą wiało po kraju, jak to się mówi od dołu do góry, pisał też Wiesław Barański w miesięczniku „Przemiany”¹⁹. Prognozował, że film będzie chętnie oglądany, bo nie ma w nim wybujałej ambicji twórczej, wygląda na to, że Kidawa od początku wiedział, co chce mieć w filmie.

A chciał mieć chyba normalny film o pracy normalnej milicji, rozgrywającej partię z „normalnym” zbrodźcą. Zżymał się przy okazji na zalew produkcji, w których do wątej fabuły dorabia się filozofię. Jako przykład przytaczał czechosłowacki serial

Szpital na peryferiach, jego zdaniem pozbawiony wszelkiej ambicji poza jedną, aby ludzie chętnie go oglądali.

O popularność filmu nie bał się też redaktor Stanisław Wyszomirski z „Expressu Wieczornego”, bo temat zbrodniarzy seksualnych zawsze przyciągał uwagę nie tylko w filmie, ale i w literaturze. Na poparcie tej tezy przywoływał podławą książeczkę kryminalną o fryzjerze mordującym kobiety przewodem od suszarek, [która] była nie tak dawno rozchwytywana. Chodziło oczywiście o Nieuchwytnego Barbary Gordon.

Wyszomirski zdradził przy okazji, że gotowy film przez rok czekał na premierę, a reżyser wycofał go z festiwalu w Gdańsku w 1981 roku, podobno z obawy przed kompromitacją. Film zresztą i tak uznał za wyjątkowo spóźniony, gdyż pokazano go dopiero dziesięć lat po ujęciu mordercy. Odnosił się do tego nawet tytuł artykułu: Dłuższa droga do kina niż na szubienicę²⁰.

Janusz Skwara z „Tygodnika Kulturalnego”²¹ zauważył w filmie wątek polityczny. Choć zdjęcia realizowano jeszcze w okresie propagandy sukcesu, do fabuły trafiły sceny dość krytycznie pokazujące nastawienie władz. Wampir grasował po terenie pierwszego sekretarza, a gdy zamordował jego krewną, milicja otrzymała środki i komputer, który w efekcie przyczynił się do ujęcia zbrodniarza. I wszystko to, jak pisał Skwara, znalazło się w scenariuszu jeszcze przed Sierpniem.

Nie brakowało też ocen krytycznych.

Ba, nawet druzgocących. Małgorzata Dipont na łamach „Życia Warszawy”²² zastanawiała się: czy miał zilustrować tezę o wyższości maszyny cyfrowej nad człowiekiem? Bo jej zdaniem to właśnie najbardziej rzucało się w oczy. Z kolei Rafał Jabłoński w „Słowie Powszechnym”²³ zarzucał filmowi, że dłuży się jak siedem lat śledztwa, ale za największe przewinienie uznał kumulację scen, w których śledczy wykazać się muszą intelektualną głębią.

Na całym świecie nie ma tak głupich, prymitywnych i nieinteligentnych przestępców, jak w polskim filmie. Nigdzie też nie ma równie błyskotliwych oficerów śledczych i uprzejmych oraz serdecznych organów ścigania – drwił z kolei Jacek Artowski w „Tu i Teraz”.

I dalej: Kidawa miał za zadanie dla nas nakręcić bajkę, może nawet mrozącą krew w żyłach, ale relaksującą bujną na półtorej godziny.

Tymczasem ustawił wszystkich w pozycji myślącego milicjanta, co dla widzów jest trudne do wytrzymania i wysiedzenia. Przy końcu projekcji okazuje się, że na nic myślenie, bo wampira i tak wykrył komputer, zainstalowany w komendzie dzięki uprzejmości wojewódzkich władz partyjnych.

W łódzkim tygodniku „Odgłosy”²⁴ redaktor Paweł Strzelecki z sarkazmem pisał, że „Annę i wampir” reklamuje się jako film dla ludzi o mocnych nerwach.

Rzeczywiście trzeba umieć nad sobą panować, żeby wytrzymać do końca.

Kiedy w finale złapany morderca stwierdza cynicznie: „Nareszcie”, gotowy go byłem wyściskać, gdyż wiedziałem już, że za chwilę to się skończy, będę mógł wyjść

na świeże powietrze i odetchnąć, głęboko odetchnąć.

13 lipca 1982 w katowickim Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki odbyło się spotkanie z Januszem Kidawą. Licznie przybyli dziennikarze dość szybko zaczęli wytykać błędy i mankamenty filmu.

Reżyser zapytany, w jakiej właściwie konwencji nakręcił film (czy to kryminał, film obyczajowy, dreszczowiec czy studium psychologiczne), odpowiedział z rozbijającą szczerością, że scenariusz jest zły, bo sam go napisał, ale ludzie i tak pójda do kina, choćby z ciekawości, bo został oparty na prawdziwej historii.

Broniąc się, wyjaśnił, że początkowo chciał nakręcić dokument, ale nie dostał zgody.

Wpadł więc na pomysł wyreżyserowania paradokumentalnego serialu telewizyjnego. Ale i na to władze nie przystały.

W końcu powstał scenariusz dwuodcinkowego filmu fabularnego. Tyle że komisja zatwierdziła jeden odcinek, skracając mocno scenariusz. I właśnie te zmiany koncepcji odbiły się na końcowej wersji wielokrotnie przerabianego scenariusza.

Samokrytyka Kidawy niezupełnie pokrywała się z rzeczywistością, bo w czołówce filmu pada nazwisko Tadeusza Wielgolawskiego. Jego jednak na konferencji nie było. Po sierpniu 1980 roku zwolniono go z redakcji „Kroniki”.

Nie był członkiem Solidarności, ale sympatyzował z Komitetem Obrony Robotników. Jego miejsce na stanowisku naczelnego zajął Jerzy Kamieniecki. 13 grudnia 1981 roku Wielgolawski został internowany. Z więzienia wysyłał żądania do Zespołu Filmowego „Silesia”, by jego nazwisko zostało usunięte z czołówki filmu. Wypuszczono go dość szybko, ze względu na stan zdrowia: groziła mu ślepotą.

Wkrótce wyemigrował do Kanady.

Na konferencji był za to pułkownik Jerzy Gruba (wtedy już komendant wojewódzki), pierwowzór filmowego kapitana Andrzeja Jaksy. I to on uratował sytuację, snując barwną i mrozącą krew w żyłach opowieść o kulisach życia rodziny Marchwickich.

Mimo krytyki przed kinami ustawiały się kolejki. Złośliwi dziennikarze uważali, że była to zasługa marnego repertuaru.

I mieli w tym sporo racji. Ogromną frekwencją wciąż cieszył się Vabank Juliusza Machulskiego, premiera z początku roku, i Znachor Jerzego Hoffmana. Z pozycji zagranicznych hitem wakacyjnym stało się Wejście smoka z Bruce'em Lee. Na tym kończyła się atrakcyjna oferta. Wśród premier można było zobaczyć dwa filmy radzieckie, komedię miłosną Wszystko na opak oraz kryminał Zagubiony wśród ludzi.

Wyświetlano także najnowszą czechosłowacką komedię kryminalną Spluwy i pestki oraz film kostiumowy Mężczyzna w peruce produkcji NRD.

Dopiero pod koniec miesiąca do kin miała trafić druga polska premiera sezonu: Głosy Janusza Kijowskiego. Dramat psychologiczny podejmujący problem zagubienia jednostki w otaczającej ją rzeczywistości cywilizacyjnej i poszukiwania sensu

istnienia. Resztę repertuaru stanowiły powtórki. Na tym tle paradokument Anna i wampir rzeczywiście prezentował się jako propozycja dla ludzi o mocnych nerwach.

W październiku 1984 roku film doczekał się premiery telewizyjnej.

W sobotni wieczór pokazano go w Pierwszym Programie zaraz po Dzienniku telewizyjnym. W poniedziałek na łamach „Walki Młodych”²⁵ swoje wrażenia z seansu przedstawił redaktor Tomasz Miłkowski. Zamiast filmu budzącego grozę i wdzięczność dla dzielnych śledczych otrzymaliśmy zakalec całkowicie lekceważący reguły gatunku: nudną piłę, zrobioną bez polotu, przegadaną, pozbawioną tempa i nerwu dramaturgicznego. [...] Jeden pożytek owa emisja miała: dla przyszłych, ewentualnych scenarzystów, powieściopisarzy, reżyserów stanowiła instruktaż, jak nie dziergać kryminału.

Przyniosła też jedną szkodę: podobnie jak liczne publikacje z tamtego czasu, utrwalała przekonanie, że w styczniu 1972 roku dzięki komputerowi śledczy wiedzieli, kogo szukają, i że utwierdził ich w tym sam Marchwicki, mówiąc w chwili zatrzymania: „Nareszcie”.

14 Byliśmy na planie nowego filmu Janusza Kidawy „Anna tropi wampira”. Zdjęcia realizowano na targowisku w Będzinie, „Wieczór” z 6 listopada 1980 roku.

15 Ilona Łepkowska, Śladami zbrodni, „Film” z 25 stycznia 1981 roku.

16 Tamże.

17 Drogi redaktorze X, „Szpilki” z 16 września 1982 roku.

18 Elżbieta Dolińska, Wampir i Kidawa, „Film” z 15 sierpnia 1982 roku.

19 Wiesław Barański, Wampir po polsku, „Przemiany” z 20 sierpnia 1982 roku.

20 Stanisław Wyszomirski, Dłuższa droga do kina niż na szubienicę, „Express Wieczorny” z 9 sierpnia 1982 roku.

21 Janusz Skwara, Na tropach wampira, „Tygodnik Kulturalny” z 22 sierpnia 1982 roku.

22 Małgorzata Dipont, Komputer na tropie, „Życie Warszawy” z 23 lipca 1982 roku.

23 Rafał Jabłoński, O wampirach i przedobrzeniu tematu, „Słowo Powszechne” z 15 lipca 1982 roku.

24 Paweł Strzelecki, Na tropie wampira, „Odgłosy” z 30 lipca 1982 roku.

25 Tomasz Miłkowski, Instruktaż, „Walka Młodych” z 21 października 1984 roku.

NA FRONCIE PROPAGANDY

Następne dni, tygodnie i miesiące rozprawy toczącej się w Katowicach są nie mniej dramatyczne. Oskarżonego Zdzisława Marchwickiego rozpoznają setki kolejnych świadków jako człowieka, który był widziany w pobliżu miejsc zabójstw kobiet [...] ²⁶.

Do udziału w procesie Wampira zaproszono ponad trzydziestu dziennikarzy. Była wśród nich reporterska śmietanka, która od lat relacjonowała głośne procesy. Maria Osiadacz, Wanda Falkowska, Barbara Seidler, Jarosław Rulski. Temu ostatniemu pomagała młoda dziennikarka Elżbieta Cierlica.

Reportaże Elżbiety Cierlicy i Jarosława Rulskiego przez niemal rok ukazywały się na łamach tygodnika „W Służbie Narodu”.

Jeden z nich zatytułowano Maraton procesowy trwa.

Paradoksalnie, obok maratonu procesowego trwał prasowy – bodaj najdłuższy w powojennej historii.

Wyjątkowy był też z innego powodu.

Dwójka reporterów przeprowadziła kilka zaskakujących wywiadów.

Biegle wypowiadali się na łamach gazety, nim złożyli swoje zeznania przed sądem.

Sędzia Ochman dzielił się odczuciami, nim wydał wyrok. W tygodniku znalazła się też relacja ze spotkania słuchaczy Akademii Spraw Wewnętrznych z naczelnikiem wydziału „Anna” podpułkownikiem Jerzym Grubą, który opowiadał o szczegółach śledztwa zawartych w akcie oskarżenia. Było to wydarzenie bez precedensu.

Nigdy przedtem dziennikarze nie upubliczniali szczegółów nieocenionych jeszcze przez sąd.

Elżbieta Cierlica nie pracuje już w zawodzie, ale zgodziła się opowiedzieć o kulisach procesu i pisania reportaży.

Oto jej relacja.

Uczyłam się na procesie Gerharda.

A potem dostałam Marchwickiego. To był mój debiut dziennikarski. Pisałam to razem ze starszym redaktorem Jarosławem Rulskim. Jarek miał siłę przebicia. Jego siostra była żoną prokuratora Gurgula i dlatego miał materiały, o których ja mogłam tylko śnić. Jarek dyktował i rządził. Moją rolą było wysłuchać, zebrać i napisać. [...] Na procesie siedziały przez cały czas Osiadacz, Seidler i Świątecka.

Bywał Marek Rymuszko, bywał Andrzej Gass, Tadek Wielgolawski.

W poniedziałek po obiedzie pociąg był pełny dziennikarzy z Warszawy. Jechał też doktor Różycki, Gurgul. I wszyscy w piątek wieczorem wracaliśmy jednym pociągiem. Mieszkaliśmy też wszyscy razem, w hotelu „Katowice” albo „Silesia”. W zakładach cynkowych, tam gdzie odbywał się proces, mieliśmy wydzielony jeden pokój, taki dla młodych dziennikarzy. Natomiast panie Seidler, Falkowska i Osiadacz jadały i bywały

w innym środowisku. To był inny pokój. My tam nie mogliśmy bywać. Wszystkie obiady, spotkania i inne rzeczy – Seidler i Falkowska obie miały dostęp.

Maria Osiadacz z „Prawa i Życia” się denerwowała, że im dają cenniejsze dokumenty, a jej nie.

Ja z Osiadacz dobrze żyłam. Jak wracałyśmy do Warszawy, to po mnie mąż przyjeżdżał samochodem. I ją czasem podwoziłam do domu. To nieraz mi powiedziała, co zdobyła.

Wśród młodych dziennikarzy był Tadek Wielgolawski. On jako jedyny był blisko z Grubą. Bardzo się z tym afiszował. Dla niego to był sukces.

Potem napisał książkę. Gruba rządził milicją, ale był sympatyczny, zawsze uśmiechnięty. Był jedynym facetem, któremu żona przynosiła na proces kartofelki w garnkach. Cały obiad.

Dzielił się, czasem częstował. My jadaliśmy w bufecie, który prowadziła pani Lusja. Jak się nie było na rozprawie, wystarczyło ją zapytać. Ona wiedziała wszystko. [...]

Do akt wszyscy mieli dostęp.

Wystarczyła legitymacja dziennikarska i Ochman dawał zgodę. Można było czytać, robić notatki. Praktycznie wszystko, nawet opinie biegłych. [...]

Na procesie działy się różne rzeczy. Jak w teatrze.

Kobiety, które rozpoznawały Wampira, mdlały na sali.

Przychodziło dużo rodzin tych pomordowanych.

Pamiętam jakąś matkę, która tak strasznie płakała.

Zawsze na czarno przychodziła. Nie umiem powiedzieć, czy była na wszystkich sprawach, ale często. Ten płacz zapamiętałam. Jak ona szlochała!

Drwiny i śmiech budziły wystąpienia Jasia.

On potrafił rozbawić publiczność.

Ni stąd, ni zowąd wyciągał jakiegoś pana, że ten pan nie powinien uczestniczyć, bo zna świadka, który ma zeznawać. Wybuchał śmiech i Ochman musiał uciszać ludzi.

[...] Zdzisław był wyciszony. Jedyny z tej rodziny zupełnie wycofany. On miał charakterystyczną rzecz, oczopląs.

Jak się siedziało naprzeciwko niego, to robiło szokujące wrażenie. Jednooki facet z białkiem. Siedział blisko dziennikarzy i czasem można go było o coś zapytać. Nie pamiętam, czy to jest w tych artykułach, bo po tylu latach nie potrafię już powiedzieć, co napisałam, a co mi cenzura zdjęła. Zapytałam go, czy taką kobietę jak ja by zaatakował.

Ja miałam dwadzieścia kilka lat, a trzeba pamiętać, że zaatakował siedemnastoletnią bratanicę Gierka.

I dlatego ten proces musiał być taki przykładowy. On mi powiedział wtedy, że paniusia go nie obchodzi. To musi być w chustce, prosta. A ja jestem paniusia.

Paniusia inaczej wyglądała niż kobiety ze Śląska.

Moim zdaniem zabił sąsiadkę. Tę Annę. To był mściwy, prymitywny facet. Cała rodzina Marchwickich to była patologia. Poza Jankiem.

Janek był bystry, wykształcony, cytował literaturę. Ale jego wszyscy nienawidzili, bo nikt nie wiedział, co powie i co komu wyciągnie.

Od dziecka był wychowywany w jednym kierunku, seksualnym. Został wykorzystany i nie mógł sobie już życia ułożyć. Teraz to mamy inne spojrzenie, bo homoseksualiści się ujawniają. Wtedy to był szok, jak on mówił, ten pan z tym panem, ten z tym. Potrafił wstać i powiedzieć: „Wysoki Sądzie, ten pan, który siedzi w trzecim rzędzie po lewej i ma szaliczek w kwiatki, to jest znany homoseksualista, pracuje tu i tu, jest kochankiem tego i tego”. Wyliczał homoseksualistów z KC czy z KW. Sąd mu przerywał, ale to nie pomagało. Był w tym środowisku i znał ich wszystkich.

Pokazywali wnętrze jego mieszkania.

Na ścianie wielkie genitalia męskie.

Poza tym Janek to była szuja, która się buntowała przeciwko innym. On miał z Kucianką na pieńku. Mógł ją nadać, ale jakoś nie mogę do niego przypisać żadnej zbrodni. Heniek niewiele mówił.

Był jak niemowa, chciał pomóc bratu Jasiowi. No i siostra [Halina]. Jak ją zeźlili i zaczynała kłać, to było pięć minut na jednym oddechu. Kurczę, jak ona kłęła, artystycznie. [...] Dla mnie, dla młodej dziewczyny, to było szokujące, że oni nie znali nawet podstawowego słownictwa. Prokurator pyta, czy odbył z kimś tam stosunek.

Nie. A czy kochał się z nią? Nie. Aż w końcu zapytał: czy ją pieprzyłeś?

I wtedy padła odpowiedź tak. To byli tego typu ludzie. Tak prymitywni, że trudno to sobie wyobrazić. [...] Pamiętam, rozmawiałam z doktorem Różyckim.

Bardzo sympatyczny starszy pan. Powiedziałam mu, że nie mogę zrozumieć, bo ta rodzina jest patologiczna i nie rozpoznaje czynów. Coś, co dla nas było przestępstwem, dla nich to była norma. I on mi wtedy między wierszami powiedział, że nie ma pewności, czy oni mogą odpowiadać. Zawsze uważałam, że na Zdzisława wyrok wydali psychiatrzy. Moim zdaniem z tego, co obserwowałam, to nie był normalny człowiek. A Jasio dostał czapę, bo wszyscy go mieli dość²⁷.

Nie każdy dziennikarz miał szczęście relacjonować proces na bieżąco. Wielu otrzymało przepustki i przychodziło niemal na każdą rozprawę, a jednak nie wydrukowali ani słowa. Jednym z nich był Andrzej Gass z tygodnika „Kultura”.

Mimo wieku wciąż jest aktywny zawodowo i chętnie dzieli się wspomnieniami.

Wielu nas jeździło z Warszawy.

Dziennikarze, prokuratorzy, biegli.

Zawsze jednym pociągami. Można było porozmawiać z psychiatrą, o coś wypytać. Oni mówili chętnie, bo wiedzieli, że i tak cenzura wszystko sprawdzi. Tylko Gurgul z nikim nie rozmawiał. Prawie z nikim. Zawsze siedział w przedziale z Osiadacz i Seidler.

U sędziego Ochmana byłem dwa razy. W sądzie w jego gabinecie. I za każdym

razem rozmowa rozpoczynała się od tego, że wyciągał koniak i proponował kieliszek. To się czuło, że on szuka okazji. Wymówki przed samym sobą, aby się napić. Ja odmawiałem, bo w pracy. On sobie nalewał. Ale z tych rozmów nic nie wynikało. Nie wiem, dlaczego zgadzał się ze mną spotkać, skoro wiedział, że ja i tak niczego nie napiszę. Musiał o tym wiedzieć.

Pierwszy raz pojechałem do Katowic na trzy dni przed konferencją prasową [konferencja odbyła się 28.03.1972 r. – przypis P.S.].

Wiedziałem już, o co chodzi, i chciałem pokręcić się po mieście, by zebrać trochę materiału. Jeździliśmy razem z Jerzym Kamienieckim. Jurek był korespondentem PAP-u, w trakcie procesu pisał relacje w śląskich dziennikach.

Znaleźliśmy dom Marchwickich. Choć trudno to było nazwać domem. W każdym razie nie w dzisiejszym znaczeniu. To raczej barak. Ledwie dwie izby, bieda, ubóstwo, błoto, jakieś wałęsające się psy. To zupełnie nie pasowało do bogatego, pięknego i czystego Zagłębia. Bo taki obraz Zagłębia kreowaliśmy w prasie. [...] To, co nam pokazano na konferencji, było bardzo przekonujące.

Pamiętam, że jeden z dziennikarzy zadał pytanie o samobójstwo w Sosnowcu. O człowieka, który zabił żonę i dwójkę dzieci, a później podpalił dom i sam zginął w płomieniach. „Ulica mówiła”, że ponoć to on był Wampirem. Słyszałem o tym, bo w Katowicach przez te kilka dni mieszkalem u wujka. Co prawda, był dziennikarzem w „Przeglądzie Sportowym”, ale to i owo wiedział.

Zaraz po przyjeździe powiedziałem mu, że dostałem zaproszenie do komendy na konferencję w sprawie Wampira. Był zdziwiony i wtedy mi opowiedział o tym samobójcy, że niby to on miał być Wampirem. W każdym razie Gruba się wściekł, jak o tym usłyszał, i szybko zmienił temat. Mówił o czarnej wóldze, którą Marchwiccy mieli śledzić Kuciankę. Szukaliśmy z Kamienieckim tej taksówki. Jeździliśmy po postojach, pytaliśmy.

W Katowicach było jednaście takich taksówek.

Ale taksówkarze o niczym nie słyszeli. Byli nawet zaskoczeni. [...] Po konferencji napisaliśmy z Kamienieckim tekst do „Kultury”.

Pierwsza część była gotowa, nawet już były próbne wydruki szpalt. My poprawialiśmy drugi odcinek, wybieraliśmy zdjęcia. Wśród nich zgruchotana czaszka Kucianki, ten domek Marchwickich. I wtedy przyszła wiadomość z cenzury, że tekst jest wstrzymany. Naczelnym „Kultury” był [Roman] Bratny. Natychmiast pojechał do komitetu i tam usłyszał, że to nie jest temat dla naszego tygodnika.

Zapytałem go, co robimy. Powiedział: „Czekamy”. Mieliśmy nadzieję, że tekst uda się puścić tuż przed procesem. Ale się nie udało. Mimo to jeździłem do Katowic, bo ustaliliśmy na kolegium redakcyjnym, że trzeba to obserwować.

Mieliśmy nadzieję, że w końcu coś nam pozwolą napisać.

Nie pozwolili.

O Wampirze napisałem dopiero po 1989 roku. Mam oba te artykuły wstrzymane

wtedy przez cenzurę. Tyle lat przeleżały. Proszę je wykorzystać²⁸.

Reportaż zatytułowany ON jest dość długi. Nie ma w nim właściwie nic, co mogło spowodować ingerencję cenzury.

Wręcz przeciwnie. Pierwsza część idealnie wpisywała się w powielaną z uporem wersję wydarzeń. Strach paraliżujący ludzi, przebiegły przestępca, milicja pracująca bez wytchnienia. Tylko jedno zdanie budziło wątpliwości. O taksówce, z której śledzono ofiarę. Taksówce, którą milicja powinna była bez trudu odnaleźć.

Ale nie odnalazła, sprawę uznano wkrótce za mało istotną z punktu widzenia materiału dowodowego.

Dopiero druga część reportażu zawierała informacje nieznanne czytelnikom spoza Zagłębia i Śląska. Ten tekst nie był jednakże przygotowany do druku. To pełen przekreśleń maszynopis, który nie trafił nawet na biurko cenzora.

Andrzej Gass wspominał w rozmowie o samobójcy z Sosnowca.

Jest przekonany, że to on był prawdziwym Wampirem. Ten wątek podczas procesu przeszedł niemal niezauważony. Pojawił się dopiero w skargach apelacyjnych i w odpowiedzi prokuratora Gurgula.

Wszystko zaczęło się od krótkiej notki zamieszczonej w tygodniku „Wiadomości Zagłębia”.

OSIEM OFIAR dwóch tragedii

Tragicznym zbiegiem okoliczności, w ubiegłym tygodniu miały miejsce w Sosnowcu dwa wstrząsające wydarzenia, które głęboko poruszyły miejscową opinię publiczną. Pierwszy z nich to śmiertelne zatrucie się czadem czterech mężczyzn w wieku 25–26 lat, pracowników P.P. „Warzywa-Owoce”.

Wypadek zdarzył się w dniu 13 marca br. w mieszkaniu przy ul. 1 Maja 42a.

Jak wykazało wstępne dochodzenie – cała czwórka spożyła przed śmiercią znaczną ilość alkoholu.

Czad wydobywał się z pokojowego pieca.

Drugi wypadek miał miejsce w niedzielę, 15 marca, przy ul. Odrodzenia 8, w willi 42-letniego Piotra Olszowego. Wczesnym rankiem, około godziny 6 zauważono kłęby dymu wydobywające się z okien domu.

Wezwana straż pożarna podjęła natychmiastową akcję, w trakcie której natrafiono w jednym z pokoi na zwłoki 4 osób. Okazało się, że były to nadwęglone już ciała właściciela willi, jego 31-letniej żony Anity oraz ich dwojga dzieci w wieku 8 i 11 lat.

Stwierdzono także, iż materiałem podsycającym pożar była benzyna.

Energiczne śledztwo w sprawie ustalenia bliższych okoliczności owej tragedii rodzinnej prowadzi Prokuratura Wojewódzka wspólnie z Komendą Wojewódzką MO.

O szczegółach wydarzenia przy ulicy Odrodzenia postaramy się wkrótce poinformować naszych Czytelników. (zw)²⁹ Nic więcej jednak nie napisano, co jeszcze bardziej podsyciło plotki i domysły.

Pewnie dlatego do dziś częste jest przekonanie, że to Piotr Olszowy był

prawdziwym Wampirem. Choć nie ma na to żadnych dowodów, nie można tego wykluczyć.

Argumentem potwierdzającym taką hipotezę miały być „anonimy tarnogórskie”. Doktor Brussel twierdził, że były autentyczne i że napisał je morderca. Ale prokurator Gurgul wykazał bezsprzecznie, że nie mógł ich napisać Olszowy. Świadczą o tym stemple datownika na kopertach.

Pierwszy list wysłano 11 marca, a więc kilka dni po zamordowaniu Jadwigi Kuci, a przed rozszerzonym samobójstwem (obejmującym zamordowanie innych członków rodziny) dokonany przez Olszowego. Za to drugi został nadany 4 kwietnia, gdy Olszowy już nie żył. Zatem był to tylko zbieg okoliczności?

Gdyby przyjąć, że anonimy były autentyczne i że Wampir rzeczywiście popełnił samobójstwo, milicja bez trudu powinna ustalić jego personalia. Poza tym w aktach sądowych znajduje się oryginał tylko pierwszego listu.

Drugi to fotokopia.

Odbitka fotograficzna uniemożliwia stwierdzenie, czy stempel datownika jest autentyczny. W tej sytuacji trudno ufać ekspertyzie wykonanej w Zakładzie Kryminalistyki.

Cień na sprawę Olszowego rzuca także relacja Stefana Tokarza, jednego z oficerów grupy „Anna”. Był jednym z „niewierzących” – do samego końca uważał, że Zdzisław Marchwicki był niewinnym człowiekiem.

Ja wtedy miałem dyżur i jako pierwszy z oficerów byłem na miejscu pożaru. Strasznie to wyglądało. Te dzieci zamordował na parterze, jedno w łazience. A żona i on na piętrze.

Siebie cztery razy pchnął nożem w klatkę piersiową. Wcześniej wszystko polał benzyną i podpalił. Oględziny trwały tydzień. Potem było śledztwo.

Okazało się, że w dniu morderstwa Kucianki Olszowy był w Katowicach na ulicy Gliwickiej na imieninach. To było dwa kilometry od lasu Bytkowskiego.

Świadkowie zeznali, że mniej więcej o tej porze, gdy doszło do morderstwa, zniknął na dwie godziny.

Miał samochód, mógł się łatwo przemieszczać. I to on pasował do opisu Brussela. To miał być taki typ, co używa brylantyny do włosów. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego sprawę zamknęto³⁰.

Gurgul znał ekspertyzę Zakładu Kryminalistyki i wiedział, że data nadania drugiego listu wykluczała Olszowego z grona podejrzanych. Dlatego próbował przypisać autorstwo anonimów komuś z otoczenia Jana Marchwickiego, choć wiedział, że ten nie miał z nimi nic wspólnego. Dowodziła tego analiza językowa wykonana przez doktora Kornaszewskiego. Wynikało z niej, że listy nie mogły zostać podyktowane innej osobie, bo w charakterze pisma widać było emocje piszącego. A emocji nie da się podyktować. Ktoś piszący pod dyktando, chcąc nie chcąc, stara się panować nad pismem. Planuje, jak rozmieścić treść na stronie. Nie wie, ile miejsca potrzebuje do

zawarcia myśli, i dlatego pisze ostrożnie. Tymczasem oba listy były pisane dość ekspresyjnie. Autor pisał je bez namysłu, pozostawiając mnóstwo śladów wskazujących na odruchy w pisaniu.

Stefan Tokarz ujawnia też wiele innych szczegółów ze śledztwa.

W tej rodzinie wiele było nieprawidłowości, ale za to się nie wiesz. Zdzisława pogrążyła żona.

Powiedziała któremuś z milicjantów: „Wy szukacie, a to mój mąż jest Wampirem”. Ten posterunkowy napisał notatkę, która trafiła wyżej. Ale jemu zabrano zaszczyt, że to on pierwszy znalazł informację.

Żonę Marchwickiego przesłuchiwali Zbyszek Iwańczuk i Adam Siewierski. I Zbyszek pyta: „To niech pani powie, jak on się znęcał?”. A ona: „Co on się znęcał?”

Panie poruczniku, jak A. go trzymał za łeb, a ja przywalałam patelnią w tyłek, to on się zesrał”. Zbyszek na to: „To tak mamy napisać?”. A ona: „Nie, niech pan pisze tak, jak wcześniej mówiłam, a jak nie, to pójdę do Gruby”. [...] W filmie pokazano, że w chwili aresztowania on powiedział: „Nareszcie”. To nieprawda.

Był zaskoczony i powiedział mniej więcej: „Tylu ludzi po mnie, jakbyście przynajmniej wampira aresztowali”.

Dowody dopasowywano do okoliczności. Na przykład pejcz. Pejcz został znaleziony u ojca. Józef był stróżem i używał go do opędzania się od psów.

Pejcz przynieśli z przeszukania i rzucili razem z innymi rzeczami. Dopiero po roku nagle się okazało, że tym pejczem mordowano.

A ja pamiętam, jak u pułkownika Kalisza podpułkownik Stelmach mówił, że ten pejcz nie jest narzędziem zbrodni. Nie nadawał się, bo był giętki.

Tym się nie dało zadać takich obrażeń.

W Krakowie w Zakładzie Medycyny Sądowej stwierdzili co innego. Ale tam nie badali pejcza. Badali zdjęcia.

Porównywali zdjęcie czaszki ze zdjęciem pejcza. I wyszło jakieś podobieństwo. Zresztą nie było na nim ani odcisków palców Zdzisława, ani śladów krwi ofiar. [...]

Jeszcze w czasie śledztwa któregoś wieczoru w Sosnowcu [w komendzie – przypis P.S.] był Gruba, Zbyszek Gątarz i ja. I chyba ktoś jeszcze.

Wyciągnęliśmy wódkę. Wypiliśmy po parę kieliszków. Tam się czasami popijało. O czym było rozmawiać? Jak zwykle o Wampirku. I w pewnym momencie ja mówię, że to dobrze, że jest ktoś, kto ma inne zdanie. I wątpi w winę Zdzisława. Myśli tak jak adwokaci. Na to Gruba do mnie nagle: „Cóż ty myślisz, że ja nie mam wątpliwości”. Chyba pierwszy raz się tak pokazał, on był człowiekiem bezwzględny. Raz przesłuchaliśmy Jana i akurat Gruba przyszedł. I coś zahaczył o sprawy intymne. Jan zerwał się z krzesła i mówi do Gruby: „Ty nie jesteś wart, komuchu, aby ci w geny napluć”.

Gruba wywodził się zbezpieki. Kiedy rozwiązano UB, to przeszedł do milicji. Na początku do ZOMO. Ambitny był. Otwarcie mówił, że chce zostać ministrem spraw

wewnętrznych.

Zrobił doktorat u Hanauska, jednego z biegłych. Ale te wątpliwości mu nie przeszkadzały, aby wysłać Marchwickiego na szubienicę.

Ja musiałem odejść. Tak samo jak Gątarz, Kalisz, Iwańczuk. [...]

Pamiętnik też jest sfałszowany. To jest nawet język milicyjny, przybyłem, oddaliłem się, popełniłem. Zdzisław tak nie mówił, był bardzo prostym człowiekiem, miał kilka klas. Poszliśmy kiedyś z Adasiem Siewierskim do więzienia. To było chyba na trzy, może cztery tygodnie przed egzekucją. Gruba powiedział, że on jest załamany. Mówi: „Napiszcie, protokół on podpisze, a potem, jak go powieszają, to prokurator sprawę umorzy, będziemy mieli wykryte sprawy”.

Ja nawet nie brałem protokołu ze sobą. Poczęstowałem go papierosem. Wziął, ale nie zapalił, odłożył. My go pytamy o jakieś morderstwa, a on na wszystko odpowiada „tak”.

Wszystko potwierdzał. To była akurat pora posiłku i było słyhać, jak kalifaktorzy obiad roznoszą. I stukali pokrywkami od garnków. I ja go w pewnym momencie pytam: „Czym zabiłeś tę kobietę?”. A on na to: „Jedzeniem”.

Zupełnie nie wiedział, co do niego mówimy. Był w stanie potwierdzić wszystko. Na egzekucję nie poszedłem, bo byłem przekonany, że ten człowiek był niewinny. Poszedł Gruba i [generał Benedykt] Cader. Tomaszek mi opowiadał, bo jemu kazali przyjść i robić maski pośmiertne. Jan podobno powiedział, że przebacza wszystkim. I temu współczesnemu Neronowi również. Miał na myśli Grubę. [...] To nie jest prawda, że Gierek się tym specjalnie interesował. Ale milicja się podłożyła Gierkowi, bo jak zameldowano, że Wampir złapany, to już się nie można było wycofać.

Wiem, że akta, które wysłano do Warszawy do Sądu Najwyższego, wróciły do Katowic nierozpakowane.

To dowód, że Sąd Najwyższy tylko przyklepał wyrok Sądu Wojewódzkiego.

I nie było też żadnego komputera.

Tam były dwa pokoje akt. Jakies czterdzieści tysięcy teczek osobowych.

Potem to wszystko poszło do zmielenia.

Gdyby jakiś komputer mógł wytypować sprawcę, to dzisiaj nie mielibyśmy przestępstw. To była bajka na potrzeby propagandy. Gazety o tym pisały, aby ludzie wierzyli, że jak milicja chce, to każdego znajdzie³¹.

Rzeczywiście, dziennikarze pisali to, co chciała milicja. Jedną z takich oficjalnych, propagandowych wersji był omawiany już tekst A propos Wampira Wandy Falkowskiej wydrukowany w tygodniku „Polityka”. Kilka lat później Andrzej Gass zapytał Falkowską o ten reportaż. Miała odpowiedzieć, że wstydzi się tego, co napisała.

Ale i dzisiaj wśród dziennikarzy można znaleźć osoby przekonane, że Zdzisław Marchwicki był Wampirem.

Jedną z nich jest Barbara Seidler. Za sprawą ekskluzywnego wywiadu ze Zdzisławem Marchwickim dostarczyła czytelnikom najmocniejszych wrażeń. Na

podstawie fragmentów akt i zeznań świadków stworzyła sugestywny portret potwora znęcającego się nad żoną i dziećmi, uprawiającego sodomie i wynaturzone praktyki seksualne. Nie pozostawiła czytelnikom żadnych wątpliwości, z kim mają do czynienia.

Czytając jej reportaże, trudno nie współczuć Żonie, której udało się uciec z „przyjacielem”. Ani słowa o charakterze tej przyjaźni, ani słowa o charakterze samej Żony. Barbara Seidler знаła akta procesowe. Chętniej cytowała protokoły niż autentyczne wypowiedzi Marchwickiego, a i to nie za każdym razem. Jego dialog z sędzią Ochmanem, „przyznanie się”, trwał ponad pół godziny. Spisano go aż na pięciu stronach protokołu. Tak, przyznaję się do winy.

Jestem wielkim mordercą. Nie wiem ile kobiet zabiłem, może 20, może 26, nie pamiętam, nie liczyłem. Ponoszę wielką winę. Narobiłem wiele krzywdy. Trudno te pięć zdań uznać za wierną relację.

Podobnie Seidler postąpiła z ostatnim słowem oskarżonego, skracając pięć stron do jednego zdania.

Reportaże Barbary Seidler ukazały się także w wersji książkowej³².

Dziennikarka przytoczyła w niej list, który Zdzisław Marchwicki miał wysłać do Sądu Najwyższego przed przesłuchaniem dotyczącym pamiętnika.

Nie jest jasne, w jaki sposób do niego dotarła, bo listu nie ma w aktach Sądu Najwyższego.

Jedyny egzemplarz znajduje się w aktach Instytutu Pamięci Narodowej, co pozwala przypuszczać, że Barbara Seidler miała dostęp do poufnych dokumentów milicji. To nie dziwi, bo sama przyznawała wielokrotnie, że rozmawiała z pułkownikiem Grubą.

Reporterka wspomniała też o liście, który Zdzisław Marchwicki napisał z więzienia do córki D. Przez przeoczenie strażników list został wysłany, ale ponieważ korespondencja Marchwickich znajdowała się pod stałym nadzorem, Służba Bezpieczeństwa przejęła go na poczcie w Sosnowcu. Tak jak wszystkie inne przesyłki, stał się dowodem włączonym do akt. Córka Marchwickiego nigdy go nie przeczytała. Nie przeczytali go także czytelnicy „Życia Literackiego”, bo jak pisała Seidler, zostawmy coś człowiekowi na własność, nawet jeśli jest wielkim mordercą. Po tym jak ze szczegółami opisała życie Wampira i jego rodziny, to usprawiedliwienie brzmiało dość kuriozalnie. Ten list, tak jak wiele innych przemilczanych dokumentów z akt sądowych, zwyczajnie nie pasował do obrazu mordercy i seksualnego zwyrodnialca zmalowanego na potrzeby propagandy.

Co ciekawe, w uzasadnieniu prośby o widzenie ze Zdzisławem Marchwickim z 2 czerwca 1976 roku Seidler wspomniała, że na zlecenie wydawnictwa Czytelnik napisała książkę i wspólnie z reżyserem Jerzym Hoffmanem przygotowała scenariusz filmu dla zespołu „Silesia”.

Konsultantami mieli być prokurator Gurgul i pułkownik Gruba.

Książka nigdy się nie ukazała, a film zrealizowano na podstawie powieści Tadeusza Wielgoławskiego.

W rozmowie telefonicznej Barbara Seidler wyjaśnia, że scenariusz pisała z Michałem Komarem – na pewno nie z Jerzym Hoffmanem i nie dla niego.

Michał Komar potwierdza, że pisał scenariusz z Barbarą Seidler – dla Jerzego Hoffmana. Według Seidler scenariusz został przyjęty, zaakceptowany, opłacony, a filmu nie zrealizowano, bo zespół „Silesia” przestał istnieć. Tyle że zanim to się stało (w roku 1983), „Silesia” zrealizowała Annę i Wampira, a scenariusz Wielgoławskiego i Kidawy musiał zaakceptować kierownik literacki zespołu. Od 1979 był nim Michał Komar.

Tajemnicę scenariusza mógłby rozwiązać Jerzy Hoffman. Niestety – nie odpowiada.

Niezamierzonym komentarzem do roli dziennikarzy w relacjonowaniu procesu Marchwickiego jest sprostowanie poprzedzające drugą część reportażu Seidler z 3 października 1976 roku³³.

W prawym górnym rogu szpalty wytłuszczonym drukiem: W redakcyjnej główce do artykułu B. Seidler pt. „W tych dniach ostateczny wyrok...” zakradł się błąd: stwierdzenie, iż Sąd Najwyższy zatwierdzi wyrok Sądu I Instancji, winno brzmieć: Sąd Najwyższy wyda wyrok w procesie rewizyjnym Zdzisława Marchwickiego i innych. Za co Sąd Najwyższy i Autorkę przepraszamy.

²⁶ [Elżbieta Cierlica, Jarosław Rulski, 550 świadków, „W Służbie Narodu” z 29 czerwca 1975 roku.](#)

²⁷ [Rozmowa telefoniczna z Elżbietą Cierlicą, grudzień 2014 roku.](#)

²⁸ [Rozmowa z Andrzejem Gassesem, grudzień 2014 roku.](#)

²⁹ [Osiem ofiar dwóch tragedii, „Wiadomości Zagłębia” z 20 marca 1970 roku.](#)

³⁰ [Rozmowa telefoniczna ze Stefanem Tokarzem, grudzień 2014 roku.](#)

³¹ [Tamże.](#)

³² [Barbara Seidler, Ludzie i paragrafy, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1988.](#)

³³ [Barbara Seidler, Rozmowa w celi, „Życie Literackie” z 3 października 1976 roku.](#)

WAMPIR ZNIKA WE MGLE

Nie było podstaw do jej wniesienia [kasacji – przyp. P.S.], ale sugerowałem rodzinie o staranie się o wznowienie postępowania. Myślę, że ilość wątpliwości, która się budzi na tle tego procesu, jest bardzo istotna. Nie wiem, czy nie było tutaj pomyłki sądowej³⁴.

28 marca 1990 roku Program Trzeci Polskiego Radia wyemitował słuchowisko radiowe Ewy Szałkowskiej zatytułowane Zdzisław Marchwicki, wampir Zagłębia³⁵. Po raz pierwszy zaprezentowano publicznie obszerne fragmenty pamiętnika. W roli Wampira czytającego wspomnienia wystąpił Roman Kłosowski, znany z roli Maliniaka w telewizyjnym serialu Czterdziestolatek. Między szokujące wyznania wmontowano scenki z okresu śledztwa.

Wcielający się w role milicjantów aktorzy prowadzili narady, zastanawiając się, jak schwytać mordercę kobiet. Ten zabieg tworzył niezwykle realistyczną atmosferę. Słuchacze mogli odnieść wrażenie, że to autentyczne nagrania.

Niedługo po emisji słuchowiska w kioskach pojawiła się cienka, niespełna pięćdziesięciostronicowa broszurka, wydana na gazetowym papierze przez Biblioteczkę Kobry. Obrazek na okładce przedstawiał wykrzywioną twarz mężczyzny i ładną długowłosą kobietę w bikini. Tytuł: Wampir wychodzi z mgły, autor: Barbara Seidler.

Zadymiony pokój w komendzie.

Otwarte okna. Żar. Długi stół pod ścianą, na nim syfony, popielniczki pełne niedopałków, otwarte okna. Przy stole oficerowie milicji: Ryba, Zweben, Wolski, między biurkiem, na którym pełno telefonów, a oknem, chodzi tam i z powrotem komendant wojewódzki – Mader.

Oficerowie przy stole przeglądają zdjęcia, zaglądają do papierów i akt, do notatek, map. Coś mierzą na szkicach, przykładają cyrkiel, zakreślają koła na mapach. Są w koszulach, krawaty wiszą pod odpiętymi kołnierzykami. Na ścianie olbrzymia mapa Śląska i Zagłębia. Stoi przy niej oficer. Na mapie wyraźnie wypisane nazwy miast: Katowice, Będzin, Czeladź, Sosnowiec. Jeden z oficerów wpina w mapę małą chorągiewkę. Jest to już piąta. Obok mapy wisi tablica, a na niej powiększona fotografia kobiet. Widać wyraźnie, że prezentują różne typy urody i są w różnym wieku. Pod zdjęciami podpisy: imię, nazwisko, wiek: od 16 do 50 lat. Za stołem wśród siedzących milicjantów jedna kobieta.

Również w mundurze, z dystynkcjami podporucznika³⁶. Czytelnicy doskonale wiedzieli, czyja historia zainspirowała Barbarę Seidler.

Analogii nasuwało się mnóstwo. Znów pojawiły się cechy osobowe i karty perforowane. Sposób, w jaki major Jerzy Ryba opisywał poszukiwanego Wampira, był kalką wyjętą z protokołów grupy operacyjnej „Anna”.

To ostatnia publikacja lansująca oficjalną dotąd wersję wydarzeń. Upadek socjalizmu, powołanie policji zamiast Milicji Obywatelskiej, likwidacja cenzury – wszystko to sprawiło, że odezwały się pierwsze głosy podważające wyrok.

W śląskim tygodniku „Tak i Nie” ukazał się cykl artykułów Zenona Borkowskiego pod wspólnym tytułem Hurtnik zbrodni³⁷. To określenie z końcowego wystąpienia prokuratora Józefa Gurgula.

Ale w piątym odcinku autor dodał w tytule znak zapytania.

Przez jedenaście miesięcy procesu Borkowski siedział zaledwie metr od Zdzisława Marchwickiego. Z czasem zrodziła się między nimi pewna więź.

Rodzaj znajomości, jak między ludźmi, którzy nie rozmawiają ze sobą, ale codziennie widzą się w drodze do pracy.

Zajmując swoje miejsce, Marchwicki kiwał głową na powitanie. Borkowski odwzajemniał uprzejmość.

Słuchał, obserwował i notował. Ale niczego nie publikował. Był jednym z dziennikarzy, którzy stanowili element dekoracji. Ich obecność miała być dowodem otwartości władz, które w ten sposób mówiły: nie mamy nic do ukrycia. Pozwalały im nawet nagrywać na własnych magnetofonach.

Relacja Zenona Borkowskiego stała się cennym źródłem informacji i pokazała proces z nieznanej strony. Jej kontynuacją były dwa teksty Beaty Rusek, opublikowane w tym samym tygodniku.

Pierwszy nosił tytuł Ja tego nie zrobiłem..., a drugi Ja tego nie zrobiłem!³⁸

W 1993 roku Wampirem zainteresowała się Grażyna Starzak, dziennikarka krakowskiego „Dziennika Polskiego”. Udało jej się dotrzeć do niemal wszystkich osób związanych ze sprawą Marchwickiego. Wśród nich był także Wiesław Tomaszek, jeden z milicjantów z grupy „Anna”. Przed wykonaniem wyroku Tomaszek pożyczył Zdzisławowi Marchwickiemu książkę Kryptonim Anna. Szesnaście lat później ten sam egzemplarz chciał dać do przeczytania Grażynie Starzak. Gdy zdjął obwolotę, okazało się, że na okładce znajduje się odręczny zapisek: „To kłamstwo Marchwicki”.

Wynikiem dziennikarskiego śledztwa Grażyny Starzak była książka Powrót wampira. Zdzisław Marchwicki 20 lat później: morderca czy ofiara?³⁹

W 1996 roku w dzienniku „Kulisy Express Wieczorny” ukazało się kilka artykułów Gabrieli Łękiej. Ona także podważała winę Zdzisława Marchwickiego i obnażała słabość dowodów.

Mimo to wiele osób wciąż uważa, że Zdzisław Marchwicki był Wampirem z Zagłębia. Jest o tym przekonany Michał Komar, który na potwierdzenie wspomina o przemilczanym udziale w śledztwie specjalistów z Japonii. Mieli oni rzekomo wystąpić w roli konsultantów i po zbadaniu akt orzec, że Zdzisław Marchwicki był sprawcą morderstw. Tyle że w archiwach nie ma ani jednego dokumentu, który potwierdzałby taką informację. Trudno też sobie wyobrazić, by komunistyczne władze prosiły Japończyków o pomoc. Nie tylko z powodu bariery językowej, ale także –

kulturowej.

Już raport Brusselsa krytykowano z tego powodu.

Amerykański biegły miał bowiem twierdzić, że dowodem na homoseksualizm sprawcy jest użycie w „anonimach tarnogórskich” zwrotu, by milicja pocałowała go w dupę. Tylko czy ta pomyłka może podważyć całą ekspertyzę? Mało prawdopodobne. Do dzisiaj Brussel uznawany jest za ojca metody profilowania psychologicznego.



Będę mówić tylko o swojej krzywdzie i o swoim mężu, który tak okrutnie został zamordowany, brutalnie tak zabili i nigdzie nie mogę sprawiedliwości dostać. Od tych słów Żony zaczął się reportaż Anny Sekudewicz i Krystyny Bochenek *Mój mąż Zdzisiek*, który powstał w lipcu 1993 roku dla Polskiego Radia Katowice⁴⁰.

– Kochała pani Zdzisława?

– Szczerze powiedzieć tak z serca, nie, ani pochwałe się brudem, że ja se pozwoliłam dzieci zrobić, więc musiałam tym dzieciom ojca czumać.

– A on panią kochał?

– Nad życie. Nad życie mnie kochał, ale szczerze mówiąc, jako kobieta, niech nie słyszą moje dzieci, oni o tym wiedzą, że ja męża nie kochałam, bo on był do mnie, no... niemrawa. Wie to pani, jak po śląsku, niemrawa? Taki dupek, dzieś go posadził, tam był. O, Mysiu, Mysiu, ja ci kupiłam czekolade, a ty ode mnie uciekasz – bo mąż do mnie inaczej nie mówił. (...), tylko Mysiu. To było jego takie... już wiedziałam, co on w tym imieniu chce.

On nawet pani nie potrafił pedzieć, choć tam, do mnie, do łóżka, Mysiu, jo ci kupiłam czekolade. To już dzień naprzód ją chował w szufladzie, żeby mnie zawiadomić. Kto widział nad ranem tyle roboty, a on mi tam przypomino: Mysiu, Mysiu, Mysiu. No, jak kobieta chce, to da, a jak nie chce, to nie da. Ale mojego chopka się nie bołam, bo on kajtuś był. Zdzisiu był kajtuś, jo się go nie bołam, no a każda kobieta taka gieroj, sto dwadzieścia pięć kilo, to poczebuje chłopa. Chłopa!

Dalsza część reportażu była monologiem Żony, przeplatany materiałami z procesu: zapisem przesłuchiwania Zdzisława przez sędziego Ochmana lub odczytywanym przez prokuratora Gurgula aktem oskarżenia.

Na świadka mnie wezwali po aresztowaniu męża do Sosnowca. To był pierwszy, pierwszy raz do Sosnowca.

Tam wchodzę, proszę paniom, na te prawdomówność, na ten aparat mnie posadzili. Takie lampy takie, to ja godom: „No i co pan chce ode mnie wiedzieć?”. „Jakie pani ma myśli? Niech pani wszystkie tu opowie, bo my paniom rejestrujemy”. A jo mu mówię wtedy „Ale co jo mom pedzieć?

Jo mom myśli dużo”. „O Zdzišku pani będzie godoła”. Jo godom: „Jo o Zdzišku? Co mom pedzieć? Że mężem moim spokojnym, godom, malutki Klaus”. No bo to różnie powiedziałam.

I Klaus, i teraz Kulfon. A on godo: „Do jasnej cholery, niech pani powie, że

zamordował Gierkówne!”. Jo stałam, a tam milicjantka była, mówi mi „Kurwo, gadaj! Nie? Kurwo, gadaj!”.

Ja mówię: „Coś ty powiedziała?”.

„Kurwo, gadaj, bo cie do naga sebleke!” Tak ja ją pani za kudły i po tym całym tym, waliłam po tym aparaturze, po łebie. On mi godo: „Koledzy, zatrzymać jom, bo to jest historyczka! Stać tu, bo zamkne!”.

Godom: „Tu w tyłek mnie ugryź”, i zabrałam się i poszłam. Tyle było w Sosnowcu mojego przesłuchania.

Z relacji Żony wynikało, że Zdzisław, człowiek nieporadny życiowo, został kozłem ofiarnym.

Była wycieczka, ze szkoły, moje dzieciaczki przyszykowane z jedzeniem, ze wszystkim, kurczaki popieczone, owoc. A derektorka szkoły wyszła.

„Pani dzieci są po zboczonej rodzinie i nie mogą nigdzie jechać wśród dzieci”. Więc proszę paniom wpadłam do tego samochodu, a cegówkę wzięłam, i powiedziałam: „Jak kierowca ruszy bez moich dzieci, to ta cegówka mu wyjdzie na wylot!”.

I stałam, i nie pozwoliłam moim dzieciom krzywdy zrobić. I o to mnie serce boli. Ja kochałam swoje dzieci, ino mnie wszyscy poganiali. I mi powiedział ten kierowca, Zajonc godo: „Marchwicko, nie bójcia się, bo ja wam dzieci wezma”. Godom: „Zajonc, zabija wos, ale te moje dzieci pojedą”.

Pojechały!

Weszłam do rzeźnika, godoją: „Wiecie, że ten Marchwicki czternaście kobiet zabił”. „Wy pieroński motyki, klachule, do roboty w pole!” Rozganiłam cały sklep.

W aptyce w Siemianowicach razem, bo ja przyszłam po lekarstwa, a ona godo: „To jest ta od tego wampira”. A jo byłam ślicznie ubrano, godom: „Co?”

I ty to godosz? Aptekarka?”. Chap za łade, przewróciłam całą łade z likarstw. I walczyłam, cały mój żywot, z milicjom, z ludźmi. Swojom gupiom głowę daje, że mój chop to mówie pani, mały kulfon, do kieszeni schować, a nie na morderstwa. To była ofiara losu, pani, wiercie mi, takie to gupie było!

Gupka, ofiarnego kozła zamordowali!

Za co? Ta sprawiedliwość!

Reportaż był wstrząsający. Został wyróżniony trzecią nagrodą w konkursie „Polska i Świat”. Co jednak ciekawe, Anna Sekudewicz, jego współautorka, nie uwierzyła w słowa swojej bohaterki. Do dziś jest przekonana o winie Zdzisława Marchwickiego. Jej zdaniem potwierdziły ją również najnowsze badania. Nie potrafiła jednak powiedzieć, o które badania chodzi.

W aktach sądowych znajdują się skargi pisane przez Żonę Marchwickiego.

Żądała w nich ukarania dziennikarzy za szkalowanie jej dobrego imienia na łamach tygodnika „Tak i Nie”. Ale w to, co pisała i mówiła na temat Zdzisława podczas procesu, nie wierzyły nawet jej dzieci. Udało mi się odnaleźć syna Marchwickiego, C.,

i zapytać, czy słyszał w radiu opowieść matki.

Pracowałem wtedy w firmie budowlanej, która robiła remont w budynku radia w Katowicach.

W radiu nikt nie wiedział, kim jestem.

Zwykły robotnik.

Koledzy mi powiedzieli, że w jednym pokoju słuchają tego, co mówi ta kobieta, która była moją matką. Stałem pod drzwiami i słuchałem. To wszystko były kłamstwa. Może poza jednym. Ojciec był niewinny. Ale powiesili go przez nią. To ona powiedziała milicji, że jest Wampirem. My nie chcemy z nią mieć nic wspólnego.

W chwili procesu C. był już pełnoletni. Nie czytał jednak gazet, nie chodził też na proces. Odsiadywał wyrok za bójkę. Uderzył w twarz człowieka, który nazwał go Wampirem, maksymalny wymiar kary otrzymał za nazwisko.

Nigdy nie myślał, by je zmienić na inne.

Z całego rodzeństwa C. najbardziej walczył o rehabilitację ojca.

W kwietniu 2001 roku rodzina Marchwickich zwróciła się do rzecznika praw obywatelskich profesora Andrzeja Zolla z prośbą o wniesienie kasacji do Sądu Najwyższego.

W Sądzie Okręgowym w Katowicach znajduje się pismo potwierdzające przesłanie akt sprawy do biura rzecznika. Niestety, nie ma żadnego dokumentu informującego o wyniku zapoznania się z dokumentami.

Krótką wypowiedź profesora Zolla znajduje się jedynie w książce Małgorzaty Piwowarczyk *Kontrowersje wokół seryjnych morderców*. Rzecznik praw obywatelskich dopuścił możliwość pomyłki sądowej. Skąd taki wniosek?

Czy tylko na podstawie analizy spreparowanych akt z pokazowego procesu? Dopiero gdy się je porówna z relacjami świadków, można dostrzec prawdziwy obraz sprawy. Kłopot w tym, że większość osób uczestniczących w śledztwie i procesie już nie żyje. Ich wspomnienia zebrane przez Grażynę Starzak czy Macieja Pieprzycę nie mogą być dowodem. Szansa na ujawnienie prawdy jest coraz mniejsza. Tymczasem, jak mówi profesor Tadeusz Widła, kierujący Katedrą Kryminalistyki na Uniwersytecie Śląskim: Póki co musimy opierać się na jedynym prawomocnym wyroku sądu, który orzekł, że Zdzisław Marchwicki był Wampirem.

[34](#) Małgorzata Piwowarczyk, *Kontrowersje wokół seryjnych morderców na przykładzie Zdzisława Marchwickiego*, Prometeusz, Zdzeszowice 2010.

[35](#) Ewa Szałkowska, *Zdzisław Marchwicki, wampir Zagłębia*, Teatr Polskiego Radia, Program 3, Redakcja Literacka, Warszawa 21 marca 1990, Archiwum Polskiego Radia, sygnatura PR1112772.

[36](#) Barbara Seidler, *Wampir wyłania się z mgły*, Biblioteczka Kobry, Warszawa 1990.

[37](#) Zenon Borkowski, *Hurtownik zbrodni „Tak i Nie”*: 6–8 kwietnia 1990, 13–15 kwietnia 1990, 20–22 kwietnia 1990, 27–29 kwietnia 1990, 4–6 maja 1990.

[38](#) Beata Rusek, *Ja tego nie zrobiłem... „Tak i Nie”*: 11–13 maja 1990, 18–20 maja 1990 roku.

[39](#) Grażyna Starzak, *Powrót wampira. Zdzisław Marchwicki 20 lat później: morderca czy ofiara?*, Venus, Kraków 1993.

[40](#) Krystyna Bochenek, Anna Sekudewicz, Mój mąż Zdzisiek, reżyseria Beata Kasztelaniec, realizacja Jacek Kurkowski, archiwum Polskiego Radia Katowice, sygnatura 1748/A.

DWANAŚCIE MIESIĘCY

Drogi Przyjacielu Samowystarczalności Prawnej!

Poeta Henryk Roterman śle Panu wyrazy uznania za uczciwe rozpoznanie różnobraźnych wniosków stron w osądzaniu uwieszonego zbrodniarza p. Zdzisława Marchwickiego i w tym celu przesyła Mu 210 zł na podtrzymanie akcji rytmu procesowego.

Pieniądze na kosztą pocztowe oraz paczkę rytualno-religijną przesłałem także skazańcowi – bym mógł poznać motywy tajemne w notorycznym działaniu przestępcy. Stał się on obecnie klientem Epigraficznej Firmy Poetyckiej dla chwały prawa w ugrzesznianiu oprawców. Warto więc zezwolić mu na nawiązanie kontaktu pisarskiego z poetą.

Szczerze Panu oddany HRoterman⁴¹ Czytając akta sprawy, publikacje prasowe, relacje świadków, a nawet zeznania samego Zdzisława Marchwickiego, wielokrotnie wątpiłem.

Raz byłem przekonany o jego winie, by już po chwili uznać go za niewinnego. Nie udało mi się znaleźć jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, czy Zdzisław był Wampirem.

Mam jednak na ten temat własne zdanie.

Dość prawdopodobną wersję wydarzeń można odnaleźć między wierszami w jednym z reportaży Elżbiety Cierlicy i Jarosława Rulskiego. Józef Klimczak twierdził, że po zabójstwie Jadwigi Kuci Jan Marchwicki miał palić w toalecie papiery z jej teczek. Krzyczał przy tym na Henryka, że zabili niewłaściwą osobę. Jest to możliwe. Nie sposób ustalić, jak doszło do tej pomyłki, bo zarówno Klimczak, jak i Henryk Marchwicki kilkakrotnie zmieniali zeznania. Moim zdaniem Jan kazał „uciszyć” Sekretarkę Profesora. Zlecenie miał wykonać Zdzisław. I wykonał, ale przez pomyłkę „uciszył” niewłaściwą osobę.

Według jednej z poszlak Jadwiga Kucia nie została zamordowana przez prawdziwego Wampira.

Do opinii publicznej nigdy nie przedostała się informacja o tym, że morderca nie gwałci swoich ofiar. Marchwicki o tym nie wiedział. W śledztwie przyznał, że gwałcił ofiary. W przypadku Jadwigi Kuci biegli stwierdzili, że sprawca dokonał penetracji, posługując się kawałkiem kija. W ten sposób mógł próbować zrzucić winę na Wampira. Biegli wiedzieli, że to możliwe.

W przypadku sześciu innych morderstw ujawnili próby podszywania się pod seryjnego mordercę.

Kolejna wątpliwość wiąże się z usiłowaniem zabójstwa Ireny Władyki.

Do napaści doszło 30 sierpnia 1969 roku.

Sąd jednak nie znalazł dowodów, by przypisać je Zdzisławowi Marchwickiemu.

Zatem ostatnią ofiarą Wampira, co do której nie ma wątpliwości, była Jadwiga Sásiek, zamordowana 3 października 1968 roku.

Jeśli przyjąć, że Kucię zamordował przez pomyłkę Zdzisław Marchwicki, to Wampir przestał zabijać już pod koniec 1968 roku.

Wszystko wskazuje na to, że wiosną 1970 roku śledztwo utknęło w martwym punkcie. Świadczą o tym wnioski polskich naukowców, snujących rozważania, że właściwie każdy może być Wampirem. Gruba wiedział, że taka sytuacja nie może trwać w nieskończoność. Kredyt zaufania, jakim go obdarzono, mógł się niebawem wyczerpać, a szefostwo MSW w każdej chwili mogło stracić cierpliwość. A może „anonimy tarnogórskie” naprowadziły go na ślad prawdziwego Wampira? Jeśli zgodnie z tym, co pisał Brussel, sprawca popełnił samobójstwo, to sprawy nie dało się rozwiązać zgodnie z oczekiwaniami przełożonych i społeczeństwa. Po kilku latach śledztwa, zaangażowaniu wielu tysięcy ludzi, wydaniu milionów złotych odnalezienie trupa nie wchodziło w grę.

Jeśli tak było, dla podpułkownika Gruby jedynym wyjściem mogło być stworzenie Wampira.

Wystarczyło, by któryś z dzielnicowych podsunął kandydata. To by wyjaśniało również, dlaczego zeznania Żony tak idealnie pasowały do profilu poszukiwanego.

Sędzia Ochman w zaledwie dwa miesiące trzykrotnie przeczytał akta sprawy. Mnie to zajęło rok. Może dlatego znalazłem w nich mnóstwo informacji wykluczających winę Zdzisława. Podczas narady w kwietniu 1970 roku naukowcy wahali się: sprawca może być wysoki lub niski, notowany bądź nie, ma rodzinę lub nie ma, albo pije, albo jest abstynentem.

Sędzia Ochman czerwoną kredką podkreślał te cechy, które pasowały do Marchwickiego.

Podobnie robił z zeznaniami świadków.

Zaskakująco potoczyły się losy aktorów tego spektaklu. Sędzia Ochman, zgodnie z przewidywaniami Jana Marchwickiego, w maju 1977 roku otrzymał powołanie do Sądu Najwyższego.

W stanie wojennym był jednym z sędziów, którzy weszli w skład nieformalnej sekcji rozpatrującej sprawy polityczne. Grupa ta wydawała surowe wyroki na opozycjonistów, podwyższając kary zasądzone przez niższe instancje⁴².

W 1990 roku przeszedł na emeryturę.

Grażyna Starzak rozmawiała z nim, przygotowując swoją książkę. Jej zdaniem Ochman już wtedy nie ukrywał, że ma wyrzuty sumienia. Ponoć zdawał sobie sprawę, że skazał na śmierć niewinnego człowieka.

Prokurator Józef Gurgul od 1991 roku jest na emeryturze. Bardzo rzadko zgadza się na indywidualne rozmowy z dziennikarzami. Nie znalazł czasu również dla mnie, usprawiedliwił się licznymi obowiązkami, ale obiecał przyglądać się sprawie.

Regularnie uczestniczy jednak w sympozjach naukowych i dzieli się swoimi

doświadczeniami z czasów PRL-u. Przy okazji chętnie opowiada obowiązującą w poprzedniej epoce wersję sprawy Marchwickiego, jak w 2010 roku podczas spotkania ze studentami Wydziału Prawa i Administracji na Uniwersytecie Rzeszowskim. Wspomina, że dzięki zeznaniom ofiar sporządzono portret pamięciowy sprawcy (ale nie wspomina, że stało się to dopiero, gdy Marchwicki już siedział w więzieniu). Stwierdza, że Zdzisław Marchwicki posiadał najwięcej cech przypisanych mordercy (choć ktoś, kto czytał akta, wie, że nie powstała lista cech, która wskazywałaby Marchwickiego).

Przyznaje, że aresztowanie nie oznaczało końca sprawy: Byliśmy w połowie drogi. Przede mną było zbieranie dowodów. (Ale milczy o tym, że do sprawy włączono go dopiero po rezygnacji prokuratora Leszka Polańskiego. I rzeczywiście, musiał znaleźć dowody winy oskarżonego, bo jego poprzednik nie tylko ich nie znalazł, ale wręcz był przekonany o niewinności Zdzisława Marchwickiego). I wyjaśnia, że wątpliwości co do winy skazanego na śmierć może mieć tylko ktoś, kto nie przeczytał akt lub ich nie zrozumiał⁴³.

Jerzy Gruba w 1975 roku sprawę Wampira przypłacił zawałem serca. Mimo to nadal pracował bez wytchnienia*.

Powtarzał, że kiedyś zostanie ministrem spraw wewnętrznych. Od początku był bardzo ambitny.

Służbę rozpoczął w 1953 roku w szeregach Urzędu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego w Stalinogrodzie. Po roku 1956 przeszedł do milicji, gdzie szybko wspinał się po szczeblach kariery. W 1961 roku był już kapitanem. Sprawa Wampira przyniosła mu niekwestionowaną pozycję.

Po zaledwie rocznych studiach doktoranckich w listopadzie 1979 roku obronił doktorat na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Tematem pracy był oczywiście Zdzisław Marchwicki, a promotorem profesor Tadeusz Hanausek, jeden z biegłych uczestniczących w śledztwie⁴⁴. W tym samym roku Gruba został mianowany zastępcą komendanta wojewódzkiego MO w Katowicach. Niestety, awans okazał się początkiem jego kłopotów.

Ktoś napisał donos, że wykorzystuje stanowisko do celów prywatnych i czerpie z tego korzyści majątkowe. Choć zarzutów było sporo, w grudniu Komitet Centralny PZPR zatwierdził jego kandydaturę na stanowisko komendanta wojewódzkiego, opuszczane właśnie przez generała Benedykta Cadera.

Nawet na tak wysokim stanowisku Gruba nie był nietykalny. 6 kwietnia 1981 roku Prokuratura Generalna wszczęła przeciwko niemu śledztwo i w efekcie postawiła mu zarzuty. Oskarżono go o to, że korzystając z przywilejów, kupił okazyjnie działkę nad zalewem w Boguchwałowicach. Stojący na niej budynek, budowany w czynie społecznym posterunek wodny, a właściwie same ściany, kazał usunąć, po czym wybudował dom o wartości miliona złotych. Twierdził, że budowę prowadził systemem gospodarczym, więc nie miał faktur. Ale prokurator znalazł dowody, że prace

wykonywali uczniowie szkoły budowlanej i że wykorzystywano samochody służbowe milicji. Przy okazji jedno z państwowych przedsiębiorstw wybudowało drogę dojazdową, a wojsko doprowadziło linię telefoniczną. Był to jednak tylko wierzchołek góry lodowej.

19 kwietnia 1979 roku w restauracji „Kaskada” w Bytomiu zamordowano funkcjonariusza MO Bogdana Majewskiego. Po szybkiej akcji milicja ujęła Tadeusza W., w którego mieszkaniu znaleziono ogromne ilości towarów skradzionych ze sklepów, w tym z Peweksu w Dąbrowie Górniczej.

Wartość zabezpieczonego mienia wyceniono na 700 tysięcy złotych.

Trafiło ono do Komendy Wojewódzkiej jako dowody rzeczowe w sprawie. Rok później do prokuratury dotarła informacja, że Gruba zamierza sprzedać zrabowane towary. Prokurator Kopiński – ten sam, który oskarżał w procesie Wampira – poinformował Grubę, że nie wyraża na to zgody. Mimo to ten powołał komisję do spraw wyceny i przekazał towar do milicyjnej sieci „Konsumy”.

Tylko jego część została sprzedana oficjalnie.

Niektóre przedmioty sprzedawano wybranym osobom bezpośrednio z magazynu, na przykład generałowi Caderowi. On i jego znajomi kupili zrabowane w Peweksie płaszcze i kurtki skórzane, płacąc 4250 złotych za sztukę, podczas gdy ich wartość rynkowa wynosiła 34 tysiące. Gruba kupił tylko wiertarkę i sześć prześcieradeł.

O trzecim z zarzutów najmniej wiadomo.

Istniały tylko poszlaki wskazujące, że Gruba nakazał zaniechać postępowania przeciwko funkcjonariuszowi biorącemu łapówki za załatwianie paszportów i handlującemu nielegalnym alkoholem.

Świadkowie twierdzili, że to właśnie on wpadł na pomysł, by wykorzystać uczniów szkoły budowlanej do pracy na działce w Boguchwałowicach.

W sierpniu 1981 roku pułkownik Bronisław Grzelak, zastępca dyrektora Departamentu Kadr MSW, pisał w notatce skierowanej do generałów Czesława Kiszczaka i Bonifacego Jedynaka^{**}: W tej sytuacji wydaje się, że pełnienie funkcji Komendanta Wojewódzkiego MO przez płk J. Grubę staje się kłopotliwe i wymaga rozważenia, czy nie należałoby go odwołać. Zarzuty postawiono także generałowi Caderowi.

13 grudnia śledztwo utknęło w martwym punkcie.

Trzy dni później Gruba zameldował Kiszczakowi o dramatycznej sytuacji w kopalni „Wujek”. Poprosił o zgodę na użycie broni. Choć Kiszczak odmówił, strzały padły, zginęło dziewięciu górników. Gruba zemdłał, gdy się dowiedział o ofiarach śmiertelnych.

Śledztwo prowadzone przez IPN w roku 2005 wykazało jednak, że nie wydał rozkazu użycia broni i nie ponosi odpowiedzialności za śmierć górników.

W stanie wojennym dochodzenie w sprawie nadużyć w Komendzie Wojewódzkiej w Katowicach zostało umorzone. W kwietniu 1982 roku generał Czesław Kiszczak

ukarał pułkownika Grubę upomnieniem, a w październiku awansował go do stopnia generała. Kilka miesięcy później Gruba przeszedł drugi zawał.

Mimo choroby otrzymał stanowisko zastępcy komendanta głównego. W resorcie miał jednak wielu wrogów, którzy pamiętali, że służbę rozpoczął w szeregach UB. Po dwóch latach „awansowano” go ponownie, tym razem na komendanta głównego w Krakowie. Tam doczekał roku 1989, kiedy o jego przeszłości przypomnieli związkowcy z Solidarności. Zażądali dymisji, obwiniając go o masakrę w kopalni „Wujek”, a także o udział w komisji tuszującej sprawę śmierci Grzegorza Przemyska.

Wiedzieli też o dochodzeniu w sprawie nadużyć w Katowicach.

Krytyka „Gazety Wyborczej” spowodowała, że Gruba podał się do dymisji i zapowiedział, iż będzie walczył przed sądem o obronę swojej godności.

Zmarł w październiku 1991 roku.

Byli milicjanci mówią nieoficjalnie, że nie był to zgon z przyczyn naturalnych.

Halina Flak została skazana na cztery lata, ale wyszła zaraz po ogłoszeniu wyroku.

W poczet kary zaliczono jej czas spędzony w areszcie śledczym i dodatkowo objęła ją amnestia. Pojechała na rozprawę w Sądzie Najwyższym w Warszawie, by ratować brata, ale okazała się za słaba. Wtedy widziała go po raz ostatni. Któregoś dnia otrzymała zawiadomienie o wykonaniu wyroku.

Poszła do sądu zapytać, gdzie jest grób.

Od jednego z sędziów usłyszała, że nigdy się tego nie dowie, i lepiej będzie, jeśli zapomni, że miała braci. Rzeczywiście, grobu nie odnalazła.

Syn Haliny Zdzisław Flak, oskarżony o kradzież z FSM części samochodowych o wartości dziewięciu tysięcy złotych, również dostał cztery lata.

Dla porównania – w lipcu 1974 roku sąd w Bielsku-Białej na identyczną karę skazał dwie pracownice FSM. Jedna z nich wyniosła z fabryki części samochodowe o wartości 150 tysięcy złotych, a druga aż 900 tysięcy złotych.

Surowość, z jaką sędzia Ochman potraktował Zdzisława Flaka i jego matkę, podkreśla tylko pokazowy charakter procesu. Historia PRL-u znała już przypadki, gdy za kradzieże mienia społecznego karano śmiercią***.

Henryk Marchwicki trafił do Zakładu Karnego w Rzeszowie. Miał tam spędzić 25 lat i wyjść na wolność dopiero w roku 1997. To jednak nie wystarczyło funkcjonariuszom. Odwiedzili także jego żonę, żądając wniesienia pozwu o rozwód i zmiany nazwiska. Grozili, że jeśli tego nie zrobi, pójdzie do więzienia, a dzieci trafią do domu dziecka. Nie miała siły walczyć. W 1985 roku milicjanci znów się pojawili. Powiedzieli, że Henryk zmarł w więzieniu. Radzili, by nie szukać grobu, bo ciało zostało przekazane Akademii Medycznej. Ona nie szukała.

Dała na mszę za duszę zmarłego męża.

W 1990 roku Henryk zmartwychwstał. W jednej z gazet napisano, że wciąż odsiaduje wyrok.

Marchwicka zabrała dzieci i pojechała do Rzeszowa.

Po osiemnastu latach zezwolono im na widzenie. Były płacz i radość. Dwa lata później sąd, powołując się na amnestię, złagodził wyrok.

Głównie dlatego, że Henryk był już kaleką. Ledwo chodził, był starym schorowanym człowiekiem, kilkakrotnie trafiał do szpitala więziennego w Warszawie. Mimo to zaczął walczyć o wznowienie procesu. Twierdził, że w śledztwie go zastraszano, grożono pobiciem.

Pisał do ministra sprawiedliwości, do Sądu Najwyższego, udzielał wywiadów. Wystąpił w filmie Jestem mordercą... Macieja Pieprzycy.

Ale zanim dokument doczekał się emisji, Henryk spadł ze schodów i złamał kręgosłup. Wstał, wszedł z powrotem na pierwsze piętro, położył się do łóżka i umarł. Sekcja zwłok wykazała, że był pijany.

Dziennikarze wielokrotnie podkreślali rolę, jaką w śledztwie odegrał Józef Klimczak. Mimo to wyrok był surowy: 12 lat więzienia. Mecenas Borecki, korzystając z pełnomocnictwa Klimczaka, złożył apelację. Krótco po tym Klimczak wysłał do Sądu Najwyższego pismo, w którym cofnął pełnomocnictwo adwokata, wycofał apelację i wyjaśnił, że złożono ją wbrew jego woli. Wyrok uznał za sprawiedliwy. To pozwoliło snuć przypuszczenia, że zawarł jakiś pakt z pułkownikiem Grubą⁴⁵. Do dzisiaj sporą popularnością cieszy się opinia, że zrobił to w zamian za skrócenie wyroku i możliwość wyjazdu do Szwecji.

Wygląda jednak na to, że albo układu nie było, albo Gruba nie wywiązał się z obietnicy. Klimczaka wypuszczono dopiero w lutym 1982 roku i nie był to akt łaski, lecz konieczność: w więzieniu brakowało miejsc dla internowanych. Za granicę nie wyjechał. Dość szybko się ożenił i razem z żoną i dzieckiem zamieszkał w dużym mieście na północy Polski. Mimo że w trakcie procesu jego zdjęcie wielokrotnie publikowano w prasie, po dziesięciu latach więzienia nikt nie był w stanie go rozpoznać. Plotka o wyjeździe do Szwecji dopomogła mu w zatarciu szokującej przeszłości. Nikt z jego otoczenia nie podejrzewał, że był jednym ze skazanych w procesie Wampira.

Nie zapomnieli o nim esbecy.

Klimczak pracował w dużej fabryce i szybko uznali go za dobrego kandydata na „tajnego współpracownika”.

Pozyskanie było formalnością, nie trzeba było szukać materiałów kompromitujących, wystarczyło zagrozić ujawnieniem przeszłości. Klimczak dał się zaskoczyć.

Przypadkowa rozmowa z milicjantem okazała się werbunkiem na esbeckiego donosiciela.

Podpisał zobowiązanie, przyjmując pseudonim „Jastrząb”. Ale donosić nie zamierzał.

Z oficerem prowadzącym spotkał się raz.

Z ogromną niechęcią opowiedział o trudnościach w zakładzie, problemach z

warunkami pracy i BHP. Przy okazji skrytykował ustrój, mówiąc, że w Polsce panuje burdel. Miał nawet o to pretensje do Służby Bezpieczeństwa.

Od chwili pozyskania – przez okres 6 miesięcy TW przekazał jedną informację o charakterze ogólnym.

Unikał spotkań a w trakcie zorganizowanych 3-krotnie zetknięć z TW kategorycznie odmówił współpracy z SB, uznając ją za bezowocną i nieprzydatną dla jego osoby.

Odmowa współpracy TW „Jastrząb” z SB miała charakter stanowczy (jego zdaniem bez względu na ewentualne konsekwencje). Zmiana postawy TW wiąże się z dawnymi przeżyciami – 9 lat pozbawienia wolności – co pozostawiło duży ślad w psychice TW⁴⁶.

Notatki sporządzone przez oficera prowadzącego nie pozostawiają wątpliwości, że Klimczak, odmawiając współpracy, wykazał się dużą odwagą i determinacją. Dzięki temu esbecy zostawili go w spokoju. Dzisiaj żyje pod zmienionym nazwiskiem. Napisałem do niego list, prosząc o rozmowę. Nie odpowiedział. A szkoda. Jest chyba ostatnią osobą, która wie, kto naprawdę zabił Jadwigę Kucię.

* Przebieg kariery zawodowej Jerzego Gruby odtworzono na podstawie teczek personalnej przechowywanej w IPN oraz publikacji prasowych.

** Bonifacy Jedynak podczas służbowego wyjazdu do Indii zaraził się czarną ospą, którą przywlekł do Polski. Stał się „kontaktem zero”, czyli pierwszym chorym, od którego rozpoczęła się epidemia czarnej ospy we Wrocławiu w roku 1963.

*** W lutym 1965 roku w głośnym procesie nazywanym w prasie „afery mięsna” zapadły drakońskie wyroki. Główny oskarżony Stanisław Wawrzecki, dyrektor Miejskiego Handlu Mięsem Warszawa Praga, został skazany na karę śmierci. Czterech innych dyrektorów otrzymało wyroki dożywotniego więzienia.

41 Akta sprawy IV.K.157/74, karta 26481.

42 Krzysztof Kauba, Orzecznictwo stanu wojennego, „Przegląd Sądowy” 1992, nr 5–6.

43 Ewa Kurzyńska, Wampir z Zagłębia – czy skazano właściwego człowieka?, „Nowiny Gazeta Codzienna” z 16 maja 2010 roku.

44 Taktyka działań wykrywczych w sprawach wielokrotnych zabójstw z lubieżności na przykładzie sprawy krpt. „Anna”, dyplom Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, akta IPN BU 710/418.

45 Erika Sjoblom, Wampir z Zagłębia cz. II, Onet Wiadomości z 29 kwietnia 2009 roku.

46 Akta IPN KA 0025/1374 t. 1, karta 0032-0033.

ANEKS

Pismo Zdzisława Marchwickiego do Prokuratury Wojewódzkiej w Katowicach z 5 marca 1972 roku Do Obywatela Prokuratora Warszawa 5.03.1972 r.

Prokuratury Wojewódzkiej w Katowicach ZAZALENIE Obywatelu Prokuratorze, jest mi niezmiernie przykro, iż niewinnie zostałem mi postawiony tak ciężki zarzut za zabójstwa, które miały miejsce na terenie Zagłębia. Jedyne oskarżenie, co jest prawdziwe to to, że znieważylem funkcjonariusza w dniu 15.XI.72 r. [sic!] chociaż i tego chciałem uniknąć, niestety nie była w tym całkowita wina moja, byłem już karany za to wykroczenie i dlatego chcę wyjaśnić, jak faktycznie było w dniu 15.XI.1971 r. przyszedłem do domu, chciałem zabrać resztę swoich rzeczy, nie wpuściła mnie żona, chociaż mieszkanie ja dostałem z kopalni i ja płaciłem za mieszkanie i kiedy podeszedłem do okna i powiedziałem, aby mi otworzono drzwi – otworzyła okno i lunęła lizolem w twarz, który miała w garnczku, za chwilę zjawił się syn A. i kiedy z nim rozmawiałem otworzyła drzwi i rąbnęła mnie w głowę pogrzebaczem, zalałem się krwią, zamknęła drzwi i kazała synowi C. lecieć po milicję, sama stając przy oknie i zaczęła się śmiać, nie wytrzymałem już nerwowo uderzyłem ręką w szybę, wiedziałem, że przyjedzie Milicja, czekałem około dwudziestu minut przed domem, chciałem, aby mnie zobaczyli, jak wyglądam, nie dano mi dojść do słowa, zaraz jeden z funkcjonariuszy zaczął mnie szarpać, wyleciała zaraz żona, jak zwykle jest dobrą artystką w tym, na oczekaniu umie stworzyć dla ludzi nie znających ją taką sytuację, nakłamała, iż ją pobiłem powyrywałem zegar od światła, chociaż została nie tknięta i w ogóle [...]

Mnie zabrano do wozu, chciałem usiąść na ławce, jeden z funkcjonariuszy zepchnął mnie do kąta, a kiedy zwróciłem mu uwagę uderzył mnie pięścią w żołądek, dopiero wtenczas znieważylem funkcjonariusza. [...] Obywatelu Prokuratorze jest mi dzisiaj już jasne dlaczego do tego doszło, iż znalazłem się niesłusznie w tak ciężkiej sytuacji i muszę sobie nerwy szarpać do ostateczności dlatego tylko, że jestem niewinien i żyć pod takim zarzutem, pierwszym takim świadkiem to był E.B. [w oryginale pełne imię i nazwisko – przyp. P.S.], który złożył w ogóle nieprawdziwe zeznania, znając mnie z kopalni, musiało mu się pokręcić coś w głowie i w ogóle nie wiem co miał w tym za cel, drugim świadkiem była zidiociała a zarazem wielce wyrafinowana moja żona, która swoimi fałszywymi, zmyślanymi na oczekaniu podpaliła beczkę z prochem, jest to bydlę nie nadające się w ogóle do współżycia z ludźmi, zdolna jest do wszystkiego, pchnąć nawet kogoś na szubienicę niewinnie, aby się zemścić, nie jest to pierwsze wprowadzenie władzy w błąd i nie jednym ludziom narobiła krzywdy pozorując napady na sąsiadów, lejąc ich przy tym gorącą wodą, nie zawahała się nawet oblać kwasem solnym w twarz sąsiada mieszkającego w Czeladzi, sprowadziła na sąsiadkę milicję, rzekomo iż miała uderzyć syna A., ażeby mieć alibi wzięła widelcem

zacharatała dziecku plecy, takich przykładów mógłbym podać całą masę, jedynie kiedy zamieszkała w Lęborku tam się szybko na niej poznali, dorobiła się parę wyroków, a kiedy miała odsiedzieć pojechała do Generalnej Prokuratury ze skargą, iż niesłusznie otrzymała wyroki choć pobiła łopatką sąsiadkę, że aż podobno trzydzieści dni leżała w szpitalu, tym sposobem odwlekła odbywanie kary i na podstawie amnestii darowano jej karę, wykorzystywała również swoją chorobę epilepsję, kiedy jej się palił grunt pod nogami przewracała się, a po odjeździe wyśmiewała ich.

Obywatelu Prokuratorze, nigdy nie miałem absolutnie żadnych pobudek w stosunku co do zarzutu, jaki mi postawiono od młodych lat byłem pod tym względem bardzo spokojnego uosobienia, a z biegiem lat utrata zdrowia przez ciężką pracę, byłem absolutnie bardzo mało wymagający, nie miałem również i złośliwych pobudek, co do niewiasty, ponieważ nigdy nie mogłem mieć na uwadze swojej żony, której drugiej takiej nie poszukałbym w milionie kobiet, wręcz przeciwnie, lubiałem kobiety i lubię, je nadal, uważałem i uważam nadal, iż życie nie polega wyłącznie na życiu seksualnym, zawsze byłem grzeczny i uprzejmy w stosunku do kobiet, po wyjeździe żony miałem pannę, z którą spotykałem się codziennie przez przeszło rok czasu, która była jeszcze spokojniejszego charakteru pod względem seksualnym i do dziś żałuję, że się z nią nie związałem, a tylko z powodu warunków mieszkaniowych, ponieważ mieszkanie spółdzielcze miałem otrzymać dopiero za dwa lata, a mieszkałem u macochy, która zaczęła narzekać, że jest już w podeszłym wieku i nie może koło mnie robić [...] Przypomniałem sobie dokładnie i inne alibi, za które jestem absolutnie pewien, że tak było, ale to jakoś to ciężko wszystko idzie z tego powodu proszę Ob.

Prokuratora o przydzielenie mi obrońcy z urzędu z powagi zarzutu, mej choroby, trudnych warunków materialnych, które mi nie pozwalają nająć obrońcę z wyboru.

Z poważaniem Zdzisław Marchwicki Warszawa KGMO Areszt Śledczy Notatka służbowa z przesłuchania Zdzisława Marchwickiego w dniu 12 maja 1972 roku Warszawa, dnia 12 maja 1972 r.

NOTATKA URZĘDOWA

W dniu 12 maja 1972 r. podejrzany Zdzisław Marchwicki w czasie przesłuchania poprosił o odczytanie złożonych do protokołu z dnia 11 maja 1972 r. wyjaśnień dotyczących podanych przez niego faktów i okoliczności w sprawie zabójstw Anny Mycek – 1964 r. w Dąbrówce Małej pow. Będzin i nieznannej mu kobiety – w 1965 r. koło dworca PKP w Będzinie.

Podczas odczytywania tegoż protokołu podejrzany Z. Marchwicki w pewnym momencie schwycił oburącz protokół i przedarł go.

W celu uniemożliwienia zniszczenia dokumentu Z. Marchwickiego chwycono za ręce i usiłowano odebrać mu protokół z zaciśniętych rąk. Z. Marchwicki nie chciał jednak oddać dokumentu. Wyjęto go więc z rąk Z. Marchwickiego przy użyciu siły. Po

odebraniu protokołu Z.

Marchwicki rozplakał się. Na pytanie dlaczego chciał zniszczyć protokół podejrzany oświadczył, że chętnie zjadłby całe akta.

Okazało się, że Z. Marchwicki zniszczył 2 i 3 kartę *strony 3,4 i 5* dokumentu. Karty złożono, sklejono przezroczystą taśmą klejącą i załączono do akt.

Ponadto dołączono do akt kopię przedmiotowego protokołu z dnia 11 maja 1972 r. podpisaną przez podejrzanego Z. Marchwickiego i przesłuchujących. ppłk mgr Henryk Czmocho por. Bogusław Zieliński Notatka służbowa podpułkownika Jerzego Gruby z rozmowy ze Zdzisławem Marchwickim z 16 maja 1972 roku Warszawa, dnia 16.V.1972 r.

ZAPISEK URZĘDOWY

W dniu dzisiejszym w Biurze Dochodzeniowo-Śledczym KGMO uczestniczyłem w przesłuchaniu podejrzanego Zdzisława Marchwickiego, który złożył wyjaśnienia w sprawie zabójstwa Jadwigi Kucia dokonanego w dniu 4.III.1970 r. w Siemianowicach — Bytkowie.

Przesłuchanie prowadził ppłk H. Czmoch i por. Zieliński.

Po przesłuchaniu będąc sam z podejrzanym przeprowadziłem z nim luźną rozmowę na okoliczność popełnionych przez niego zbrodni.

Zdzisław Marchwicki wyraził się, iż czuje żal do milicji o to, że zatrzymano go tak późno, gdyż można go było ująć bezpośrednio po zabójstwie Anny Mycek i wówczas nie byłoby tej jak to się wyraził „całej afery”. Następnie zapytałem podejrzanego, w którym przypadku według jego oceny był najbliżej ujęcia.

Odpowiedział, że w życie w Grodźcu, gdyż słyszał rozmowę kilku osób, w tym mężczyzn, którzy chcieli wejść do żyta, w chwili gdy przebywał tam ze zwłokami.

Zapytałem wówczas co by zrobił gdyby ludzie ci weszli i zobaczyli podejrzanego ze zwłokami.

Odpowiedział, iż na to był przygotowany.

Gdyby weszła jedna osoba obojętnie mężczyzna czy kobieta uderzyłby aby pozbawić ją przytomności i zbiec, gdyby weszło kilka osób, wówczas powiedziałby, że właśnie przed chwilą tu wszedł zauważył zwłoki kobiety i chciał zaalarmować MO.

Poprosiłby aby osoby, które weszły pilnowały miejsca przestępstwa przed zatarciem śladów a on pobiegnie zawiadomić MO i w ten sposób by uciekł.

Gdyby natomiast wszedł funkcjonariusz MO z bronią wówczas musiałby się poddać. Na końcowe pytanie odpowiedział, że zamordowanej kobiecie w życie w Grodźcu zabrał zegarek i majtki. Ostatni fakt powiedział w chwili gdy odprowadzałem go do celi.

Naczelnik Wydziału Operacyjnego d/s „ANNA” KWMO Katowice ppłk mgr J. Gruba Oświadczenie Zdzisława Marchwickiego do Prokuratury Wojewódzkiej w Katowicach z 27.03.1973 r.

Oświadczam iż kategorycznie zaprzeczam swoim kłamliwym zeznaniom złożonym w Komendzie Głównej M.O. w Warszawie, w miesiącu maju 1972 r. z których to zeznań wynika jako ja miałem być z prawcą zabójstw kobiet w latach 1964.1970 r na terenie Zagłębia.

Zeznania te nie miały być szczerze, i już wówczas mówiłem iż mówię nieprawdę, co zresztą, napisałem na jednym z protokołów. Nieumiem sam sobie tego wytłumaczyć dlaczego tak lekkomyślnie wówczas postąpiłem, za co szczerze żałuję, oraz najmocniej przepraszam, Ob. Prokuratora. [...] I to co wyjaśniłem kłamliwie dowiedziałem się z toku śledztwa oraz z pytań kiedy byłem badany na aparacie prawdy. Zaprzeczam

również pozostałym kłamliwym zeznaniom w spół podejrzanych oraz świadków, którzy to powymyślali jakieś historie, które nigdy nie miały miejsca.

Jeśli chodzi o zeznania siostry Chaliny Flak, są one nieprawdziwe, ponieważ nie otrzymała żadnych przedmiotów odemnie poza jedną obrączką która to wyjaśniłem już przed dziesiątym maja w 1972 r chociaż wówczas jeszcze niebyłem pewien czy ja jej rzeczywiście dałem dopiero w późniejszym czasie kiedy przypomniałem sobie o dalszych szczegółach i siostra mówiła że jest zamąta i nie umie jej ściągnąć z palca, a po jakimś czasie dowiedziałem się odniej że ją przecięła. Nie jest mi również nic wiadomo o jakimś nieszczęsnym kolczyku o którym siostra zeznała, nigdy jej nie dawałem ani go też nie widziałem a mnie już w śledztwie nim dziurę wmużgu wywiercano. Nieprzypominam sobie również żadnych rozmów na temat zabójstw, przebywałem u siostry, poza jednym faktem który pamiętam było to w 1965 r, kiedy to siostra przyszła z pracy po godz. 22 i zwracała się do sztygara, że mężowie po przychodzili po żony a on nie raczył przyjść, miało to miejsce po którymś wypadku. [...]

Protokół z przesłuchania Zdzisława Marchwickiego z dnia 31 maja 1972 Jak już wyjaśniałem w dniu 10 i 23 oraz 24 maja 1972 roku w Warszawie to w pierwszej połowie października 1966 roku w Będzinie nad rzeką Przemszą dokonałem zabójstwa Jolanty Gierek.

W sprawie tej podałem następujące okoliczności dokonanego zabójstwa.

W poniedziałek pojechałem [...] W Będzinie udałem się nad rzekę Przemszą, gdzie na wale na ścieżce zabiłem dziewczynę lat około 20 blondynkę. Było to rano we wtorek około godziny 6-7.00 i w tym dniu była duża mgła. [...]

W tym miejscu okazano podejrzanemu [...] zdjęcie fotograficzne Nr 14,15 i 16 dokumentacji pogładowej z miejsca znalezienia zwłok Jolanty Gierek [...]. Podejrzany oświadczył, że istotnie okazane mu zdjęcie obrazuje miejsce które on opisał w którym dokonał zabójstwa Jolanty Gierek. Nie potrafię wytłumaczyć jak to się stało że opisane przez mnie miejsce jest zgodne z faktycznym miejscem zabójstwa.

Następnie odczytano podejrzanemu [...] fragment protokołu z miejsca zabójstwa [...] „... jest wtorek dnia 11 października 1966 roku godz.11.30...”, który oświadczył, że zgadza się z jego wyjaśnieniem iż był to wtorek kiedy on zabił Gierek. Nie wie jak ma to wytłumaczyć, tak się złożyło. Nie wiem dlaczego to się zgadza, chyba dlatego że znałem to miejsce, chociaż przed zabójstwem Gierek tam nie byłem.

Zapoznano Zdzisława Marchwickiego ze szkicem miejsca znalezienia zwłok [...] z uwidocznionym jej miejscem zamieszkania i pracy, z którego wynika, że Jolanta Gierek szła do miasta Będzina.

Podejrzany oświadczył, że nie potrafi tego wytłumaczyć, mógł tak zgadnąć, że tak mogło być. Nic na to nie poradzę, że zgadza się, że Gierkówna była blondynką i miała lat 18, a ja wyjaśniałem że miała lat około 20. Odczytano podejrzanemu fragment zeznań świadka Pealgi Gierek [...]. Podejrzany stwierdza, że zgadza się to z jego

wyjaśnieniem iż zabrał Jolancie Gierek płaszcz ortalionowy koloru zielonego – włoski. Nie potrafię tego wytłumaczyć, widocznie tak było jak wyjaśniałem. Jeżeli to się zgadza to wygląda na to, że mówiłem prawdę. [...]

To co wyjaśniałem odnośnie zabójstwa Jolanty Gierek odpowiada prawdzie i zgodne jest ze stanem faktycznym jaki podałem do protokołu sam z własnej woli i bez pomocy innych osób. [...] na pytanie skąd wiedział, że zabita przez niego dziewczyna miała pierścionek, wyjaśnił, że nie jest w stanie odpowiedzieć, chociaż prawdą jest, że pierścionek dokładnie opisał i odpowiada to prawdzie. Nie zgadza się tak jak powiedziałem, że pierścionek zabrałem.

Dlaczego tak powiedziałem tego nie umiem wytłumaczyć, widocznie chciałem organa ścigania wprowadzić w błąd aby się nie zgadzało to co wyjaśniłem. Na postawie powyższych wyjaśnień wiem, że moje wyjaśnienia zgadzają się z ustaleniami śledztwa z roku 1966.

Z tego wynika, że wiadomości te nabyłem będąc na miejscu tym i dokonując zabójstwa dziewczyny do czego się przyznałem i wyjaśniłem dokładne okoliczności tego zabójstwa oraz fakty, które zgadzają się. Gdybym nie dokonał tego zabójstwa nie mógłbym podać okoliczności i faktów, które zgadzałyby się. Przyznaję, że zostałem przygwożdżony faktami i okolicznościami, które świadczą przeciwko mnie. Mimo to nie przyznaję się do zabójstwa Gierek, a czynię to dlatego, że mi to nie pasuje do koncepcji mojej obrony.

Zapis przesłuchania Zdzisława Marchwickiego podczas sesji wyjazdowej Sądu Najwyższego z 13 lipca 1976 roku (godzina 10.30, sala 219 Sądu Wojewódzkiego w Katowicach)

– Oskarżony Zdzisław Marchwicki, w związku z treścią pamiętnika zostanie dodatkowo przesłuchany.

Oskarżony niech wstanie i oświadczy co do treści pamiętnika, jego powstania, przyczyn, co chce powiedzieć na ten temat

– Ja już sam nie wiem, co mam mówić, nie mam głowy do tego wszystkiego, taki załamany jestem. [głos zrezygnowanego człowieka, słaby]

– No, ale pamiętnik napisaliście dobrowolnie?

– Tak.

– TAK?

– Tak, dobrowolnie pisałem.

– Dobrowolnie. A jak to był pisany?

Przez kilka dni? Czy to za jednym...

– Przez kilka dni.

– A w ilu siedzieliście wtedy w celi?

– W trzech.

– Proszę? W trzech? W trzech!

Znaczy ten [tu nazwisko współwięźnia – przyp. P.S.] i kto jeszcze?

- Nie znam te drugiego nazwiska.
- Nie znacie. No dobrze, a jak powstała myśl, aby napisać, z własnej inicjatywy?
- Tak, z własnej pisałem. Chciałem przedłożyć to jeszcze jakiś czas. Mieć spokój i dlatego pisałem.
- Tak. To znaczy, że waszym zamiarem było, żeby ten pamiętnik dostał się w ręce sądu? Czy tak? Czy nie w ręce władz? W każdym razie...
- Nie myślałem, że dostanie się w ręce sądu.
- W każdym razie ten pamiętnik wbrew waszej woli znalazł się w naszym, tutaj, posiadaniu. Czy z waszą wolą?
- No, niezgodnie.
- Niezgodnie?!
- No, niezgodnie, bo ja myślałem, że się nie dostanie.
- Znaczy, co pisaliście? Dla kogo?
- Tak, pisałem. Niby koledze, z tym, co siedziałem.
- To znaczy tutaj napisaliście, w tym pamiętniku, że dedykujecie ten pamiętnik koledze A. [tu pełne nazwisko współwięźnia – przyp. P.S.]. Tak myśleliście, że to tylko dla niego?
- Tak. No, ale tu jest przecież taki fragment w pamiętniku, że wszyscy ci, którzy będą czytali, niech wiedzą, że nie warto zabijać. I tak dalej. No więc z tego by wynikało, liczyliście się, że będzie to przeznaczone dla użytku szerszego?
- Nie liczyłem się, że zostanie to tak...
- A ten pamiętnik, to był chyba najpierw pisany na brudno, a potem przepisywany?
- Tak, od razu był na czysto.
- A tu są takie przerwy w tekście?
- Nie, od razu na czysto. Od razu do zeszytu pisałem.
- A ile godzin to pisaliście dziennie?
- Kilka minut? Czy kilka godzin?
- No to chyba godzin.
- No dobrze. To są okoliczności powstania. A niezależnie od tego napisaliście pismo do pułkownika Gruby, żeby się skontaktował.
- Żeby się skontaktował, że macie zeznania o innych czynach. Rozmawialiście z pułkownikiem Grubą na ten temat?
- Nie.
- No, a jeśli chodzi o treść.
- Okoliczności tutaj przytoczonych, to co o nich możecie powiedzieć?
- To, co miałem zarzucane w akcie oskarżenia, na rozprawie, to pisałem, a reszta później to było nieprawda.
- Co było nieprawdą?
- Tak zmyślałem sobie.
- To, co pisałem, to zmyślałem?

– Tak.

– Nie no. A nie rozumiem tego zdania. Mówicie, to, co mi zarzucano, to napisałem, a reszta była nieprawdą. Że część była prawdy, a część nieprawdy?

– Tak.

– To co było prawdą, a co nieprawdą?

– [nieartykułowany dźwięk]

– Czyli co jest wobec tego prawdą?

– [wzdycha] No, te zabójstwa.

– Te zabójstwa, które wam przypisano w wyroku? Tak? Przez Sąd Wojewódzki?

– To, to jest prawdą, tak.

– Tak. A co jest nieprawdą?

– [długie milczenie] Te resztę, co pisałem.

– Te resztę, tak? No, ale chcę was poinformować, że wstępnie zostały sprawdzone te okoliczności, które żeście podali, co do innych miejscowości, i one, przynajmniej wstępnie, zgodne są z rzeczywistością. To co na ten temat powiecie?

– Nic. No, nic nie mogę powiedzieć.

Nie wiem, co mówić, bo jestem taki załamany, nie spodziewałem się w ogóle tego, że dzisiaj będę doprowadzony.

[cisza]

– No, ale pytanie rozumiecie?!

Piszecie o Piotrkowie, o Krakowie, bodajże o jeszcze innych miejscowościach. Że tam dokonaliście takich czy innych napadów, względnie usiłowań. I to sprawdzono wstępnie. I to zgadza się z rzeczywistymi zdarzeniami, które tam miały miejsce. I nie zostały wykryte.

To czym to oskarżony wytłumaczy? Skoro to jest, jak twierdzi, nieprawda, jak to jest możliwe, że jest ta zbieżność?

– No, ja nie wiem dlaczego.

– Nie potrafi?

– Nie.

– A skąd wiedział o tych szczegółach oskarżony?

– A tak zmyślałem.

– Zmyślane to było? Tak? To nie z jakichś rozmów, z kimś, tylko zmyślane?

– Tak.

– Zmyślane. A czy ktoś wam podpowiadał w tym?

Czy tak

samodzielnie?

– Nie.

– Samodzielnie?

– Samodzielnie.

– No, ale przecież tutaj, zarówno w tym pamiętniku... jak i... w piśmie do

pułkownika Gruby ... no to... podajecie szczegóły... które są, no, dość konkretne i zgodne z wieloma ustaleniami zawartymi w wyroku... podpisujecie się „wampir z Zagłębia”... To tak by z tego wynikało w tej chwili, że oskarżony wszystko przemyślał... przeżył i zrozumiał... Czy tak jest czy nie?

– No tak.

– Tak. Tak.... Dalsze pytania...

– [szept] Zapytaj się go, że jak to jest, że [dalej niezrozumiałe]

– [głos innego sędziego] Skąd oskarżony miał zeszyt?

– Proszę?

– Skąd zeszyt oskarżony miał, w którym pisał?

– Aaaa, no to z wypiski.

– [znowu przewodniczący] Zakupił z wypiski?

– Tak.

[długa cisza]

– [znowu inny głos] Ja bym chciał uzyskać odpowiedź jaśniejszą od oskarżonego.

Oskarżony dzieli ten pamiętnik na dwie części. Na część prawdziwą i nieprawdziwą. Czy dobrze zrozumiałem?

– [bąknięcie oskarżonego] no...

– [przewodniczący]

I proszę oświadczyć jaśniej. Którą uznaje za prawdziwą?

– [długa cisza] Prawdę mówiąc, to ja chyba nie wiem. Ja nie wiem, co tam jest.

Ja dokładnie nie pamiętam, co ja pisałem.

– [inny głos] Ale czy oskarżony pamięta, że w tym pamiętniku przyznawał się do czynów?

– [długa cisza] No tak.

– A teraz o mówi, że część z tego jest prawda, a część nie?

– [długa cisza] No nie, no to jest, co miałem, to, co mnie, co mnie oskarżano.

– Znaczy to jest prawdziwe, za co został skazany, tak? Czy tak to należy rozumieć?

– Tak.

– Tak. Znaczy przykładowo. Jak tutaj oskarżony podaje, o tym zabójstwie, jak nazywa ją profesor Kuci, i te rozmowy wspólnie z braćmi, to to się zgadza, to potwierdza tak?

– No.

– To przykładowo.

Tylko wymieniam, bo nie chodzi o szczegóły przecież [jednocześnie inny głos coś mówi szeptem], bardzo przepraszam [niezrozumiałe, ale można wywnioskować że gani, aby nie wchodzić w szczegóły].

– [inny głos] Czy oskarżony potrafi wyjaśnić przyczynę zmiany postawy swojej?

No, oskarżony w toku procesu się nie przyznawał. Oskarżony napisał, że przyznaje się [głos z boku dodaje: poza ostatnim słowem]

– Chciałem przedłużyć to wszystko, potem pisałem [długa cisza], bo myślałem, że wyrok będzie wykonany.

– [przewodniczący] Czy oskarżony miał widzenia z kimś po wyroku pierwszej instancji?

– Nie.

– Nie było nikogo u oskarżonego?

– Nie.

– A niech sobie oskarżony przypomni, dobrze.

– [dość niewyraźnie] W czasie rozprawy miałem tylko widzenie.

– Proszę?

– W czasie rozprawy miałem tylko widzenie.

– Nie! Nie w czasie rozprawy! Mamy wiadomości, że oskarżony miał widzenie jeszcze niedawno, z jakąś kobietą, przykładowo [długa cisza] z prasy, nie było u oskarżonego nikogo?

– [zastanawia się, ledwo słyszalne]
Z prasy? Nie.

– Nie przypomina sobie oskarżony tego?

– Nie.

– No, redaktor Seidler konkretnie!
Była?

[w głosie przewodniczącego słychać wyraźne zniecierpliwienie]

– No tak, była.

– Była! To do niej co oskarżony mówił? Co do swojej sprawy?

– No, prawie. że nic.

– Prawie, że nic! Ale podobnie chyba jak dzisiaj?

– Podobnie.

[sędziowie naradzają się, niezrozumiały]

– Pan prokurator ma pytanie jakieś?

[głos niezrozumiały]

– [do oskarżonego] Proszę, niech pan podejdzie. Ale mówi, że nie pamięta oskarżony, proszę tu podejść i zobaczyć czy to jest ten pamiętnik? I wasze pismo? Tutaj ta dedykacja? Tak?

– Tak.

– I tu się kończy ten podpis.

– [długa cisza, ledwo słychać] Ten podpis.

– Jeszcze jakieś pytania? obrońcy mają pytania?

– [obrońca] Jedno. Jak to rozumieć, że oskarżony chciał to wszystko przedłużyć? Co oskarżony chciał przedłużyć?

– No, ja wiem? Przecież jak by nie było, to miałem wyrok, Wysoki Sądzie. [długa cisza] Chciałem to odciągnąć, aby się to przedłużyło...

– [przewodniczący] Czy dobrze rozumiemy? Oskarżony zdawał sobie sprawę, że został skazany na karę śmierci, i chciał przedłużyć okres do wykonania?

Tak?

– Tak.

– Bo tak pisze tutaj oskarżony między innymi. W drodze aluzji, ale tak to należy rozumieć?!

– [inny głos] A dlaczego zdaniem oskarżonego pisanie tego pamiętnika miało coś przedłużyć?

– Życie moje.

Dźwięk przerwane nagrania.

– Tak. Przepraszam czy pan mecenas kontynuuje, czy skończył? Jeśli jeszcze?

Proszę bardzo, proszę bardzo.

– [obrońca] Proszę oskarżonego, jeżeli chodzi o samopoczucie oskarżonego, powiedzmy, wtedy kiedy to pisał. Jak by je mógł określić?

– [długa cisza] A taki byłem nie bardzo. [długa cisza] Załamany.

[Niezrozumiałe słowa, nie wiadomo, kto mówił, długa cisza]

– A jak w tej chwili się czuje?

– Aaaaa, tak samo.

– Dziękuję bardzo.

– Proszę, jeszcze ktoś z obrońców ma pytania?

– [obrońca] Ja bym miał pytanie.

Proszę oskarżonego, czy oskarżony pamięta, co w tym pamiętniku pisał na temat siostry swojej Haliny Flak? Czy w ogóle coś pisał, a jeżeli tak, to co? Czy oskarżony pamięta?

– Nie przypominam. Coś pisałem tam trochę.

– Coś pisał. Ale nie przypomina sobie?

– Tak.

– Proszę oskarżonego, wobec tego może ja w tej chwili zapytam, czy oskarżony żył fizycznie z siostrą Haliną Flak?

– Nie! [zdecydowanie, bez namysłu]

– Nie? A proszę oskarżonego, czy siostra Halina Flak wiedziała o tych różnych historiach, które pan miał? Które panu zarzucał akt oskarżenia?

– Nie, nie wiedziała.

– Nie wiedziała! Dziękuję. Nie mam pytań.

– [przewodniczący] Tu oskarżony wspominał o tym, że część jest zmyślona, żeby przedłużyć. Jak to określił, swój żywot. A proszę powiedzieć, tu jest w pamiętniku, są pewne fragmenty dotyczące brata Henryka, że współdziałał.

Czy oskarżony w tych niektórych, niewykrytych, dotąd nie objętych w akcie oskarżenia czynach, czy to należy zaliczyć do prawdziwych faktów czy do zmyślonych?

– Do zmyślonych.

– Do zmyślonych.

To jest nieprawdziwych?

– Tak.

– Proszę, dalsze pytanie obrońcy mają?

– Tylko jedno pytanie. A to, co Henryk [niezrozumiałe, prawdopodobnie „zecznał”]
w tym punkcie. Czy to jest prawda czy nieprawda?

– Hmm.

– Chodzi o pomocnictwo w zabójstwie doktor Kucianki?

– [długa cisza] Nie.

– Co?

– Nieprawda.

– [przewodniczący] Nieprawda!?! Ale przecież oskarżony przed chwilą przyznał, że
te zarzuty, które przypisano oskarżonemu, za które został skazany, to są prawdziwe.

Przecież został skazany między innymi za zabójstwo dr Kuci.

[długa cisza, brak odpowiedzi oskarżonego]

– To jak, są prawdziwe te zarzuty?

To, jak rozumieć te oświadczenie teraz?

– Ale ja to myślałem do innych

[niezrozumiałe]

– Proszę?

– Ja to myślałem do innych, tych zmyślonych.

[szepc z boku niezrozumiały]

– [przewodniczący] – No zaraz!

Oskarżony podawał wtedy, kiedy przyznawał się, częściowo przynajmniej do winy,
podawał wówczas wersję, że działał sam. A teraz w pamiętniku oskarżony podawał
taką, jaką przyjęto w wyroku. Że działał wspólnie z braćmi i z Klimczakiem. To dzisiaj
gdyby się miał oświadczyć, jeśli oskarżony chce, aby jego wypowiedź miała jakiś
sens, jakiś walor, to do której wersji się przyłącza?

Którą będzie teraz podtrzymywał? Czy sam? Czy razem?

Czy to wszystko zmyślone? Jak to było?

[długa cisza, potem ledwie słyszalne]

A to wszystko było zmyślone.

– Co?

– Wszystko było zmyślone.

– Co wszystko zmyślone?

– [długa cisza] Chodzi, że sam.

– Że sam oskarżony? A reszta zmyślone?

– Tak.

– A jaki byłby sens tego zmyślania?

Po co?

– [długa cisza] Czy ja wiem?

– Pan biegły Mielcarek rozumiem, tak?

– Tak.

– [przewodniczący] Jaki by to był sens tego? No, oskarżony nam wyjaśnił tutaj jakiś sens, pisze pamiętnik, chce przedłużyć. No więc jaki może mieć sens, gdyby odnośnie współudziału braci miał zmyślać? Co to oskarżonemu miało by dać?

[cisza, brak odpowiedzi]

– A czy może oskarżony się krępuje obecność siostry tutaj na sali?

– Nie, siostra nie krępuje. Nie.

– [długa cisza] No to proszę odpowiedzieć na to pytanie. Co by miało dać, gdyby to było zmyślone? To, co by to miało oskarżonemu dać, w jego rozumieniu?

[cisza, brak odpowiedzi]

– Po co to pisać jeszcze, licząc się z tym, że jest oskarżony skazany na karę śmierci? Co ma w tej chwili za sens, jeszcze kogoś, brata jednego, drugiego, w jakiś sposób zmyślony. Może to jest po prostu prawdziwe? Tak?

– [długa cisza] Prawdziwe.

– Prawdziwe?

– Noooo...

[szepty niezrozumiałe]

– Proszę!

– [drugi głos] Proszę oskarżonego, oskarżony tutaj oświadcza, że nie wie, co pisał. Na pytanie obrońcy, że się czuł źle, że nie wiedział, co robi, a to jest napisane bardzo ładną polszczyzną. Ładne zdania, myśl jest jasna. A tu oskarżony zaczyna lansować...

– [przewodniczący] Że załamany jest.

– [drugi głos] Że jest załamany, w tej chwili tak samo jak wtedy, a tu potoczyście ładnie jest opisane, wszystkie fakty. A dzisiaj duka. Więc jeżeli jest w takim samym stanie, to w jaki sposób mógł tak ładnie to napisać? A dzisiaj właściwie sam sobie zaprzecza.

– [przewodniczący] Stąd było to mojej pytanie, czy oskarżony to pisał jednym tchem czy z przerwami? Czy korygował?

Czy poprawiał?

Czy przepisywał? Czy starał się, aby to było jak najlepiej napisane, jak najładniej?

– Nie. Nie starałem się.

– Tak jak potrafił bez starannego przyłożenia. Tak?

– Tak.

– [obrońca] Ja mam może jeszcze jedno. Proszę oskarżonego, proszę się ostatecznie zadeklarować, jeśli chodzi o brata Jana Marchwickiego. I ten zarzut jemu zarzucany. Nawiązując do przewodu sądowego i nawiązując do pamiętnika ostatniego.

Czy oskarżony może powiedzieć Wysokiemu Sądowi, czy była jakaś rola, jakiś udział Jana w tym? Jeżeli chodzi o zarzut zarzucany mu odnośnie Kucianki?

– Nie!

[bez zastanowienia, zdecydowanie]

– [przewodniczący] No to jak? Przed chwilą oskarżony powiedział, że to jest prawda, teraz znowu, że nie. No więc jak?

Oskarżony raz w prawo, raz w lewo, raz jakby chciał powiedzieć jedno, raz drugie.

Czym to oskarżony tłumaczy?

– [długa cisza, potem mruknięcie]

Prawda to jest zupełnie inna. [ostatnie słowa ledwo słyszalne]

– Zupełnie inna prawda? Chce na ten temat oskarżony wyjaśniać? Czy nie chce?

– Hmm, raczej nie chciałbym.

– Raczej nie. Tak właśnie rozumiemy, że oskarżony nie chce wyjaśniać i dlatego między jedną skrajnością a drugą. Obraca się. Panowie biegli mają pytania? Proszę.

– [głos biegłego] Proszę oskarżonego, oskarżony w tym pamiętniku, w pewnym fragmencie pisze, że specjalnie nie wystawia kostek*.

Na przykład ręczników, czy ubrania, na zewnątrz, bo robi wszystko to na złość. Jak na złość?

Tym towarzyszącym w celi innym skazanym? Jak i personelowi zakładu karnego? Jak należy to tłumaczyć?

Dźwięk przerwane nagrania.

* Kostka to złożone ubranie więźnia, które jest wystawiane na noc na zewnątrz celi, by więzień nie wykorzystał go do przygotowania narzędzia mogącego posłużyć do popełnienia samobójstwa.

Zapis przesłuchania Zygmunta A., współwięźnia Zdzisława Marchwickiego, podczas sesji wyjazdowej Sądu Najwyższego z 13 lipca 1976 roku Dźwięk przerwane nagrania

– A. [tu przekrecone nazwisko współwięźnia – przyp. P.S.]?

– A. [tu poprawne nazwisko]

Zygmunt. Lat 27.

– Zawód, zajęcie?

– Stolarz.

– Do oskarżonego Marchwickiego obcy?

– Tak.

– Za fałszywe zeznania nie był skazany?

– Nie.

– A za co karany?

– Za 210.

[Dźwięk przerwane nagrania].

– No dobrze, ale jak to inicjatywa czy propozycja wyszła od świadka? Żeby napisać, że z nudów, dla zabicia czasu?

– Tak, żeby jakąś książkę

przepisywał. Ewentualnie tak, żeby zajęcia sobie znalazł.

– Żeby sobie coś, aby się czymś zajął?

– Tak.

– To świadek zakupił ten zeszyt. Na jego propozycję i długopisy, aby on to pisał, i jak on to pisał. Długo? Czy po kawałku czy wieczorami, czy etapami?

Jak to się odbywało?

– Jak mu brakowało, to znaczy jak mu się nudziło, no zaczął po śniadaniu, godzina 9 czy 10 i tak sobie pisał godzinę czy półtora, potem po obiedzie znowu tyle samo, może trochę więcej.

– A w trakcie pisania rozmawialiśmy na ten temat, o czym pisze? Czy o tym, co powinien?

– Nie, no raczej się tym nie interesowałem.

– A inni? Tam zdaje się jeszcze jeden był?

– Też nie. Tam, prawda.

– Także w tym czasie, jak pisał...

– Nie, nic mnie nie obchodziło. Ja też miałem tam swoje sprawy. Też kilka razy, prawda, pisałem do sądu, także ja byłem zajęty swoją sprawą. Nie zwracałem szczególnej uwagi na tego, co pisze, a raczej swoimi sprawami. Miałem trudności z rodziną, także byłem zajęty swoją osobą.

– Tak więc na temat poszczególnych fragmentów tego pamiętnika nie rozmawialiście? Że jeszcze przydałoby się, abyś o tym napisał albo o tamtym?

– Nie, on sobie tak przypominał i pytał, czy to mogę napisać, czy to, ale tak po jakimś czasie.

– Rozumiem, to jak długo to trwało?

Całość tego pisania?

Kilka dni, kilkanaście czy kilka miesięcy?

– Kilka miesięcy.

– Kilka miesięcy? Tak on to powoli pisał? Czy to pisał od razu na czysto czy na brudno i przepisywał?

– Tak jak teraz to pisał, tak jak jest.

– Od razu?

– Tak.

– Świadek jest tego pewien?

– Znaczy czy on tam jakieś notatki robił, to ja nie widziałem.

– Tak z grubsza jest świadek przekonany, że tak było?

– Z grubsza jestem przekonany.

– Tu jest taki fragment urwany, który wskazuje, że to było gdzieś przepisywane, „po szkole podstawowej parę mie...tokarskiego” tam brakuje jakiegoś fragmentu, on...

– On po prostu sam ucinał zdania, pisząc. Ja go tylko tak wzrokowo przeczytałem ten pamiętnik i mnie się wydaje, że tam kilka takich urywków jest.

On po prostu pisze coś i tutaj utnie.

– A, że jemu się zaczęło mylić i tak.

– Tak i potem powrócił do tego samego przedmiotu już na innej kartce.

– Świadek czytał ten pamiętnik dokładnie?

– Znacząco dokładnie raz przeczytałem.

– Znacząco na tyle dokładnie, żeby wiedział, o co chodzi? Tak. Bo oprócz tych spraw czynów, które mu zarzucono albo których mu jeszcze nie zarzucono, oprócz tego on tutaj dokonuje swoistego wywnętrzenia na temat, nazwijmy to, na temat swojego zachowania się w celi i wobec współwięźniów, wobec administracji, że się wygłupiał, że tak nazywa to. Czy było tak? Czy to, co on napisał, odpowiada jego rzeczywistemu zachowaniu?

– Tak.

– Tak?

– To, co napisał tutaj, odpowiadało rzeczywistemu jego zachowaniu, dziwaczному czy jakiemś takiemu. Tak, to było przeważnie robione na złość, czasami się rozebrał czy do mnie zwrócił ogólnie, tak do nikogo, tak bezosobowo się zwrócił, że się teraz rozbiore, zrobię na złość oddziałowym, rozebrał się i dzwonił, wygłupiał się.

– Tak mówił coś? Co on chce przez to osiągnąć? Co mu to daje?

– Raczej nie.

– Jakie świadek wrażenie odniósł z pobytu i rozmów, bo to przecież niecodzienna historia, że przecież przebywał świadek ze skazanym na karę śmierci i on opowiadał czy pisał?

Zwierzał się, co chce przez to osiągnąć?

– No, raczej nie, on czasami, jak mu się nudziło, to poprosił mnie i chciał ze mną rozmawiać, ale ja już tego nie pamiętam, prawda, bo to tak krótko powiedział coś.

– A proszę świadka, tu są fragmenty dość drastyczne dotyczące jego spraw intymnych nawet w pewnym sensie, między innymi mówi tam o tym drapaniu się, krwawieniu, czy tam, powiedzmy, o jakimś zadowalaniu seksualnym.

Przypomina sobie świadek te fragmenty?

– Tak.

– Czy coś takiego rzeczywiście miało miejsce?

– Tak.

– To byliście tego świadkami, czyli to, co tu napisał, to odpowiadało i w tym zakresie rzeczywistości? Czy naocznie świadek widział?

– Tak.

– Czyli to, co tu napisał w pamiętniku, a co się odnosiło do faktów zaobserwowanych przez was, było zgodne z rzeczywistością, nie było jakąś fantazją wymyśloną?

– Nie, nie. Któregoś wieczoru, nie pamiętam dokładnie, obudziłem się około 12, prawda, widziałem, że był Zdzisław Marchwicki taki błyszczący, świecił się, prawda,

i zapytałem go, co spociłeś się?

Nie? To z czego to masz? Poprosił mnie wtedy o papierosa i powiedział, że to jest wysmarowane poprzez onanizowanie się nasionem, prawda.

– Ale co, przecież to było niespotykane jakiś, szokujące?

– Tak, no, pytałem się, co ty robisz?

A on, że ja już jestem takim człowiekiem.

– I jeszcze jedna rzecz. Ten pamiętnik, on tu napisał, na wstępie, że on dedykuje świadkowi na pamiątkę, z którym siedzę w jednej celi, wampir Zagłębia. Czy była jakaś rozmowa na temat? Co dalej z tym pamiętnikiem?

– Nie no, ja powiedziałem oficjalnie, że podam go na widzeniu, bo mam widzenie, nie widząc jeszcze o jego zawartości, i będę miał w domu jako pamiętnik.

– Także odnośnie, w momencie pisania, a świadek też, bo nie wiedział, jaka będzie treść, liczył się z tym, że to będzie tylko?

– Ja liczyłem się z tym, że to będzie dla mnie, prawda, bo nie wiedziałem, co on może zawierać, ten pamiętnik.

– No dobrze, a później. Jak świadek się zorientował, co zawiera, to poinformował go czy też bez jego wiedzy?

– Bez jego wiedzy.

– Bez jego wiedzy, tak? No dobrze, ale tu jest w tym pamiętniku pod koniec taki fragment, który daje tak do zrozumienia, jak gdyby on się liczył z tym, że to się dostanie do szerszej wiadomości. Bo pisze tu tak: „wszyscy ci, którzy będą czytali ten pamiętnik niech wiedzą, że nie warto jest zabijać i te cierpienia, które ja przychodzę uniknie ten kto będzie przestrzegał piątego przykazania Bożego”.

– Tak, ja mu opowiadałem o rodzinie, bo on mnie wypytywał, prawda, pytał, czy żonaty jestem, prawda, jak sobie z żoną żyje, prawda, tak w chwilach takich wolnych, a takie pytania były z jego strony do mnie i podobnie, prawda, żeby taka wymiana koleżeńska była, prawda, i podczas tego napisał, powiedział o tym mojej rodzinie, że ja rodzinie pokaże ten pamiętnik, żeby się wystrzegali, prawda, nie dopuszczali się takiego przestępstwa, bo to jest ciężka kara i człowiek się męczy i tym podobne.

– Czyli ten fragment był kierowany do jego bliskich?

– Nie, no raczej do mojej, nie, bo on się nie liczył, że ja się spotkam z jego rodziną, nie znam adresu.

– Proszę powiedzieć, czy Zdzisław

Marchwicki się dowiedział, gdzie świadek przekazał ten pamiętnik?

– Nie.

– Nie dowiedział się. Do dnia dzisiejszego nie dowiedział się?

– Kiedy przekazałem go w ręce organów ścigania, zawiadomiłem Marchwickiego, że pamiętnik dałem, potargałem, bo miałem go dać na widzeniu, ale rozmyślałem się.

Powiedziałem, że uległ zniszczeniu, potargałem go po prostu.

– Kiedykolwiek świadek rozmawiał z Marchwickim na temat prawdziwości tych

faktów opisanych w tym pamiętniku?

– Poza

[Dźwięk przerwane nagrania].

– Poza tymi, które świadek widział naocznie?

– Raczej nie rozmawiałem z nim na ten temat.

– Dziękujemy bardzo. Prokurator nie ma pytań? Nie ma. Obrońcy?

– [obrońca] Świadek mógłby podać sądowi dokładnie treść tego dyplomu?

Starego wampira dla młodego wampira.

Co on tam napisał? Na tej karteczce?

– Dosłownie nie mogę powiedzieć.

– Sens?

– Że jako koledze, kolegę mianuję młodszym wampirem, jako tak, młodszemu wampirowi starszy wampir, ta karteczka uległa zniszczeniu, bo ja, ja potraktowałem jako żart.

– Czy świadek słyszał o jakichś dedykacjach od niego do innych osób?

O jakiejś koszulce? A czy świadek był obecny przy jego rozmowie z redaktor Seidler?

– Nie. Nie, to było widzenie poza celą.

– [przewodniczący]

Panowie psychiatrzy?

– [psychiatra]

Proszę świadka, świadek tutaj powiedział, że czasem tylko pytał, czy ma być to opis [niezrozumiałe], co wówczas świadek mu odpowiadał?

– Powiedziałem, pisz, co uważasz.

Powiedziałem, to ty piszesz ten pamiętnik o swoim życiu, więc pisz, co uważasz, to pisz, ale powinieneś napisać jako pamiętnik prawdę, to tam było jako tako, żeby to było prawdziwe.

– Skąd świadek wiedział, co było objęte aktem oskarżenia, a co nie?

– W tym pamiętniku jest napisane.

Zorientowałem się po przeczytaniu tego pamiętnika.

– Ile dni pisał ten pamiętnik?

– To nie było pisane na dni. To było pisane na miesiące i trudno mi powiedzieć naprawdę, nawet w przybliżeniu jest mi trudno powiedzieć, bo ja swoją sprawą, ubiegałem się o zwolnienie, pisałem do rady państwa, do innych władz sądowych, bo czułem się, prawda, i czuję się w dalszym ciągu, pokrzywdzony, prawda, wyrokiem i raczej byłem zainteresowany swoją sprawą.

– A świadek na jaką karę jest skazany?

– Na 5 lat.

– Na 5 lat. A świadek jest po raz pierwszy skazany?

– Nie, drugi.

– Czy świadek często rozmawiał z oskarżonym Marchwickim?

– Zdzisław Marchwicki prosił czasami w chwilach, gdy mu się nudziło, zresztą śpię na przeciwko niego, zresztą czy nie mógł zasnąć w takich chwilkach, czy ja wiem, dla niego trudnych, sam rozmawiał ze mną. Sam zachęcał do rozmowy, opowiadał nawet rzeczy, których sobie nie utrwaliłem w głowie, prawda, bo ja myślałem o czymś innym, on mi opowiadał znowu o swoich sprawach, i to tak.

– Mnie chodzi o to, czy te rozmowy miały miejsce często? Przebywaliście razem w jednej celi. Czy te rozmowy miały miejsce co kilka dni, czy na ogół rozmawialiście tak jak z innymi? Czy był skryty, zamknięty w sobie, czy nie było kontaktu z nim, czy na co dzień tak jak z innymi?

– Nie, było codziennie.

– Były okresy jakiegoś wyłączenia się na przykład?

– Nie, no jak mu się tam przypomniało coś, tam to zaczął ze mną rozmawiać, albo jak mu się za bardzo nudziło.

– Nie, no ale bieżące współzycie w jednej celi wymaga przecież odezwania się, nawet na temat sprzątnięcia czy załatwienia czynności obiadu czy czegoś, to normalny kontakt?

– Tak, takie rozmowy były grzecznościowe, prawda.

– Normalne rozmowy były. Czy świadek może jeszcze powiedzieć? Czy świadek dostrzegł, czy były momenty, że Zdzisław Marchwicki nie rozumiał zadawanych mu pytań albo nie potrafił się wypowiedzieć?

– Odpowiadał na wszystkie zadawane mu pytania.

– Sensownie, tak?

– Tak.

– Jedno pytanie. A czy świadek może powiedzieć sądowi, za co był pierwszy raz karany i na ile?

– W związku z artykułem 22 i na 3 lata.

– Jakie świadek ma wykształcenie?

– Stolarz, szkoła zawodowa.

[Dźwięk przerwanego nagrania].

KALENDARIUM

1964 14 maja – w Grodźcu Wampir zaatakował Irenę Szymańską, kobieta przeżyła

22 lipca – w Sosnowcu znaleziono zwłoki Jadwigi Zygmunt

26 lipca – w Będzinie Łagiszy Wampir zaatakował Eleonorę Gąsiorowską, kobieta przeżyła

4 sierpnia – w Będzinie Łagiszy Wampir zaatakował Zofię Wiśniewską, kobieta przeżyła

15 sierpnia – w Czeladzi znaleziono zwłoki Marii Błaszczuk

25 sierpnia – w Będzinie znaleziono zwłoki Genowefy Łebek

25 października – w Będzinie znaleziono zwłoki Teresy Toszy

28 października – w Sławkowie znaleziono zwłoki Alicji Dubiel

12 grudnia – w Czeladzi znaleziono zwłoki Ireny Szrek

1966 19 lutego – w Gródkowie Wampir zaatakował Stanisławę Samul, kobieta przeżyła

11 maja – w Będzinie Łagiszy znaleziono zwłoki Genowefy Bijak

15 czerwca – w Sosnowcu Zagórze znaleziono zwłoki Marii Gomółki, jeszcze tego samego dnia w Będzinie Wampir zaatakował Julianę Kozierską, kobieta przeżyła

14 lipca – w Krakowie milicja zatrzymuje Karola Kota, Wampira z Krakowa

5 sierpnia – akcja prewencyjna milicji nad Przemszą (wśród kobiet pouczonych przez funkcjonariuszy jest Jolanta Gierek)

11 października – w Będzinie znaleziono zwłoki Jolanty Gierek

12 października – w Katowicach ginie Maria B., pierwsza ofiara

Bogdana Arnolda, Władcy Much

październik i listopad – kontrola korespondencji na terenie Zagłębia i Śląska

listopad – grupa operacyjna „Zagłębie” zmienia kryptonim na „Anna”

1967 połowa marca – w Katowicach ginie prostytutka, ofiara Bogdana Arnolda

połowa kwietnia – w Katowicach ginie prostytutka, ofiara Bogdana Arnolda

8 czerwca – milicja odnajduje zwłoki kobiet w mieszkaniu Bogdana Arnolda

15 czerwca – w Grodźcu znaleziono zwłoki Zofii Kawki

3 października – w Wojkowicach znaleziono zwłoki Zofii Garbacz

1968 9 marca – Sąd Wojewódzki w Katowicach skazuje Bogdana Arnolda na karę śmierci

16 maja – wykonanie wyroku na Karolu Kocie

3 października – w Sosnowcu Maczkach znaleziono zwłoki Jadwigi Sąsiek

listopad – Jerzy Gruba przygotowuje dokument Analiza motywów działania sprawcy na podstawie ustaleń śledczych i operacyjnych w sprawie kryptonim „Anna”

9 grudnia – wyznaczenie nagrody w wysokości jednego miliona złotych za udzielenie informacji mogących przyczynić się do zatrzymania mordercy kobiet

16 grudnia – wykonanie wyroku na Bogdanie Arnoldzie

1969 31 sierpnia – w Siemianowicach Wampir zaatakował Irenę Władykę, kobieta przeżyła

21 października – „Wiadomości Zagłębia” rozpoczynają cykl wywiadów z majorem Jerzym Grubą, kierującym wydziałem „Anna”

1970 4 marca – w Siemianowicach Śląskich znaleziono zwłoki Jadwigi Kucianki

11 marca – w Tarnowskich Górach zostaje nadany anonim, autor podaje się za Wampira i obiecuje koniec morderstw

14/15 marca – Piotr Olszowy morduje żonę oraz dzieci i popełnia samobójstwo, podpalając mieszkanie

4 kwietnia – w Tarnowskich Górach zostaje nadany kolejny anonim

13 lipca – pierwszy atak Krzysztofa P., Pętlarza

16 października – w Będzinie pokazano wystawę Śladami zbrodni, na której zaprezentowano przedmioty mogące pomóc w zidentyfikowaniu Wampira. Do 16 czerwca 1971 roku pokazano ją także w Czeladzi, Sosnowcu, Dąbrowie Górniczej, Grodźcu, Strzeszycach, Łagiszy i Kazimierzu Górnym.

1971 marzec – wizyta w Polsce doktora Manfreda Ochernala, specjalisty z NRD

18 czerwca – początek publikacji Ludzie o dwóch twarzach Elżbiety Jabłońskiej

15 listopada – interwencja milicji po awanturze w domu Marchwickich

27–28 grudnia – wizyta w Polsce doktora Jamesa A. Brussela, specjalisty z USA

1972 6 stycznia – aresztowanie Zdzisława Marchwickiego

10 i 11 maja – podczas składania zeznań Zdzisław Marchwicki przyznaje się do zabójstw wielu kobiet

12 maja – Zdzisław Marchwicki odwołuje wcześniejsze zeznania

23 maja – aresztowanie Jana Marchwickiego

24 maja – aresztowanie Henryka Marchwickiego

6 lipca – ostatni atak Krzysztofa P., Pętlarza

lipiec – aresztowanie Haliny Flak

1 sierpnia – zatrzymanie Krzysztofa P., Pętlarza

listopad – aresztowanie Józefa Klimczaka

grudzień – aresztowanie Zdzisława Flaka

1973 27 marca – Zdzisław Marchwicki ponownie odwołuje swoje zeznania z maja poprzedniego roku

12 maja – Zdzisław Marchwicki sporządza listę przestępstw, do których przyznał się rok wcześniej

19 maja – Zdzisław Marchwicki sporządza drugą listę przestępstw

lipiec – Zdzisław Marchwicki przechodzi badania w Szpitalu Psychiatrii Sądowej w Grodzisku Mazowieckim (potrwają cztery miesiące)

przełom września i października – prokuratora Leszka Polańskiego zastępuje prokurator Józef Gurgul

1974 28 marca – konferencja prasowa dla dziennikarzy w Komendzie Wojewódzkiej MO w Katowicach

26 kwietnia – prokurator Józef Gurgul przedstawia zarzuty Zdzisławowi Marchwickiemu

18 września – początek procesu Zdzisława Marchwickiego, Jana Marchwickiego, Henryka Marchwickiego, Józefa Klimczaka, Haliny Flak i Zdzisława Flaka

1975 28 lipca – koniec procesu i ogłoszenie wyroku, Zdzisław i Jan Marchwiccy zostają skazani na karę śmierci

5 września – śmierć Krzysztofa P. w zakładzie karnym

1976 maja – ofiarą ataku pada Mirosława Sarnowska, świadek oskarżenia w procesie Marchwickiego

29 czerwca – początek rozprawy rewizyjnej Sądu Najwyższego

13 lipca – przesłuchanie Zdzisława Marchwickiego przed Sądem Najwyższym w związku z pamiętnikiem

22 września – ostatnia rozprawa przed Sądem Najwyższym

przełom września i października – „Życie Literackie” publikuje cykl reportaży Barbary Seidler

1977 styczeń – premiera powieści kryminalnej Nieuchwytny Barbary Gordon, drukowanej wcześniej w odcinkach

luty–kwiecień – publikacje serii wywiadów z sędzią Władysławem Ochmanem na łamach „Prawa i Życia” oraz „Kroniki”

26 kwietnia – wykonanie wyroku na Zdzisławie i Janie Marchwickich

wrzesień – premiera powieści Na tropach zabójcy Tadeusza Wielgolawskiego

1982 luty – Józef Klimczak opuszcza więzienie maj – przełom w sprawie Joachima Knychały (Frankensteina)

2 lipca – kinowa premiera filmu Janusza Kidawy Anna i wampir

1983 8 marca – milicja zatrzymuje Mieczysława Zuba, Fantomasa

1984 19 kwietnia – Sąd Wojewódzki w Katowicach skazuje Joachima Knychałę na karę śmierci

październik – telewizyjna premiera filmu Anna i wampir

1985 22 kwietnia – wykonanie wyroku na Joachimie Knychale

1990 28 marca – Program III Polskiego Radia emituje słuchowisko radiowe Ewy Szalkowskiej pod tytułem Zdzisław Marchwicki, wampir Zagłębia

1992 – Henryk Marchwicki opuszcza więzienie

1993 lipiec – Polskie Radio Katowice emituje reportaż Anny Sekudewicz i Krystyny Bochenek pod tytułem Mój mąż Zdzisiek

1998 – umiera Henryk Marchwicki

– premiera filmu dokumentalnego Macieja Pieprzycy pt. Jestem mordercą

WYBRANA BIBLIOGRAFIA

Jerzy Gruba, Sprawa zabójstw cz. IV, Warszawa: Departament Szkolenia i Doskonalenia Zawodowego MSW,

1984.

Józef Gurgul, Zabójstwo czy naturalny zgon? Na tle sprawy Iwana Ślęzki vel Zygmunta Bielaja, Szczytno: Wydawnictwo Wyższej Szkoły Policji, 1992.

Kto jest kim w Polsce 1984, edycja 1, Warszawa: Wydawnictwo Interpress,

1984.

Marek Łuszczyna, Zimne. Polki, które nazwano zbrodniarkami, Warszawa: Dom Wydawniczy PWN, 2014.

Jan Markiewicz, Władysław Nasiłowski, Stefan Raszeja, Medycyna sądowa.

Podręcznik dla studentów, Warszawa: Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich, 1990.

Ofiary zbrodni, praca zbiorowa, Warszawa: Departament Szkolenia i Doskonalenia Zawodowego MSW,

1980.

Maria Osiadacz, Reportaże sądowe, Warszawa: Wydawnictwo Prawnicze,

1990.

Józef Pieter, Czasy i ludzie, Toruń: Wydawnictwo Adam Marszałek,

1997.

Małgorzata Piwowarczyk, Kontrowersje wokół seryjnych morderców na przykładzie Zdzisława Marchwickiego, Zdzieszowice: Prometeusz, 2010.

Praca wykrywczą, praca zbiorowa,

Warszawa: Departament Szkolenia i Doskonalenia Zawodowego MSW,

1981.

Zbigniew Pudysz, *Zabójstwo z premedytacją*, Warszawa: Książka i Wiedza, 1987.
Mieczysław F. Rakowski, *Dzienniki polityczne*, Warszawa: Wydawnictwo Iskry.
Barbara Seidler, *Wampir wychodzi z mgły*, Biblioteczka „Kobry”, 1990.
Barbara Seidler, *Ludzie i paragrafy*, Kraków: Wydawnictwo Literackie,

1988.

Grażyna Starzak, *Powrót wampira*.
Zdzisław Marchwicki *20 lat później: morderca czy ofiara?*, Kraków: Venus, 1993.
Krzysztof Tomasik, Gejerel.
Mniejszości seksualne w PRL-u, Warszawa: Wydawnictwo Krytyki Politycznej,
2012.
Andrzej Topol, *Kazimierz Popiołek 1903–1986*, Katowice: Katowickie
Towarzystwo Społeczno-Kulturalne,

1988.

Andrzej Topol, *Kazimierz Popiołek i jego czasy (1902–1986)*, Katowice-
Warszawa: Śląsk 2004.
Daniel Wicenty, *Załamane na froncie ideologicznym, Stowarzyszenie Dziennikarzy
Polskich od Sierpnia*
‘80 do stanu wojennego, Gdańsk: Instytut Pamięci Narodowej, 2012.
Tadeusz Wielgolawski, *Na tropach zabójcy*, Katowice: Wydawnictwo Śląsk, 1977.
Larysa Zajączkowska-Mitznerowa
(Barbara Gordon), *Powieść życia*.
Dzienniki i wspomnienia, Toruń: Wydawnictwo Adam Marszałek,

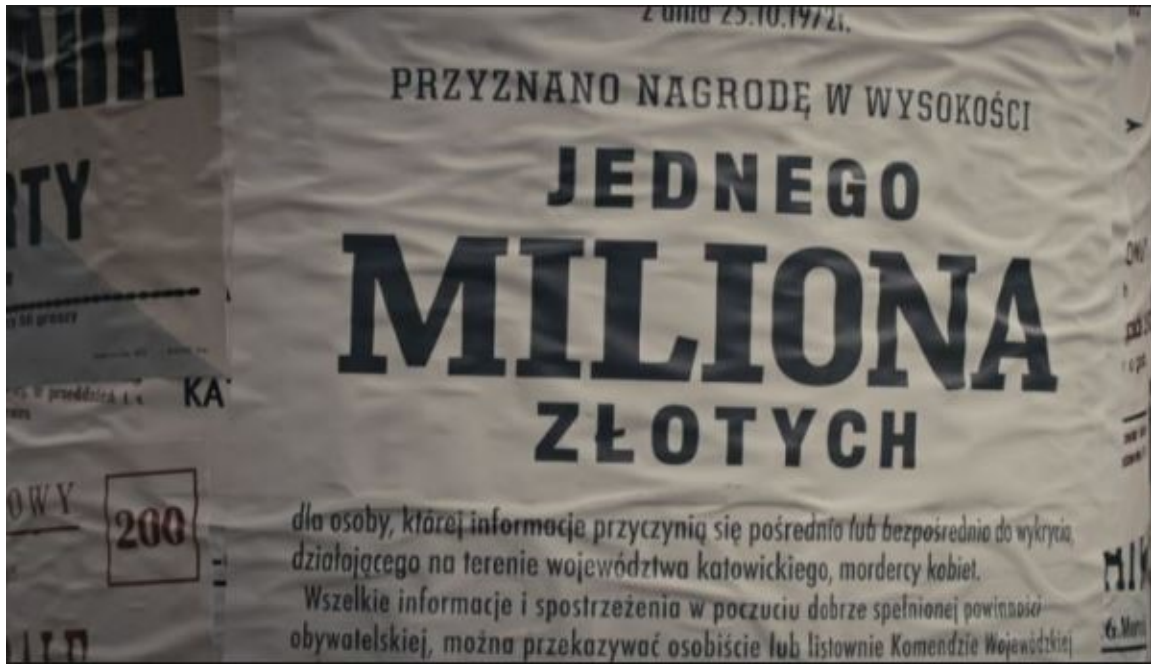
2008.

Zabójstwo seksualne
– problemy teoretyczne, praca zbiorowa, Warszawa: Departament Szkolenia i
Doskonalenia Zawodowego MSW,

1980.

Paweł Zyzak, *Tajemnica wilczego jaru*, Poznań: Zysk i s-ka, 2013.
CZASOPISMA Dzienniki „Dziennik Polski”, „Dziennik Zachodni”, „Echo

Krakowa”, „Express Wieczorny”, „Gazeta Krakowska”,
„Głos Pomorza”, „Głos Wybrzeża”, „Kurier Polski”, „Słowo Polskie”, „Trybuna
Ludu”, „Trybuna Robotnicza”, „Wieczór”, „Wieczór Wybrzeża”, „Życie Warszawy”
Tygodniki „Forum”, „Kronika”, „Perspektywy”, „Polityka”, „Prawo i Życie”,
„Przekrój”, „Tak i Nie”, „Tygodnik Kulturalny”, „Tygodnik Wybrzeże”, „Wiadomości
Zagłębia”, „Zagłębie”, „Życie Literackie”
Wydawnictwa specjalistyczne „Problemy kryminalistyki”, „Służba MO”, „W
Służbie Narodu”

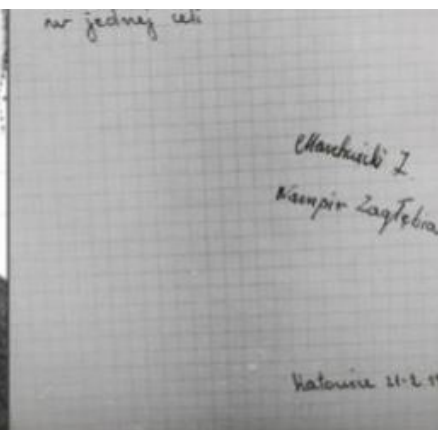
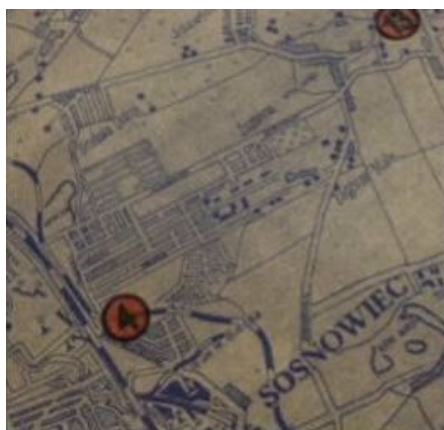




Katowice 1974-09-18. Proces Zdzisława Marchwickiego - "Wampira z Zagłębia". Nz. I rząd - brat Zdzisława Marchwickiego , Jan Marchwicki (2L), II rząd drugi brat Henryk Marchwicki i siostrzeniec Zdzisław Flak (3L)



Katowice, 03.1975. Proces Zdzisława Marchwickiego - Wampira z Zagłębia.



Sprawa Zdzisława Marchwickiego, seryjnego mordercy ze Śląska, budzi kontrowersje do dziś. Obok mapa ze śledztwa i pierwsza strona więziennego pamiętnika Wampira. (© Archiwum)



- Przed sądem stanął właściwy człowiek – zapewnia Józef Gurgul, prokurator, który oskarżał przed laty Marchwickiego. Gurgul gościł w Rzeszowie na zaproszenie samorządu studentów wydziału prawa i administracji UR oraz koła naukowego prawników - sekcji patologii społecznej, pod patronatem pracowni kryminalistyki UR.

Karta redakcyjna

Projekt okładki Paweł Panczakiewicz/
PANCZAKIEWICZ ART DESIGN

www.panczakiewicz.pl

Fotografia na okładce

© BortN66/Shutterstock Redakcja Daniel Lis Adiustacja Ewdokia Cydejko

Korekta

znak

Barbara Gąsiorowska Barbara Wójcik Copyright © by Przemysław Semczuk

© Copyright for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2016 ISBN 978-83-240-4110-

7 Książki z dobrej strony:

www.znak.com.pl

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak,

woblink

30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37 Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e—

mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink.com

Spis treści

Przemysław Semczuk

Wampir z Zagłębia

PROLOG

CZEŚĆ I

PROCES NIE LICZYLIŚMY ZŁOTÓWEK

WYROK

TEATR

PROSZĘ WSTAĆ, SĄD IDZIE

À PROPOS WAMPIRA

POWIESIĆ GO

MODELKA DLA DIABŁA

W TEJ SPRAWIE NIE MAM NIC DO POWIEDZENIA

BARANEK BOŻY DYNAMITEM NADZIANY

CZEŚĆ II

POŚCIG SPRAWA POLITYCZNA

LUDZIE LISTY PISZĄ

ZAMACH NA GOMUŁKĘ

WŁADCA MUCH

MILION ZA WAMPIRA

NIE CHCĘ SIĘ BAWIĆ W CHIROMANTE

ANONIMY TARNOGÓRSKIE

BOŻE, CZEMU NIE SPOWODUJESZ MOJEJ ŚMIERCI

RAPORT BRUSSELA

TO MÓJ MAŻ JEST WAMPIREM

TO JEST CZY NIE JEST?

TAK, ZABIŁEM

WESOŁA RODZINKA

NIE OSKARŻAM BEZ PRZEKONANIA

JESZCZE JEDNO MORDERSTWO

CZEŚĆ III

WYROK JESTEM WIELKIM MORDERCĄ

NIEWIERZĄCY

[ZŁY DUCH RODZINY MARCHWICKICH](#)
[TRZEBA TO KOŃCZYĆ, WYSOKI SĄDZIE](#)

[JEDYNY MOŻLIWY WYROK](#)

[WYWIAD Z WAMPIREM](#)

[OSTATNIE PRZESŁUCHANIE](#)

[FRANKENSTEIN H.K.](#)

[PAMIĘTNIK WAMPIRA](#)

[CZEŚĆ IV](#)

[MGŁA POWIEŚCIOWY BOHATER](#)

[SĄDZIŁEM WAMPIRA](#)

[ANNA I WAMPIR](#)

[NA FRONCIE PROPAGANDY](#)

[WAMPIR ZNIKA WE MGLE](#)

[DWANAŚCIE MIESIĘCY](#)

[ANEKS](#)

[NOTATKA URZĘDOWA](#)

[ZAPISEK URZĘDOWY](#)

[KALENDARIUM](#)

[WYBRANA BIBLIOGRAFIA](#)

[1984.](#)

[1984.](#)

[1980.](#)

[1990.](#)

[1997.](#)

[1981.](#)

[1988.](#)

[1988.](#)

[2008.](#)

[1980.](#)

[ZDJĘCIA](#)

[Karta redakcyjna](#)